

Józef Ignacy Kraszewski

JESIENIĄ

TOM I

I

Wiosna w lesie jest cudniejszą jeszcze niż na polach i górach; wiosna w głębinie puszczy to dopiero wiosna z całym swoim nieopisanym wdziękiem, niewysłowionymi urokami. Tu to przebudzenie do życia po śnie kilkomiesięcznym objawia się, jak gdyby natura budziła się po raz pierwszy, jakby narodziny wiosny były urodzinami świata. Śpieszy się wszystko, co ma w sobie jakiś kielek i nasionko żywota, pije słońce, chłonie ciepło, pożera powietrze i obwija się sukienkami z purpury, zieleń, złota... Jedne rośliny, ledwie otworzywszy liście, puszczają z nich kwiat, śpiesząc korzystać z wiosny, jak ludzie, którym najpilniej używać; drugie gospodarują skrzętnie, budując wprzód postanie na gody; inne walczą z przeciwnościami, omijają przeszkody i wzbijają się ku górze, ku górze... Ta uroczystość wiosenna, której gra muzyka tysiąca ptaków, namiętnie zajętych wznoszeniem jednorocznych gniazd swoich, pełna jest wrzawy, ruchu, świetności i tajemnic. Któż przewidzi i odgadnie, dlaczego to, co żyło wczoraj, dziś obumiera, czemu tam, gdzie nie było życia, rozwija się ono tak bujnie i jakby z niczego, ptak na dzióbku przyniósł nasionko, puszek rzuciły wiatry, ziarno przyzeglowało z wodą, i sierotka sama wśród obcych spełnia swą życia powinność. Taką wiosną, bujną a wesołą, kwitł mały wśród zarośli leśnych pagórek zielony, na którym sterczała dziwna ruina. Opośadał widać było bór z mieszanych drzew gęsty, które miały czas wyrosnąć, gdy budowa, co niegdyś pilnowała okolice, zniknęła, a to, co ją otaczało, zajęły gąszcze i krzewy. Boki gór całe zajmował las, piętrzący się słupami jodeł, buków, lip i sosen, pomiędzy których gdzieniegdzie zwieszała się wychylona wdzięcznie białą odziana brzoza smętna.

Na łysym pagórku widać było reszty starego zamku, zapomnianego teraz wśród lasów. Była to budowa odwieczna, z kamieni wzniesiona, do której ścian mało co cegły użyto. Część znaczna jej waliła się powoli lub poobalana, leżała ruiną na stoku wzgórze. Zajmowała ona niegdyś przestrzeń dosyć znaczną, którą powoli krzewy sobie przywłaszczyły. Najmocniej pobudowana brama wjazdowa stała jeszcze, nawet do czasu pokryta, ale pustymi świeciła oknami. Wrót w niej nie było, i przez to ciemne przejście przychodzić mógł dostrzec dziedziniec wewnętrzny tak samo zarosły dziko i opuszczony, jak całe owe zamczysko. W głębi tylko część, dawniej mieszkalna, z gankiem, z rzeźbionymi odrzwiami, utrzymała się cała. Widać w niej było okna zaszkłone małymi szybkami. Trzymał się tu wysoki dach pogarbiony i z jednego komina jego niebieskawy dymek, unoszący się wolno w powietrze, zwiastował tubytność człowieka... Przed gankiem kamiennym stary pies ogromny, chudy, leżał na trawie pół uspiiony. Ptastwo pod dachu okapami świergotało swobodnie, cisza panowała dokoła.

Niekiedy psisko podnosiło głowę, przysłuchiwało się chwilę i kładło znowu na spoczynek.

Ostatnie promienie słońca malowniczo ozłacały górną część murów, gdy dolna była już w cieniu, od lasów i gór rzuconym. W tej chwili na ścieżce, prowadzącej do zamku, ukazał się wolnym krokiem idący mężczyzna, za którym drugi pies, zupełnie podobny do leżącego w dziedzińcu, szedł dosyć zwawo i wesoło. Warto się

było temu zjawisku przypatrzeć, dziwnie dobranemu do pustki, dla której zdawało się stworzonym.

Mężczyzna był lat więcej pięćdziesięciu, olbrzymiego niemal wzrostu, kościasty i silnie zbudowany. Trzymał się prosto i sztywnie, szedł z głową dumnie podniesioną, zamyślony, czasem machinalnie podkręcając siwego węża, który z obu stron twarzy wychodził twardo i groźnie. Zmęczony zdjął czapkę lekką i głowę widać było w całej wspaniałości jej,

gdyż rzeczywiście wyglądała pańsko i majestatycznie. Typ to był rysów szlachetnych, piękny jeszcze mimo wieku i zmarszczenia. Czoło przeorały dwa grube, nie schodzące już z niego fałdy, wiek je wraz z czaszką niemal całą z włosów obnażył, świeciła jak kość słoniowa, a po bokach tylko puszek biały ją otaczał. Nos rzymski, suchy i kształtny, spuszczał się nieco na wargę, wąsem przysłoniętą; część spodnia twarzy była proporcjonalną i równie harmonijną, jak całość tego męskiego oblicza. Oczy, oprawne pięknie, wypukłe, pomimo otaczających je zmarszczków patrzyły jeszcze śmiało, jasno i bystro. Wiek nie

mógł zniszczyć tej piękności, której resztki obudzić mogły jeszcze podziwienie. Na twarzy panował wyraz smutku i dumy.

Ruch i postawa zdradzały w nim człowieka, co nawykł był i czuł, że się urodził, aby rozkazywać. Patrzył z góry; coś jakby ironiczny uśmiech czasem zadrgał mu na wargach. Szedł i stawał, i patrzył, a potem szedł znowu. Posłuszny pies oglądał się na pana i nie śmiał pośpieszyć naprzód, kroki swe mierząc do jego chodu.

Ubiór miał na sobie bardzo prosty, buty długie, myśliwskie, po kolana, kurtkę z grubego sukna szaraczkową, małą torebkę z siatki na ramieniu, dubeltówkę na pasku. Stalowy łańcuszek od zegarka wymykał się spod zapiętej sukni, a z kieszeni wyglądała chustka. Po wyděciu drugiej poznać było łatwo, iż miał w niej książkę. Przy torbie utroczone trzy słomki

świadczyły, że powracał z polowania, które mu się poszczęściło. Z wolna wszedłszy na pagórek, ciągle stając po troszę, nie spiesząc się ani oglądając, wsunął się tak w ciemną bramę, w której gdzieś sowa spłoszona skrzydłami w górę zatrzepotała, a pies w górę zadarł głowę. Stary wyżeł w dziedzińcu zbudził się, wstał i strzepnąwszy, śpieszył naprzeciwko pana.

Młody chciał go przywitać na pół drogi, ale nie przyjmując jego grzeczności, podbiegł stary do przybywającego, naszczekując radośnie, i przysunął mu się do ręki, która go pogładziła. Z drugiej strony zazdrosny towarzysz dopominał się także o dowód łaski i oba skacząc i szczekając, wprowadzili tak idącego w dziedziniec.

Szczekanie obudziło znać we wnętrzu kogoś, bo słyhać było stuknięcie drzwiami i na ganku ukazał się człeczek małej w długiej kapocie, mniej więcej tego wieku, co przybyły, również łysy, ale rysów twarzy pospolitych i smutnych a znudzonych.

— Staszuk! — odezwał się idący — weź dubeltówkę i torbę... słomki oddasz Katarzynie.

To mówiąc, stanął pan i zdjął z ramienia strzelbę. Pod murem była stara ława kamienna, wyciągnął ręce i usiadł na niej. Przybliżył się Staszuk, witany serdecznie przez psa, na co jakoś nie bardzo zdawał się zważać, był bowiem widocznie w złym humorze, przyjął strzelbę, torbę, popatrzał na słomki i pokiwał głową tylko. Z uśmiechem wpatrzył się weń przybyły.

Wstydzilibyś się, stary piecuchu odezwał się głosem wesołym, ale nieco szyderskim wiosna tak śliczna, wieczór tak piękny, a ty w zadusze siedzisz i kwasisz się.

Staszuk ruszył ramionami.

Cóż mam bąki zbijać? siatkę wiąże.

Odetchnąłbyś powietrzem, zbijając bąki.

Machnął ręką Staszuk i w milczeniu zabrał się do domu, ale odwrócił się w pół drogi.

— Upiec słomkę?

Na to nie otrzymał odpowiedzi, przybyły sparł się na rękę i zadumał. Oba psy siadły przed nim. Młodszy zaczepiał starego, który nie miał ochoty do zabawy, patrzył jakby stęskniony na pana.

Wieczór był w istocie dziwnie piękny, spokojny i wesoły. Świergotanie ptastwa układającego się do noclegów, śpiewy słowików na gniazdach, nawet krakanie choralne żab w błotku za zamkiem, woń świeżo rozpuszczonych brzoź i młodych pączków lasu napełniały powietrze jakimś życiem, które i w człowieku budziło do niego ochotę. Stary zdawał się tego doznawać, słuchał, dumał, używał. Nie chciało mu się wniknąć do domu, aby nie wychodzić z tego zaczarowanego koła, którym go opasywała natura.

Po chwili w ganku ukazał się Staszuk z rękami w kieszeniach, z pewnym rodzajem politowania

spoglądający na pana. Wyraz jego twarzy przypominał niańkę przypatrującą się zabawiającemu dziecku. Ale stary nie widział go ani nań zważał.

Staszuk znikł wkrótce. Słońce zachodziło i za lasami już tylko świeciło jaskrawo; zamek, wzgórze, cały krajobraz okryły cienie wieczorne. Ucichły śpiewy i świergotania, oprócz żab i słowika.

Stary wstał z wolna i krokiem niepewnym skierował się ku gankowi.

Schodki pokruszone i wytarte wiodły do drzwi ogromnych sieni, których połowa tylko była otwarta. Sień sklepią, obszerna też, ale pusta, za całą ozdobę miała niegdyś zawieszoną u sklepienia latarnię bez szkła, pyłem okrytą.

Kamienne schody z niej wiodły na pierwsze piętro. Starość ich dowodziła prostota budowy i ciasne rozmiary. Przybyły wchodził, nie potrzebując patrzeć, machinalnie, jak człowiek nawykły

do codziennego ich przebywania. U góry, przy drzwiach pół już otwartych, stał już Staszuk, czatujący na wracającego. Nie powiedzieli jednak do siebie ni słowa.

W przedpokoju, sklepionym jak wszystkie izby zamkowe, było widocznie gospodarstwo Staszuka, który tu miał stolicek u okna, a w drugim końcu, za wypłowiałym parawanem papierem okrytym — sprzęt, który chciał ukryć przed oczyma ludzkimi. Jak tu, tak wszędzie znać było opuszczenie smutne. Drzwi ledwie się przymykały, podłoga pogniła świeciła dziurami. Okna okrywał pył od dawna nie tknięty.

Za tą izbą następowała druga, obszerniejsza znacznie, z oknami na dwie strony i kominem ogromnym. Tu stary sprzęt, rozsypany po kątach, ginał w wieczornych mrokach. Niedobre te resztki z dawnych wieków godziły się z sobą tym tylko, że wszystkie były zużyte i stare. U jednego z okien widać było stolik z kilku książkami i na ścianach wisiały wysoko ciemne portrety w ramach czarnych i niepomiernych. Na kominie zegar poważny nie odzywał się już od dawna. Około niego

para naczyń otłuczonych zdawała się przeznaczoną na kwiaty. I w tym pokoju nie zatrzymał się przybyły, przeszedł go zamyślony i skierował się na prawo przez drzwiczki ciasne do sypialni.

Staszuk szedł za nim z wolna, gładząc łysinę.

W sypialni stało łóżko ubogie i skromne, stół i szafa, trochę przyborów myśliwskich rozwieszonych było na ścianach. Jedną z nich zajmowała stara szafa gdańska popsuta i na nowej już, ledwie ociosanej nodze oparta.

Stare krzesło z poręczami wysokimi czekało jakby na swego pana, który siadł, a pies przybyły z nim zbliżył się i głowę mu położył na kolanach.

Staszuk stanął jak wryty w progu. Nie musiało to być zwyczajnym, gdyż po chwili, podniósłszy nań oczy, pan spytał:

— Czegóż ty chcesz ode mnie, Staszuk?

Zmilczał nieco sługa, pogładził się po głowie, chrząknął.

— Czego ja chcę — rzekł — to pan tego nie lubi; ano, jakiś list jest!

— List? gdzie? jaki? — z niecierpliwością począł pan.

Staszuk, mruczając, zbliżył się do stolika, podniósł okrywające go sukno i dobył kopertę, którą położył przed panem.

W pokoju był mrok, wziął ją w rękę niechętnie myśliwy, spojrzął i położył nie rozpieczętowaną.

— Któż to przywiózł? — zapytał.

— A, posłaniec... czeka na odpowiedź — począł schryplym głosem stary sługa — tylko co pan wyszedł w las, gdy przybył. Nie było go czym nakarmić, tom go spać położył.

— Świecy — odparł żywo, nie odpowiadając nic, pan i rozerwał kopertę, usiłując list dobyć choć o

mroku przeczytać.

Staszuk tymczasem śpieszył po świecę, którą przyniósł, gdy list był już raczej odgadnięty, niż przeczytany. Myśliwy nasz chodził po ciasnej sypialni, wyszedł z niej do pierwszej izby i mierzył ją szerokimi krokami. Czoło namarszczyło mu się mocniej jeszcze.

Sługa z rękami w tył założonymi ustawił się w progu i czekał.

Posłaniec się dopomina o odpowiedź — rzekł po przestanku.

Powiedz mu, niech idzie do diabła! — wybuchnął stary — odpowiedzi żadnej nie będzie.

Nie ruszył się Staszuk, gładząc tylko żywiej po łysinie.

Gdy w przechadzce swej zwrócił się ku niemu twarzą pan, spojrzeli na siebie.

Czego stoisz?

— A cóż, mam mu powiedzieć, ażeby szedł do diabła? he?

I pomilczawszy, dodał:

— A pięknie to będzie? Widział, że pan powrócił? He? Cóż ludzie pomyślą? że pan odpowiedzieć nie chce bratu? Po cóż się to zdało, żeby cały świat bajki sobie z tego plół. I to trzeba, żeby ja głupi mądrego pana uczył, żeby odpisał dwa słowa, a ludziom się na pośmiewisko nie dawał. Po cóż to? po co?

Rękami zamachnął i umilkł.

Pan nań popatrzał i nie mówiąc nic, poszedł do stolika. Staszuk mu przyniósł świecę. Szybko nakreślił słów kilka z widoczną niechęcią i oddał je milcząco. Sługa wyniósł się natychmiast, lecz nie zszedłszy ze schodów, powrócił przestraszony.

Zobaczywszy go, myśliwy, który się znowu przechadzał, stanął.

— Co się stało?

— Ano, nie doczekał się pono odpowiedzi i jedzie — krzyknął zdyszany Staszuk.

Na te słowa drgnął i ruszył się żywo myśliwy.

Nie ma mnie w domu! rozumiesz!

Nie może być, nie może być — począł Staszuk — czyż ja... tu schylił mu się do kolan — czyż ja was mam prosić o to, abyście brata przyjęli? panie?

Spojrzał mu w oczy. Wtem gwar się wszczął w dziedzińcu, psy, nie nawykłe do obcych, czekały. W bramie ukazało się dwie postacie, niepewne, czy dalej iść mają. Staszuk, nie słuchając odpowiedzi, wybiegł ku nim. Psom nakazał milczenie i z wielką powagą począł się zbliżać ku bramie.

Oczekujący nań tutaj byli... pan i sługa. Pierwszy z nich, po podróznemu ubrany, nieco młodszy od myśliwego, podobnych do niego rysów, ale mniejszego wzrostu i twarzy zmęczonej i zwiędłej, z dziwnym wyrazem przypatrywał się miejscu, w którym się znajdował.

Służący w liberii, z odkrytą głową, zdawał się równie zdziwionym, widząc pana dobijającego się do takiej ruiny. Staszuk skłonił się nisko, ale z miną zafrasowaną.

— Wszakże pan Krzysztof jest? — zawołał z niecierpliwością przybywający — prowadź mnie do niego.

Sługa oczyma wskazał na liberię, jakby dawał do zrozumienia, że przy niej nie miał ochoty mówić obszerniej.

— Jest pan, ale trochę słaby — rzekł.

— Przecież mnie przyjąć może! — odezwał się, postępując parę kroków naprzód, przybyły. Odwrócił się do służącego i dodał:

— Wróć do powozu i tam czekaj. Tu nie ma dokąd zajechać.

Posłuszna liberia znikła w ciemnościach bramy a stary sługa twarz zmienił, widocznie stał się

swobodniejszym.

Niech no pan nie zapomina — szepnął — że z nim trzeba wiedzieć, jak gadać.

Przestroga ta przeszła jakby nie słyszana. Żywym krokiem śpieszył ku gankowi podróżny, ale do sieni wszedłszy, jakkolwiek nie miał ochoty do rozmowy, musiał go spytać o dalszą drogę.

Na schody proszę — rzekł sucho Staszuk. Zawahał się nieco z jakimś wstrętem przybyły, ale poszedł spieszonym krokiem. Widać było, że się na odwagę zbierać musiał i że mocno wzruszony, dopełniał niechętnie, co mu się zdawało koniecznym. W progu izby, po której się przechadzał pan Krzysztof, stanął podróżny. Spojrzeli na siebie z dala, żaden z nich nie ważył się na słowo.

Przybywam do ciebie — rzekł w końcu złamanym głosem od progu podróżny — przybywam jako brat podać ci rękę. Spodziewam się, że jej, ani mnie, nie odepchniesz.

Nastąpiło milczenie.

— Ani odepchnę, ani uścisknę — począł głosem podniesionym gospodarz — nie zapomniałem, że waćpan jesteś mi bratem, że ta pustka jest moim domem, w którym żadnemu gościowi nie odmawiam przyjęcia, ale i o tym nie zapomniałem też, iż nasze drogi od dawna się rozeszły, że jesteśmy braćmi z imienia, ale nie życiem, nie obyczajem, że ja jestem głową rodziny i że w waćpanu nie znalazł należnego mi posłuszeństwa.

Stojący w progu uśmiechnął się.

— Rozmówmy się raz po ludzku — rzekł, postępując krok i oglądając się po izbie oświetlonej brząskiem wieczora z jednej strony, a blaskiem świeczki z drugiej.

— Słucham — wtrącił gospodarz poważnie.

— Zdaje mi się, że jestem w wieku, który uwalnia mnie od kurateli braterskiej, obaśmy pełnoletni.

— Tak, ale głowa rodziny jest nią, dopóki żyje; z prawa i zwyczaju szlacheckiego należy się jej

poszanowanie i posłuszeństwo, lub rodziny nie będzie — mówił Krzysztof.

Poszanowanie, zgoda — rzekł przybyły — ale posłuszeństwo, nie. Na dowód, że się do obowiązków rodziny — łączących poczuwam, przybyłem tutaj.

Po co? — przerwał gospodarz — aby mi spokój zamącić? Spodziewam się — dodał ironicznie — że nawrócić mnie nadziei waćpan nie masz ani się uniewinnić nie spodziewasz. Obrabiłeś sobie drogę, jaką chciałeś, idziesz nią, nikt ci się nie sprzeciwi! Z Panem Bogiem! a mnie zostawcie, gdzie jestem i jak jestem.

Godziło się przecież choć spróbować — począł przybyły.

Czego? — ofuknął prawie gniewnie brwi marszcząc gospodarz.

Rozmowa, rozpoczęta z pewnym z obu stron po

miarkowaniem, przybierała niemal z każdym słowem ton coraz gwałtowniejszy. Bracia mieli jeden charakter. Starszy, pan Krzysztof, inaczej go tylko w sobie wyrobił, w gniewie jego nawet było coś poważnego i szlachetnego; u drugiego miał on pospolitszą daleko cechę i gminniejsze formy.

— Czego? — powtórzył gospodarz — czego próbować?

— Wyciągnąć was z tej pustki i wyleczyć z tego dziwactwa — odezwał się drugi.

Śmiech ironiczny, wymuszony, przerwał mu mowę; pan Krzysztof zdawał się wyrastać, tak się rozprostował i dumnie podniósł głowę.

— Waćpan, panie Pawle! leczyć mnie! waćpan mnie dawać nauki! a! to mi się podoba! — krzyknął, rękami biorąc się w boki.

— Dlaczegoż nie; młodsi starszych uczyć muszą, gdy starsi dziwaczą.

— Waćpan to zowiesz dziwactwem?

A jakże to mam inaczej nazwać? jak? — począł Paweł — proszę pana brata nie gniewać się za wcześniej, a wysłuchać mnie raz cierpliwie.

Nie prosząc siadać brata, Krzysztof z pewnym rodzajem rezygnacji rzucił się na krzesło przy stoliku, ręce sparł na nim i słuchać począł z ironicznym uśmiechem.

Paweł też, nieulekniomy i nie zrażony tym przyjęciem niegościnnym, postąpił kroków kilka naprzód, krzesło sobie przysunął, siadł na nim, obie ręce sparł na kolanach i pochyliwszy się ku bratu, mówił z pewnego rodzaju gorączką i pośpiechem.

Z dawnych splendorów i wielkości naszej rodziny nie zostało nam nic oprócz imienia i długów...

Długi co do grosza spłaciłem! — zawołał dumnie Krzysztof.

Tak, i nie zostało nam właśnie dlatego nic, żeś

waćpan płacił i to, czego nie należało płacić lichwiarzom.

— To jest waćpana zdanie, coś z szlachcica przerobił się na... na plebejusza i robigrosza — krzyknął Krzysztof — dla was pieniądz wszystkim, dla mnie honor. Szlachcie płaciłem za rodziców do grosza, aby łajdaki znały, cośmy za ludzie, i czuły różnicę, jaka jest, była i będzie między nami. O cześć niepokalaną imienia mi szło, dlatego ostatnią

zdziałem koszulę, straciłem wszystko, ale mi nikt nie powie, że na mnie szeląg stracił. Jeśli w tym była lichwa i podłość, co od nas wyciągano, tym gorzej dla tych, co nas ograbili; myśmy czyści.

— Tak, i goli — rzekł szydersko Paweł.

— Tak — przerwał Krzysztof — i wy gołymi być nie umieliście, dlategoście woleli się zaszargać.

— Wolałem pracować — odparł Paweł — i dorobiłem się pracą, a waćpan wolałeś próżnować i mrzesz z głodu w tej pustce.

Krzysztof, słysząc to, ruszył ramionami.

Któż to waćpanu powiedział, że ja mrę z głodu, i kto go prosił, abyś mnie ratował? Ja ani rady, ani ratunku nie potrzebuję. Tak, nie potrzebuję. Żyję tu szczęśliwy, swobodny, zachowawszy godność moją, gdy waćpan, coś świniami, bydłem, łojem i słoniną handlował, masz miliony, o które ja nie dbam i na które... pluję.

Oczy czarne pana Pawła błysnęły gniewem, podskoczył na krześle.

Tak! tak! nie kryję się z tym: handlowałem świniami, bydłem, słoniną, jeździłem na wózku, sam sobie furmaniąc, spałem nieraz w chlewie, ocierałem się o najbrudniejszych ludzi, skąpiłem sobie i od gęby odrywałem, dlaczego? aby być niezależnym, aby rozkazywać, i tych, co mną gardzili, widzieć czapkujących mi.

Pan Krzysztof prychnął szydersko, nie odpowiadając

nic, zdjął znad stolika zawieszoną nad nim fajeczkę krótką, nałożył ją brzydkim tytoniem i palić zaczął spokojnie.

Paweł na chwilę zamilkł, gospodarz powagę swą odzyskał, gniew go odszedł; był spokojny.

— Wolałeś więc waćpan być, z pozwoleniem, świniopasem, niż szlachcicem... na zdrowie! ja wolałem być godnym moich przodków i zamknąć się w tej ciszy lasów; nie ma między nami nic wspólnego; nie widzieliśmy się kilkanaście lat, cóż to znowu za fantazja waćpanu przyszła ścigać mnie tutaj?

— Litość! — zawołał Paweł.

— Co? litość? nade mną? — oburzony porwał się Krzysztof, stukając pięścią o stół — i ty mi to śmiesz mówić!

Litość, nade mną! Ale ja — ja jestem, co bym się mógł nad tobą litować, coś starą tarczę Pobogów zwał w błocie, coś się ożenił z...

— Ani słowa przeciw mej żonie!

— Mieszczanka jest, kupcówna jakaś; ożeniłeś się dla grosza, tak jak pracowałeś dla grosza, tak

jak wszystko święciłeś dla grosza... Dla niego stałeś się Żydem, faktorem, handlarzem. Nie znam cię za brata.

No? nie jestże to szal? obłąkanie? — odparł, ręce na piersiach zakładając i wpatrując się w brata, Paweł.

Pytani się ciebie jeszcze raz, czego chcesz ode mnie? — rzekł Krzysztof.

Chcę cię stąd wyciągnąć! słuchaj, żal mi cię — począł Paweł — tak jest. Nie obrażę się z ust twoich najniemilszymi wyrazami. Miarkuj się sam. Przyczyniłeś to blasku tarczy twej, że się na cały świat gniewasz; zakopałeś się na puszczy, nic nie robisz i za życia dobrowolnym samobójstwem ze społeczeństwa się wyłączaasz.

Tak! — wybuchnął Krzysztof — bo wasze społeczeństwo zgniłe, obłąkane, zatrute, nie jest mnie godnym, bo ja w nim ani z nim wyżyć bym nie mógł;

bo między mną a nim, tak jak między mną a tobą, nie ma i nie może być stosunku żadnego.

To mówiąc, podniósł się jakby natchniony, rzucając fajkę o stół. Rozbiła się na nim w kawałki.

— Ty to zowiesz społeczeństwem — krzyknął — to gromada bydła, to stado zwierząt, co idzie na paszę razem i od wilka się broni wspólnie, ale się bije rogami, gdy niebezpieczeństwo przechodzi. Z tej kupy, którą wiąże interes, zwietrzało, uciekło, co było szlachetniejszym i lepszym. Zaparliście się wszystkich tradycjach przeszłości i okłamaliście je potwarzą; mówicie o postępie, a idziecie wstecz do bydła!! Przyznam się, że wolę głodem mrzeć, niż iść z wami razem jeść trawę. Mylę się — dodał — wy jecie jak Lukullus, mieszkacie jak sybarycy, używacie życia i nadużywacie, w tym wasz jedyny cel, to wasza jedyna dążność. Dajcież mi umrzeć anachoretą, umierającym pogardzać tą strawą, tym zbytkiem, tymi rozkoszami, i położyć się w grób z sercem bijącym ku wielkim czynom i wielkim rzeczom, wiernym mej krwi, rodowa, imieniowi i idei.

Paweł się rozśmiał.

Choć drukować! — dalipan — zawołał — ślicznie deklamujesz; ale to są słowa puste. My bydło... niech tak będzie, a ty jesteś trup; wolę być żywym bydłem niż umarłym człowiekiem.

Na zdrowie! — odparł, siadając, Krzysztof, podparł się na rękę i patrzył w okno — kończ waćpan — dodał — słucham. Na to wezwanie Paweł nie odpowiedział, wstał z krzesła zadumany i począł się po izbie przechadzać.

Nie ma sposobu z tobą mówić ani się zrozumieć — dokończył po przestanku. — Sądziłem, że lata zmieniły twój sposób widzenia rzeczy i ostudziły cię trochę. Znajduję cię takim, z pozwoleniem, szaleńcem, jak gdyśmy się rozstawali. Ubolewam, płaczę, rozpaczam, abym mógł nawrócić...

— Toś sobie był powinien z góry powiedzieć — spokojniej wtrącił Krzysztof — waćpan się mogłeś mienić i zmieniać wedle potrzeby i stosownie do ludzi, z którymi żyć chciałeś; ja mogłem pozostać sobą, bom żył z pustynią, lasem, Bogiem, sumieniem, ciszą i smutkiem moim. Budziłem się z tą samą myślą, z którą się kładłem, wierny jej, i prosząc Boga, abym się jej nie sprzeniewierzył. Powiedzże mi, dlaczego ja nie szedłem ciebie nawracać, a dlaczego ty przychodzisz z tym do mnie?

— O! to ci łatwo wytłumaczę — zawołał Paweł — bo mimo wzgardy, odepchnięcia, milczenia, czułem się bratem twoim, bo mi w sercu miłość i pamięć została, a tyś był dumnym trupem bez przywiązania do nikogo i wyparłeś się mnie dlatego, że inną poszedłem drogą.

Krzysztof spojrział nań z niewysłowionym wyrazem ironii, zdumienia, gniewu i ciekawości.

— Wyrzecze się tej słabostki — rzekł cicho — wam, ludziom praktycznym i rozumnym, miłość nie

przystoi; my to, trupy, kochamy tylko, wy, handlarze, powinniście nic oprócz grosza nie kochać.

Paweł ruszył ramionami; zdawał się rozpaczać już o dalszej rozmowie, chwycił za kapelusz, ale go położył natychmiast.

Nie — rzekł spokojnie — my z sobą mówić ani się rozumieć nie możemy. To rzecz daremna; więc pozwól, jako brat starszy i głowa domu, abym ci się po kilkunastu leciech wypowiedział z tego, com zrobił, jakie jest położenie moje. Wiem o tym, żeś się tak dobrowolnie odciął od świata, iż nie pozwalasz sobie nikomu powiedzieć nic o tym, co się na nim dzieje. Jestem pewny, że o mnie, o mojej rodzinie, oprócz tego, com ci gwałtem narzucił do wiadomości, nic wiedzieć nie możesz.

Nie ciekawym! nie chcę! Co mnie obchodzą dzieci

nowego świata, do którego ja nie należę. Idźcie swą drogą, a mnie moją zostawcie.

— Gwałtu ci nikt nie zada — odparł Paweł, siadając znowu — ale nie zgrzeszysz słuchając.

Krzysztof zamilczał.

— Wiesz, jakośmy się rozstali — mówił Paweł — ty sobie zostawiłeś tę pustkę z kawałkiem lasu, ja małą sumkę, jaka po opłaceniu długów uratowana została. Powtarzam ci, gdyby nie twoja dobroduszość i duma, mnie i tobie byłoby po wiosce zostało. Lichwiarze ograbili nas.

— O tym proszę zamilczeć — wtrącił Krzysztof.

— Milczę — mówił Paweł — zgoda. Tyś się zakopał w życiu kontemplacyjnym, ja poszedłem świniami handlować. Moją żonę poznałem w małym miasteczku, była córką handlarza, jak ja; podobała mi się, ożeniłem.

— Z posagiem — rzekł Krzysztof.

Posag nie przeszkodził, ale mniej po niej wziąłem, niż sądzisz, i nie żeniłem się z nią dla samego posagu, ale żeby pracować we dwoje.

Ślicznie! wybornie rozśmiał się Krzysztof wnuk wojewody, syn kasztelana, człowiek, w którego rodzinie są buławy i laski, wziął prostą dziewczynę, pierwszą z brzegu!! Z wodza stałeś się ciurem. Chciałem cię oddać do wojska.

Wiesz, żem do niego powołania nie miał — mówił Paweł cierpliwie — na męczennika też, jak ty, nie czułem się stworzony. Praca mi się poszczęściła, dorobiłem się znacznego majątku, przyjeżdżam ci oznajmić, żem odkupił Pobogowszczyznę, Zebrzanę, Złotowo i Wolę...

Spojrzał nań; Krzysztof się podniósł bledniejąc, Pawłowi uśmiech przebiegł po ustach.

Tak jest, na świniach dorobiłem się praojców

skiej siedziby; odkupiłem, co ofiarność ich i nieopatrzność strwożyła. Czy i to mi masz za złe?

— Winszuję waćpanu — zimno, z ukłonem ceremonialnym rzekł Krzysztof — są ceny, za które najdroższy skarb za drogi. Bardzo winszują, trzeba będzie stu lat, aby waćpanu zapomniano, w jaki sposób do tego majątku przyszedłeś!

— W jaki? pracą! — wybuchnął Paweł — pracą.

— A! waćpan to nazywasz pracą! — śmiał się gospodarz. — Handel nie jest pracą, jest umalowanym oszukaństwem i lichwą.

— Co za pojęcia!

— Dosyć tego — wtrącił Krzysztof — wam się zdaje przesądem i ciemnotą, że nam prawo bronilo mierzyć łokciem i kwartą. To było święte prawo, to było prawo moralne, rycerzowi i człowiekowi poświęcenia zdobywać grosz w ten sposób nie godziło się, z olbrzyma stawał się karłem, z pana sługą, z czystego brudnym, myśmy rzucali pieniądze dla ciżby, ale się po nie nie schylali, myśmy

się umieli obejść bez grosza, bez łoża, bez sukni; chodzić w łachmanach królewskich i być panami w łachmanach. Dla nas wielkość nie zawisła ani w złocie, ani w dostatku; wy tego narzędzia potrzebujecie do podniesienia się, bo o swej sile dźwignąć się nie możecie.

Deklamacje rzekł obojętnie Paweł deklamacje, mam syna dwunastoletniego i córkę dziesięcioletnią.

I wychowujesz oboje na ludzi praktycznych syknął Krzysztof to naturalne, syn niech kizkami baranami handluje, a córkę uczcie, aby w sklepiku zasiadała i umiała doń ściągać ludek boży. Macie miliony, ale to mało, trzeba więcej, zawsze więcej, więcej coraz, gromadźcie, kapitalizujcie, drzyjcie skóry z biednych ludzi, śmiecie się z głupich. Przerwał nagle i zbliżywszy się do stoła, wysunął

szufladę. Paweł, sądząc, że z niej coś dobędzie, czekał, lecz omylił się; dostał z niej pan Krzysztof nową fajkę, którą sobie nakładać począł, i siadł, aby ją zapalić.

W ciągu tej rozmowy wieczór nadszedł ciemny, noc prawie, mrok zaległ sklepioną izbę, oświetloną jedną świeczką łożową. Paweł, ochłonawszy i hamując się, miał dalszą rozpocząć rozmowę, gdy w progu zjawił się Staszuk.

— Dano do stołu! — odezwał się, gładząc wedle zwyczaju głowę — dano do stołu!

Krzysztof spojrział zdziwiony razem i nieco gniewny.

— Nie śmiem pana brata prosić na moją wieczerzę, bardzo skromna.

— Ja, świniami handlując — rzekł Paweł — do wszystkiego przywykłem.

— A więc proszę ze Staszukiem na wieczerzę, bo ja dziś nic jeść nie będę, najadłem się już dosyć. — Wskazał ręką na drzwi. — Proszę! bardzo proszę. Nie jestem głodny.

— Nie chcesz usiąść nawet ze mną?

— Wcale nie, lecz jeść nie mogę, a zostać sam z sobą pragnę. Staszuk zaprowadzi do stołu.

Zawahał się pan Paweł, lecz namyśliwszy, wyszedł z pokoju.

Staszuk przez sień przeprowadził, milcząc, gościa do drzwi przeciwnych tym, którymi się wchodziło do mieszkania pana Krzysztofa, otworzył je i znaleźli się w niewielkiej izbie, w której stał stolik, na dwie osoby nakryty, i dwa przy nim proste stołki. Z boku, na mniejszym stoliczku, były ułożone talerze i naczynia wcale nieporządne, poszczerbione, ale stare.

Sługa snadź wystąpić pragnął, gdyż gruby obrus był świeżuteńki i składy na nim od leżenia bardzo znaczne, prosta karafka bez korka zawierała wodę, mała szklanka, widelec i nóż żelazny, srebrna, od zużycia ścieniała tyżka, solniczka szklanna, lichtarz mosiężny ze świecą, kawałek chleba

razowego, polewane talerze wiejskie całą stanowiły zastawę.

Przed jednym z dwóch nakryć w misce widać było jakąś polewkę i chochlę blaszaną starą. Milcząc siadł pan Paweł, podpierając się na rękę. Staszuk popatrzał nań.

Mogę służyć krupniczką czy kieliszkiem wódki przed nim? odezwał się. Wódka prosta, ale me śmierdząca, bo wina u nas nie ma, a piwo kwaśne.

Dawaj wódki! krótko odezwał się Paweł i rękę wyciągnąwszy, nalany kieliszek wychylił szybko.

A krupnik?

— Daj, co masz — trochę niecierpliwie dołożył gość — nie jestem rozpieszczony.

Staszuk milcząco zaczął nalewać na talerz, postawił go przed panem Pawłem i z rękami założonymi w tył stanął, oddaliwszy się ku drzwiom. Gość jadł chciwie, ale nie myśląc i widocznie jeszcze pod wrażeniem rozmowy, którą przeżył. Stary sługa znikł po chwili i powrócił z miską nakrytą, na której ukazała się po odsłonięciu słomka pieczona. Widocznie rad był zawiązać rozmowę, bo spełniwszy swe obowiązki, poprawiał co chwila ciągle, co wcale nie potrzebowało poprawy, krzątał się i chrząkał, usiłując na siebie zwrócić uwagę. Udało mu się to, gdyż Paweł, z zamyślenia wyszedłszy, westchnął, popatrzał nań i zdawał wyzywać na słowo.

— Niech pan go nie jątrzy i gniewa — szepnął Staszuk — on to odchoruje; do czego się to przydało. Starego nie przerobicie, to daremnie, dajcie mu w pokoju tak żyć, jak dotąd.

— Nic się nie odmienił — rzekł, jakby sam do siebie, pan Paweł.

Ani na włos, harda dusza w ubogim ciele mrucał sługa dajcie mu pokój, my już tu dobijemy się do brzegu, do którego niedaleko. Co jego świat obchodzi! on żyje przeszłością, z książkami, w lesie, z drzewami, z psami, jemu nic więcej nie potrzeba.

Aleby mógł żyć tak samo wygodniej i milej u mnie, w Pobogowszczyźnie albo w Złotowie.

Staszukowi oczy zabłyśły i o mało talerza, który w rękę trzymał dla formy, nie puścił.

Ano w Pobogowszczyźnie ten luter siedział, a w Złotowie przechrzta zawołał.

Tak to było, alem ja i Pobogowszczyznę, i Złotów, i wszystko odkupił.

Staszuk się przeżegnał, uśmiechnęły mu się usta, jakieś rozrzewnienie odmalowało się na jego twarzy

pomarszczonej i smutnej, nie myśląc zbliżył się, machinalnie do siedzącego, pochwycił go za rękę i pocałował staruszek.

— Mój panie, gdy umrę, każcie mnie tam pochować, jam się w Złotowie urodził! — zawołał.

— Przyjdźcie tam lepiej żyć — rzekł sucho Paweł — namów na to pana, dam wam dom i wszystko, czego potrzebować może.

Staszuk głową potrząsnął.

— Ani ja, ani pan, ani w świecie nikt go na to nie namówi — rzekł cicho — o tym nie ma co myśleć, na niczyjej łasce żyć, choćby na królewskiej, nie zechce i nie będzie. Zrosiliśmy się z tą pustką i z tym lasem.

— Z czegoż żyje? — zapytał Paweł.

Sługa ramionami ruszył, usta wykrzywił, po łysinie się pogładził.

— Co tam to nasze życie kosztuje — począł powoli. — Jest nas tu czworo wszystkiego: jaśnie pan,

ja, Katarzyna i chłopak, wisus, co przy koniach, ot. i wszystek dwór... To się z lasu cokolwiek co rok sprzeda albo kłód, albo drzew, albo tam jakiego materiału, to, bywało, trochę dziegiu się wypędziło, ot i tak się bieda klepała i klepie. Żebyśmy głodem marli, nie powiem, albo żebyśmy w rozkoszach opływali, to także nie, pan, gdy pora po temu, całe dnie na polowaniu, nie bez tego, żeby co nie przyniósł na kuchnię. Skórki się sprzedawało. Na złą godzinę resztki srebra, co było, jeździłem do miasteczka sprzedawać, ale już od dwóch lat jakoś się obchodzimy. To, panie, żelazny człowiek, a złota dusza. On wszystko zniesie, będzie żył o kawałku razowego chleba i o wodzie i nic mu, a o drugich się troszczy tylko. Jak mało, będzie zmyślał, że chory i jeść nie może, aby nam zostawić. Nigdy nie zamruczy, nie poskarży się nigdy.

Westchnął stary. Z kimżeście żyli?

— Z kim? — rozśmiał się smutnie stary — ano, pan najwięcej z psami i z książkami swymi, i z sobą. Bywał u nas czasami Łowczy, to mu się kilka lat temu zmarło, jeździł czasem też kanonik, i ten już nieboszczyk. Teraz proboszcz rzadko się pokaże staruszek, a i temu zawsze pan przypomina: “o starych rzeczach mówić będziemy, o nowych nie mam ochoty”. Proboszcz kilka godzin zabawi i wraca. Jeden ekspens, cośmy mieli, to, że na święta i na niedziele do kaplicy kapucyna sprowadzał, ale to tam się zbyło drwami do klasztoru.

Pan Paweł słuchał z zajęciem.

— Jak sądzisz, nie da się namówić do mnie? żal mi go.

Staszuk głowę spuścił, oczy mu powieki przysłoniły, milczał długo, ręką nagle potem zamachnął.

— Chybaby Bóg cud uczynił — mruknął smutnie. Prędko skończywszy niewytworne jedzenie, gość wstał.

— Mój drogi — odezwał się — daj ludziom, którzy na gościńcu stoją, po kieliszku wódki: gdy

księżyc zejdzie, pojedę. Chcę jednak jeszcze spróbować szczęścia.

Mówiąc to, wyszedł pan Paweł i skierował się znowu ku izbie, w której zostawił brata, ale tu go nie było. Drzwi od sypialni stały zamknięte. Począł chodzić głośno po sali, mając nadzieję, że tym wywoła Krzysztofa. Nierychło jednakże ukazał się w progu z różańcem w ręku.

Dziękuję za wieczerzę i pozwól się pożegnać — odezwał się pan Paweł. Jakim jestem, Bóg niech sędzi, lecz ze złą myślą i sercem nie przyszedłem do ciebie, panie bracie, przyjęliście mnie jak psa... Nie gniewam się, słowo tylko jeszcze.

Krzysztof milczał długo.

Co za słowo?

Jest temu lat piętnaście, przed naszą ostateczną

ruiną, nikomu to nie tajne, mieliście szczerze przywiązanie do panny Wandy Romińskiej...
Usłyszawszy to imię, Krzysztof zbladł i wyprostował się. .

— Odmawiam waćpanu prawa wchodzenia w moje uczucia i serce... dosyć...

— Panna Wanda musiała wyjść za hrabiego Eugeniusza... i dziś jest bezdzietną wdową...

Paweł uśmiechnął się, patrząc na brata, który w tej chwili zawołał śpiesznie po dwakroć: — Dobranoc, żegnam! dobranoc!

I drzwi do sypialni zatrzasnął. Paweł postać jeszcze i wolnym krokiem zwrócił się do przedpokoju.

W sypialni otworzyło się okno, wieczór był wiosenny, a raczej noc pół senna, pół ciemna, bo natura, rozbudzona do życia, spać długo nie ma czasu, część nieba jaśniała nadzieją jutrzeńki, powietrze było przejęte wonią liści młodych, słowiki śpiewały, żaby wtórowały im wrzaskliwie, w dolinie i lasach cisza zaległa głęboka. Pan Krzysztof wsparł się na rękę i zadumał smutnie, ta pora odrodzenia

oddziaływała na niego, czuł się odmłodzonym wspomnieniami.

Z całej rozmowy z bratem zostało mu i utkwilo w pamięci jedno słowo: Wanda była wdową... On, co zerwał na zawsze z życiem i nadziejami, gniewał się sam na siebie, że kusiciel mógł go wyrazem jednym wprawić w nie dający się zwyciężyć niepokój ducha.

Długie lata pracował nad sobą, ażeby właśnie ukoić w sobie uczucia, uspić wspomnienie, zatrzeć obrazy, które pierwsze lata życia zostawiły, przewalczył i przecierpiał wiele, nim doszedł do zwycięstwa, a teraz, teraz jedno słowo, myśl jedna zburzyła ten cały gmach rezygnacji, budowany powoli, po cegiełce. Gniewał się na brata, ale daleko więcej na samego siebie, odkrywszy, że był tak słabym, tak ułomnym, jak niegdyś. Cały niemal wiek pracy ciężkiej stracony...

Z ironicznym uśmiechem na ustach Krzysztof zbliżył się ze świecą do zwierciadła, jakby sam sobie chciał przypomnieć, że był starym, że mu już marzycielem zostać nie było wolno. Wypelzła głowa, zmarszczki, pomarszczone czoło, zwiastuny starości... zgasłe oczy... pokrywały jak popiół niedogasłe żary.

W myśli, w sercu, echem nieustannym, niepokojącym odzywało się jedno i jedno:

— Wanda żyje i jest wolną.

Duszno mu było w izbie sklepionej, choć okno jej otworzył, a w dolinie głuchy turkot zwiastował odjazd natręta; party jakąś potrzebą gwałtownego ruchu, powietrza, swobody, pan Krzysztof wybiegł do pierwszej izby naprzód. I tu mu było za ciasno. Stojący w pośrodku stół przypominał bytność brata, odsunął go w kąt ruchem gwałtownym. Rozbita fajka na stole świadczyła o rozmowie namiętnej, zrzucił jej szczątki w kąt na ziemię. Zdawało mu się, że się w ten sposób uwolni od

natrętnych przypomnień, związanych z bytnością brata. Ale i to nie pomogło nic.

Stukotem zwabiony Staszuk, który już był zrzucił kapotę, na pół rozebrany zjawiał się przestraszony w progu. Spojrzeli na siebie, pan Krzysztof chwycił za czapkę i szybko wybiegł z pokojów. Po ciemku przeszedł wschody, spuścił się z ganku w podwórze, na którym psy śpiące zbudziły się niespokojne. Podwórzec był mu za ciasny, znajdował powietrze dusznym. Szybkim krokiem przeszedł ciemną bramę i znalazł się na pochyłości wzgórza pod zamkiem.

Niebo okryte bladymi gwiazdami miał nad głową, w krzewach piałły ciągle słowiki... świat był młody... a jemu życie się kończyło na próżnym, śmiesznym pragnieniu bezsilnym.

Ten człowiek przyniósł mi z sobą szaleństwo odezwał się sam do siebie półgłosem chciał mi zatruć pokój i pomścić się. Uczynił to umyślnie, oddała

jąc się rzucił mi tę strzałę Parta, wiedząc, że mnie nią rani.

Ruszył ramionami, sam się litując nad sobą.

— Rozumu! rozumu! spokoju! Wanda po latach ośmnastu, Wanda owdowiała, Wanda, która żyła z, nienawistnym człowiekiem i była zmuszoną przyjąć życie, jakie jej los narzucił, nie może być Wandzią moich lat młodych!

Krzysztof umarł, ona nie żyje dawno, kropli krwi, która naówczas krążyła w żyłach naszych, nie ma już w nich dzisiaj. To głupie wspomnienie tego, co nie istnieje. Uczucia się nie odradzają, zerwane pasma spojć się nie mogą nigdy; wiek gasi wszystko.

A jednak...

Załamnął ręce, idąc bez celu w las znajomą ścieżyną. Psy, nie nawykłe do nocnych wycieczek, z obowiązku towarzyszenia panu, powyciągawszy się, poszły za nim. Starszy siadł zaraz w bramie, nie chciało mu się tej przechadzki, ziewał i był tego przekonania, że stary pan powrócić musi wkrótce. Młodszy pogonił za nim dalej trochę i siadł także, burcząc bezmyślnie. I on był tego zdania,

że fantazja pańska trwać nie może.

Tymczasem pan Krzysztof znikł im z oczu. Biegł, jakby sam przed sobą uciekał.

Zszedłszy dopiero z góry w dolinę ciemną i chłodną, stanął.

Ale to szaleństwo zawołał ludzie ze mnie, i ja sam z siebie, śmiać się będą... Cóż mnie ma obchodzić wspomnienie? nic! Ten niegodziwy człowiek zażartował ze mnie jak z dziecięcia, odgadł "we mnie stare dziecko. Powinienem być przyjąc to zimno, nie dać znaku życia! Zamknąłem drzwi gwałtownie, mógł się domyślić wzruszenia, szydzić będzie, i sprawiedliwie. Jestem dzieckiem mimo ostatków siwego włosa... Precz, mary, precz!! dosyć.

Chciał się zwrócić, miarkując krok, ku zamkowi. Stał właśnie w miejscu, gdzie niedawno z nie ociosa

nego dębu krzyż kazał postawić i nie opodal od niego ławę. Rzucił się na nią czując się złamanym.

Nic nie mogło uwolnić od wspomnień, które go rojem obsiadły. Przeszłość stanęła przed nim tak żywą, jakby nie była przeznaczoną umrzeć nigdy i być pogrzebioną. Ujrzał się w rodzicielskim, pańskim domu, naówczas jeszcze otwartym dla całego świata i ożywionym życiem, jakie za tamtych czasów panowało. Wychował się w świetnych nadziejach.

Stary ojciec widział w nim przyszłą domu kolumnę. Pan Krzysztof gasił całą młodzież współczesną.

Rodzice Wandy mieszkali o granicę od Pobogowszczyzny. Dzieci bawiły się razem i zakochały się, gdy o miłości pojęcia mieć nie mogły. Było to uczucie, którego początków na próżno szukał Krzysztof w mrokach najpierwszych lat życia. Śliczna dziewczeczka z jasnymi włosami na ramionach, figlarna, wesoła, z oczkami niebieskimi, jakby we łzach pływającymi, miała zawsze uśmiech na ustach, a smutek w źrenicy. Ten dwoisty wyraz jej twarzy, gotowy do wesela, przeczuwającej

boleść, tkwił mu w pamięci. Wiek nie zmienił rysów Wandzi, dziecię wyrosło na dziewczeczkę, nie straciwszy ani uśmiechu, ani łzy z powieki. Wśród tych lat nikli, rozstawali się, gubili i znajdowali, zawsze z coraz żywszym uczuciem przywiązania do siebie. Dziećmi zaręczyli się z sobą, starsi zamilkli, nie śmieli mówić, wstydzieli się, a kochali. Potem miłość wezbrała, urosła i wylała się przez usta i Krzyś powiedział jej, że ją kochał, kocha i że ją jedną wiekiście kochać będzie...

Rodzice widzieli może i widzieć nie chcieli, młodzi śnili przyszłość, ale czekać musieli. Wśród tych marzeń jak piorun padła katastrofa ruiny majątkowej Pobogów. Rodzice Wandzi, dla których Krzyś był niegdyś partią dla córki pożądaną, przelekli się nagle ubóstwa. Wandzię płaczącą wywieziono z domu, Krzyś, na którego spadł ciężar cały ratowania resztek mienia, ledwie

ją mógł pożegnać. Dała mu znać o wyjeździe, nie wolno mu było widzieć jej w rodziców domu. Wieczorem, przez zagrodę sadu, do której przyszła Wanda ze starą ochmistrzynią litościwą, podali sobie ręce, płacząc i poprzysięgając wiary. Jak teraz, śpiewały słowiki przysiędze, świeciły jej gwiazdy wieczorne, wonią wiosenną obwiał ją powietrze majowe. Dwie ręce drżące ścisnęły się raz jeszcze. Krzysztof powrócił na domowe zgliszcza walczyć z Pawłem, który go nie rozumiał, i wierzyicielami, co z niego korzystać umieli.

Wanda została mu wierną. Rok i dwa upłynęły. Naglili ją rodzice, piękność ściągała ochoczych do ręki dziewczęcia: odmawiała wszystkim. Niepokój ogarnął matkę, Wanda wyznała jej splakana, że przysięgi nie złamie. Po naradzie ojciec panny, człowiek zręczny i wymowny, pojechał sam do Krzysia.

— Panie Krzysztofie — rzekł — pokochałeś waćpan córkę moją wówczas, gdyś miał co z nią

podzielić. Ja jestem człowiek ubogi, jej trafiają się świetne partie, Wanda się składa tym, że ci przyrzekła wiary. Wymagam od ciebie, abys jej ze swym nie wiązał losem, abys ją od przyrzeczeń uwolnił; żądam tego od ciebie, jako od człowieka uczciwego. Nie masz jej dziś nic dać do podziału oprócz ubóstwa i życia w troskach. Jeżeli ją kochasz istotnie, uczyni z siebie ofiarę.

Romiński był zręcznym i wymownym człowiekiem, wprawdzie cała jego przebiegłość nie uratowała go też od majątkowych kłopotów i ruiny, lecz wiedział, z kim miał do czynienia, mówił do honoru i sumienia. Krzysztof napisał list do Wandy. List był warunkowy, malował jej położenie, jakie ją czekało, nie krył walki, której przyszłość nie dawała uniknąć, zostawił jej wybór i swobodę.

Użyli tego pisma państwo Romińscy bardzo zręcznie; Wanda płakała i rozpaczała, ale młode hrabiątko, przez matkę prowadzone, nie zrażało się łzami. Osobliwszą

była miłość hrabiego Eugeniusza, który się kochał nie w Wandzie, ale w jej piękności; nie szło mu o serce, chciał zaspokoić namiętność, tak samo jak dałby był miliony pięknej wieśniaczce z tym samym wdziękiem za zbliżenie się do niej — tu dawał rękę swą i imię wiedząc, że inaczej nie potrafi jej pozyskać. Hrabia Eugeniusz był bogaty, a ojciec jego, naówczas jeden z ministrów za Księżtwa, człowiekiem wielkiego znaczenia.

Matka i ojciec użyli wszelkich wpływów i środków, by zmusić córkę do zamążpójścia. Wanda poszła do ołtarza, nie wiedząc prawie, jak się znalazła przed kapłanem, który udał może, iż posłyszał z ust jej przysięgę. Dała się pociągnąć, jak ofiara, ale ust nie skalała obietnicą uczucia, którego dać nie mogła. Hrabia Eugeniusz szczęśliwy pochwycił biedną i uwiózł. Podróżowali długo. Wanda wyjechała posągiem milczącym, wróciła zrezygnowaną, smutną, nieszczęśliwą niewiastą.

Tymczasem gorączka namiętna męża miała porę ostygnąć, nie rozbudziwszy w żonie uczucia.

Znajdując w niej łzawe posłuszeństwo i odstręczającą, uroczystą powagę ofiary, hrabia zraził się, a miłość swą, jeśli ją tak się zwać godziło, rozproszył na coraz nowe twarzyczki. Płochy, szalał, Wanda była szczęśliwszą, bo zapomniał o niej i dozwalał jej w ciszy i rezygnacji życie sobie stworzyć znośne. Nie zawadzała mu wcale, a skarżyć się nie mógł na nią.

Kilkanaście lat pożycia nie zbliżyły wcale małżonków do siebie, przeciwnie, stosunek ich stał się jakimś urzędowym, obrachowanym, dla obojga dogodnym, ale coraz oddalającym ich od siebie. Hrabina musiała wielu rzeczy nie widzieć, nie rozumieć wielu, Eugeniusz nigdy nie usłyszał od niej z serca płynącego słowa.

Byli z sobą zgodnie, grzecznie, przyjaźnie, nigdy poufale. Niekiedy widok piękności tej, której rozbudzić

nie umiał, drażnił hrabiego, usiłował się przymilić, zbliżyć, lecz zwykle miało to ten skutek, iż Wanda się od niego bardziej oddalała. W ostatnich latach rozstali się zupełnie, gdyż w jednej z tych chwil Eugeniusz usłyszał od niej: — Dwóch kobiet kochać nie można; hrabia masz Lolę... zostań przy niej, nie jestem zazdrosna, rywalką jej nie będę. Lola należała do fraucymeru pani. Życie dosyć rozpasane, bujne, wesołe, zużyło wprędce hrabiego, dostał suchot. Żona odprowadziła go do Włoch, siedziała przy nim, pilnowała w chorobie i zamknęła mu oczy. Biedny szaleniec, rozczulony i rozkochany w niej znowu, umierając, przekazał jej wszystko i zyskał w końcu łzę, która padła na stygające oblicze. Wanda pożałowała w nim zmarnowanego życia ludzkiego i sił bezmyślnie na rozrywki starganych. Serce rozbudziło się w nim, gdy śmierć przyspieszyła już bicie jego.

Ta część dziejów Wandy była dla pana Krzysztofa zakrytą. Dowiedział się późno, że wyszła za mąż, i skamieniał od tej wiadomości. Przyczyniła się ona do wyrobienia w nim postanowienia usunięcia się od świata. Oddawszy bratu, co pozostało z majątku rodziców, wymówił dla siebie kawał lasu z ruiną zamku od dawna niemieszkalną. Sam, siedząc w szałasie, pracował z ludźmi z miasteczka, by z tych murów zrobić schronienie. Szczęściem gdzieniegdzie trzymały się dachy, sklepienia nie poopadały, mury były mocne i z pustki uczynić potrafił mieszkalną pustelnię. Ludzie w początkach wierzyć nie chcieli, aby w niej mógł wytrzymać, dziwactwo to zdawało się im chwilowym, czekali, rychłoli uciecze z samotności, z niedostatku. Pan Krzysztof miał żelazny charakter i wolę niezłomną, powoli pracował nad sobą, aby z siebie nowego uczynić człowieka. Wyrobił w sobie pogardę światu, teorię umyślną, co by go usprawiedliwiało, pychę, co by go trzymać

mogła. Przebywszy pierwsze ciężkie chwile, które praca mechaniczna skróciła, stwardniał tak, starzejąc dziwakiem. Ludzie nawykli najprzód patrzeć nań, potem go wcale nie widzieli i zapomnieli o nim. Ciekawych odprawiał Staszuk zrazu, potem przychodzić przestali. Pan Krzysztof życie sobie ułożył i uczynił je znośnym. Dzienników ani książek nowych nie czytał wcale, o tym, co się na świecie działo, wiedzieć nie chciał, zatrzymał się, jak zegar, na tej życia godzinie, o której pękła sprężyna. Wskazywał ją zawsze, ją jedyną. Z ruiny uratowanych paręset tomów, które się gdzieś w domu walały, zaszły za nim na pustelnię.

Ze świetnych studiów w kraju i za granicą została mu umiejętność języków; czytał więc Biblią, klasyków, dzieje, a czytał powoli i myślał nad nimi. Miał kilku ulubionych pisarzy, do których należał Horacy. W sypialni leżała odarta Kronika Bielskiego i Herbarz Paprockiego, w którym końcowych kart brakło. Na półkach były Sarnickiego Statuty, było wiele innych ksiąg starych. Niesieckiego umiał prawie na pamięć.

Z książkami spędzał część zimy, wiosnę i lato, i jesienną porę w lesie. Las, który do zamku przyłączył, liczył około włók trzydziestu, przestrzeń była znaczna. Pan Krzysztof znał ją doskonale, pień niemal każdy był mu wiadomym. Nie przeszedł nigdy swych granic i jeśli zwierz mu o krok za nie wybieżał, nie poszedł za nim. Nie chciał mieć nie tylko zatargów z sąsiadami, ale nawet stosunków i obowiązków dla nich. Wszyscy byliby mu chętnie pozwolili przechadzać się i polować w swych lasach, lecz nigdy z tej powolności nie korzystał.

Myślistwo z psem jednym było raczej przechadzką i dumaniem niż łowami. Lecz nieustanne to krążenie po jednym lasu kawałku nauczyło go wszystkich legowisk, ścieżek, gniazd i tajemnic ostępów.

Gdy miał ochotę polować, szedł na pewno do swych

kniei, jak do śpichlerza, i przynosił, co mu się podobało. Grubszego zwierza znał pan Krzysztof legowiska, liczbę, przybytek i straty. Czynili mu szkodę zakradający się złodzieje, lecz gdy parę razy, uczyniwszy zasadzkę, strzelby im połamał, poznawszy go, nikt się nie ważył polować na Pobogowszczyźnie.

Na trzydziestu tych włókach było podostatkiem wszystkiego: łąk leśnych, błot, zapustów, gąszczy i przetrzebionych sosen, i moczarów. Zarost był bardzo rozmaity, wartość drzewa różna. Niekiedy sprzedawał coś z tego pan Krzysztof, pilnując sam wyrębu i wywozu. Łąki się najmowały biednym ludziom, susz i powały dawał darmo, aby mu las oczyszczali, drzewo na opał szło do miasteczka zimą.

Do zabaw należało sianie i sadzenie na przetrzebionych gruntach, które się pod okiem pana prowadziło. Las ten stanowił rozrywkę, przywiązał do siebie pana Krzysztofa, las go ocalił od znękania taką samotnością bez przyszłości i nadziei. Na całej jego przestrzeni nie było żadnej

osady, choć mu się tu stręczyli budnicy, ale się ich lękał, boby pustynia przestała być tym, co w niej kochał: ciszą i pustkowiem.

W rozmaitych miejscach postawione szałas i budy służyły mu za schronienie, gdy chciał na noc w lesie dla cietrzewi lub rannych słomek pozostać. Przez moczary i jedną część Pobogowszczyzny biegła mała rzeczulka, zwana Czarnym Prudkiem. Wstrzymana w jednym miejscu, rozlewała się w rodzaj stawku, na którym mieszkały stada kaczek dzikich. Na skraju od granicy kawał gruntu świeżo wydartego, ze ściśle określoną używalnością, dał na czynsz pan Krzysztof ubogiemu szlachcicowi, polecając mu z tej strony straż swoich posiadłości.

Stało się to przed sześciu laty w sposób dosyć oryginalny. Jednego poranku, gdy pan Krzysztof, wyszedłszy do dnia w las, okrążał granicę, ponad którą prze

chodziła droga i kędy mu najwięcej i najłatwiej szkody robiono, postrzegł nędznie ubranego człowieka z siwiejącym zawieszonym wąsem, który na pieńku usiadłszy i sakwy przy sobie położywszy, zajmował się sznurowaniem nowej pary postoiłów. Uderzyła go twarz przechodnia wychudła, ale spokojna i rysów szlachetnych. Typ jej dziwnie od łachmanów odbijał, piękny był, niepospolity, przypominał głowy starców na obrazach szkół włoskich.

Starość przedwczesną wypiętnowały na niej widocznie praca i cierpienie. Spojrzeli na siebie wzajemnie, podróżny pozdrowił go starym obyczajem, chwałą Chrystusową. Pan Krzysztof się zatrzymał.

— Dokądże to idziecie? — mój człowiecze?

— W świat — odparł zawiązujący postoiły. — Jak to w świat?

— Inaczej odpowiedzieć trudno — rzekł czystą polszczyzną zaczepony — idę, w istocie sam nie wiedząc, gdzie mnie oczy i losy zaniosą.

Cóż to? nie macie kąta?

Miałem go, ale wytrwać w nim trudno, trzeba innego szukać – rzekł podróżny.

Pan Krzysztof usiadł naprzeciw na drugim pieńku i słuchał.

Jakże się zowiecie, skąd idziecie?

Nazywam się Tadeusz Wilczek – rzekł siedzący – szlachcic jestem, siedziałem na budkach w Skowronkach, ale tam wyżyć nie mogę. Dziedzic się obchodzi z czynszownikami jak z bydłem, a jam do tego nie nawykł.

Macie dowody szlachectwa? – zapytał rozmiłowany w szlachecczyźnie pan Krzysztof.

A jakże, i heroldia mi je potwierdziła. Niedawno jeszcze w Podlasiu mieliśmy wioski, a teraz ani piędzi ziemi na grób mówił Wilczek. Zeszło się niezdolnemu do niczego na chłopą, ludzie się też jak z chłó

pem chcą obchodzić, ale ja tego znieść nie mogę. Długo by o tym gadać było, jak Wilczki do tego przyszły, że się z nimi gorzej jak ze psy obchodzą.

Od tych słów poczęła się dłuższa rozmowa, szlachcic się Krzysztofowi podobał, bo miał niedogasłą w sobie butę szlachecką i wiele dziwactw wylęgłych z nie dokończonych w szkołach nauki. Nasienie w chwast się przerodziło bujając, ale piękne przybierało czasem kształty. Szlachcic życia nie rozumiał dobrze, lecz je sobie po myśli jakiejś tworzył, co się ku górze wspinała. Był to samorodny filozof w siermiędze, który wiele odgadł, przedumał i wysmażył wśród trudu ciężkiego.

Pan Krzysztof dowiedział się od niego, że miał żonę i dziecię, ulitował się nad nim i na myśl mu przyszło osadzić go u siebie. Szlachcic szlachcicowi winien był podać rękę w imię starej solidarności całego rodu, który był jedną niegdyś, choć niesforną rodziną.

Poszli więc zaraz, powstawszy obaj z pieńków, oglądać miejsce, które obrał już w myśli pan

Krzysztof na przyszlą dla Wilczka sadybę. Polanka na granicy lasu bardzo się podobała wędrowcowi, umówiono warunki, stanęła zgoda i Wilczek poszedł do zamku, aby się obszerniej rozmówić.

Ci dwaj ludzie, całe różnych stanów i wychowania, przypadli do siebie dziwnie, szlachcic się do pana Krzysztofa przywiązał całą siłą wdzięczności, a on pokochał go, jak się kocha zwykle tych, którym się coś dobrego uczynić mogło.

Bywało więc często, iż przychodził pod nową chatę pan, a Wilczek stawał mu do długiej rozmowy, którą się obaj tak prowadzić nauczyli, iż jeden drugiego nie raził.

Żona Wilczka była jedną z tych spokojnych niewiast, którym nędza nie wyjadła serca. I ona pokochała smutnego starca, przed którym drżała, ale który sam jeden na szerokim świecie jej męża potrafił ocenić.

Oprócz ich dwojga w chacie był chłopak, sierotka jakiś, co się na dziecko własne wychował, i córka Wilczków, Dosia, dziewczę szesnastoletnie. Tę sam ojciec wychował i uczynił z niej, żywym słowem ją karmiąc, istotę osobliwszą, w której się pokora matki i ojcowska buta, a myśl żwawa i niespojna łączyła. Dosia nie była wcale piękną, ale wzrosła w pracy i młodością silną kwitła. Miło było spojrzeć na nią, tak wdzięczne kształty nadawało jej to życie w ruchu, na powietrzu, w ciągłym zajęciu i potrzebie myślenia o sobie, strzeżenia siebie. Siwe jej oczy patrzyły roztropnie i ciekawie; twarzyczkę miała poważną, zamyśloną, uśmiech jakiś smutnawy; milczała chętniej, niż mówiła, lecz gdy była zmuszoną otworzyć usta, odzywała się zadziwiająco roztropnie. Ojciec z dziecka ją, zarzucając pytaniami, do których rozwiązywania się przykładał, myśleć nauczył.

Cały dzień Dosia pomagała matce lub usiłowała ją wyręczyć, pozostały czas trawiła nad krosnami; Wilczek nauczył ją czytać i pisać, ale nade wszystko wpoił jej poszanowanie tego stanu, do którego

należała. Czuli się... córką szlachecką. Dosyć dumnie też nosiła główkę i patrzyła śmiało, a choć ludzką była dla wszystkich i uprzejmą, niełatwo się do siebie zbliżyć dawała. Pan Krzysztof lubił się patrzeć na to rozwijające życie, na ten wdzięk młodości, który tak prędko więdnije, na tę zagadkę kwiatu, co się ma stać uszlą łądygą i stracić niewysłowiony wdzięk dni wiosennych.

Dosia szanowała go jak ojca; przychodzącego zwykle całowała w rękę i była dlań z respektem wielkim. Wszyscy zresztą w chacie kochali go niewymownie, mimo że czasem ostry bywał, milczący i nieprzystępny.

Wilczek, wzięwszy na siebie obowiązki leśniczego, piastował je z gorliwością niemal przesadną. Cały dzień ze strzelbą na ramieniu pilnował granic, ścieżek, a najdalszy i najcichszy odgłos siekiery w lesie nie uszedł jego ucha. Obawiano się go naokół, nie lubiono, bo

sumienny człowiek, choć ubogi, niczym w świecie skompromitować się nie dawał. Nosił się wysoko ze szlacheckim sumieniem. Na niego pan Krzysztof mógł się spuścić zupełnie. Z kolei dozwolił mu utrzymywać bydło, które się szczęśliwie rozprowadziło; trochę owiec, trzody, konia, potem grzyby suszone, jagody i tym podobne leśne zbiory odstąpił na korzyść leśnika. Gospodarni ludzie umieli z tego grosz zrobić, działało się im bardzo dobrze. Na korzyść pana postarał się Wilczek o pszczoły i pozakładał barcie, które się nadzwyczaj wiodły. Nie opodał znajdowały się pola, na których hreczkę siano, w lesie było lip dosyć, miały się więc gdzie pożywić pracowite bartniczki. W kilka lat rozprowadzone roje w dziuplach i barciach doszły do poważnej liczby kilkudziesięciu. Dochód z nich wielce się przydał panu Krzysztofowi, któremu o grosz gotowy bardzo było trudno, część jednak jego odstępował Wilczkowi.

To spokojne życie, co tak jednostajnie mu tu płynęło, które się spodziewał dokonać w ciszy lasów,

nagle zmało słowo jedno.

Pan Krzysztof Siedział na ławie, płonęła mu głowa. Młodszy z psów jego przywłókł się tu aż pod krzyż za nim, pysk mu na kolanach położył i drzemał.

Wczesny poranek wiosenny już nad lasami brzaskiem się zwiastował, gdy z dumań swych przebudzony, podniósł się wreszcie biedny samotnik. Wilgoć nocna i nieruchome siedzenie na ławie, bezsenność i odnowione bolesne wspomnienie, złamały go tak, iż powstawszy na nogi, zadrżał i zachwiał się. Młodość poruszała sercem jeszcze, a wiek przypominał sił utratę.

Podniósł oczy, dziwnie mu się wydało to miejsce, do którego był nawykł od tak dawna. Niemał się zdziwił, znalazłszy się na tej ławie pod krzyżem, gdy myślą był daleko stąd, jakby wczoraj ścisnął dłoń Wandzi płaczącej.

— Precz, mary, precz, widma mogilne! — zawołał — po co wracacie? Oto dzień, światło, rzeczywistość, życie... noc uchodzi... niech was z sobą uniesie. Co umarło, nie odżyje, młodości nie wskrzeszą łzy. Szukajmy pokoju, zapomnienia, ciszy. Lata jak kamienie przywalały przeszłość. Dość łez... trzeba męstwa. I krokiem szybkim poszedł ku zamkowi.

III

Nazajutrz nie o swej godzinie zwykłej wstał i wyszedł z sypialni pan Krzysztof. W pierwszej izbie stary sługa już był od dawna przygotował skromne śniadanie, pootwierał okna, świeże kwiaty poustawiał w otłuczonych pucharach starych i chodził dosyć głośno, aby pana, o którego długi sen był niespokojnym, przebudzić. Pan Krzysztof nie spał dawno, siedział zamyślony, zapomniawszy o śniadaniu. Zniecierpliwiło go w końcu stukanie i wyszedł. Spojrzeli na siebie; starego sługi oczów nie uszło, iż wieczór i noc niezmiernie pana zmieniły, był blady, spokojne rysy jego twarzy wypogodzonej i surowej namiętnie się pofałdowały i ściągnęły, oczy

biegały jakby przelękle. Poszedł wprost, nic nie mówiąc, do stolika. Staszuk wysunął się po herbatę. Kawałek razowego chleba i sztuczka masła była zwykłą ranną przekąską anachorety. Dziś mu się ani pić, ani jeść nie chciało. Był cały wzburzony i nierad z siebie; czuł się wyrzuconym ze zwykłego toru życia; dręczyło go, że panowania nad sobą odzyskać nie mógł; poświęcić pracy nad sobą pół życia i widzieć ją zburzoną w końcu, upokarza człowieka. Ze wzgardą patrzył we własne serce. Co począć? czym się leczyć! nie wiedział sam. Zo

stawić czasowi ukojenie? Tak; lecz tymczasem potrzeba było cierpieć.

Umysł ludzki i serce, które w potrzebie posługują się chętnie sofizmatami, nastreczały mu uporczywie myśl, którą odtrącało sumienie, jako fałszywą i niebezpieczną.

Pan Krzysztof rozumowaniem niby doszedł do tego, że mógł się uleczyć od wspomnień, idąc sam naprzeciw rzeczywistości, stawiając jej czoło, jednym słowem, starając się widzieć Wandę.

— Musiała się tak zmienić, jak ja; serce, lice, myśli, charakter nie mogły przetrwać próby czynnego życia, nie przerastając w coś innego. Zabiję starą miłość widokiem zmienności człowieka.

Myśl ta, chociaż uparcie wracała, odepchnięta została, pan Krzysztof po śniadaniu, chociaż się czuł osłabionym, postanowił wyjść w las i znużeniem ciała uspokoić duszę. Spiesznie wypił filiżankę herbaty, wstał i zabrawszy torbę i strzelbę, świsnął na Hermesa młodego, który nań czekał niecierpliwie i szczeniem niecierpliwość swą tłumaczył.

Już stał w ganku pan Krzysztof, gdy z bramy ujrzał wysuwającą się postać nieznaną, idącą powoli ku zamkowi. Gość był tu tak rzadkim, że pan Krzysztof niemal osłupiał, zobaczywszy go. Mocno zniecierpliwiony cofnął się natychmiast do sieni, zawołał Staszuka i z największą w głosie gorączką zawołał:

Jest ktoś obcy, idźże mu powiedz, że ja nikogo nie przyjmuję, że mnie nie ma, pokaż mu drogę, daj mu, co zechce, byle mi pokój dali.

To mówiąc, cofnął się w głąb sieni. Staszuk, pogładziwszy łysinę, z powagą ambasadora wyszedł w ganek. Nieznany gość stał właśnie wśród pustego dziedzińca i rozglądał się dokoła.

Był to mężczyzna mniej więcej w wieku pana Krzysztofa, lecz wcale od niego różnej powierzchowno

ści i aż do zbytku na lata, jakie miał, wytwornie ubrany. Twarz zachowała niewiele świeżości, lecz znać było niezmiernie staranie, aby zaradzić wyrządzonym przez wiek szkodom. Wąsik, po młodemu podkreślony do góry z pewną fantazją, nadawał wyraz rycerski fizjonomii nieco pomarszczonej, dosyć rumianej i wesołej. Małe oczki biegały żywo i razem z ustami śmiały się pewnym rodzajem tego konwencjonalnego, zalecającego się uśmieszku, którego ludzie się uczą ciągle, będąc na świecie i starając się drugim przypodobać.

Uśmiech ten nie oznaczał wesołości, może trochę zawierał szyderstwa, co się w zmarszczkach koło ust kryło, był strojem twarzy i szyldem łatwego charakteru. Rysy dosyć ładne mimo zwiędnięcia nie mówiły zresztą wiele, oprócz że człowiek, co je nosił, był niegdyś piękny, dobrze o tym wiedział i do dziś dnia pamiętał.

Surducik ranny, kamizelka, kapelusik na bakier, samo sztywne trzymanie się przybyłego czyniły go

mimo lat młodym. W ręku trzymał laseczkę bardzo elegancką i jedną rękawiczkę.

Gdy Staszuk pokazał się w ganku, szybko uchwycił wiszące na sznureczku szkiełko i przez nie spojrzął na niego. Stary się skrzywił, mocno mu się to nie podobało. Bez szkła widział, że to był ktoś nieznanomy i natręt, postanowił go bez litości odprawić. Zszedł ze wschodów i milczący przybliżył się do stojącego gościa, na którego psy z dala szczekały.

Powiedziano mi, że tu mieszka pan Krzysztof Pobóg? spytał.

Albo co? rzekł Staszuk, kładąc ręce w kieszenie.

Chciałbym się z nim widzieć!

Pan się nie widuje z nikim. Rozśmiał się gość.

— Ale, mój kochany, z nikim? ba! jak z kim, ze mną się musi zobaczyć.
— A kiedy z nikim się nie widuje! Ruszenie ramionami odpowiedziało.
— Cioteczynym bratem jestem; powiedz mu, że przybył Teodor Męczyński.
— Komuż ja to mam powiedzieć, kiedy pana nie ma w domu.
— Nie ma w domu? kogóż widziałem w ganku wchodząc? — zapytał pan Teodor.
— Albo ja wiem — mruknął sługa — dosyć, że pana nie ma, pan na polowaniu.
— Na polowaniu? Kiedyż wróci?
— W nocy może, albo jutro, a czasem i tydzień w lesie nocuje, jak od fantazji, przecież mu to wolno. Pan Teodor okręcił się, nic nie mówiąc.
— Wiem — rzekł kwaśno nieco — iż Krzyś nie lubi ludzi, ale co innego ludzie tam jacyś, a ja... ja się z nim widzieć muszę. Żeby go nie miało być w domu, nie wierzę. Idź mu waćpan powiedz, że przyjechał Męczyński i że się z nim widzieć żąda koniecznie.

Staszuk stał, nie ruszając się.

Nie wiem, gdzie pan rzekł w końcu.

Dobrze, więc daj mi gdzie spocząć, czekać będę, aż powróci.

Wszystko pozamykane, pan klucze zabiera, tu się nie ma gdzie podziać.

Pan Teodor rozśmiał się i przeszedł po dziedzińcu.

To zabawne zawołał to prawdziwie zabawne! Mówili mi wiele o jego dziwactwach, ale tegom się nie spodziewał. Bardzo oryginalne.

To mówiąc, dobył cygara z kieszeni surduta i bacznie mu się przypatrując, rozpoczął przygotowanie do palenia, jakby już Staszuka nie widział. Systematycznie bardzo poślinił, obciął, obwinął kończyk cygara, dobył zapalek i pociągnąwszy parę razy z wolna w dzie

dzińcu rozpoczął przechadzkę. Staszuk stał na straży od ganku. Zdawał się namyślać, co począć.

W lewo była część kamiennego muru obalona i kupa kamieni przy niej, swobodnie się tu rozgościł i siadł pan Teodor, jak w domu. Oglądał przez szkiełko zamek, patrzył na stojącego Staszuka i oddychał mdłym wiosennym powietrzem. Stary sługa, którego środki obronne się wyczerpały, stał mocno zmiészany, nie umiejąc już radzić. Chciałby był do pana pójść po radę, ale miarkując z obejścia się pana Męczyńskiego, można go było posądzić, że z nieobecności skorzysta, aby szturmem wtargnąć do domu. Staszuk pomyślał, że w poufalszą wdając się rozmowę, może przekonać wreszcie natręta, iż upór do niczego nie doprowadzi. Począł więc, kołując z pozorną obojętnością, zbliżać się ku siedzącemu, który nań wcale nie zważał.

— Pan nierychło powróci — począł po cichu — wczoraj bardzo się zniecierpliwił i namęczył, to teraz, jak w las uciekł, nieprędko go się doczekamy.

Hm! tak sądzisz? spytał Męczyński. Postarzał bardzo?

Staszuk na to nie chciał odpowiadać.

Pan ludzi nie lubi rzekł cicho a tu właśnie wczoraj zmuszony był z panem Pawłem się... się tego...

Nie chciał, czy nie umiał się wyrazić Staszuk... i powtarzał: się tego.

A! był wczoraj pan Paweł... rzekł Teodor osobliwszy traf, że ja zaraz po nim przyjechałem, wolałbym go był wyprzedzić, ale co innego Paweł, z którym nigdy dobrze nie byli, co innego ja, którym go kochał jak brata.

Ale kilkanaście lat pana tu nie było.

A tak! tak, za granicą i różnie się włóczyłem, w kraju też nie mieszkalem, a na listy nigdy md nie odpowiadał.

— Nikomu — odezwał się Staszuk — to u nas prawo... a co listów jaśnie pan, nie czytając, w komin porzucał...

Teodor spojrział.

— Cóż mu to? bzik? co?

— Chowaj Boże — odezwał się oburzony sługa — dlaczego ma być bzik? My z ludźmi nie żyjemy i żyć nie chcemy...

Jak co komu służy.

Ta liczba mnoga i powaga Staszuka snadź rozśmieszyły gościa, który wyjąwszy z ust cygaro, patrzył przez szkiełko, bawiąc się starym...

— Dalipan! to przedziwne! c'est unique! Staszuk z powagą zawtórował:

— Unika, tak... unikamy ludzi i dobrze nam z tym.

— A z kimże żyjecie? — spytał Teodor.

— Z lasem i z Panem Bogiem — rzekł sługa. Teodor się śmiał ciągle.

Komedia! zawołał komedia. I te kilkanaście lat całście tu tak przesiedzieli?

A cóż?

Podróżny wstał z kamieni i chodząc spoglądał na okolice.

Bardzo to ładne... dzikie... ciche ale tu żyć, w tej ruinie... Cóż? serio go widzieć nie będę?

Staszuk ramionami ruszył.

Już to darmo... gdyby go pan i zastał, to by uciekł. Cóż mu zrobić, kiedy nikogo nie chce.

W milczeniu znowu dziedziniec przeszli i pan Teodor znalazł się w ganku. Nie mówiąc nic Staszukowi, począł wchodzić po wschodach bez ceremonii. Stary sługa był w najokropniejszym położeniu; niepodobna mu było odpędzić, wzbronić... a w sieni o dwa kroki mógł się oczekujący na odprawę gościa znajdować pan Krzysztof. Gość zajrzał w sień pustą i na wschody rzucił okiem.

— Co za pustka! — rzekł obojętnie — a wy, mości, jakże się zowiecie? wy gdzie mieszkanie?

— Stanisław Chwościcki, do usług — odparł stary — ja tam mam swoją dziurę...

— Nie można u was spocząć?

— To już panu tu lepiej... tu lepiej.

Nie słuchając odpowiedzi, Teodor do sieni wszedł i po niej rozpoczął przechadzkę, po sklepieniach rzucając oczyma.

— Styl to ma! ale dziura! ruina! — mówił sam do siebie, i doszedłszy do wschodów, zamyślony już się wspinał ku górze.

Drzwi na górze były otwarte. Staszuk wyprzedzić nie mógł, by je zamknąć, a ów brat cioteczny żadnej nie robił ceremonii i o pozwolenie pytać nie myślał.

Staszukowi czoło się pofałdowało.

— Ale tam, na górze, nie ma nic — pozamykano... proszę pana.

Drzwi ci nie wyłamie, chciałem się trochę rozpatrzeć — rzekł spokojnie przybyły.

Nie było sposobu.

Krok za krokiem, z wolna, wsunął się aż do drzwi mieszkania Krzysztofa gość, pocisnął starą klamkę i rzekł:

A widzicie — otwarte.

Staszuk już nic nie odpowiedział — o burzy myślał, która nań spaść miała. Co się stało z panem, nie wiedział.

Rzuciwszy okiem na przedpokój, tak samo jak drzwi pierwsze otworzył sobie drugie podróżny i stanął w progu.

Naprzeciw niego, zrzuciwszy już strzelbę z ramienia i torbę, z twarzą gniewną stał pan Krzysztof. Śmiejące się rysy pana Męczyńskiego przybrały jak najweselszy wyraz, otworzył ręce i krzyknął:

Krzyś! Krzyś! nie poznajesz mnie?! Dziwnym, a może dla obu niespodzianym fenome

nem pan Krzysztof, który chciał się gniewać, który miał jak najmocniejsze postanowienie odepchnąć natręta, poznawszy Teodora, może wczorajszymi wspomnieniami rozkołtysany, złagodniał.

— Teodor! ty tu! — odparł.

— Ja! ja, mój Krzysiu! po wielu przygodach... na rodzinnej ziemi, nieco podszarpany włóczęga... O mój Boże! cośmy to przeżyli.

— Cośmy przeżyli! — powtórzył Krzysztof — i widzisz, jak mnie znajdujesz.

— A! to dla mnie nie było zupełną niespodzianką; mówiono mi, spodziewałem się nieco. Twój towarzysz wygnania i wierny sługa, wraz z dwoma psami chcieli mnie koniecznie wypędzić; nie dałem się, byłem pewny, że przecież klauzura, jakiej się poddałeś, nie zabroni ci widzieć się i mówić ze mną.

Postąpił bliżej, podał sobie ręce; pan Krzysztof uczył się słabym i uległ.

Wprędce jednak przyszło mu na myśl, iż rozmowa i widzenie się z Teodorem na nowo wspomnienia

ożywić i rozbudzić mogą, podchwycił więc z rodzajem niecierpliwości:

Niepotrzebnie jednak ciekawość cię tu sprowadziła.

Nie ciekawość, ale przyjaźń.

Dziękuję ci — ale mi oddasz niewielką usługę — ja chcę o wszystkim zapomnieć.

Dlaczego? — zapytał, siadając wygodnie, pan Teodor.

Pytanie to długo zostało bez odpowiedzi.

Znasz ty nasze dzieje? — rzekł w końcu z pewną patetycznością, samotnikom właściwą, gospodarz. Przybiła mnie ruina rodziny, której zaradzić nie mogłem, przybiło postępowanie brata... wszystko... Pragnąłem odzyskać spokój, znalazłem go w tym grobie, nie należę do świata żywych... jestem trupem; a trupa się

budzić nie godzi, bo on się światu nie zdał na nic, a wracając doń, cierpi.

— Bardzo pięknie to powiedziałaś — ozwał, śmiejąc się, pan Teodor — c'est charmant, mais c'est exagéré. Jesteś jakiś ekscytowany. Wiem, że tu wczoraj był Paweł, to cię wzburzyło... uspokój się, ja ci przeczyć ani się sprzeczać nie będę. A votre aise — kończył. — Każdy sobie obiera tryb życia, z jakim mu lepiej. Ale cóż znowu tak bardzo masz przeciwko Pawłowi?

— Wszystko! wszystko! — począł Krzysztof. — Paweł szlachcicem nie jest, zerwał z tradycjami rodzinnymi, zawałał się, zbrukał... brata w nim nie mam! Handlarz jest, Żyd...

Męczyński się uśmiechnął.

— Ale, mój Krzysiu — rzekł — gdybyśmy tę naszą godność nosić chcieli i okrywać podartym płaszczem, musielibyśmy, jak ty, żyć na pustyni. Chcesz, by ci nie broniono postępować, jak ci się podoba, zostaw drugim tę swobodę. Paweł, jak słyszałem, odzyskał i odrobił całą fortunę. Nie widziałem go dotąd. Wróciwszy do kraju, do ciebie pierwszego przybywam.

Nie widziałeś Pawła?

Nie mówił Teodor nie śpieszyłem z tym. Nie mam dla niego i nie miałem nigdy tej sympatii, jaką od dzieciństwa zachowuję dla ciebie. Kilkanaście lat nie byłem w kraju, wiesz, że żyłem za granicą. W końcu trzeba było Zieleniewszczyznę zobaczyć i co tam dzierżawca robi, boby się już miał za dziedzica...

Krzysztof zamilczał.

Po chwili gość mówił dalej, jakby dziwactwo Krzysia nie wchodziło wcale w rachunek, rozmawiał z nim, nie zważając na nie.

I ja też po powrocie prawie tu, jak ty, jestem obcym. Je suis dépaysé... ludzi z moich czasów mało zostało. Ciągłe milczenie pana Krzysztofa nie zrażało go

ścia; począł przechadzać się z cygarem po pokoju i oknami wyglądać... Oczyma gospodarz chodził za nim.

— Ta twoja pustelnia, biedna, odarta, ale wcale ładna.

Odwrócił się i uśmiechnął.

— Wystaw sobie... Wandzię twoją widziałem! Na te słowa Krzysztof się porwał i wybuchnął:

— Dlaczegoż moją! proszę cię, ani słowa!

— Dziwactwo! — mówił Teodor.

W tej chwili, odwracając się, spojrzął mimowolnie na twarz Krzysztofowi, przeląkł się i umilkł... Krzysztof stał w płomieniach i nagle zbladł jak trup, drżał cały.

— Przepraszam cię — nie wiedziałem, że to na tobie takie uczyni wrażenie; milczę...

Zdaje się, że te słowa, spokojnie wyrzeczone, uspokoiły nieco gospodarza, który ręką powiódł po czole i chcąc przerwać rozmowę, spytał, czy nie będzie co jadł pan Teodor.

Nic osobliwego dać ci nie mogę, bo żyję jak anachoreta — począł, uśmiechając się z przymusem — ale chleb i masło, herbatę, a może słomkę z wczorajszego polowania znajdziemy.

Nie byłbym od tego, żeby co zjeść; nie chcę cię nudzić tylko — odezwał się Teodor. Wiesz co, przyjąłeś mnie i tak wyjątkowo, łaskawie, po bratersku, uczyni dla mnie jeszcze jeden wyjątek. Zamiast się kłopotać przyjęciem, usiądź ze mną do powozu, jedź do mnie. Nikt u mnie nie bywa, nie przyjmę nikogo, pogadamy z sobą... tu... tu...

Wiem, że tu niewygodnie i biednie — odparł żywo Krzysztof — ale, daruj mi, jechać nie mogę. Nie jeżdżę nigdzie, nie wychodzę za kraj mojego lasu... nie chcę oko w oko stanąć znowu z miejscami, co mi przeszłość przypominają.

To słabość — przerwał pan Teodor — jesteś

pewnie silniejszym, niż ci się zdaje, mój Krzysiu, tyle lat! tyle lat!

— Słuchaj — zawołał gospodarz — dla ciebie to były długie lata wrażeń, ruchu, życia, dlatego one w tobie wszystko zatarły. Ja żyłem zasklepiony, i dzisiejszy dzień graniczy jeszcze we mnie z katastrofą przytomną mi, jakbym ją przeżył wczoraj dopiero. Czas jest warunkowym, dla jednych długim, krótkim dla innych... nieruchomym dla tych, co mu płynąć dają, nic na nim nie zapisując... Dlatego ja drażliwym jestem, jestem nieszczęśliwym — i...

Przerwał pan Krzysztof nagle, chociaż brat słuchał go z uwagą. Spozrzegł uśmiech na jego ustach — uląkł się.

— Nie śmieję się ze mnie — zamknął.

— Ja? z ciebie? mój Krzysiu; ja chyba z siebie się śmieję; ty dla mnie jesteś fenomenem uwielbienia godnym! Jam zestarzał, tyś młody... w tobie zaoszczędzone uczucia grają jeszcze pieśń

poranną, we mnie cisza nocna; ja nic nie czuję, mnie nic nie obchodzi.

Tego ci zazdroszczę — odparł Krzysztof.

Wpadliśmy na rozmowę, która nas obu zachmurzy — począł Teodor — zmienmy ją.

Zamilkli obaj. Gospodarz zawołał Staszuka i coś mu szepnął na ucho; stary, który się wybuchu spodziewał, popatrzał na obu i niezmiernie był zdziwiony, widząc ich w tak dobrym stosunku. To go ucieszyło; pobiegł co rychlej z rozkazami pana i zostawił ich samych.

Co się działo ze zdziwałym mieszkańcem zamczyska, wyrazić trudno; zrazu czuł się wzburzonym mocno, z wolna uspokajało się w nim wszystko; czuł się pociągniętym do Teodora i obawiał się go razem, lękał się bowiem, ażeby mu z sobą zmiany życia nie przyniósł.

Teodor ze swym uśmiechem ironicznym przypatrywał mu się ciekawie.

— Wiesz — rzekł — nie mogę powiedzieć, żebyś nie postarzał trochę; lecz, doprawdy, zachowałeś w twarzy nawet więcej młodości nade mnie. Wyglądasz dobrze jak na anachoretę, co żyje o razowym chlebie, na mnie znać, że lat tyle zmarnował... ty i ona...

Krzysztof brew namarszczył ostro, Teodor zamilkł.

— Mój Krzysiu — odezwał się, spojrzawszy mu w oczy — dawno pewnie miłość twa ostygnąć musiała; dlaczegóż o niej wspomnieć nie dozwalasz?

Ta uwaga może sprawiła, iż gospodarz odwrócił się, udając obojętność.

— Mów — rzekł sucho.

— Wystaw sobie, że przybywszy tu, dopiero o losach tej pięknej Wandzi się dowiedział... Eugeniusza znałem, dziwi mnie, że się z nimi nigdy za granicą nie spotkał. To musiała być

nieszczęśliwa kobieta, bo Żenio, doskonały chłopak w męskim towarzystwie, bon garçon dans toute l'acception du mot, na męża dla tak poważnej kobiety, a nawet dla żadnej, nie był stworzony. Był doskonałym w rolach kochanków, i to niedługich! Zmarło mu się, słyszę, na suchoty... ale też żył... żył... Co ta kobieta z nim wycierpieć musiała... Mój

dzierżawca, prosty, ale bardzo roztropny człowiek, który mnie bawić usiłuje i u którego o wszystkich rozpytywałem, pierwszy mi o jej losach dał wiadomość. Ciekawość mnie wzięła okrutna tę śliczną Wandzię zobaczyć po tylu latach. Pan Krzysztof na pół zwrócony ku oknu, choć słuchał, udawał, że był swoją fajką zajęty, kilka razy zmierzył go oczyma mówiący i ciągnął dalej, widząc, że się uspokoił.

Wyobrażałem ją sobie zmienioną... Dwie mile ogromne ode mnie do Zamostowa... opętane... Wybra

łem się rano, przybyłem około południa... miejsce musisz znać...

— Przed wieki przejeżdżałem parę razy — cicho, spuszczać głowę, zamruczał Krzysztof.

— Ja bym miejsca nie poznał — ciągnął pan Teodor — zmieniło się na korzyść. Pałac stary wyświeżony, park przepyszny, rezydencja pańska, a wszędzie znać tę rękę niewieścia, co chce i musi tworzyć piękno i nim się otaczać. Kazałem się zameldować; wprowadzono mnie do salonu, po dość długim oczekiwaniu — wyszła.

Krzysztof się mimowolnie odwrócił i począł patrzeć jak w tęczę na Teodora, który ciągnął dalej obojętnie.

— Wiesz, żem osłupiał; nic nie straciła piękna Wandzia, stała się tylko najpiękniejszą w świecie Wandą; poważnie, smutnie powitała we mnie dawnego znajomego. Znalazłem przy niej tylko jakąś daleką krewnę, podobno starą pannę i w pretensjach... Dziwna jej piękność zdaje się nieśmiertelną; ten sam uśmiech ust i łza w oku, ten głos jakiś...

Gospodarz odwrócił się i przerwał.

Mój Teodorze, dosyć tego opisu, proszę cię...

Kończę... nie mówiliśmy tylko o rzeczach obojętnych. Wydała mi się zrezygnowaną i prawie szczęśliwą...

Dla obu w porę oznajmił Staszuk naprędce stworzone śniadanie; wyszli więc do pokoju naprzeciw. Uderzyło gościa ubóstwo i opuszczenie.

Chyba dobrowolnie rzekł tak się obchodzisz małym.

Nie odpowiedział z dumą Krzysztof mam mało, nawykłem do małego i szczęśliwy jestem, żem się nauczył nie potrzebować więcej. Wasz wiek wzgardził stoicyzmem starożytnych i chrześcijańską skromnością obyczaju, uczyniliście się niewolnikami nałogów

i potrzeb sztucznych. Pragnęliście nimi pomnożyć liczbą wrażeń i rozkoszy, stworzyliście tylko cierpienia więcej.

— Maksymy anachorety — rozśmiał się Teodor — ja ci się przyznam, że i zbytek lubię, i życia rad bym używał.

— Jesteś jak wszyscy...

Śniadanie w istocie mogło wywołać tę uwagę; w domu była wprawdzie słomka, i tę upieczono, ale do niej tylko chleb razowy, masło i jaja dodano. Wszystko to na otłuczonych starych talerzach i na grubej bieliźnie.

Gość bystro spoglądał i uważał wszystko, nic oka jego nie uchodziło; rozmowę począł o lesie, o drogach, o okolicy, kraju, w którym nie był od dawna, i nią potrafił nawet pana Krzysztofa rozruszać. Chociaż od tak bardzo dawna się nie widzieli, stosunek ów młodzieńczy, pamięć trzpiotowatego Todzia oddziaływały na Krzysztofa i czyniły go ciepłym. Uśmiechał się nawet.

Przy Staszuku, który krzątając się przysłuchiwał z podziwieniem rozmowie, jaka od dawna się nie obijała o mury starej a cichej ruiny, nic ważniejszego mówić nie było można. Po śniadaniu zażądał gość kawy. Sługa spojrzął na pana, on nań wzajemnie, była chwila zakłopotania — gospodarz kawy nie pijał, nie znajdowała się w domu. Teodor domyślił się tego i sam za kawę podziękowawszy, wstał, przechodząc znowu naprzeciw, gdzie się na starej kanapce pod oknem jak najwygodniej umieścił z cygarem.

No, wiesz, Krzysiu — rzekł, podparłszy się na rękę — zgadnij, po co ja do kraju powróciłem? proszę cię, zgadnij!!

Ażeby gospodarstwo zobaczyć w Zieleniewszczyźnie!

No, swoją drogą, tak... to pewna... ale między nami mówiąc... powód był inny.

Inny? to go nie odgadnę — odparł Krzysztof.

— Jesteśmy jednolatki — mówił dalej elegant — chociaż ty, z własnej winy w tym kamiennym pudełku zamknąwszy się, daleko rychlej rzekłeś się młodości ode mnie. Będiesz; się może śmiał ze mnie... ale wróciłem do kraju w myśli... ożenienia!

Krzysztof, który z fajką chodził po pokoju, odwrócił się i stanął osłupiały, wyjął ją z ust i parsknął po chwili ironicznym śmiechem.

— Żartujesz! — rzekł — oblicz się z metryką! Co ci to? Rozumiem ożenienie z namiętności, z uczucia, z rachuby, z obowiązku, na gorąco i na zimno, ale nie pojmuję go w twoim wieku, gdy kobiecie możesz tylko ofiarować kalekę i zniszczoną resztkę człowieka do pielęgnowania. W młodości nawet małżeństwo bez przywiązania daje nadzieję, że się człowiek do jarzma nałoży; ale tobie! tobie!

— Wszystko to sobie mówiłem sam; cóż chcesz? okrutnie mi nudno na świecie. Jestem sam, a przy tym kobiety lubię; bez kobiety żyć nie mogę; teraz one zaczynają uciekać przede mną, myślę

więc wziąć taką, która by z obowiązku dotrzymywała mi towarzystwa.

Krzyś stary ramionami ruszył.

To wprost śmieszne, jeśli nie gorzej zawołał myślę, że ci ta fantazja przejdzie, jak inne...

Szczęśliwy człowiecze odezwał się Teodor powoli, jakby sam do siebie, patrząc za okno tyś był zawsze i dowiodłeś tego życiem, żeś umiał być panem siebie; ja przeciwnie. Sam nie wiem, serce czy fantazja gnały mnie do szukania niemożliwych ideałów czy ideału. Na tym polowaniu na nic spędziłem wiek, znużyłem się, sam nie wiem, co począć, chcę się zmusić do porządnego szlacheckiego życia i szczęścia. Nazwij to wreszcie, jak chcesz, muszę się ożenić... Strasznie mi na świecie nudno... Wiesz, że nawet po części dlatego przybyłem tu, aby cię spytać... Tu się zawahał nieco.

— O co? — przerwał Krzysztof.

— Czy nie masz myśli odnowienia znajomości i amorów z Wandą i ożenienia się z nią?

— Ja? żenić się! Oszalałeś! — rozśmiał się Krzysztof.

— Bo jeżeli ty rezygnujesz — wiesz, jam się gotów o nią starać.

Rysy słuchającego zmarszczyły się i w mgnieniu oka rozpogodziły; ironiczny uśmiech skrzywił usta.

— Na to mi odpowiedzieć trudno — rzekł sucho — staraj się; lecz pomyśl, co jej przynosisz i czy się to godzi? Nie wiem, jak te lata spędziłeś, sam mówisz, że dosyć burzliwie, połamane szczątki serca, niedobitki człowieka chcesz złożyć u jej stóp; a gdzież sumienie?

— Przepraszam cię; serce i uczucie wcale się we mnie nie wyczerpało — mówił Teodor — okrutnie się czuję młodym. Zamilkli obaj; rozmowa się urwała, ukradkiem oczyma się śledzili. Krzysztof spoważniał i chodził zaszępiony.

Po chwili jednak gość począł półgłosem.

Wandzia mi się podoba... wiek dla mnie stosowny, imię, majątek, wszystko... Była nieszczęśliwą, więc nie będzie wymagająca... ja wezmę sobie za punkt honoru być wiernym mężem...

I sądzisz, że ona cię zechce? — zapytał ponuro Krzyś.

A dlaczegoż by nie? W młodości kobieta marzy, później rachuje... jestem dla niej stosownym mężem i dobrym będę towarzyszem. Do miłości eterycznej nie mam pretensji, ale stowarzyszenie wzajemnej pomocy wybornie założyć możemy. Zresztą wtrącił to są jeszcze rzeczy, nad którymi namyśleć się należy; projekta mi się snują różne, jedno tylko stałe mam postanowienie — ożenienia. Z kim? zobaczę. Łatwo by mi

było wziąć młodą panienkę, tego się lękam, choć one się bardzo prędko starzeją... zbyt starej baby sobie nie życzę... Wandzia...

— Uczyniże mi tę łaskę i nie mów o niej — rzekł Krzysztof.

Zamilkli obaj.

Teodor począł znowu nalegać, aby jechali do Zieleniewszczyzny, ale Krzysztof oparł się stanowczo...

Mówili o rzeczach dawnych, potem Teodor opowiadał o różnych własnych przygodach, na ostatek, gdy się wszystkie przedmioty wyczerpały, wstał i począł się żegnać.

— Słuchaj no — odezwał się, trzymając rękę gospodarza — żyj sobie, jak chcesz, dla drugich, ze mną musisz po staremu. Musisz mi dać pozwolenie zaglądania do siebie; od tego nie odstępuję... — Spojrzał mu w oczy. — Od czasu do czasu zajrzę tutaj!

— Ja często się włóczę po lesie — rzekł Krzysztof.

No znajdę, nie znajdę, próbować będę. Nudzę się; z tobą jestem jak z bratem... Gdybyś ty chciał zajrzeć do mnie.

Nie mogę — odparł stanowczo Krzyś.

Z wielkim zawsze podziwieniem dla Staszuka gospodarz wychodzącego przeprowadził nie tylko do ganku, za bramę, ale zszedł z nim, rozmawiając, z pagórka i nie wrócił, aż w dali powóz na drodze stojący zobaczył. Pożegnali się tu serdecznie. Straciwszy z oczów Teodora, szybkim krokiem udał się pan Krzysztof do zamku. Twarz jego przybrała znowu wyraz posępny i zamyślony. Dwa te dni i dwa spotkania wzburzyły go i napełniły niepokojem. Miał mocne postanowienie szukania na to ratunku, nie znalazł innego nad samotność; zawołał sługę.

Strzelbę mi podaj i torbę — rzekł — idę w las, nie wiem, kiedy powrócę — być może, iż dni kilka w domu nie będę. Jeśliby kto przybył, przysłał, od

powiedz, że mnie nie ma i że nie wiesz, kiedy powrócę. Rozumiesz?

— A jużcić! — westchnął Staszuk.

Stojący w ganku stary sługa zobaczył pana, który Hermesa z sobą zawołał, spuszczonego się najkrótszą drożyną w las, i po chwili znikł mu już z oczu.

Machnął ręką, zamruczał coś pod nosem, starszy Hermes, który zostawał zawsze na gospodarstwie, przyszedł, ziewając, do towarzysza. Staszuk go pogłaskał i oba razem wsunęli się do cichej pustki.

IV

Chata Wilczków stała na samym prawie skraju posiadłości pana Krzysztofa, którą w tej stronie opasywał najpiękniejszy las na pół sosnowy, w pół ze starych liściastych drzew złożony. Na granicy pozostawiane dęby olbrzymie pilnować się jej zdawały. Zaraz za nimi ciągnęła się łąka zielona, obrzucona gałęzmi zamiast płotu, które ją od napaści przechodzącego bydła broniły. Ponad rubieżą szła droga ubita, która niemal wszystkie sąsiednie wioski łączyła z najbliższym miasteczkiem.

Była też wybita i wyjeżdżona tak, że gdyby nie grunt nieco piaszczysty, mogłaby w mokry czas stać się nieprzebytą. Poza nią już cudze widać było pola i na równinie w dali wioski, porozsiewane wśród pozostawionych gdzieś lasków, które świadczyły, iż przed laty jedna cała okolice zalegała puszcza. Wrotka lekkie wiodły na drożynę, która przez łączkę kręcąc się, biegła do chaty Wilczków, stojącej wpośród ogródka. Dworkiem jej nazwać było trudno, choć szlachcic pamiętał o ganeczku i choć dwa słupki u drzwi postawił, aby się nimi od wieśniaczej chałupy odróżnić. Zresztą była to z bierwion sosnowych, porządnie dosyć w zaciosy związanych, zbudowana chata, z wysokim dachem, słomą pokrytym, w którego dwu otworach widać było gospodarzące gołębie. Oprócz tego schronienia

miały one osobne domostwo na słupie. Obok mała szopka z chrustu służyła na dobytek pana Wilczka. Tu widać było wyprężony wóz, pług, radło, brony i pod okapem poskładane różne gospodarskie sprzęty.

Ubogo, ale chędogo było przy chacie i jak zwykle pełno wszelakiego naczyń, z którym się gospodynie ukrywać nie widziały potrzeby. Para hładysz wisiała na kołkach płotu. Ceberki i niecułki schły na wolnym powietrzu. Trochę chust świeżo wypranych widać było na płotach także.

Nieco porządniejsza izba i alkierz po jednej stronie, po drugiej czeladna i spiżarnia, z tyłu przybudówka na sypanki i przechowanie zapasów całą chatę składały. Sień ją dzieliła na dwoje, a drugimi drzwiami wychodziło się do ogródka, w którym siedziały warzywa na grzędach i trochę krzaków agrestu i malin, które sobie Wilczek przywiózł, osiedlając się, z sąsiedztwa.

Właśnie pod wieczór siedział wąsaty leśniczy na przyzbie, fajeczkę paląc, gdy żona jego, blada,

zwiądelej, ale miłej twarzy kobieta, powróciła z ogrodu z fartuchem pełnym ziela i sierpem w ręku, zajrzała, zobaczyła go i odezwała się:

A toś z powrotem?

Tylko com się przywłókl rzekł Wilczek a co tam?

Właśnie zgadł, że coś jest! odpowiedziała, spierając się o drzwi, pani Wilczkowa. Z zamku przychodził chłopiec dowiadywać się o pana, nie wiesz, gdzie jest? Trzy dni jak go już w domu nie było, nawet nocować nie przychodził. Stary Staszuk się niepokoi o niego.

Wilczek, nic nie mówiąc, głową kiwać zaczął, lecz nie zdawał się zdziwionym, co żonę naprowadziło na myśl, iż wiedzieć musiał o panu i o jego obrotach.

Nie wiesz ty co o nim? spytała. Wilczek się obejrzał i westchnął.

Zaciekawiło to kobiecinę.

— Tożbyś mi powiedział! cóż to tam!

— Ale, ale, gadać i gadać! — począł Wilczek ze zwykłą swą powagą, sentencjonalnie, gdyż chętnie morały prawil i myśl swą wyrażał, nadając jej formy wyszukane. Miał się po troszę za filozofa.

— Ale, gadać? kiedy człowiek sam czego dobrze nie rozumie. Cóż gadać?

— Ale mu się nic nie stało? — powtórzyła niespokojnie kobieta. — Niechże by też Bóg go uchował od wszelakiego nieszczęścia, a i nas z nim. Tyle spokoju i dobrego, co z nim; drugiego takiego człeka w świecie nie znaleźć.

— Oj, co to, prawda — rzekł Wilczek. — Święta prawda!

I westchnął głęboko i dłonią namuloną powiódł po twarzy, jakby z niej troskę chciał zetrzeć.

— Jużciż tam przede mną tajemnicy robić nie będziecie — dodała jejmość z pewnym rodzajem

wymówki.

Pewno, pewno, bo i nie ma z czym się taić — rzekł Wilczek. — Ot, cała sprawa, że jemu i nam już życie chcą ludzie zamącić. Dobrze było, jak u Boga za piecem, jemu i nam, to licho przyniosło brata pod bok, z którym się nie lubią, rodzonego naprzód, a potem ciotecznego. Już to wiem, że tam obaj u niego byli, bo tu jadąc, o drogę pytali, a trudnoż nie pokazać. Zaczną go najeżdzać, nachodzić, to mu i zamek zbrzydnie, i wszystko. Nie dla czego też trzy dni jak błędna owca po lesie się włóczy nieboraczysko, bo ja go szpiegowałem. Pierwszej nocy spał w budzie na Jaskrach, drugiej w szałasie na Pokotyńiu, trzeciej w chałupie pustej na starej leśniczówce. Nawet nie wiem, gdzie jadł, bo i do nas nie przychodził, i do dworu nie zaglądał, i nie wiadomo też, czy co z sobą wziął. Ja go już dawno takim nie widziałem. Ale co za dziw, kiedy człowiek

rozbrat uczynił ze światem, a potem go na powrót poczną ciągnąć na Madejowe łoże, jak się nie ma bronić?

— A brat, cóż to za człowiek, ten brat? — zapytała Wilczkowa, powoli rozpinając fartuch i składając ziele pod ścianą.

— To mi dopiero jejmość zadajesz pytanie? — rzekł, marszcząc się, Wilczek. — Brat? brat? albo to Kain nie był bratem? albo to wszyscy bracia do siebie podobni? Znają go tu i nie znają, dosyć, że kiedy nasz pan go nie lubi, to już źle, nie bez kozery.

— O! to pewnie! — potakiwała jejmość — zły znak, gdy człek dobry kogo nie znosi; a skądże się wziął?

— Już od pół roku się okupił tu, na starej Pobogowszczyźnie; teraz się wprowadzają, będą naszego męczyć, bo im to solą w oku, że w takim ubóstwie żyć chce i na pustyni. A co komu do tego?

— I pewnie, kiedy mu z tym dobrze! — mówiła Wilczkowa.

Oni by go pewnie chcieli między ludzi prowadzić — rzekł Wilczek z oburzeniem patetycznym — na to, aby go ludzie męczyli! Cóż to mu źle, gdzie on sobie sam panem i gdzie dni płyną jedne po drugich, jak krople wody podobne. Ale ze szczęściem ludzkim, to tak — dodał Wilczek — że ono nigdy długo trwać nie może. Zestarzał już, nie dadzą mu dokołać do końca spokojnie.

O! co prawda, to prawda — dorzuciła Wilczkowa, która mężowskie aforyzmy przyjmowała zawsze z uwielbieniem. Stary, mówiąc, ręką i ruchami zwykł był słowom wyrazistości dodawać.

Aj! ludzie, ludzie! — rzekł — od których i na pustynię się schroniwszy, jeszcze człek nie pewny. Westchnęli chórem oboje.

E! rzekła Wilczkowa ma on dosyć swojej

woli, odkaraska się od nich, nie da sobie praw dyktować.

— To go namęczą przynajmniej, a i tego żal.

— Pewnie, żal — potwierdziła kobieta. Wilczek głos zniżył.

— Już musieli mu dobrze dojeść — szepnął, pochylając się nieco ku żonie — kiedy nieboraczysko pierwszy raz się zapomniał i poza granicę z lasów swoich się wywłókł, czego nigdy nie robił.

— Nie może być! nie może! — klaszcząc w ręce, krzyknęła zdziwiona kobiecina.

— Ale ja na niego miał oko, słowo daję — dodał Wilczek — cały dzień go nie było w lesie, poszedł zaroślami ku Zamostowu.

Umilkli, kiwając głowami.

— A po cóż mu tam było? — cicho spytała kobieta. — Któż to może wiedzieć — rozumował Wilczek —

ja sobie myślę tylko, że tak mu dogryźli, iż pamięć stracił, a błąkał się, już sam nie wiedząc gdzie. Jakem tylko zobaczył, że poza granicę się wysunął, zmiarkowałem, że to już coś się niedobrego święci, poszedłem za nim z daleka. Już ja jego chodzenie znam — dodał stary, rękę podnosząc do góry — bo to trzeba wiedzieć też, że każdy człek inaczej chodzi, a nawet choćby i jeden, to od humoru będzie jednego dnia szedł inaczej, a drugiego odmiennie. Bywało, nasz pan to tak mierzoną krokiem idzie jak zegarek, na nogi nie spojrzy, a nie potknie się, ani kroku przyśpieszy, ani zwolni, a tu naraz, myślałem, że go choroba napadła; wysforował się pędem do granicy, na samym skraju stanął wryty, jakby mu co bronilo iść dalej, potem, gdyby go co rzuciło, jak się kopnie, ledwie zaroślami z dala za nim mógł podążyć. O! źle, myślę sobie.

Boże miły, a cóż mu się to stać mogło! — zawołała Wilczkowa, ręce załamując.

— No, tak go ci ludzie, od których odwykł, wymęczyli.

— Przecież z nami żył i gadał.

— Ale, moja jejmość — rzekł odwracając się Wilczek — z nami to inna rzecz; z nami on był jak ze swymi. Choć pan z panów, ale szlachcica szanował jak brata i u nas mu było swobodnie. Tu mu głowę naklekotali pełną, co za dziw, że się zawróciła?

— No i cóż? — zaczęła pytać Wilczkowa.

— Więc się kopnął ścieżką, jakby nie wiedział sam dokąd, aby iść, ale jak szedł? — mówił dalej leśniczy — to trzeba było widzieć! Nie wypadało mnie go szpiegować, ano litość brała, żeby mu się co złego nie stało. Nie przymierzając i pies, i ja nie wiedzieliśmy, jak za nim bieć. Kilkanaście kroków leci, jakby go pędziło, jakby uciekały aż stanie i wlecze się, i omal nie zawróci, to znów leci.

— Na Boga, na Boga! jakże mi paniska żal — wtrąciła Wilczkowa.

Co to mówić? spytaj, jak mię było na to patrząc, pocilem się jak w łaźni. Manowcami się puścił, ale osobiwa rzecz, wiem pewnie, że kilkanaście lat za dom i las krokiem nie stąpił, a jak tu wczoraj był, darł się do Zamostowa. Jam aż z sił spadł, lecz com sobie pomyślał, a nuż mu się co stanie, sam jeden? więcem się włókł. Tedy na proszki tak przez wertebę, krzaki, błoto, dobiliśmy się do Zamostowa i trafili na ogród, który się łączy z lasem, a od niego tylko wysokim płotem jest oddzielony. Płot zobaczywszy, strach go jakiś ogarnął, stanął, patrzę, poczał błdzić, stawał, zaglądał, oczy kilka razy przykładał do parkanu, jakby tam co wewnątrz chciał zobaczyć.

Cóż mu było? jęknęła kobieta to do niego niepodobne.

Pewno, że nie, ale tak przypadło nań. Chodził, chodził, jednym razem przylepił się do płotu, pochylił

i jakby wrósł weń; patrzę, tylko drży, pies mu w oczy spogląda, szczechnął, ten go jak palnie... zaskowyczał i przypadł, a ten patrzy i patrzy. Zdjął z głowy nakrycie, jakby mu piekło, odprostował się, spuścił oczy i dopieroż, namyśliwszy się, nazad. Ja za nim, ani go było zgonić, tak się darł, gdyby przestraszony, w dobre ćwierć godziny dobiłem się po nim do naszej granicy. Po takiej gońce byłem już pewny, że pójdzie spocząć do nas, ano, widzę go nie ma, pewnie na Pokotyniu...

— Niechże się Chrystus Pan i Matka Jego Najświętsza zlitują nad nim — ozwała się lękliwie kobiecina — oj, ludziska, bo ludziska, co go tak męczą, niech im Bóg odpuści! takiego dobrego pana, co nigdy nikomu wody nie zamącił.

— Tsyt! — zawołał Wilczek — dać pokój gadaniu, aby kto nie słyszał; niech to będzie między nami, rozumie jejmość? Kiwnęła głową Wilczkowa na znak, że dobrze zrozumiała, i schyliła się ku zielu przyniesionemu, spostrzegłszy idącą ku chacie Dosię, która ulubioną krowę powoli idącą raczej prowadziła, niż

pędziła.

Dosia pomimo swojego wiejskiego stroju kraśną była wdziękiem zdrowej i wybujałej młodości. Miło na nią spojrzeć było, tak kształtnie wyrosła i tak instynktem piękną być umiała. Twarz jej poważna, zamyślona, prawie smutna, wzbudzała nawet w prostych ludziach jakieś poszanowanie i miała dla nich urok wyższości. Na czole dziewiczym mieszkała myśl i z siwych oczów tryskało bystre pojęcie. Ojciec, popatrzwszy na nią, uśmiechnął się z dumą rodzicielską.

Jak wszystkie mieszkanki lasów, wychowane w drzew cieniu, Dosia nie miała zbyt świeżych rumieńców ani płci białej; opaloną była, nieco bladą, ale czerstwą i życia pełną. Strój ubogi ją okrywał. Na głowie powiązane bogate włosów orzechowych warkocze przeplecione czerwoną tasiemką i okraszone kil

koma kwiatkami. Szyję otaczały korale i przy nich przewieszony krzyżyk i szkaplerze. Koszulę grubą opasywał gorsecik, a spódnica sukienna sięgała do kostek. Podpięty fartuch, w którym niosła też trawę, tworzył draperią dokoła kibici niezbyt smukłej, lecz gibkiej i zręcznej.

Na uśmiech ojca odpowiedziała Dosia półuśmiechem.

— Gdzieżeś to za Płową tak daleko chodziła? — zapytała matka.

— E! bo mi się jejmościanka rozbujała — odpowiedziała Dosia — niedobrze jej już było na wygonie, przeskoczyła płot i poszła w łąkę Tobiaszową.

— Bo też to jej wszystkim fantazjom dogadzacie — rzekł Wilczek — trzeba było dobrze skropić, żeby popamiętała.

— Ej, ojczulku — uśmiechnęła się Dosia — ja bym serca nie miała. Poczciwe stworzenie, my się z nią kochamy, tylko tyle, żem jej nagadała dobrze.

— Myślisz, że cię zrozumiała? — spytał ojciec — toć to bydlę rozumu nie ma.

E! ma ono swój rozum, choćby nie taki jak nasz — ozwała się Dosia, potrząsając głową. Zna ona matkę, mnie, was i Maćka. A czemu mnie i matki, i was słucha, a Maćka nie ma za boże stworzenie i czasem mu rogi pokazuje? Wilczek słuchał córki z rozkoszą i napawał się widocznie nie tylko jej mową, ale dźwiękiem głosu. Dziewczę obejrzało się dokoła.

Albo ja się mylę — rzekła — albo gościa mieć będziemy.

Jakiego? — spytał ojciec.

A kogoż by jeśli nie jegomości pana naszego; widziałam go przed chwilą w okolicy, między drzewami się przechadzał, pewnie wstąpi.

Spojrzeli po sobie rodzice, dziewczę roztropne

w tym wejrzeniu domyśliło się czegoś i zamilkło, jakby czekało na słowo, nikt się nie odezwał.

— Może by co na podwieczorek dla niego przygotować! — dodała Dosia po chwili.

— Pewnie — mruknął Wilczek — ale cóż jest? bo może być głodny. Młode kartofle nie przekwitły, zwierzyny żadnej.

— Są jaja — wtrąciła matka — ser, masło, chleb świeży, ano i ta wódka, co dla niego umyślnie się trzyma.

— On tam nie wymyślny — rzekła Dosia — jak drudzy, będzie i nasz krupnik jadł, nie krzywiąc się.

Ta narada nie była jeszcze skończoną, gdy gończy pies pana Wilczka, któremu imię było Grzmiłasa, zerwał się, nastawił uszy i szczekać począł. Był to najpewniejszy znak zbliżania się pana Krzysztofa, z którego nieodstępnym towarzyszem Hermesem byli w najnieprzyjaźniejszych stosunkach. Wprawdzie Wilczek umiał psu nakazać umiarkowanie i przy nim Grzmiłasa się nie porwał

nigdy na Hermesa, a pan Krzysztof wejrzeniem jednym wyżyła swego zmuszał do spokoju, lecz za ledwie od nich odwrócono oczy, powstawali cichaczem, sierść się im obu najeżała szczotką na grzbietach, oczy zachodziły krwią, po cichuteńku zaczęli obchodzić się w koło, pokazując sobie zęby i dopiero interwencja obu panów mogła ich od pojedynku oderwać. Kilka razy spięli się byli na siebie i chwycili za karki, ale od tej pory Wilczek zamykał Grzmiłasa do chlewka na czas pobytu pana, co nie tylko że nienawiści jego ku Hermesowi nie zmniejszyło, ale zdawało się ją do najwyższej podnosić potęgą. Niepocziwy wyżeł czuł, gdzie był nieprzyjaciel zamknięty, szedł zwykle pod chlewek, jeżył się, warczał, a że we wrotkach u dołu była dziura, którą nos Grzmiłasa wyglądał, spotykali się, warcząc, przy tym otworze, choć sobie szkody uczynić nie mogli. Grzmiłasa szczekał i wył, Hermes warczał.

Szczekanie oznajmiło o panu Krzysztofie, który się w istocie u wrót pokazał, a Maciek zawołany poszedł Grzmiłasa zamknąć do kozy, co się nie obeszło bez pisku i skarg na uciemienie. Wrotka się otworzyły, Dosia pierwsza pobiegła na spotkanie jegomości, Hermes skoczył ją witać. Ledwie się od niego obroniwszy, przysła wedle obyczaju pocałować w rękę pana Krzysztofa. Podniósłszy oczy, niemal się przeleża jego twarzy, tak była dziwnie zmienioną. Nigdy ona nie bywała wesołą, tym razem jednak niemal obłąkana boleść na niej wyryta była.

Naiwne dziewczę, nie umiejące ukryć swego wrażenia, aż załamało ręce.

— O mój panie drogi! — zawołała — czy pan czasem nie chory? czy panu co jest?

— Nic mi nie jest, moje dziecko — stłumionym głosem rzekł pan Krzysztof — w istocie zdrów bardzo się nie czuję, zmęczonym bardzo, parę dni włożyłem się po lesie. Możem i głodny, sam nie wiem.

Dosia wedle zwyczaju wyciągnęła ręce po strzelbę i torbę, którą od niego odbierała. Krzysztof

machinalnie je oddał dziewczynie, nie śmiejąc i spojrzeć na nią, bo mu wstyd było, że mu tak z twarzy czytała.

Aco pan by jadł? — zapytała.

Co macie, co Bóg dał, wiesz, że niewybredny... wszystko jedno.

Wtem Wilczek nadszedł, kłaniając się do kolan.

Staszuk tu przysyłał — rzekł po cichu, pokręcając węsą — stąd wiem, że jasny pan trzy dni już z domu, toby pewnie odpocząć trzeba, jeśli łaska, do izby. Pierwsza zawsze dla pana wolna, bo my jej nigdy nie zajmujemy.

Zbliżyła się też z fartuchem przy ustach Wilczkowa kłaniając.

Co pan każe? — spytała — niech pan dysponuje,

z łaski pańskiej wszystko jest: chleb, ser, mleczywo, jaja, miód; może by co zrobić?

— Co tam macie, pani Wilczkowa, co na pogotowiu, co chcecie — rzekł skłopotany tą troskliwością i po części nią rozczulony Krzysztof. — Pójdę, trochę odpocznę, bom w istocie dużo chodził... A któraż to godzina? — spytał nagle, jakby rozmiar czasu stracił. I jako mieszkaniec lasu zamiast do zegarka sięgnąć, obrócił się w stronę słońca.

Słońce zachodziło i jaskrawe jego promienie przedzierały się dołem przez las przerzedzony.

— Pan ci u nas przenocować musi, to się rozumie — rzekł Wilczek.

Nic nie odpowiedział Krzysztof i wolnym krokiem poszedł zamyślony ku chacie, dokąd z nim cała rodzina zdążyła.

Dosia miała widać przywilej przyjmowania pana i dziwnie doń była śmiałą. Wyrosła z dziecka w jego oczach. Ona poprzedziła go do sionki, otworzyła drzwi, wprowadziła do izby, którą pańską nazywano, i fartuszkami poczęła ścierać stół i stołki. W jednym kącie stał tapczan, pokryty

sianem i kilimkiem ze skórzaną poduszką. Na nim zwykle, okryty burką, sypiał pan Krzysztof; wszystko, czego mógł potrzebować, było dla niego przysposobione: karafka z wodą, szklanka, a w szafeczce drobne sprzęty i prosta stołu zastawa.

Dosia otworzyła okno, aby powietrze weszło; obejrzała się naokół, poprawiła stołek, stojący krzywo, powiesiła strzelbę i torbę na ich miejscu, podsunęła słomiankę, na której w końcu łóżka zwykł był Hermes odpoczywać. Pan Krzysztof, który zawsze z nią wesoło rozmawiał i rozpytywał o jej gołębie i kurze gospodarstwo, teraz padł od razu na tapczan, podparł się łokciem i głowę spuścił jak nieprzytomny. Dosia była nadto roztropną, aby się domagać rozmowy, lecz wybiegła cała przestraszona do matki.

Matuniu droga, panu coś jest, ja go nigdy jesz

cze takim nie widziałam. Czyście to zważali, jaki posępny? Żeby, uchowaj Boże, nie choroba.

Matka nie chciała widać wtajemniczać dziecka i odpowiedziała krótko:

— Zakrzątniem no się, aby go czym posilić, ot, po prostu się zmęczył.

Dosia pokręciła głową, ale tuż obie poczęły ogień spod popiołu dobywać i zwijać się okołojadła. Wilczek pozostał u drzwi na zawołanie, lecz do pana Krzysztofa nie wszedł, czuł, że więcej by mu zawadził, niż go rozerwał. Trafny instynkt mu to wskazywał.

— Niech się wysapie powoli — mówił w duchu. Przed ogniem między matką a córką półgłosem wszczął się spór o to, co gotować; obie chciały, co było najlepszego w domu. Skończyło się jednak na pośpiesznej jajecznicy, chlebie, serze i miodzie.

Drewniana tacka, która tylko w uroczystych wypadkach występowała, dobytą została z szafy; obie kobiety ustawiły na niej wieczerzę. Dosia na rękę zarzuciła czystą serwetę, a że miała przywilej

posługiwania panu Krzysztofowi, tryumfalnie wniosła tacę do izby.

Krzysztof, jako był siadł na tapczan i podparł się na rękę, tak ze znużenia usnął, szmer go dopiero przebudził, otrząsł się i uśmiechnął do Dosi.

Bodajże mnie, com pana przebudziła! szepnęło dziewczę gdybym wiedziała...

Dobrze się stało, owszem, moje dziecko, owszem rzekł, zbliżając się do stołu, Krzysztof głodny jestem... Bóg zapłać.... na sen będzie czasu dosyć.

Dosia przysunęła stółek, pobiegła do szafeczki po sól i pieprz, zawinęła się jeszcze, jakby na zwykłą wyzywając rozmowę, ale otrzymała tylko uśmiech smutny w nagrodę i nie chcąc być natrętną, wyszła zamyślona.

Już wy sobie mówcie, co chcecie rzekła do matki ja tam nie wiem co, ale jemu coś jest.

— A cóż ma być! Da Bóg, choroby nie będzie, tylko tyle, że się stary zmęczył — rzekła matka.

— On to tam tak stary znowu nie jest — ujęła się Dosia — tyle że włosy stracił, a jemu z tym do twarzy. Zresztą, dalipan, żaden młody mi się tak pięknym nie wydaje, jak on — dodała i zarumieniła się za późno.

Matka się rozśmiała.

— Ot to dopiero! — szepnęła, ruszając ramionami — co ty pleciesz, pleciucho.

Spuściła oczy Dosia zawstydzona i podniosła je żywo.

— A bo prawda! — potwierdziła — a co prawda, to nie grzech.

Me chciała snadź matka przedłużyć tej rozmowy, pokiwała głową i zamilkła.

Wilczkowi zdało się, że w czasie podwieczorku wnijsić może, otworzył więc drzwi, wszedł i stanął przy progu.

Pan Krzysztof spojrział jedząc, ale się nie odzywał długo.

Cóż to, Staszuk aż tu przysyłał pytać o mnie? spytał wreszcie.

A tak jest, proszę jaśnie pana, co za dziw, niespokojny był.

A wyście co powiedzieli? Wilczek się trochę namyślił.

Cóż mogłem powiedzieć, ino, że nie wiedziałem o jaśnie panu więcej nad to, że w lesie być musi.

Czyś mnie nie najrzał tymi dniami? dodał Krzysztof.

Wilczek kłamać nie chciał, miał tę cześć dla prawdy prostego człowieka, która mu fałszu wyrzec wzbraniała, rzekł więc tylko:

Owszem, z dałam jaśnie pana parę razy widział, alem nie chciał być natrętnym.

Krzysztof milczał, spuściwszy oczy.

Nie dziwuj się, mój przyjacielu począł po na

myśle — żeś mnie widział może latającego bez celu; od ludzi uciekałem, a ty wiesz z dawna, jak ja ich lubię. W tych dniach napadli mnie, aby mi popsuć moją pustelnię i odebrać spokój, który stanowi jedyne szczęście moje. Nie dziwuj się. Widziałeś nieraz spokojne mrowiska, niech je kto ruszy a dotknie, jaki to tam ruch powstaje. Tak się stało z duszą moją, trąconą obcą ręką; zburzyło się w niej wszystko.

Pan Krzysztof westchnął, Wilczek mu tylko zawtórował drugim westchnieniem.

— To się rozumie — dodał skłopotany, nie wiedząc, co ma powiedzieć, a chcąc słowo wtrącić.

Wsparty na rękę, stary mówił dalej, jakby sam do siebie.

— Co im z tego przyjdzie, że mnie chcą nieszczęśliwszym uczynić, niż jestem? nie rozumiem. Brat, który mnie długo nie znał, drugi, który mnie lat tyle nie widział. Jam już nie dla nich, oni nie dla mnie! Nie dadzą mi dokołać spokojnie do końca tego utraconego życia, wadzi im, że do nich nie podobny, że dobił do brzegu, gdy oni jeszcze na falach!

Ramionami poruszył, Wilczek słuchał z uwagą natężoną.

Pan Paweł, słyszę, odkupił Pobogowszczyznę odezwał się piękny majątek.

Niechże się nim cieszy i trzyma go, nie zazdroścę mu; życzę wszelkiego dobra, byle mi dali spokój mówił Krzysztof.

Wielki pan dodał Wilczek.

Tak, tak, na świniach się państwa dorobił pogardliwie wtrącił Krzysztof a drugi wrócił do domu, gdy już mu wszelkie szaleństwa obrzydły. Dobry nawet człek, lecz lekki.

Jaśnie pan mówi o panu Męczyńskim pewnie?

A tak.

O tym też słyszałem, że po długich latach do Zie

leniewszczyzny powrócił. Tam dzierżawę trzyma Zamorski, wiem, miał się już niemal za dziedzica, kłopot być musi z niespodzianego przybycia. Dobrze się im działo.

— Znasz dzierżawcę? — spytał jakby tylko dla utrzymania rozmowy Krzysztof.

— A któż by go nie znał? — mówił Wilczek.

— Jakież to człek?

Wilczek chciał wystąpić z definicją i zamyślił się nieco.

— Człek, jak by to powiedzieć? ano — rzekł — bardzo zły on nie jest, bardzo dobry też nie, czasem gotów i dobrze zrobić, gdy na humor mu przyjdzie, i dopiec, gdy się rozgniewa. Żona tam pono więcej znaczy niż on sam. Córek mają dwie. Ludzie się już śmieją, a mówią, aby pan Męczyński tam pomieszkał, jedną pewnie za niego wydadzą. Dziewczeta piękne i sprytnie, a choć to młode, a pan już podtuptany... dla majątku...

Już o tym nawet mówią? podchwycił pan Krzysztof żywiej słyszeliście.

No, zwyczajnie, ludzie sobie po ludzku rzeczy kombinują — ciągnął Wilczek — nie ma nic niepodobnego, wszystko to może być.

Zdaje mi się, że pan Teodor wyżej patrzy — wtrącił Krzysztof.

Ja też nic wiedzieć nie mogę, a powtarzam jaśnie panu słyszane. W niedzielę u kościoła szlachta sobie drwiła, to się słówko o uszy obilo.

Zamyślił się pan Krzysztof, a że rozmowa się przerwała, Wilczek, który postrzegł, że jeść przestał i do gawędki ochoty wielkiej nie miał, wysunął się po cichu. Dosia, która czatowała tylko na to, przybiegła zebrać resztki wieczery. Stała u stolika.

— Coś pan mało jadł? — spytała — czy nie było do smaku?

— Owszem, moje dziecko, dziękuję ci, dobre to było, bo dobrym sercem dane, ale już jestem syt i mam dosyć.

— Niechże pan sobie spocznie, ja już w domu z matką dopilnuję, aby hałasu żadnego nie było — mówiła, sprzątając, Dosia. — Woda jest, może okno zamknąć?

Szczebiotała tak, pan Krzysztof zdawał się prawie nie słyszeć, uśmiechał się dziewczęciu.

— Rób, jak chcesz, wszystko jedno, dobrze, tak... co ci się podoba.

Dosia popatrzyła po pokoju.

— Hermesowi jeszcze muszę jeść przynieść, boby się gotów na mnie pogniewać, jak na Grzmiłasa, którego cierpieć nie może, a dotąd miałam u niego łaskę.

Hermes wstał, posłyszawszy swe nazwisko, i przyszedł się sam dziewczęciu przypomnieć.

Parę razy spojrzała na milczącego Krzysztofa Wilczkówna i dziwnie się jej wydał zmienionym, on, co zazwyczaj wesoło z nią rozmawiał długo i podżartowywać z niej lubił.

Po chwili powróciła z miską pełną mleka kwaśnego z chlebem, postawiła ją u komina, podniosła się, poprawiła włosy i popatrzwszy na pana, rzekła:

Taki pan nam coś dziś nieswój, niechby spoczął.

A gdzież spokój? — odparł smutnie pan Krzysztof — myślisz, że sen uspokaja? to chyba ciebie, dziecko moje, która spokojnie usypiasz i tak po pracy... nam sen przynosi mary.

Westchnął.

Spokój tylko tam, skąd już nic nie poruszy... Dosi się zrobiło smutno.

— Co to pan mówi — przerwała — a toć się nie godzi takiego spoczynku żądać.

— Czemu? komużem ja na ziemi potrzebny? — dodał jakby do siebie samego pan Krzysztof.

Nie odbierając odpowiedzi, spojrzał, Dosią fartuszką ocierała oczy, a dla ukrycia wrażenia schylała się po miskę.

Łza ta cicha snadź odbiła się w duszy jego, wstał żywo i z rozjaśnioną twarzą począł jak dawniej żartować.

— Kiedyż wesele? — zapytał.

— Czyje?

— Twoje, Dosiu.

— Chyba nierychło — rzekła, usta krzywiąc.

— Czy brak kawalera?

— Prędzej ochoty — odparła Dosią trochę nadąsana — już panu mówiłam, że od rodziców iść sobie nie życzę. A co mi po tym.

Bo ci się jeszcze nie podobał żaden.

Może szepnęła Dosią, zmierzwszy go oczyma — ano o tym i mówić nie ma co. Zawsze mnie pan tym prześladowuje i zawsze jedno odpowiadam. Niech no pan sobie spocznie.

Podsunięła słomiankę psu, zakręciła się parę razy po izbie: stołek przestawiła pod ścianę, karafkę umieściła w środku stołu, przymknęła okno, zabrała miskę, zbliżyła się do ręki pana Krzysztofa, pocałowała ją prędko i zarumieniona wybiegła.

Hermes wyciągnął się na słomiance. Stary pan stał długo w pośrodku izby zamyślony, patrzył w okno. Cisza była dokola, wieczór wiosenny mrokiem okrywał las i pola.

I tego nawet spokoju mi zazdroszczą — zawołał wzdychając. Tu przynajmniej przeszłości zapomnieć mogę!! Precz, mary! precz! Widzieć więcej z nich nikogo nie chcę. Dostyc tej próby, ucieknę jeszcze głębiej w lasy. Przynieśli mi z sobą męczarnie — lecz od cze

góż rozum i wola człowieka? Wstyd i hańba — mówił, przechadzając się po izbie — ja, ja, com lat tyle nogą nie stąpił za granice tych lasów, wyrwałem się jak dzieciak, aby umarłą nadzieję zobaczyć, i serce mi biło, i ból mi serce ścisnął, i musiałem nadludzkim wysiłkiem władzę nad sobą odzyskiwać. Cóż pomyśli Wilczek, jeśli mnie widział oszalałego? Sam wstydzę się siebie. Napiłbym się z Lethy, choćby jej woda miała być trucizną. Wszystko jeszcze przytomne, jak wczoraj.

Tak marząc, siedział pan Krzysztof, walcząc z sobą, na tapczanie, wsparł się na rękę i dumając na pół senny zrazu, dał się owładnąć znużeniu, które go obaliło na łożo.

Trzy noce, spędzone w gorączce na niewygodnych leśnych barłogach, uczyniły ten sen potrzebą taką, iż jak stał, upadłszy ledwie na tapczan, usnął snem martwym i głębokim.

Wilczkowie pozamykali drzwi, stary pozostał na straży długo, nareszcie, gdy żadnego szelestu w izbie pańskiej długo słyhać nie było, porozchodzili się wszyscy na spoczynek.

Dosia długo przed ogniem wsparta na rękach siedziała, aż ją matka do snu musiała napędzić.

V

Jest to od dawna sprawdzonym pewnikiem, że częstokroć maleńcy ludzie wielki wpływ na daleko pozornie większych od siebie wywierają. Czemu są winni ten skutek, czy natarczywości, czy zręczności, która bywa udziałem drobnych istot, czy jakimś nierozpoznanemu fenomenowi moralnemu, trudno wyrokować; to pewna, iż bohaterowie i potentaci często są pod rządem niewidocznych istot, a Molierami władają niekiedy kucharki.

Jedną z takich maluczkich, niepostrzeżonych postaci, na pozór bardzo skromnych i nie szukających blasku dla okrycia się nim w oczach tłumu, był dzierżawca pana Teodora w Zieleniewszczyźnie,

niejaki pan Zamorski. Trzymał on w dzierżawie dobra te od lat kilkunastu i w końcu poczynił się już w nich prawie uważać za dziedzica. Człowieczek był niepozorny, zabiegliwy, czynny, pokorny, umiejący pochlebiać i śmiać się z tych, którym, jak się sam wyrażał, baki świecił.

Pan Teodor przez długi czas jeździł po świecie, szczęścia jakiegoś nieokreślonego szukając i nigdzie go znaleźć nie mogąc. Powrót do domu odkładał z roku na rok, mieszkał po stolicach, pieniędzy trwonił dużo, dochód mu nigdy nie wystarczał, rachunki się mnożyły; od dzierżawcy naprzód pozyczał ciągle, rosły więc ciężary, na ostatek, choć mimo woli, postrzegł wędrowiec,

że należało się we własnych interesach rozpatrzyć na miejscu. Wstręt miał do tego wielki pan Teodor, ale mus był i konieczność uregulowania tych nieszczęsnych rachunków. Zamorski nie bardzo sobie życzył przybycia dziedzica, lecz uniknąć rozprawy ostatecznej nie było podobna i pan Teodor zjechał jednego pięknego poranku do Zieleniewszczyzny.

Wydzierżawiając ją, dziedzic nie spodziewał się wcale, ażeby za domem miał bawić tak długo; zamierzał wrócić najdalej za kilka miesięcy, za rok; czasem bywał już w drodze i coś go zatrzymywało zawsze, tak że kilkanaście lat przeszły niepostrzeżone. Dom główny, starodawny dwór, był zupełnie wyekscypowany wraz z ogrodem; stary sługa familii, Olszak, który jeszcze dziadka pana Teodora pamiętał, rządził tu wszechwładnie. Przez lata tak długie sam jeden siedząc, biedny starowina znudził się, skwaśniał, podupał, zachorzał, a dwór, pieczy jego powierzony, znacznie się też nadrujnował. Wracając więc przestraszony pan Teodor zastał niemal pustkowie,

gdzie się spodziewał rezydencji wygodnej.

Zamorskiemu wyrzucać tego nie było można, bo dwór i co doń należało, całkowicie spod jego władzy zostało wyjętym. Dawniej dosyć jeszcze rzeźwego Olszaka ze zdumieniem znalazł pan Teodor kaleką niemal, i co gorzej, z nałogiem do konsolacji spirytusowej. W pokojach panował nieład niewysłowiony, dach w wielu miejscach zaciekał wszetecznie, a że pokryć go na nowo nie zebrano się jakoś, a łatania niewiele pomagały, we wszystkich niemal pokojach stały miski, niecułki, balijki i rozmaite naczynia misternie porozstawiane. Wiele okien potłuczonych od gradu i różnych wypadków, o których niejasne chodziły podania, pozalepiano papierem i pozakładano błonami sosnowymi. W ganku wschodki pogniłe zastępowały cegły niezręcznie pokładzone, posadzki były pobutwiałe, sufity ry

sowały się, tynk opadał. Nawykłemu do porządku i komfortu za granicą wydało się to panu Teodorowi przerażającym. Olszak mu dowodził, że gdzie kilkanaście lat dziedzic nie zaglądał, inaczej być nie mogło, a może miał nieco słuszności.

Dzierżawca wprawdzie mieszkał, wedle umowy, na folwarku, lecz folwark przybrał teraz pozór dworu, a dwór wyglądał na dymisjonowanego. Tu przybudowano wiele, przyozdobiono, poobsadzano, powyklejano i było w nim, jeśli nie smakownie, to bardzo przyzwoicie, a nade wszystko wygodnie, gdy we dworze u dziedzica w pierwszych dniach stęchlizna i ruina pobyt niemal niemożliwym czyniły. Piękny ów cienisty ogród starożytny, o który pan Teodor dbał tak bardzo, podobniejszym był do zdziczałego lasu, niż do ręką ludzką stworzonego ogrójca... Stare lipy, które wiatr poobalał, gnily nietknięte, bo nikt nie miał prawa ani ochoty ich ruszyć.

Pocziwy a nudny i niedołężny Olszak gderał, stękał, pił, łąjał, skarżył się, przeklinał, ale się nie brał do niczego i był konserwatorem nieładu, który rósł co chwila. Oszczędzał skrzętnie złotówki, a szkody robił na tysiące. Był to starowina zgryźliwy, lubiący narzekanie, potrzebujący walki do życia, szukał więc jej mieszając się nie w swoje rzeczy, gdyż Siebie za rodzaj nadzorcy uważał i groził ciągle raportami do dziedzica. Zamorski śmiał się, ruszał ramionami, pozwalał gderać do syta, ale staremu nawzajem dokuczał o ile możliwości.

Gdy pan Teodor przyjechał, Olszak przez dni kilka tak mu głowę nabijał zbieranymi długo zażaleniami, iż w końcu ani się w nich rozpatrzyć, ani ich spamiętać było podobna. Wszystko to zbiło się w jakiś chaos nierozwikłany, w którym kłębiły się czarne chmury, a w głąb ich żadne i najbystrzejsze wejrzenie sięgnąć

nie mogło. Dziedzic więc dał za wygraną przeszłości, złożył wszystko na zgryźliwość dziedzinnego sługi, znudził się i zakazał mu więcej mówić o tym.

W przystępie żalu Olszak podziękował za służbę, ale nazajutrz po trzeźwemu na nowo ją rozpoczął, zawsze z tym samym skutkiem. Nie zważano już na niego wcale.

Dzierżawca postępował sobie nadzwyczajnie zręcznie, chociaż na pozór w sposób nader prosty. Obrachowawszy zawczasu skutek skarg Olszaka, wcale nie przeszkadzał im, nie uniewinniał się, grał rolę człowieka spokojnego, czystego na sumieniu, a tymczasem na wszelki sposób starał się pozyskać pana Teodora, którego charakter i usposobienie więcej odgadł i przeniknął ze stosunków z nim, niżby się po tak prostodusznej istocie spodziewać było można.

Zamorski, jak sam powiadał o sobie, wysokiej nie odebrał edukacji; wychowanie dokończył na sześcioklasowym gimnazjum, którego nauka wyśmienicie mu starczyła na potrzeby powszednie. Był

to człowiek mały, okrągły, wesołej i rumianej twarzy, na pozór bardzo otwarty i szczery, w istocie nadzwyczaj przebiegły. Podobał się wszystkim, wkraść się umiał w łaski każdego, w życiu był dogodny, wyrozumiały, przebaczący, a w towarzystwie wesoły i pokorny. Powiatowe wielkości i ludzie wysokich stanowisk i wpływów nie mieli hałaśliwszego nadeń adoratora. Lubił się uniząć, chętnie powtarzał, że jest małym dzierżawcą w dorobku, ustępował z drogi, dawał pierwszy krok każdemu, a to mu też serca jednało. Rósł tymczasem w pierze nieznacznie. Innym zostawiając polowanie na honory i znaczenie, sam zbierał pieniądze i robił sobie stosunki, tak że mógł każdą sprawę albo groszem, lub wpływami przeprowadzić po myśli. Gospodarz niezbyt uczony, pilnym był, a zobaczywszy u drugich coś lepszego niż u siebie, chętnie się uczył i naśladował. W ten sposób powoli

gospodarstwo u siebie postawił na tym stopniu, iż lepszego, a nade wszystko szczęśliwiej się wypłacającego nad nie, w całej okolicy nie było.

I w tym jednak skromny Zamorski nie szukał sławy, mówił o swych zabiegach, wywyższając zawsze drugich i ustępując im z drogi. Ulubionym jego przysłowiem było: że pokorne cielę dwie matki ssie. Ssał w istocie więcej niż dwie, o których mówił, ssał kogo tylko mógł, ale ssając ścisnął, całował, poił, ze łzami o miłości i poszanowaniu zapewniał. Szczęśliwym trafem dobrał sobie towarzyszkę życia, która po pierwszych latach nowicjatu umiała się zupełnie nagiąć do obyczajów i trybu postępowania mężowskiego. Dobra kobiecina, gościnna, wesoła, gospodarna, nie ubiegająca się o pierwsze miejsce w kościele ani o zaćmienie ubiorem, lubianą była powszechnie. Chowała się jak wąż do kątki, szanowała bardzo dostojne panie noszące koronki, brylanty i imiona świetne, a śmiała się z nich z mężem po cichu.

Całą pociechą jej życia, celem jego, było wychowanie dwóch córek, ładnych dziewcząt, żwawych, rozbudzonych, figlarnych, posiadających wszystkie przymioty ojca, ale nieskończenie wykształceńszych od rodziców i wzdychających do świetnego losu. Liza i Misia, o rok tylko jedna od drugiej różniące się wiekiem, miały guwernantki w domu, próbowały pensji w mieście, z zapałem oddawały się francuszczyźnie i muzyce, czytywały wiele i bez wyboru i wyrosły na dwa aniołki wiejskie niebezpieczne dla młodych zapaleńców i dla starych magnatów. Obie marzyły o miłości, ale gotowe były nawet to marzenie poświęcić na ołtarzu rzeczywistości z milionem i tytułem... Rodzice cieszyli się panienkami niewymownie, czasami z lekka prostując ich pojęcia i ochładzając morałami wybryki fantazyjne, ograniczające się na słowach, w ogóle jednak zostawiali im wiele swobody, mając wysokie wyobrażenie o instynktach ich, rozumie i zna

jomości świata z książek zaczerpniętej. Pan Zamorski w niemym zachwycie słuchał ich dowcipnego szczebiotania, a matka, choć niekiedy ruszała ramionami, dumną była ekscentrycznością miłą swych córek. Liza, starsza o rok od siostry, miała i tę piękność, jaką na chwilę w życiu daje młodość każdej kobiecie, i niewysłowny wdzięk trzpiotowatego dziecięcia, które jak ćma lata koło ognia, nie chcąc rozumieć, że skrzydła popalić może. Nie kosztowało ją nic dowcipne słówko, dwuznacznik, zaczepka śmiała; zalotną była naiwnie, natarczywie, zabawnie. Wiek czynił ją niemal dzieckiem wiele obiecującym, nie miała bowiem nad lat ośmnaście, a matka przez rachubę i do tego się jej przyznawać nie dozwalała. Utrzymywała, że tylko tak nadzwyczaj jakoś prędko się rozwinęła. Ciekawa, ruchliwa, niezmordowana Liza na swój wiek znała złych i dobrych rzeczy świata aż do zbytku. Życie się jej przedstawiało jak bardzo zabawna rola do odegrania, w której miała za sobą ogromne szanse powodzenia: piękność, młodość, wdzięk, dowcip, wreszcie i rosnący majątek

ojcowski wchodziły w rachubę.

Misia, o rok młodsza tylko, choć miała może więcej dowcipu niż siostra, daleko była skromniejszą na pozór, mniej się z nim popisywała, ale wejrzenie jej i słowa większą miały potęgę i silniejsze czyniły wrażenie. Liza opanowywała w pierwszej chwili, zwracała głowy komu chciała, chociaż się one później łatwo odwracały. Misi zapomnieć było trudno, zwłaszcza ci, co się do niej zbliżyli poufalej, pociągnięci się czuli urokiem, jaki na nich wywierała.

Liza i Misia obie były małego wzrostu jak rodzice, zręczne, wdzięczne, rumiane, żywe, podobne do siebie, ale jeden typ różnie się w nich rozwinął: w starszej więcej miał promienistości, jeśli się tak wyrazić godzi, w młodszej więcej skrytej siły. Oczy pierwszej strzelały i raziły blaskiem, drugiej dziwiły tajemniczym wy

razem. Twarzyczki ocienione włosami obfitymi, gdy się na nie patrzyło z osobna, przypominały jedna drugą pokrewnym jakimś wyrazem, gdy były razem, stawały się zupełnie odmienne. Liza wyrzucała Misi jej bojaźliwość, Misia przerażona była często śmiałością zbyteczną siostry. Godziły się z sobą, kochały, a jednak dwa te charaktery w skrytym były antagonizmie.

Na tle domu zupełnie szlacheckiego, dostatniego, ale niewykwintnego, dwie panienki dziwnie się trochę wydawały, jakby dwa holenderskie tulipany wykwitłe na grzędzie wśród poczciwej kapusty. Dla nich na folwarku, w którym salon miał pułap belkami przyozdobiony, musiano postawić fortepian Bösendorfera, a do prostych sprzętów pana dzierżawcy przybywały co dzień eleganckie fraszki, niezbędnie paniąkom potrzebne. Obie one byłyby dom rodzicielski zupełnie przeistoczyły na swój sposób i przebrały go po europejsku; matka byłaby może nawet zgodziła się na to, ale ojciec, choć kochał córki, stanowczo się temu opierał.

Z tego to nic nie będzie mówił. Jeszcze czego! jeszcze czego! aby mówiono, że i ja na pana zachorowałem. Spuście się na mnie, tak lepiej. Po was widać, żeście do czego innego stworzone i że nikomu wstydu nie zrobicie, ale ja muszę zostać, czym byłem, z tym mi lepiej. Jestem sobie skromnym panem dzierżawcą, którego wszyscy szanują, bo wiedzą, że się dorabia i ma coś w kieszeni, a że zbytkiem jutro by zawitała jeśli nie golizna, to wątpliwość... mówiliby: Ehe! Już i Zamorski pana udaje, będzie i on cienko śpiewał rychło... Tego ja nie chcę i na to nie pozwolę. Nie, nie, nie. Ścisnął Lizę i Misię, kupował im, co chciały, ale domu nie zmienił. Stara kanapa została przy dawnych swych prawach, panny się podąsały w kątku i zamilkły.

Przed przyjazdem pana Teodora Zamorski mocno chodził zamyślony. Zwykł on być zawsze każdą czynność i krok w życiu naprzód rozbierać i ważyć. Stosunek z dziadkiem był dlań niezmiernie doniosłości. Z listów znał charakter człowieka, ale domyśleć się, jak postąpi sobie, przybywszy na powrót do kraju, nie umiał. Spodziewał się rachunkami go wykwitować i nabyć za mało co Zieleniewszczyznę; nadzieja ta jednak słabą była, bo majątki szły w górę, a wszystkie długi pana Teodora jeszcze połowy wartości rzeczywistej majątku nie dochodziły. Z niezmierną więc przebiegłością należało chodzić około znudzonego starego kawalera. Państwo Zamorscy wieczorem sam na sam odprawili naradę w tym przedmiocie.

Żona w podobnych razach służyła pocziwemu Zamorskiemu za partnera wygodnego do rozmyśłów. Niekiedy zadawała mu do rozwiązywania trudności, które się jej nastroczały, a jemu by samemu na myśl nie przyszły; czasem potakiwała i utwierdzała go w jego przekonaniach; zamiast mówić sam z

sobą, rozmawiał z tą drugą połową swą... i wychodził po naradzie z nią najmocniej przekonany, że to, na co się oboje godzili, dobrym być musiało. Pani Zamorska miała rozsądek zdrowy, spokój wielki i często była ostrożniejszą od męża, tak że go mitygowała i poskramiała.

Gdy przyjazd dziedzica zostaj oznajmiony, zamknęli się oboje państwo na cichą naradę tajemną, którą jednak ciekawa Liza mimowolnie przez trzpiotostwo podsłuchiwała.

No, więc tedy przybywa! nieunikniona rzecz rzekł mąż nie ma rady.

A niech jedzie, to cóż? czym prędzej, tym lepiej, raz przecie skończyć potrzeba.

A pewnie, ale dopieroż to będzie robota... gdy zobaczy!

Co zobaczy? u nas nie ma co widzieć, a we dwo

rze? dobrze mu tak, dobrze — mówiła Zamorska, robiąc spokojnie pończochę — gdyby był tego, z pozwoleniem, starego osła nie osadził we dworze, a nam go dał na mieszkanie, zastałby wszystko jak należy. Sam sobie winien.

Posadził tu tego głupiego szpiega... otóż ma!

— Stary będzie na nas psy wieszał.

— Wcale się o to nie ma co troszczyć... Olszak się rozpił, będzie bredził trzy po trzy, znudzi go, i tyle. Nie ma się co obawiać. Cóż powie? co powie?

— Ale ba! — westchnął Zamorski — prawdą a Bogiem, coś by się tam znalazło z drobnych rzeczy, wszelako ja się o to nie boję. Bóg z nim, gorzej że gdy sam tu przybędzie, może znaleźć sposób oczyszczenia majątku i Zieleniewszczyzna się nam z rąk wyśliznie.

Jejmość milczała chwilę, patrząc na pończochę.

— Przed niewodem ryb nie trzeba łapać — rzekła po cichu. — Człek nie bardzo stary... znudzony... kawaler... mój jegomość, różne się rzeczy trafiają. Ja mam jakieś takie przecucie, że my go sobie łatwo przyhołubić potrafimy.

A ciszej dodała, jakby na próbę:

A gdyby mu się która podobała!

To mówiąc podniosła głowę i postrzegła, że Zamorski promieniał, śmiał się i do ręki jej skoczył, aby za tę myśl swą trafnie odgadniętą pocałować.

Jak to my zawsze z tobą, moja duszko, się zgadzamy — rzekł z uniesieniem. Naprawdę, nie śmiałem sam z tym wystąpić, ale mi to ciągle po głowie chodziło. Prawda, że Liza ma lat...

Co tam lata! kto te lata liczy — przerwała żywo pani Zamorska nie lubiąca podobnych rachunków. On ma lat...

Ano, z pięćdziesiąt, ale słyszałem od tych, co go widzieli niedawno, że bardzo pięknie się zachował i wygląda młodo. Stary bałamut.

Jejmość ruszyła ramionami.

— Byle tylko pomieszkał tu, to mu Liza głowę zawróci — rzekła cicho — to tak jak amen w pacierzu. Człowiek z wielkiego świata, ona do takich ma szczególny pociąg. Dla starego bałamuta takie dziewczę jak malina...

Spojrzeli po sobie.

— Ale by biedna Liza... — począł mąż.

— Dlaczego ma być biedna! co znowu! Starego wodzić będzie, jak zechce, toć to przecie dla kobiety, jeśli nie całe szczęście, to połowa większa. Człek majątny, z imieniem, ze stosunkami.

Poczęli oboje potrząsać głowami.

— Tylko, mój jegomość — dodała matka — cicho, Lizie o tym ani wspominać, to przyjdzie samo... zobaczysz.

Nabrałaby wstrętu, gdyby jej narzucano, a sama, ręczę, że się zaraz weźmie do niego i... że zbałamuci, to zbałamuci.

— Gdyby się z nią ożenił, ano, ja bym na Zieleniewszczyźnie gospodarował i na całe życie

bylibyśmy spokojni. Przy tym przez stosunki i Misia by lepiej za mąż wyjść mogła.

Już dosyć, cicho! cicho! oglądając się dokoła, odezwała pani i drut od pończochy położyła na ustach, wskazując na drzwi.

Ostrożność była w istocie potrzebną, ale za późną, Liza w tej chwili pierchnęła po cichu od drzwi, wysłuchawszy rozmowy z główką zaognioną. Myśl macierzyńska przypadała jej do smaku; miała cel, miała zajęcie i w przyszłości świetny los, ku któremu godziła zawsze. Nie tylko jej się to dziwnym nie zdało, ale nadzwyczaj trafnym i z rodzicielską troskliwością obmyślanym.

Zataiła przed Misią zdobytą podsłuchem tajemnicę.

Nadjechał pan Teodor. Pierwszych dni mało się pokazywał na folwarku, nie narzucano mu się wcale. Zamorscy, czym mogli, służyli, a potrzeba było czego

i nieustannie, bo w starym dworze wszystkiego brakło. On sam chodził ciągle z miną wesołą, z pokorą dzierżawcy dla dziedzica, z czołem pogodą jaśniejącym niewinnego w sumieniu człowieka. Pan Teodor zrazu przybity, wprędce, szukając rozrywki, sam począł chodzić po nią na folwark. Znalazły się panny w salonie, Liza występowała nie jak była zwykła, ale z jakąś sztuczną powagą i zabawną dystynkcją dziecinną. Wpadła w oko panu Teodorowi, ale w pierwszych dniach zdawała się stronić od niego, była zimną. Dopiero bliżej go poznawszy, odważyła się wystąpić w charakterze sobie właściwym. Jej powolnie rozmarzająca trzpiotowatość zachwyciła starego kawalera, ale mimo początkowej powagi obchodził się z nią prawie jak z dzieckiem. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby się mógł jej latom ośmnastu ze swymi pięćdziesięcioma zalecać.

Rozbudziło go to tylko i... dziwnym stowarzyszeniem idei wprowadziło na myśl ożenienia, ale z kimkolwiek bądź innym.

W ten sposób raz, postanowiwszy żenić się, wpadł pan Teodor na myśl starania się o... hrabinę Wandę. Prostoduszny człowiek wypowiedział się z tego sam na sam przed Zamorskim. W pierwszej chwili dzierżawca, zręczny zawsze, myśli tej przyklasnął, znalazł ją bardzo właściwą, szczęśliwą, piękną, doskonałą, następnie począł różne podsuwać trudności i wątpliwości.

Żona, przypuszczona do tajemnicy, przestraszyła się też zrazu, lecz po naradzie oboje się uspokoili tym, iż hrabina Wanda, gdyby nawet za mąż wyjść miała, pewnie by sobie stosowniejszego drugiego męża, a nade wszystko młodszego znaleźć musiała.

Zamorski jednak niezupełnie się tym zadowolnił.

Jak ono jest, to jest... człowiek zręczny i umiejący się kobietom podobać; diabeł nie śpi, trzeba tam kogo innego posunąć i sparaliżować te głupie konkury. Liza nie umie się też do niego wziąć!

— O, co to, bardzo przepraszam — przerwała żona — ja bacznie każdy krok jej uważam. Gdyby miała tę myśl, a pewno jej to do głowy nie przyszło, nie mogłaby rozumniej postępować. Dziewczyna ma takt i instynkt wrodzony, jak rzadko.

— Ale on ją ma za dziecko.

— To nic, tym lepiej; niech no się tylko rozpatrzy, rozmówi, nazwycza, no... zobaczysz.

Następnych dni znalazły się rozmaite pozory dla wciągania pana Teodora to na obiad, to na wieczerzę na folwark. Liza i Misia bawiły starego kawalera, a starsza, którą bolało, że ją za dziecko uważał, popisała się przed nim z niektórymi czytаныmi książkami, dowodzącymi okrutnej emancypacji. Matka, nie znając tych dzieł, nie mogła ocenić postępowania córki. Pan Teodor ogromne oczy otworzył i raźniej poszła rozmowa, która go wielce ubawiła. Mimo to, mówił sobie ciągle, że ma lat ośmnaście, a on pięćdziesiąt i coś, i że... mogłaby być jego córką. Nie przypuszczał więc nawet podobnego związku.

Omylili się oboje państwo Zamorscy na charakterze starego kawalera, w którym wielki udział brało lenistwo.

Jakkolwiek by mu się uśmiechało wziąć tak śliczną, młodziuchną dziewczynę, obawiał się tego więcej, niż pragnął.

Dreszcz go przechodził na myśl niepokoju, jaki by to szczęście wniosło z sobą do domu. Młodziuchna pani musiałaby się bawić, jeździć, trzpiotać, a staremu kawalerowi uśmiechał się już spokój domowy, cisza błoga i to szczęście bierne, które daje usunięcie się od walki i prądów gorętszych żywota.

Hrabina Wanda, która przeszła szkołę doświadczenia, była dlań ideałem; zdawało mu się, że i ona potrzebowała tylko odpoczynku i owej błogiej ciszy półsnu, półmarzenia, dolce far niente wśród zbytku i miłych stosunków przyjacielskich.

Tego usposobienia w panu Teodorze zręczni państwo

Zamorscy wcale nie odgadli, nie mogła go też zgadnąć Liza, która w młodej główce wystawiała sobie, że stary człowiek żywą młodością będzie pragnął ubiegłą swą przypomnieć i zastąpić. Trzpiotała się więc i zamiast go pociągnąć ku sobie, bawiła, ale przestraszała...

Stary kawaler, pełen uwielbienia, drżał na myśl samą takiej towarzyszką z żywego srebra.

Zamorski, nie zdradzając się wcale, gdy znowu mowa była o hrabinej Wandzie, rzucił tę myśl, że się w niej niegdyś kochał pan Krzysztof i że, któż wie, może on, mający pierwsze prawo do jej ręki, mógłby bliskiemu krewnemu mieć za złe, gdyby nie wspomniawszy mu nawet o swej myśli, nie starając się z nim rozmówić o tym, posunął się w konkury do wdowy. W ten sposób nieznacznie namówił go do odwiedzenia pustelnika w jego zamczysku. Sam zaś, mieszkając o granicę, znalazł pozór jakiś sąsiedzki do odwiedzenia hrabinej. Bywał on u niej za życia męża i po owdowieniu; odwiedziny więc nie mogły dziwić nikogo... Nie mówiąc o tym nic żonie, dobrawszy sobie bardzo zręcznie powód jakiś, z interesu wypływający, Zamorski włożył najlepszy frak, oblał się wódką kolońską, aby gospodarską woń, którą z sobą nosił, odpędzić, i jednego poobiedzia wyruszył, nastroiwszy bardzo poważne oblicze, do jasnie wielmożnej hrabiny.

VI

Piękny pałacyk w Zamostowie stał wpośród parku, utrzymywanego z wielkim smakiem i kosztem. Drzewa i kwiaty stanowiły jedyną zabawę i pociechę pięknej hrabiny, która wpośród nich tylko czuła się szczęśliwszą i weselszą. Stworzyła ona sobie z nich jakiś niby idealny świat, poza który rzadko się wychylała. Ogromny ogród ze starymi drzewami, ze stojącymi i drzemiącymi wody swymi, ze ścieżkami krętymi, gubiącymi się wśród cienistych głębin, był najulubieńszą przechadzką pani. Nieustannie coś tu sadziła, obcinała, poprawiała, przerabiała, sprowadzając drzewa, przypatrując się ich wzrostowi, tworząc sobie jakiś sztuczny cel w życiu, które już żadnego nie miało.

Samotne życie wiodła hrabina Wanda. Mieszkała otoczona liczną dosyć, ale milczącą służbą, z jedną niemłodą i bardzo nieładną towarzyszką, którą los najdziwniej jej narzucił. Panna Kornelia Salowska była krewną Wandy, zwała się jej cicią, ale że ten tytuł przykre na niej czynił wrażenie, zmieniła go na kuzynkę.

Panna Kornelia nigdy nie była ładną, nawet w roku piętnastym życia, gdy wszystkie kobiety mają chwilę wdzięku, jaki przynosi im rozkwit wiosenny. Z wiekiem, dochodziła bowiem do lat trzydziestu i siedmiu, panna Kornelia stała się przestraszając brzydką.

Twarz jej zwiędła od jakichś cierpień i zawodów, płeć ściemniała, znaczna część włosów znikła przedwcześnie; zostały jej tylko śliczna rączka biała, mała nóżka i kibić, z której szukała chluby, niezmiernie dbając o jej uwydatnienie, a na ostatek żywe oczy czarne, w których mieszkał jakiś ogień niespokojny. Jak wszystkie nieszczęśliwe heroiny, panna Kornelia miała nienawiść do świata, ohydę ludzi, najgorsze wyobrażenie o mężczyznach; lubiła plotki, cieszyła się nieco biedą cudzą, na ostatek hodowała koty i haftowała na kanwie ogromne, olbrzymie dywany, które miały w jej przekonaniu nie ustępować gobelinom.

Pani hrabina wzięła ją do domu przez miłosierdzie nad jej osieroceniem, gdyż panna Salowska wprzód mieszkała sama w małym dworku w miasteczku i przeklinała rodzinę, która, obawiając się jej złośliwości, domów jej swych otworzyć nie śmiała. Rzadko dwa charaktery mniej z sobą zgodne do wspólnego życia los sprzęga. Wanda była milczącą, smutną, poważną, patrzyła na życie z

łagodną rezygnacją dobrowolnej męczennicy; Kornelia, gadatliwa, gniewna, zła, posądzająca, zgorzkniała, nadawała sobie pozór nieznośnej sekutnicy. Trzeba było anielskiej cierpliwości, aby z nią wyżyć i nie oburzyć się czasami. Wanda nauczyła się uśmiechać, słuchać bez niecierpliwości i z wolna tylko łagodzić rozjątrzenie kuzynki. Litując się nad nią, starała się uprzyjemnić jej życie wszelkimi sposobami, było to wszakże prawie niepodobieństwem, gdyż panna Kornelia gwałtownie pragnęła wyjść za mąż, a znaleźć człowieka, co by ją odważył się poślubić, zdawało się niepodobieństwem.

Nie tylko znosić musiała Wanda przykre wybryki kuzynki i jej humory kwaśne, ale częstokroć wystąpienia jej wobec ludzi, co się stawało trudnym i kłopotliwym. Panna Kornelia bowiem z wielkim upodobaniem popisowała się przed wszystkimi ze swą ekscen

trycznością i zdziwione oczy hrabiny Wandy powstrzymać jej nawet nie mogły.

Dwie kobiety tak różnych temperamentów, zostawione same sobie, gdyż gości z początku niewielu bywało w Zamostowie, może dlatego wytrzymać mogły, że się tak charakterami od siebie oddalały. Wanda na próżno starała się nawrócić Kornelię na swoją spokojną, nieco fatalistyczną rezygnację; Kornelia zżymała się i niecierpliwiła na widok tego spokoju kuzynki, lecz ani do gniewu, ani do wybuchu chwilowego doprowadzić ją nie mogła. Niekiedy hrabinej twarz okrywał tylko purpurowy rumieniec, milczała czas jakiś, patrząc w okno lub na podłogę, i wracała do swego chłodu zwykłego.

— To kobieta z lodu i kamienia! — mówiła sobie panna Kornelia — nie ma serca, nie ma czucia, dobra jest, ale apatyczna, prawdziwie nie wiem, jak dla niej ludzie szaleć mogli. W rzeczy samej hrabina była ze wszech względów nieskończenie wyższą istotą, której taka panna Kornelia ani pojąć, ani ocenić nigdy nie mogła.

Rodzajem marszałka dworu był niejaki Wyżewski, niegdyś rejent i przyjaciel domu rodziców hrabiny Wandy, zubożały człowiek, przybity stratą całej rodziny i majątku, któremu Zamostów dawał przytułek od dawna. Poważnej postaci, siwy, prosto się zawsze trzymający, z sygnetem krwawnikowym na palcu, małowówny, smutny, rejent był nieposzlakowanej zacności człowiekiem i wielkiego serca. Jemu powierzona była zwierzchność nad służbą, a nawet nad gospodarstwem. Milczący zwykle, na pozór zimny, trzymający się z daleka Wyżewski oddawał znakomite usługi pani Wandzie i był aniołem stróżem Zamostowa, jak ona go zwać zwykła. Należało do niego właściwie wszystko, wglądał w każdy kąt i obawiano się go niezmiernie. Panna Kornelia z wielu a różnych powodów cierpieć

go nie mogła, lecz znosić musiała. Miał za to szacunek i wiarę u samej pani, dla której gotów był życie poświęcić. Nie on zresztą jeden we dworze żywił to uczucie dla hrabiny, miała ona tę władzę szczególną, którą niewiele kobiet posiada, że budziła przywiązanie dla siebie we wszystkich ją otaczających. Szanowali ją, nadszkwali i każdy się miał za szczęśliwego, gdy mógł jej uczynić jaką przyjemność.

Była też hrabina dla całego swego dworu prawdziwą matką; oko jej umiało dostrzec i odgadnąć łzę, niepokój, potrzebę każdą, a dłoń śpieszyła z chętną pomocą. Całe jej życie upływało na cichych takich uczynkach miłosierdzia, za które żądała tylko, aby jej nie dziękowano i aby o nich nie wspomiano. Jedno zarzucano pięknej, miłej i kochanej pani. Choć nie wahała się brudnego dziecięcia wieśniaczego wziąć na ręce, choć dla najmniejszych i najlichszych była pełną łagodności i dobroci, jej postać szlachetna, mowa powolna, skąpa, ubiór wykwintny i smakowny, całe jej

obejście się pańskie jakieś i trochę chłodne pozornie nadawały jej nazwisko arystokratki. Szlachta uważała ją za zbyt wielką panią i czuła się w towarzystwie jej nieco obcą i zakłopotaną. Smutek rozlany na twarzy, milczenie, rozważne odzywianie się odrzucały od niej wielu tych, co bliżej poznać jej nie mogli. Życie w Zamostowie płynęło bardzo spokojnie i jednostajnie; hrabina Wanda spędzała je na pielęgnowaniu kwiatów i ogrodu, na czytaniu książek i nut, które najczęściej, parę razy przegrawszy, odkładała na półkę, by ich więcej nie wziąć w rękę; na przechadzkach po parku i przejazdach po okolicy. Tego dnia wiosny, gdy pan Zamorski wybrał się w odwiedzin do Zamostowa, hrabina Wanda była właśnie z książką w ogrodzie. Na turkot wózka łąkająca gości i słuchaczy panna Kornelia, pospiesznie ścisnąwszy pasek na czarnej sukni i poprawiwszy loków

przyprawnych a l'anglaise w zwierciadle, wybiegła co najrychlej do przybyłego, nie wiedząc nawet, kto przyjechał. Właśnie kamerdyner wprowadził do salonu pana dzierżawcę i prosił go o cierpliwości chwilę, gdy żwawa kuzynka wpadła, szeleszcząc suknią, na powitanie gościa. Zamorski był jej dobrze znajomy, lubiła go nawet, bo słuchać umiał i uśmiechał się zęcnie na każde dowcipne jej słówko; był więc na tej pustyni bardzo pożądanym. — A! to pan — zawołała w progu zaraz — jakże się miewa kochany sąsiad, jak pani i córeczki. Co słyhać u państwa i co szanownego pana do nas sprowadza, bo, prawdę powiedziawszy, do naszych uroczystych nudów nikt się nie zgłasza z dobrej woli, chyba go interes zmusi! Nieprawdaż? — A! pani dobrodziejko! — zaprotestował Zamorski z głębokim ukłonem — jakże można... — Ale prawda przede wszystkim, mój panie Zamorski, tak! tak! Siadaj pan, proszę — szczebiotała

panna Kornelia, rada, że się jej ktoś do rozmowy trafił — kuzynka zaraz nadejdzie z ogrodu, bo jej poszli dać znać, jeśli tylko się zbyt daleko gdzie z marzeniami nie zabłąkała! bo — dodała poufnie ciszej, z pewną złośliwością — my lubimy marzyć jeszcze.

Zamorski milczał i słuchał; odwróciła zaraz rozmowę. Cóż u państwa słyhać? Dzierżawca się zamyślił.

A, chyba tyle, że mamy miłego gościa, mojego dziedzica, zatem czas nam spływa przyjemniej.

E! e! — poczęła Kornelia — czyżecie państwo mu tak radzi? Stary, nudny kawaler, który młodego jeszcze chce udawać. Panny musi nudzić.

Myśmy nie tak wybredni, pani dobrodziejko.

Chyba — wrzuciła panna Kornelia — mnie się wydał niesmacznym i w pretensjach.

Dzierżawca, któremu o dziedzicu nic złego mówić nie wypadała, spuścił oczy.

— Mnie się zdaje — szepnęła, przysuwając się, stara panna — że on się jeszcze gotów ożenić i że w tej myśli do kraju powrócił. Jak pan sądzi?

— Nic nie wiem i nie umiem wnioskować — rzekł ostrożnie Zamorski — bardzo by to być mogło.

— Ja panu więcej powiem — dodała, przelotny rzut oka obwodząc dokoła, jakby się lękała, ażeby ją nie podsłuchano — mnie się wszystko zdaje, że on kuzynkę Wandę ma na myśli.

Spojrzała w oczy dzierżawcy, który chwilę pomilczawszy zdecydował się wreszcie bąknąć.

— Wie pani dobrodziejka, że... że to by bardzo być mogło.

— Widzisz pan, żem odgadła! ja mam dosyć bystre oko — dorzuciła panna Kornelia — ale to nie ma sensu dla tych, co Wandę znają. Najprzód ona wcale za męża iść nie myśli; po wtóre, trudno, by się jej mężczyzna podobał, a...

A i to nie jest dla nikogo tajemnicą — rzekł ośmielony Zamorski — że niegdyś się w hrabinie kochał, pono nie bez wzajemności, pan Krzysztof Pobóg, a stara miłość.

Tak! tak! słyszałam o tym, ale przestrzegam pana, że tu nazwiska tego wspominać nie wolno — poczęła żywo panna Kornelia. — Może i to dowodzi, że o nim niezupełnie zapomniano, może, iż do niego zachowało się w sercu żal, ale to pewna, że ile razy przypadkiem napomknęłam o nim, zawsze się odwracała, udając, że nie słyszy; ale mówmy lepiej o panu Teodorze. Skądże mu ta myśl małżeństwa odezwała się tak późno?

Nic pani o tym powiedzieć nie umiem — szepnęła, w kapelusz patrząc, Zamorski — mnie się z niczym tak dalece nie zwierzał.

— A to zabawna rzecz będzie, konkury starego kawalera do młodej wdówki! — rozśmiała się panna Kornelia — nie trzeba by mu przeszkadzać, niechby wziął harbuza. Cha! cha! niechby się rozkochał do szaleństwa, to by było bardzo, bardzo zabawne! Na wsi musimy się ratować choć takimi dramatami, bo życie okrutnie nudne i jednostajne. To go tu Pan Bóg zesłał, prawdziwie, na pociechę naszą.

— Ja, jako wierny sługa szanownego mego dziedzica, żałowałbym go — dodał Zamorski.

— A! cóż mu się tam stanie — odparła Kornelia — w dwudziestu latach chłystki to sobie przynajmniej w łby strzelają, ale taki zawiądy kawaler...

I zaczęła się śmiać stara kuzynka, zacierając ręce. Właśnie wśród tak zajmująco rozpoczętej rozmowy weszła powoli z ganku od ogrodu hrabina Wanda ze zwykłą sobie powagą i spokojem. Zamorski, który ją dosyć dawno nie widział, uderzony był, jakby po raz pierwszy, wdziękiem tej postaci, zachowującej cały urok młodości, spotęgowany tylko dojrzałością, która go posągowym,

uroczystym oblała spokojem. Oczy jej i usta jak niegdyś, w pierwszych latach, piętnował smutek i uśmiech ożenione z sobą melancholijnym, poetycznym twarzy wyrazem. Wanda chodziła zwykle czarno i bardzo skromnie ubrana, ale z niezmiernym staraniem i smakiem. Piękność jej, można powiedzieć, była składową częścią charakteru; chciała być piękną, nie będąc zalotną, czując, że taką stworzyła ją natura, że jej taką być kazała. To staranie o siebie posuwała do drobnostek piękna hrabina, chociażby miała być sama z sobą, choćby nie przyjmowała nikogo oprócz służącej. Potrzebna jej była ta piękność zewnętrzna dla samej siebie. Nie zdawała sobie z tego sprawy, instynkt ją prowadził, lecz ten był tak silnym, że się mu oprzeć nie umiała ani chciała. Zamorski powstał na widok tego zachwycającego

zjawiska, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, jakie ono na nim, równie jak na innych, nie mniej prozaicznych czyniło istotach. Kornelia wstała także z krzeselka żywo i trzpiotowato nad wiek.

— Jakżeśmy to dawno pana w Zamostowie nie widzieli — odezwała się piękna pani, podając śliczną białą rączkę panu dzierżawcy. — Kuzynka pewno panu powiedzieć musiała, jak my tu samotne jesteśmy... sąsiedzi o nas zapominają.

— Pani hrabino dobrodziejko — kłaniając się, odparł jowialnie dzierżawca — ze mnie prostego hreczkosieja niewielka pociecha. Człowiek stworzony do pracy, nie do salonu.

— Jedno się z drugim godzi, panie Zamorski.

— W łaskawych oczach pani hrabiny — rzekł śmiejąc się dzierżawca.

Usiedli. Panna Kornelia, rzuciwszy okiem szyderskim na szlachcica, wyszła zaraz, gdyż do jej atrybucji należały podwieczorki i herbata, a lubiła się rządzić w garderobie i po domu. W niedostatku rozmowy zadowalniała się nawet paplaniem ze służącymi, którzy nie bardzo jej jakoś słuchali i

niezbyt szanowali.

Po krótkim wstępie, pragnąc czymś usprawiedliwić przybycie swoje, Zamorski począł mówić o jakimś wymarzonem interesie małej bardzo wagi. Szło o coś takiego, co wybornie sam pan rządca mógł, nie odwołując się do pani, rozwiązać; hrabina Wanda w kilku słowach zbyła się sprawy i rzecz była skończoną. Szlachcic jednak, grając rolę nadzwyczaj sumiennego człowieka, usiłował się wytłumaczyć z natrętności.

Pani hrabina dobrodziejka raczy mi darować — rzekł, ciskając kapelusz w rękach — iż ją trudziłem taką bagatelą, ale nie chciałem bez jej wiedzy uczynić kroku. Wprawdzie łąki, których mi potrzeba, dostałbym może w lasach u pana Krzysztofa Poboga...

Tu spojrzął na hrabinę, której twarz okrył nagły ru

mieniec i wprędce niezwykajna bladość: zwróciła oczy w stronę, usiłując odegrać obojętność; pan Zamorski mówił dalej.

— Ale z panem Krzysztofem, którego my nazywamy pustelnikiem, nadzwyczaj sprawa ciężka. Nie żeby to miał być zły człowiek, i owszem, ze wszech miar szanowny dziwak, ale do niego przystąpić niepodobna. Jak się raz zamknął na tym zamku ze starym sługą, ludzkie oko go prawie nie widziało. Od ludzi ucieka formalnie, zakazał kogokolwiek bądź przyjmować.

Hrabina, ochłonawszy, zdawała się słuchać z pewną ciekawością nie przerywając wcale; Zamorski mówił, uśmiechając się z wolna, jakby nie czuł, jakie czyni wrażenie, i niczego się nie domyślał. Udawał dobrodusznego.

— A już to, że o takiego drugiego oryginała trudno, to pewna — mówił Zamorski. — Całe dnie i tygodnie spędza czasem w lesie, śpi po budach, albo u swojego strzelca, kawałkiem chleba i wodą

żyć gotów, byle głód zaspokoił, a z daleka cień ludzki zobaczywszy, zmyka jak przestraszony.

Hrabina nie odzywała się ni słowa.

Raz, przypadkiem zabłądziwszy — mówił dzierżawca — znalazłem się w lesie pod tym jego zameczkiem, w którym on mieszka. Ruina, powiadam pani hrabinie dobrodziejce, ruina dla puszczyków, nie dla ludzi, dziura okropna. Wkoło gęstwina lasów nieprzebyta. Ja nie wiem, jak ten człowiek tam sam lat tyle przeżyć może.

Mnie się to tak dziwnym nie wydaje — przemówiła wreszcie hrabina Wanda — nawykł do tej samotności i jeśli mu z tym dobrze...

Zapewne; ale szkoda takiego człowieka — rzekł Zamorski — ci, co go dawniej znali, odchwalić się nie mogą, i zdolności, i charakteru, i serca pana Krzysztofa.

— Ruina majątkowa do tego musiała go przyprowadzić — cicho i w stronę patrząc, z pewną obojętnością rzekła hrabina.
— Terazże, dzięki Bogu, Pobogowie z niej wyszli tryumfalnie — odezwał się Zamorski — pan Paweł odkupił cały majątek familijny; dorobił się bardzo szczęśliwie.
— Słyszałam o tym — wtrąciła hrabina — ale pan Paweł ma rodzinę i z bratem dzielić się nie poczuje pewno w obowiązku.
— Przepraszam panią hrabinę — rzekł żywo Zamorski — wiem najpewniej, że oto w tych dniach pan Paweł się wdarł niemal gwałtem na zamek brata, ażeby mu ofiarować pobyt w swych dobrach, gdzie by sobie życzył. Hrabina spojrziała ciekawie i pytająco.
— No i pan Krzysztof zbureczał tylko podobno brata i nie tylko nie przyjął ofiary, ale go odprawił ostro... ostro... Wanda oczy spuściła, nie odpowiedziała nic.

I mój pan dziedzic tam był także śmiejąc się ciągnął dalej dzierzawca. No, z tym, że byli w przyjaźni dawniej, więc jako tako jeszcze poszło, rozmówili się podobno dosyć znośnie. Cóż po tym, człek ów, jak był dziki, tak został. Pan Teodor powiada, iż zauważył, że mu się drugi raz nawet tam dobić będzie trudno.

Pan Teodor długo tam był? spytała hrabina.

Kilka godzin. Powróciwszy, taki był przejęty widokiem i tej ruiny, i tego puszczyka, że nie mógł się przed nami o nim nagadać cały wieczór.

Cóż mówił? zapytała chłodno hrabina.

A, opisywał nam wszystko, dobrowolne to spartańskie jego ubóstwo, chleb razowy, pootłukane talerze, stare sprzęty, zamek ciemny i smutny, starego sługę, co tam z nim mieszka... gospodarstwo... psy. Mówiąc, Zamorski wpatrywał się ciekawie w hra

binę, lecz z jej oczów spuszczonej i marmurowej fizjognomii nic już oprócz obojętności chłodnej wyczytać nie mógł. Zabierał się opowiadać dłużej jeszcze, gdy niespodzianie zmieniając rozmowę, pani Wanda zapytała go o żonę i dzieci.

Było to znakiem, aby ją nudzić zaprzestał, zmieształ się pan dzierżawca i grzecznie odpowiedział krótko na pytanie, zamilkł. Zaczęto mówić o pogodzie, o wiosnie, o wszystkim tym, o czym się mówi, gdy się o niczym nie chce rozmawiać ważniejszym.

Podano herbatę, gość przeszedł do salonu, a tu zjawił się wyprostowany pan rejent, zwołany, jak się zdawało, aby pomógł bawić szanownego Zamorskiego. Urodzaje wiosenne, wyjście ozimin spod śniegów, wschody jarzyny, wróżby urodzajów przyszłych wyszły na stół, hrabina zdawała się tym mocno zajmować. Panna Kornelia ziewała nieprzyzwoicie.

— Ale, mój kochany panie sąsiedzie — rzekła w końcu zniecierpliwiona — przyjeżdżacie tak

rzadko, iż moglibyście, jadąc, zrobić sobie prowizję jakich takich nowinek, a nie prawić nam, kobiecie, o łąkach, polach, zasiewach i innych tego rodzaju ekonomicznych interesach. A dasyćże już tego. Mów pan! chce się kto żenić? rozwodzi się kto? kocha? stara? umiera? kłóci?

Ale ja jestem stary hreczkosiej — rzekł Zamorski.

O tym słyszałam już i nie raz — rozśmiała się panna Kornelia — nie przeszkadza to panu być grzecznym, a grzeczność wymaga, abyś nas bawił, choćbyś miał kłamać.

Uśmiechnęła się hrabina.

Przez kwadransik wtrąciła Kornelia — gdym miała przyjemność rozmawiać sam na sam, tétéatété z panem Zamorskim, dobytek tylko z niego jedną wiadomość ciekawą, że pan Teodor ponoć ma matry

monialne zamiary. W ogóle nieokreślone, bez celu, ale że się chce ożenić, aby miał kogoś, co by jego nieochybną pedogę pielęgnował — to pewna.

— Pan Teodor? — spytała hrabina powoli — pan Teodor nie jest jeszcze tak stary.

— Daleko starszy niż jego metryka — ciągnęła nielitościwa stara panna — żył prędko i zamasył i zapas lat swój wyszafował prędzej niż drudzy. Mąż z niego będzie najnieznośniejszy w świecie, za to ręczyć mogę. Nie ma straszniejszych małżonków nad starych kawalerów.

— A stare panny? — po cichuteńku, patrząc na swój talerz, wybąknęła nieśmiało, i jakby mimowolnie, milczący rejent, bo mu się to widocznie wyrwało bez wiedzy, aż się przestraszony obejrzał, posłyszawszy sam te wyrazy, w nadziei, iż może uszły ucha słuchaczy.

Ale wybuch nagły śmiechu przekonał go niestety, iż próżno sobie pochlebiał, że mu to ujdzie bezkarnie. Nie mogła się wstrzymać od śmiechu hrabina, rozśmiała się Zamorski, panna Kornelia

śmiała się także, lecz mściwym okiem, gniewu pełnym rzuciła na reagenta. Było to jakby wypowiedzenie wojny nieubłaganej.

Epizod ten rozmowę sprowadził z toru, jakim się toczyła. Panna Kornelia obróciła w żart przymówkę, Zamorski bardzo zręcznie jakoś wplątał znów w opowiadanie swe pana Krzysztofa, lecz tym razem hrabina zwróciła oczy w inną stronę, zdawała się nie słuchać wcale i nie wmięszała się już ani słowem do rozmowy. Pod koniec jej nawet wstała od stolika i poszła coś obejrzyć w wazonikach, które ustawione były przed oknami. Zamorski zręcznie zaczął mówić o czym innym.

Gdy po herbacie pożegnał hrabinę i odprowadzony przez reagenta do ganku, znalazł się znowu na swej bryczce pan dzierżawca, począł rozbierać w myśli

wszystkie szczegóły pobytu, rozmowy, wrażeń i wnioski z nich wyciągać, zdało mu się, iż mógł być spokojnym co do projektów pana Teodora.

— Tu on nic nie dokaże — rzekł w duchu — ta kobieta albo nikogo nie kocha, albo jeszcze zachowała miłość dla pana Krzysztofa. Gdyby ich do siebie zbliżyć, byłoby to prawdziwie, prawdziwie rozumnie, pięknie i uczciwie, a nie zaszkodziłoby dla bezpieczeństwa, bo... a nuż się kobieta znudzi, a nuż pan Teodor, kat go tam wie, znajdzie jaką zarosłą drożynę do jej serca. Hej — zawołał nagle, jakby myślą jaką uderzony, Zamorski do woźnicy — hej, słyszysz, zbrocz no tak, abyśmy do chaty Wilczka zajeżdżać mogli, mam z nim coś do pomówienia!

Z Wilczkiem, który znajomości ani szukał, ani unikał, pan Zamorski, jako sąsiad, spotykał się czasami, a był z nim, jak ze wszystkimi, w doskonałej zgodzie i przyjaźni. Pochlebiał mu nawet, wedle swojego obyczaju, wynosząc wielce jego naturalny, zdrowy rozsądek. Wilczek miał ludzką

naturę, bądź co bądź, pochlebstwo mu smakowało trochę, dobrodusznie Zamorskiego miał za prostego a serdecznie poczciwego człowieka.

Rzadcy bywali goście u Wilczka, bo i on też w domu nie siadywał, częściej bywał w lesie i na granicach. Gdy bryczka, gościńcem ponad Pobogowszczyzną idąc, zatrzymała się i przed wrotkami wysiadł z niej pan Zamorski, przeciwko któremu pobiegł, zawzięcie szczekając, Grzmiłas, a za Grzmiłasem piękna Dosia i chłopiec, w chacie państwa Wilczków wszystko się zerwało na nogi. Stary tylko co był z lasu powrócił, poznał zaraz po koniach i po wzroście a postawie Zamorskiego i ohotnie ku niemu wyszedł sam. Grzmiłasowi nakazano, aby się przyzwocić znajdował, Dosia otworzyła wrotka i pan Zamorski, witając ją uprzejmie, wszedł na łączkę przed chatą.

Wilczek stał też z odkrytą głową, wyszedłszy na gościa spotkanie. Dzierżawca podał mu rękę.

— Jakże się miewasz, szanowny sąsiedzie — odezwał się wesoło — kopę lat, kopę, jakeśmy się nie widzieli.

— Ano, prawda — odparł stary — ale co pan chce, wy pracujecie w polu, ja w lesie, ludzieśmy niewolni, jak Bóg przykazał, w pocie czoła chleb pożywamy. Każdy idzie swoją drogą, a drogi nasze rzadko się schodzą.

— Prawda! prawda! rozumny z was człek, panie Wilczek, rozmówić się z wami miło — począł, idąc ku chacie, Zamorski — dlatego, wracając z Zamostowa, a mijając wasz dworek...

— E! chałupę — poprawił Wilczek.

— Dom — rzekł Zamorski — zachciało mi się wstąpić, aby was zobaczyć.

— Bóg zapłać! Czymże jegomości mam przyjmować? — Dobrym sercem — przerwał Zamorski — niczym więcej.

Świeżuteńkie mleko! — rzekł Wilczek. Dosia, daj szklankę, to nie może zaszkodzić.

A, proszę — ozwał się Zamorski i nie wchodząc do chaty, usiadł na przyźbie, Wilczkowi, który stał, wskazując miejsce obok siebie.

Dosia zawinęła się żywo około mleka. Zza drzwi pokazała się blada twarz pani Wilczkowej i znikła.

Bardzo sobie tu pięknie mieszkacie — ozwał się Zamorski, oglądając dokoła — dalipan, do zazdrości.

W istocie, ani w raju by mi lepiej być nie mogło — począł patetycznie zawsze Wilczek. Nie ma dnia i godziny, żebym w duszy temu zacnemu człowiekowi nie dziękował, który mi tu dał przytułek. Tu mi się dopiero wieść poczęło, tu odetchnąłem i zasmakowałem w życiu. Niech mu Bóg po wsze czasy błogosławi.

— Zacny człowiek, to prawda, ale że dziwak, to dziwak — wtrącił dzierżawca.

— Dlaczego dziwak? — ofuknął Wilczek — albo on nie ma prawa drugich tak samo nazywać? Czyni to, co jego naturze przystało! Wszak ci wszystkich pustelnikami robić nie myśli? to by było dopiero dziwactwo. Każdy ma swoje potrzeby i widzimia.

— Tak — poprawił się Zamorski, biorąc mleko, które Dusia w szklance ogromnej na talerzu mu przyniosła, i uśmiechając się do pięknego dziewczęcia — tak, masz waćpan słusność, ale mi żal tego człowieka, bo się marnuje, a mógłby być pożytecznym.

— To trudno — rzekł Wilczek powoli — za późno na to radzić.

— Ale, ba — mówił Zamorski, obejrzawszy się i sądząc, że go nikt oprócz Wilczka nie słucha, bo Dusia, podawszy mleko, skryła się za zrab ode drzwi — na to by była rada może.

— Jaka? — zapytał Wilczek.

— Znasz waćpan jego historię? — rzekł Zamorski cicho.

Pięte przez dziesiąte przerwał stary coś się słyszało, trochem się domyślał. Z bratem byli źle.

E! to nic — mówił Zamorski, znizając głos. Pan Krzysztof się w młodości srodze kochał w pannie, którą potem wydali niemal gwałtem za hrabiego z Zamostowa.

Ano, to wiadomo.

Otóż mu ta miłość pono odjęła ochotę do życia z ludźmi — kończył dzierzawca — ale cóż? Pan Bóg, wypróbowałszy oboje, mógłby ich teraz zbliżyć ku sobie. Hrabina owdowiała, ten nie żonaty, hę? co waść myślisz, a tożby mogli się zejść znowu!

Ale! ale! — niedowierzająco potrząsając głową, odezwał się Wilczek po namyśle — mnie się to nie widzi. Jak się raz taka złota nić urwie, mój panie drogi,

już jej potem nie złatać. I po co? któż to tam wie, czyby szczęście znaleźli, oboje zgorzkniawszy, oboje się zmieniwszy, hę! hę!

Zamorski patrzył na starego, który mówiąc to, nagle sobie przypomniał ową wycieczkę pana Krzysztofa pod płot zamostowskiego ogrodu i — uderzony tym wspomnieniem spuścił głowę, uciął i umilkł.

Tak to przerwanie dziwaczne było widocznym skutkiem myśli jakiejś wewnętrznej, która nagle przyszła Wilczkowi, iż dzierzawca to postrzegł i wtrącił:

— O czymżeś się pan zamyślił tak, panie Wilczek?

Leśniczy stał, jak rażony, z głową spuszczoną, nie chciał mówić, a nie wiedział, jak się wytłumaczyć.

— E! to tam nic, nic, to ja tak sobie kombinuję — westchnął po chwili stary — kombinuję, ano, dziwne ludzkie sprawy, dziwne.

Waćpan, co go tak kochasz i w którym on ma zaufanie, pan, co do niego masz łatwiejszy przystęp nad innych począł dzierzawca waćpan byś powinien mu to poddać przecie, aby chociaż szczęścia spróbował. Niechby wylazł trochę, choć gwałt sobie zadawszy, z tej leśnej skorupy. Będzie mu źle, któż broni do niej powrócić? A ja waćpanu powiem pod sekretem, między nami, że mi się zdaje, iż... Tu się pochylił do Wilczka. Mnie się zdaje, że w Zamostowie na niego czekają, hę?

Stary Wilczek zadumał się, ręką powiódł po czole, westchnął, obejrzał się. Zamorski wstał z przyzby właśnie i powoli począł iść ku wrotom z panem Wilczkiem, zamyślonym głęboko.

Osobliwszą mi to rzecz powiedzieliście mruknął stary tak cicho, jakby się lękał sam siebie i własnego głosu może gdyby sumienie dopuściło, i ja bym mógł co do tego dodać nie mniej szczególnego, ale muszę milczeć. Nie godzi się, nie godzi.

Zamorski spojrział ciekawie, leśniczy wstrząsnął tylko głową i powtórzył:

— Nie godzi się.

Dopytywać nie śmiał dzierzawca, aby nie obudzać jakiegoś podejrzenia, obiecywał sobie drugim razem dobadać się więcej. Pożegnali się u wrót, pan Zamorski z dala stojącą Dosię salutował, siadł na bryczkę i odjechał.

Wilczek, ręce powkładawszy w kapotę, powracał do domu, gdy mu Dosia zapłoniona drogę zabiegła przed samymi drzwiami. Jakiś dziwny wyraz zmienił jej twarz, zwykle spokojną i uśmiechającą się poważnie, zdawała się niemal rozgniewaną.

— Bóg widzi — zawołała do ojca — żem nie podsłuchiwała was, samo w uszy wpadło, ale cóż bo ten pan plótł? Co? oni naszego jegomości chcą żenić? czy co?

Wilczek spojrział na dziecko i zdziwił się, tak Dosia była oburzoną i rozdrażnioną.

— A to piękna rzecz! — dodała żywo — piękna rzecz! A jemu to na co? Chcą go znowu wciągnąć

tam, skąd on musiał uciekać, tak mu dopiekło. Piękni ludzie! dobrzy przyjaciele! nieprawdaż, tatku? I jeszcze chcą się wami do tego posługiwać? Zapewne!

Wilczek patrzył zdziwiony tym wystąpieniem.

A tobież, dziewucho, co do tego? zapytał bez gniewu, ale serio hę?

Jak to? a toć my go tu wszyscy kochamy jak ojca dodała Dosia i pozwolimy na to, żeby mu kamień do szyi przywiązali tacy przyjaciele, jak oto ten.

Skądże wiesz, że kamień? dziecko jakieś! śmiał się dziwnie Wilczek cóż tobie jest?

Co? złości mnie biorą! mówiła Dosia. Skąd taka nagła miłość dla naszego jegomości, skąd ta opieka? Toć to wszystko niedaremne. Gdyby oni go kochali, mieli czas przecie wcześniej o nim pomyśleć.

— A co ty tam rozumiesz! — westchnął stary — ot, nie bałamuć lepiej i idź matce pomagaj. Po co tobie i nam mięszać się w te sprawy. Co nam do tego, co on z sobą pocnie?

Zawstydziła się nieco Dosia, fartuszek podniosła ku zapłonionej twarzy, popatrzyła na ojca, pokraśniała mocniej jeszcze, zamilkła, zawróciła się nagle i pierzchnęła w głąb chaty. Wilczek zadumany siadł na przyźbie i powoli zaczął swoją fajeczkę nakładać, ale czoło mu się pofałdowało i posmutniał dziwnie, a gdy Wilczkowa wieczereć podała i Dosia przyszła mu o tym oznajmić, musiała trzy razy jedno powtórzyć i ojca w ramię trącić, nim ją posłyszał i zrozumiał.

VII

Pan Teodor nudził, się mocno. Aby to sobie wytłumaczyć, trzeba było znać przeszłość jego. Rozpieszczony niegdys przez matkę, gdy się uczuł swobodnym, puścił się w świat szukać tych wszystkich mniemanych rozkoszy życia, których nie zakosztował jeszcze. Był swobodny, młody i majątny, wszystko więc dlań stało otworem i świat zdawał mu się uśmiechać. Pan Teodor, który marzył długo i wiele, w którego wyobraźni gorącej zawczasu płomieniste przyszłości wypiętnowały się obrazy, niezmiernie zdziwiony przekonał się wkrótce, iż rzeczywistość nie odpowiadała wcale powziętym o niej nadziejom. Usiłował więc, przypisując to nieszczęśliwemu trafowi, szukać swych

ideałów coraz gdzie indziej; przez chwilę czasem łudził się, że je znajdował, ale wkrótce doznawał nowego zawodu. Zużywał się tak na nieszczęśliwe próby, płynęły lata, uciekała młodość, w końcu trzeba było przyznać się przed samym sobą, iż szczęście i ideały gdzie indziej chyba być musiały albo ich nie było wcale. Po wysiłkach nastąpiło zniechęcenie, znużenie, niesmak do życia, brak celu w nim i znękanie, które spowodowało powrót na pogardzone domowe śmiećko. Do straconych złudzeń należało i przekonanie o własnej wartości. Pan Teodor wybrał się w świat, pewien, iż będzie jedną z najcenniejszych ozdób jego, musiał

się przyznać sam przed sobą, że bardzo podrzędną na nim grał rolę. Wyścigali go nawet pośledniejsi od niego w ogóle, ale szczęśliwiej uposażeni w środki popisania się przed ludźmi ze szczupłym zasobem. Kilka razy panu Teodorowi zdawało się, że dosięga pożądanego w społeczeństwie stanowiska, wprędce jednak tracił je przez jakiś fatalizm niepojęty.

Włoska księżna, piękna i młoda wdowa, z którą się miał ożenić, odbitą mu została przez jakiegoś Anglika daleko nadeń ekscentryczniejszego, starszego i, jak on utrzymywał, głupszego; znakomita artystka, Francuzka, której geniusz słynął naówczas w całej Europie, była nań bardzo łaskawą, ale względy te podzielał z tylu innymi, iż na wartości straciły. Starał się potem o młodą i piękną Angielkę, która miała być milionową dziedziczką, a pokazała się zrzęzną awanturnicą.

Wśród tych przygód nie zbywało na pojedynkach, na otrzymanych ranach i na znacznych kosztach doświadczeń przedsiębranych. Miłość, również jak przyjaźń, zawodziła. Pan Teodor dziwił się sam

sobie, jak mógł podejrzanym często awanturnikom brać za bardzo przyzwoitych ludzi, jak się dawał zgrywać graczom, wyzyskiwać szalbierzom i wystawiać na śmiech chłystkom niepoczesnym. Otwierały mu się oczy za późno zawsze i gdy już przypłacił omyłkę. Londyn, Paryż, Bruksela, Rzym, Neapol, Wiedeń, Berlin, nie licząc stoliczek pomniejszych, dawały mu z kolei schronienie. W każdym z tych miast zrazu mu było doskonale, z zapalem robił znajomości, unosił się nad nimi, lecz po jakimś czasie opadały one, jak powiędłe kwiaty, i zostawiały po sobie zeschnięte łodygi kolące. Nikt lepiej może nie znał Europy nad pana Teodora, jej gospód i gościńców, latem uczęszczał do wszystkich wód, których zdrowie jego wymagać miało, zimą wędrował do miast; przez jedne stosunki łatwo do drugich dochodził; wciskał się w koła arystokratyczne, bo te mu były naj

upodobańszymi, unosił się nad bohaterami salonów, ale niesmak przychodził wprędce. Nikt nie był w tej mierze nieszczęśliwszym nad pana Teodora: zbyt miał wiele rozsądku, aby się długo dał oszukiwać, a nadto pragnął być oszukany, żeby zrazu nie rzucić się na oślep w matnię. Przyszło do tego, że w duchu zazdrościł ludziom ślepszemu od siebie i nie przeglądającym tak jasno do głębi charakterów.

Powrót do kraju był dlań ostatnim ratunkiem. Na progę i tu zawód go oczekiwał. Znalazł swą Zieleniewszczyznę pustką okropną, ruiną; Olszaka zniedołężniałym opojem, a majątek zawikłanym. Szczęściem na zręcznym do zbytku, ale pozornie dobrodusznym Zamorskim nie poznał się swym obyczajem pan Teodor, wziął go za jednego z tych wieśniaków serdecznych, o których słuchiwał niegdyś z tradycji. Zamorski wydał mu się niezmiernie poczciwym hreczkosiejem, dorobkiewiczem, względem którego nie potrzebował nawet mieć się na ostrożności. Cieszyło go, że tu przynajmniej

zbroję nieufności zrzucić może, niewiarę odłożyć na stronę i słów z ust wychodzących nie pilnować. Rozebrał się ze swych podejrzeń, jak czasem ludzie po balu zrzucają suknie i wdziewają wygodne szlafroki. Wszystko w domu Zamorskich zdawało mu się naiwne, proste, szczere, niekłamane, niefarbowane, wieśniacze: jak Bóg stworzył. Zakochał się prawie w Zamorskim, rozmiłował w samej jejmości, panny go bawiły, bo nie podejrzewał ani ich kolorów o róż, ani cery o bielidło, ani wyrazów o rachubę.

Liza wydała mu się uroczą postacią z obrazka Greuze'a, Misia jakby kreacją Ary Scheffera, folwark idyllą, nieco szorstkimi rażącą stronami, ale za to wcale nie teatralną i nie przebraną. Pomimo to na myśl mu nie przyszło nawet, ażeby Greuze i Scheffer ze swymi twory co więcej nad chwilową rozrywkę w życiu jego stanowić mieli.

Zamorski, trzeba przyznać, umiał nadzwyczaj trafnie obchodzić się z dziedzicem. Prowadził go instynkt ów chłopski, który często prześciga najmądrzejszą rachubę.

Nie ciągnął do swojego domu dziedzica, zapowiedziawszy mu z góry, że w nim wykwińskiego towarzystwa, do jakiego nawykł, nie znajdzie. To, co w nim znalazł pan Teodor, po tej zapowiedzi tym piękniejszym mu się wydać musiało. Podobali mu się wszyscy, aż do służącej, która na folwarku równouprawnioną była do usług razem z lokajem w liberii na starszego robionej.

W starym dworze było nieznośnie, ciekło, wiało, cuchnęło; natychmiast trzeba się było wziąć do niezbędnych reperacji, a że pan Teodor stuku i hałasu znieść nie mógł, choć się odgraniczył od rzemieślników, zbiegał często na folwark, aby na nieład nie patrzeć.

Tu go po prostu, ale serdecznie przyjmowano. Nie występowano wcale i wiejska prostota obyczajów

dopuszczała wiele wybryków, które zawsze na korzyść państwa Zamorskich wypadły.

Ils sont adorables de naïveté! mówił pan Teodor, nie przypuszczając, aby tak doskonale naiwność odegrywać było można.

Zamorski wybiegał do gospodarstwa, pani do spiżarni, Misia do gołębi, a Liza zawsze przypadkiem jakimś bawiła dziedzica. Zbliżała się doń jak dziecko niedoświadczone, wdzięczyła, niby sama o tym nie wiedząc, pan Teodor zachwycał się, lecz... lecz ostatecznie nie podziałało to nań w ten sposób, jak się spodziewano.

Ten świat sielankowy nie był dlań jego światem; pan Teodor czegoś innego pragnął.

Po bytności w Zamostowie rozgorzał miłością starego kawalera dla hrabiny Wandy. To była idealna

żona dla niego: piękna, poważna, urocza, arystokratyczna, znużona, jak on, światem i z sercem ukołyszonym po burzy. Przyjęto pana Teodora bardzo dobrze i bardzo zimno; rachując się z sumieniem, stary kawaler przekonał się, że zdobyć rękę i serce hrabiny było trudno. Cóż on jej przynosił z sobą? Nic nad trochę dowcipu, sarkazmu i doświadczenia, które nie były tu żywiołem ani pożądanym, ani może nowym.

Powiedział więc sobie, opierając się na pewnych danych z życia wydobytych, że powinien był, grając rolę obojętnego przyjaciela, stać się niezbędnym, uczynić koniecznym, choćby tylko jak od nudów lekarstwo.

Systematycznie więc przedsięwziął oblegać tę fortecę, nie śpiesząc ze szturmem, który by go mógł od niej odpędzić na zawsze. Miłości udawać nie chciał, rachował na uwielbienie, szacunek i przyjaźń.

Będę bywał mówić w duchu przyzwyczaj się widywać mnie, starać się będę zabawiać ją, postaram się o kwiaty, zostanę bodaj ogrodnikiem, będę woził książki i nuty, zaprzęę się do służby, któż wie? a mam czas!... przywiązanie powoli przyjść może.

To "mam czas", nie bardzo było obmyślanym, gdyż w istocie, mimo starannego zachowania resztek młodości, na nie długo ich mogło starczyć panu Teodorowi.

Dwa razy w tydzień, jak febra, nieuchronnie zjawiać się postanowił w Zamostowie; panna Kornelia nawet go febrą po cichu przezwalała, z czego zaledwie się uśmiechnęła hrabina, która pozostała nie tylko chłodną dla gościa, ale zdawała się z każdym dniem być z nim ceremonialniejszą. Po jednych z takich odwiedzin wróciwszy przed wieczorem smutny czegoś do domu, pan Teodor tylko co zasiadł dumać w swoim krześle, gdy go hałas rzemieślniczy do niecierpliwości

przyprowadził. Znieść nie mógł tego gwaru. Czekał, ażali robotnicy się nie rozejdą, gdy Zamorski w stroju ekonoma wracającego z pola zjawił się w progu powitać swego pana.

— A! mój Zamorski — zawołał, zobaczywszy go, pan Teodor — myślałem, że utrapienia tego uniknę i wyjechałem z domu; wracam wieczorem, jeszcze ta ciżba tutaj.

— Dziś mają rachunki i wypłaty, zabawi to dłużej — rzekł Zamorski — ale dlaczego pan do nas nie ucieka?

— Nie chcę wam być ciężarem. Jakkolwiek nie gość, zawsze wpół jeszcze obcy jestem i będę wam przeszkadzał.

— Ale, bynajmniej! — zawołał dzierżawca — ja, przewidując nawet, że pan tu nie dotrzyma, przyszedłem od żony mojej prosić go na herbatę.

Pan Teodor chwycił za kapelusz.

Chodźmy, uciekajmy! — rzekł, wysuwając się co najprędzej.

Droga ze dworu na folwark najbliższa szła przez ów stary opuszczony ogród, w którym teraz najęci ogrodnicy gospodarowali. Zaczynał on przywoitszą przybierać postać. Chwasty i zarośla padały pod kosami i siekierami, przycinano zdiczałe i suche gałęzie, ścieżki już były oczyszczone w części i wysypane żwirem. Uśmiechnęło się oblicze panu Teodorowi, bo mu się młodość tu spędzona przypomniła. Zamorski narzekał na niesłychane koszta, które ogród nieużyteczny pociągać miał za sobą, Teodor jakby go nie słyszał, szedł zamyślony, gdy na zawrocie pod starymi lipami postrzegli dwie panny Zamorskie, przechadzające się w białych sukienkach.

Niech się pan nie gniewa, żeśmy się tu wdarli, nie mając prawa — zawołała Liza z daleka. Uciekamy! nie wiedziałyśmy o jego powrocie.

— Ale cóż znowu! daję paniom prawo zabawiania się w ogrodzie, kiedy tylko ich wola i łaska, gospodarowania w nim, jak się podoba.

Liza, do której się zbliżył, ustroiła sobie główkę dzikimi kwiatkami i wyglądała w nich jak jakieś bóstwo leśne. Ten strój cudnym się wydał dziedzicowi.

— Bardzo pani z tym ładnie! — zawołał.

Liza się zarumieniła i jakby dopiero przypomniała sobie kwiatki, poczęła je zrzucać z głowy.

— Pan się nie obrachował dobrze — przerwała — dając nam pozwolenie gospodarowania w swoim ogrodzie; nie wie pan, z kim ma do czynienia. Tak! doprawdy! ja pasjami ogród lubię, mam najdziwniejsze fantazje; gotowam go wziąć za słowo i zrobię mu szkodę.

— Nie cofam, com powiedział — dodał pan Teodor — sama przyjemność widzenia pani wśród tej zieloności, na tle tych drzew, nagrodzi mi choćby, nawet szkody.

— Mam więc być “stafażem” w obrazku? — zapytała Liza.

Pan Teodor się rozśmiał.

Łapiesz mnie pani za słowa.

Gdy się ta żwawa toczyła rozmowa, pan Zamorski coś zaczął szeptać Misi, która przodem pobiegła na folwark, a sam zatrzymał się, mając coś do pomówienia ze spotkanym ogrodnikiem, tak że dziedzic z Lizą sam na sam pozostał. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, i Liza bynajmniej się tym nie zmieszała. Owszem, natrętnie w oczy patrzyła, jak dziecko, panu Teodorowi i uśmiechała mu się dziwnie, bawiąc go szybko podrzucanymi słówkami.

Gdzie to pan dziś był?

W Zamostowie.

Pan tam bywa tak często! To jedyne sąsiedztwo.

— Czy piękna hrabina, ja jej już bardzo dawno nie widziałam, podoba się panu?

Zmięszął się tym wystrzałem pan dziedzic. — To dawna moja znajoma — rzekł po cichu — wygląda jeszcze bardzo świeżo i młodo.

— A! jeszcze! jeszcze! — I Liza śmiać się zaczęła. — Wszak pan powiedział: jeszcze? O! gdyby kiedy kto tak o mnie ośmielił się powiedzieć, tobym się gniewała!

Teodor się uśmiechał jakoś tęskno i z przymusem. Mimowolnie oczy się jego zwróciły na świeżuchną, jak pączek zaledwie się otwierający, sąsiadkę. Spotkał jej wejrzenie straszliwie śmiało wymierzone na siebie, z dziecinną istotnie odwagą.

— Pan dziś czegoś jesteś smutny?

— Znudzony.

— Czym, odwiedzinami w Zamostowie?

— A! nie, ale stukanią, którą zastałem w domu. — I nie uciekł pan do nas?

Bobym państwu zawadzał.

Ale nie! nigdy! nigdy! — zawołała Liza — pan dla nas jesteś rosą ożywczą, pan nam możesz coś powiedzieć o tych krajach, które my tylko z książek znamy. My go słuchamy z taką ciekawością, pan nam jesteście tak pożądanym.

Pani jesteście bardzo grzeczną, ale...

Nie, ja jestem, niestety, często nawet niegrzecznie prawdomówną. My jesteśmy proste wiejskie dziewczęta, mówimy, co myślimy.

A! pani! zachowajcie tę prostotę jak najdłużej — rzekł Teodor — jest to dar nieoceniony. Cóż to za męka z ludźmi, których zawsze tylko odgadywać potrzeba, a nigdy im wierzyć nie można.

Lizie po usteczkach różowych przebiegł niepostrzeżony — uśmieszek, powiedziała sobie w duchu: To on

jest prostoduszny, że mnie tak wziął za słowo — ale słuchała do końca i wcale się nie wydała z myślami.

— My pana tą naszą wieśniaczą prostotą nudzić musimy i śmieszyć — dodała prędko. — Ja i Misia tak się pana bojemy!

To pochlebiło nie wiedzieć czemu panu Teodorowi, westchnął.

— Czegóż byście się panie bać miały starego kawalera.

— Ale pan wcale starym nie jesteście! — zaprotestowała Liza z wyrazem prawie oburzenia — pan się obgadujesz. Ja sądzę, że pan sobie lat i powagi dodawać musisz, bo wielu młodych, dokumentalnie młodych, starzej od niego wyglądają.

To kadzidło na rachunek naiwności wprost rzucone w twarz panu Teodorowi zdumiało go i ucieszyło razem.

Potwierdzało ono jego własne głębokie w tym względzie przekonanie; w istocie czuł się młodym, ale

potrzebował być skromnym i zaprotestował wykrzyknikiem.

Liza niezmiernie zręcznie korzystała z chwili tej sam na sam spędzonej z dziedzicem. Ośmielił się podać jej rękę, twarz mu się rozjaśniła, zapomniał się, rozweselił i począł sypać dowcipami. Liza śmiała się do rozpuku.

Co chwila spotykał jej wejrzenia tak ogniste, że je tylko młodość nieopatrna dziewczęcia tłumaczyć mogła.

Co by to z tego było — rzekł w duchu pan Teodor — gdyby tę istotę puścić w większy świat. Jakże by głowy zawracała! Ale na wsi za parę lat kury sadzić będzie.

Jakby odgadując tę myśl, przyznała się panu Teodorowi, że nie bardzo wieś lubi, że bardzo by świat widzieć pragnęła i że tęskni za miastem.

— Życzenie pani łatwo się ziścić może — odparł pan Teodor — lada dzień wyjdiesz pani za mąż, a że na mężu potrafisz wymóc, co zechcesz, za to ja ręką.

— Ja za mąż iść tak prędko nie myślę — odezwała się Liza — będę wybredna, potrzebuję kogoś, kogoś, co by miał choćby suknie lepiej skrojone niż nasi wiejscy eleganci.

Pan Teodor śmiać się zaczął.

— Nie jesteś pani wiele wymagającą — zawołał.

Wchodzili właśnie na ganek folwarku, gdzie się i Misia znalazła, a tuż i sam Zamorski pośpieszył. Dziedzic puścił rękę Lizy, która zarumieniona od żywej rozmowy, powiodła okiem tryumfującym po rodzicach. Zdawała się mówić siostrze i ojcu: — Pierwsza bitwa wygrana.

Okragłuchna mama pośpieszyła także powitać wesołym swym śmiechem przybywającego pana Teodora, który dziwnie jakoś miło i dobrze uczuł się na folwarku, wśród tych poczciwych wieśniaków.

Porównywał ich w duchu z towarzystwem, do którego był nawykły, a porównanie całkiem na korzyść Zamorskich wypadło.

Gdy po chwili weszli do quasi saloniku dosyć niesmacznego, przez który do jadalnego pokoju, gdzie herbatę podano, przechodzić było potrzeba, zastali już piękną Lizę u fortepianu, od niechcenia przebiegającą klawisze jego z wprawą i

lekkością zadziwiającą. Zadumana patrzyła po salce, biegała oczyma po wchodzących i zdawała się igrać tylko z klawiszami.

Pan Teodor nie mógł się wstrzymać od komplementu o talencie wirtuozki, który mile ucho mamy polectała.

Ale bo pan nie wie, Liza na pensji grywała w koncertach na ubogich, a nauczyciel jej ostatni nazywał ją... jakże ją nazywał, moje serce? zapytała,

zwracając się do Misi — bo mi to nazwisko wyszło z pamięci!

— Klarą Wieck! — szepnęła Misia.

— Tak! tak, Klarwiką ją nazywał — dokończyła pewna już siebie pani Zamorska. — Żeby pan słyszał, jak gra Marsz węgierski Liszta, to można z daleka pomyśleć, że cała kapela, aż się okna trzęsą.

Pochwały matki znacznie ostudziły zapał do idylli pana Teodora, nieznaczny uśmiech przebiegł mu po ustach, wrażenie, jakie Liza przed chwilą na nim uczyniła, zatarło się niezręcznością mamy.

Zaledwie zasiedli do herbaty, gdy Liza, rzuciwszy fortepian, przybiegła. Jakimś trafem (tu wszystko trafem się działo tak, jak było najdogodniej) krzesło jedyne nie zajęte zostało przy panu Teodorze. Piękne dziewczę wśliznęło się śmiało i z niezmiernym wdziękiem poczęło gospodarzyć u stolika, posługując sąsiadowi.

Przy tej zręczności rączki bardzo kształtne, bieluchne, wypieszczone mogły się popisać z sobą i

wzrok starego kawalera długo się na nich zatrzymał. Były jeszcze trochę za różowe, ale w nich płynęła krew młoda!

Przy herbacie mówiono o przeróżnych rzeczach, Liza bawiła wszystkich przedziwnym humorem, rodzice spoglądali na siebie mówiąc sobie oczami: Oczaruje go, chybaby był głuchy i ślepy.

Ale pan Teodor na wodzy się trzymał, wdzięk panny wrażenie na nim czynił, którego się lękać zaczynał, był grzeczny, choć widocznie ostrożny i wstrzemięźliwy. Nareszcie, gdy światło podano, a herbata i podwieczorek się skończył, Zamorski z cygarem wyprowadził pana Teodora za ganek. Zostali sami.

Był pan dziś w Zamostowie? odezwał się dzierżawca na pół żartobliwie a cóż, jak tam idzie?

Pan Teodor wygadał mu się z planami swymi.

— Jakże chcesz, żeby szło? — odparł cicho dziedzic — mnie chodzi o to, aby się stosunki nie zerwały. Nie myślę wcale wdawać się w konkury i amory, w moim wieku byłoby to śmiesznym, dobijam się szacunku i chcę się dać poznać.

— Słyszałem już kilka razy pana dobrodzieja mówiącego o swoim wieku — przerwał dzierżawca — ale słowo daję, że tego nie rozumiem. U nas, bywało, siedemdziesiątce się żenili. Dopiero od niedawna weszło w modę konie brać do uprzęży we trzech latach, a młodzież żenić we dwudziestu. Pan dobrodziej jesteś tak zakonserwowany, że nikt by panu nie dał nad trzydzieści kilka.

— Dziękuję ci, kochany Zamorski, niestety, metryka uczy rozumu!

Dzierżawca ręką zamachnął.

— Kto, zdrów, ten młody! — rzekł z cicha. — Fan, nie pochlebiając, każdej kobiecie się podobać możesz, dlaczegóż by i nie hrabinie Wandzie, gdyby serce wolne miała, ale — tu sęk!

Myślisz? — przerwał Teodor.

Mówię, co słyszałem i wiem, mogą to być bajki — kończył dzierżawca — ale chodzą słuchy, iż hrabina Wanda nigdy pierwszego swojego przywiązania do pana Krzysztofa nie straciła. Gdy był ostatnią razą, a zostaliśmy sam na sam, z jaką ciekawością mnie o niego wypytywała, wyrazić trudno. Nie jestem wielkim znawcą serc ludzkich, jako prosty hreczkosiej, ale w oczach się jej malowało.

Pan Teodor namarszczony nie dał mu dokończyć.

Ale mnie mówiono — przerwał — że tam o nim nawet wspomnieć w domu nie wolno.

Może to być dla domowych, jednak ze mną mówiła, słuchała i dopiero, gdy panna Kornelia nadeszła, przerwała tę rozmowę.

Zasępiiony dziedzic wstał z ławki i po ganku się począł przechadzać.

— Gdyby tak było w istocie, jak się domyślacie — odezwał się po namyśle — nie pozostawałoby mi nic innego, jak Krzysztofa tam napędzić, a samemu się usunąć, ale Krzyś wzdryga się wspomnieć o tym, zarzeka się najuroczyściej, że życia nie zmieni. Ja go znam, uparty był zawsze, a dziś stwardniał bardziej jeszcze.

— Czyż to ta jedna kobieta na świecie! — dodał Zamorski — przed panem jeszcze cały świat otwarty!

Pan Teodor, jak zwykle, uczył się do zaufania i szczerości ze swym poczciwym dzierżawcą pobudzonym, był w usposobieniu do wywnętrzania się łatwego.

— Tak ci się to zdaje, mój Zamorski — rzekł, zbliżając się do niego. — Dla mnie jednak stosowniejszej wiekiem i charakterem partii nie było; kobieta już nie pierwszej młodości.

Zamorski głową potrząsł.

Tym gorzej! szepnął.

Wszystko za nią mówi kończył pan Teodor. Nie mogę powiedzieć, bym w niej był zakochany, to prawda.

A cóż to warte małżeństwo bez miłości! śmiejąc się dodał Zamorski my, prości ludzie, mamy to za правило, kiedy się wybieramy w drogę, wziąć zapasu jak najwięcej, a gdy w małżeństwo, miłości co niemiara, bo bez niej i ta podróż prędko się sprzykrzy. .

Dziedziec stanął zamyślony, westchnął. Nie mówny o tym rzekł cicho będzie co z tego, dobrze; nie, to nie.

My panu inną w takim razie znajdziemy rozśmiał się Zamorski dobrodusnie. Jak Boga kocham!

Rozmowa na ten raz skończyła się wykrzyknikiem dzierzawcy, bo chmurny pan Teodor za rękę go ścisnął i nie żegnając kobiet, po cichu nazad chciał wyruszyć do dworu. Liza, jakby to przeczuła, ukazała się w ganku.

— Pan już ucieka? — odezwała się — a to ładnie? nie powiedziawszy nam nawet dobranoc. U nas, na wsi, tak po angielsku się nie wysuwa. Niedawno nas jeszcze w ręce całowano.

— Ja sędzę, że i dziś by się na to każdy skusił, gdyby nie lękał pań nudzić — rzekł wesoło, zawracając się, pan Teodor. Z naiwnością Liza wyciągnęła mu rączkę maleńką i pochwycony za słowo stary kawaler przyłożył do niej usta. Liza się zarumieniła, ojciec zaczął śmiać, pan Teodor szybko się pożegnał i zniknął.

Wszedłszy w ogród zwolnił kroku. Obraz figlarnej Lizy stał mu przed oczyma.

— Jakież to miłe dziewczętko! — począł w duchu sam do siebie — co za prostota urocza, jaka

niewinność cudna, jaka dziecinna szczerłość! Żadna najwprawniejsza miejska zalotnica nie uczyniłaby takiego wrażenia, siląc się na nie, jak ta, która wcale nie myśli się podobać i idzie za instynktem natury! Adorable! dorzucił wzdychając pan Teodor i dreszcz przebiegł po nim.

Ale któż wie, co z tego kwiatka wyrośnie? dodał. Kto odgadnie, w co się przemieni jej naiwność, prostota i ten wdzięk niewinności? Spuścił głowę. Nie trzeba się dawać tej pokusie; byłbym niegodziwy, gdybym korzystał z nieopatrzności tego dziecięcia i zaufania rodziców. Wprawdzie mają mnie za starego, ale zostawiają ją godzinami ze mną sam na sam, znajduję ją w ogrodzie, dziecko znudzone garnie się widocznie. Uśmiechnął się do siebie. Dowodzi mi, że nie jestem starym, no! przypuśćmy, żeby się jej głowina trochę zawróciła! Cóż dalej? Ale nie, nie, nie! To by było szaleństwo; myśleć się o tym nawet nie go

dzi. Matka mi mówiła, że nie ma lat ośmnastu... to dziecko. Otrząsłszy się z tych natrętnych myśli, pan Teodor powrócił do smutnego dworu swojego, w którym zaledwie para pokojów była dlań dostępną. Tu wisiały wszystkie całego życia pamiątki, które w drodze żywota pozbierały się i przypominały bolesne po większej części stacje tej drogi kalwaryjskiej. Z ram starych uśmiechał mu się z wyrazem litości obraz matki, co go wychowała, i groźne oblicze ojca, którego nie pamiętał wcale. Dalej szły z zeschniętymi kwiatki: miniatura pierwszej, do której uderzyło jego serce, dziewczeczki, co już dawno spoczęła w grobie, a na drugiej ścianie fotografie i akwarele księżny, co go zdradziła, artystki, co go kochała dwie godziny, prześlizniętej Angielki, która była awanturnicą, Włoszki, którą mu malarz odebrał, Niemki, co go znudziła, Polki, której nie mógł zyskać serca. Wśród nich stali gdzieniegdzie przyjaciele, dawno już pozbawieni tego tytułu. Pan Teodor przyglądał się z kolei twarzom, rozmyślał o przygotowaniach i więcej niż kiedy

utwierdzał się w przekonaniu rozumnym, iż do portu czas przybić było. Portem i spoczynkiem zdawał mu się Zamostów tylko.

Bądź co bądź, raz jeszcze się należy rozmówić stanowczo z Krzysiem. Uczciwość każe mu powiedzieć otwarcie, że Wanda ma, to jest, jak ludzie suponują, zachowała dlań jakieś uczucie. Jeżeli on z tego korzystać nie zechce, będę w sumieniu wolnym. Choćby mnie miał połajac znowu, pojedą raz jeszcze. Stanowczą musi mi dać odpowiedź. Jeśli on wystąpi w szranki, ha, to się usunę!... Zamorski ma słuszość: Wanda przecież nie jest jedną kobietą na świecie. Puszczę się trochę w świat, po znajomych, może gdzie znajdę wdówkę jaką, chociaż takiej jak ona nigdzie... Podchwycił się na tych wyrazach.

Jużciż się w niej nie zakochałem!

Usiłował zajrzeć w głąb serca i znalazł w nim ze zdumieniem wielkim, nie wiedzieć jak, zabłąkany obraz uśmiechniętej Lizy. To go oburzyło na samego siebie. — Co za wrażliwość w moim wieku! — dodał. — Zamorski ma słuszość: jestem jeszcze młodym, inaczej to dziewczę naiwne nie uczyniłoby na mnie takiego wrażenia. Dziewczyna bardzo ładna i dowcipna, ale pięknie bym się wykierował, biorąc takie stworzonko ruchawe, któremu się chce wszystko widzieć i wszystkiego kosztować. A! uchowaj mnie Boże! Byłaby to wyprawa na wojnę, a jam na żołnierza za stary! Pochodziwszy po pustych pokojach, pan Teodor postanowił, korzystając z pogody, nazajutrz wybrać się do Krzysia do lasu.

VIII

Staszuk stał w ganku, trąc łysinę i sumując swym zwyczajem, bo jeśli się nie modlił, to na siebie, pana, świat i losy we wnętrzu gderał i czyniło mu to wielką satysfakcją, gdy postrzegł z bramnych ciemności wynurzającą się postać pana Teodora.

Poznał go od razu. — Otóż jest! — rzekł w duchu — raz drogę spytał do nas, pokoju nie da! Ale na ten raz figa, pana w domu nie ma i kwita. Nie wiem, kiedy powróci... skończona rzecz... Z Panem Bogiem.

— Jak się masz, stary? — zawołał, ręką go witając, nadchodzący — jak się masz... a pan?

— Zdrów, dzięki Bogu, ale go nie ma i wybrał się na długo pono, bo w torbę wziął zapas. Mówił

nawet, że nieprędko powróci.

Otóż masz, a miałem pilny interes do niego.

Stary ruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że na to nie ma żadnej rady. Teodor stanął.

Utrapienie z tym Krzysiem, trzeba tropić jak dzikiego zwierza albo się go wyrzec zupełnie.

Stary głową kręcił niezrozumiale, zdawał się mówić: Rób pan, jak mu się podoba. Męczyński, który się był powstrzymał w pochodzie, ruszył się znowu i zbliżył ku gankowi. Wszedł na wschodki. Stary sługa ze swego miejsca się nie ruszył. Dobył z sakiewki trzy

srebrne nowiuieńkie talary i nic nie mówiąc, captando benevolentiam weisnąć je chciał w rękę staruszka, który dłoń cofnął, usta wyduł i parę kroków w tył się poruszył, głową dając znać, iż podarku nie przyjmie.

— Przecież cię nie przekupuję — zawołał Teodor — pana twego cioteczny jestem, sam on mi się chwalił, żeście goli jak tureccy święci, nie grzech ci się czymś przysłużyć.

— Pewnie — zamruczał stary — gdyby nie chodziło o to, paneczku, abym mojego pana zdradził i pomógł do wyszukania go, ale z tego nie będzie nic.

— Wiesz, żeś śmieszny, mój pocziwcz — odparł Męczyński — czyż to ja Krzysiowi źle życzę? czyham czy dybię na niego? Jeśli się chcę widzieć z nim, przecie chyba dla jego dobra; mam interes ważny, od którego może szczęście jego zależy.

— A kiedy on i tak szczęśliwy! — rzekł stary. — Co komu do tego?

— Ślicznieście obaj szczęśliwi! — zaśmiał się Teodor — nie ma co mówić. Opływacie tu we

wszystko: pałac przepyszny, kuchnia doskonała.

A kiedy nam więcej nie trzeba! to co? — zapytał stary i odwrócił się, trąc łysinę. Kara Boża z tymi opiekunami, którzy nas teraz obsiedli.

Trochę ostre wyrażenie starego rozśmieszyło tylko pana Teodora.

Tłumaczyć ci się nie będę — rzekł — ale jeśli pana swojego kochasz, a mnie wierzysz, powinienes mi pomóc, bym go znalazł.

Dlaczegoż ja mam panu wierzyć? — ofuknął, coraz się więcej niecierpliwiąc, stary — dlaczego?

Męczyński śmiał się do rozpuku.

Oryginały obaj! — zawołał.

Zdawało się, że rady nie ma już — żadnej; przybyły po ganku chodzić począł, gdy świsnięcie przenikliwe, ostre, dało się słyszeć z bliskiego lasu. Powtórzyło się

z równą siłą parę razy. Stary ucha nadstawił i zdawał się już ani widzieć gościa.

— Cóż się stało? co to jest! — krzyknął — niedawno wyszedł i już się oznajmuje, że powraca.

Odwrócił się do Teodora.

— Trzeba panu wiedzieć, że ja tu w las, niedaleko, po grzyby i poziomki dla niego chodzę, nie naszukałby się za mną, więc gdy ma powracać, to tak świszczę, a świstałka przeraźliwa, że ją pół mili usłyszeć i poznać można.

— Widzisz, stary, los jest rozumniejszy od ciebie. Nie było na to odpowiedzi, poznać mógł po twarzy

sługi pan Męczyński, że gdyby sposób znalazł przyzwoity, wybiegłby pewnie panu oznajmić o niebezpieczeństwie, które go w domu czekało; lecz snadź nie wiedział, z której strony wróci pan Krzysztof. Stał więc markotny. Pan Teodor tryumfował, przysiadł się na murku od ganku i cygaro przysposabiał. Stary Hermes,

posłyszawszy świstanie, wstał, wyprężył się, uszy nastawił i także zdawał się oczekiwać przybycia. Chwila upłynęła w milczeniu.

Po jakimś czasie, gdy już z cygara zapalonego dymek się w górę niebieski unosił, u bramy spostrzegł pan Teodor idącego powoli pana Krzysztofa, który się strzelbą podpierał i kulał na nogę.

Pobóg zobaczył równocześnie oczekującego, stanął, jakby chciał zawrócić, widać było po nim zniecierpliwienie, lecz Teodor głośno go powitał i krzyknął:

Nie wywiniesz mi się. Chodź! Nie dzicz się, nie zjem cię, mamy z sobą do pomówienia.

Wezwaniu temu zadość czyniąc, choć słówka nie odpowiedział, Krzysztof się posunął z wolna ku swej pustce. Po chodzie widać było, że nogę miał okaleczoną. Sługa, postrzegłszy to, pobiegł co rychlej ku niemu. Zszedł i pan Teodor.

— Co ci to jest?

— Nic, nogę przebiłem, nieostroźnie stąpiwszy, dlatego do domu powrócić musiał i temu winieneś, że się z sobą widzimy — rzekł Krzysztof.

— Wolałbym to być winnym sercu twojemu niżeli nodze — odparł półironicznie Męczyński i podał mu rękę, chcąc pomóc do wniknięcia na górę, lecz zaszępioty pan Krzysztof nie przyjął jej, wskazał przed sobą drogę bratu i powłókł się za nim, zaciąwszy usta.

Sługa tuż szedł, drzwi pootwierał, znaleźli się na górce. Na chwilę poszedł pan Krzysztof nogę opatrzyć, co niedługo trwało, i powrócił wkrótce w jednym pantoflu do pierwszej izby.

Na twarzy jego nie tajone malowało się zniecierpliwienie; poznał je i pan Teodor, szedł widocznie zbyć się co najrychlej natręta. Usiadł w krześle, nałożył fajeczkę, spojrzął na Męczyńskiego i począł:

— Sądzę, że cię nie wymyślony pozór, ale jakaś istotna tu sprowadziła potrzeba; boć ciekawość już zaspokojona. Rad bym wiedzieć, o co idzie?

Odetchnął mocno.

Przyznam ci się — mówił dalej — że ostatnia twoja bytność i przyniesione przez ciebie wspomnienia wcale mi przyjemnymi nie były. Wzburzyło się we mnie wszystko, wystąpiły niedogasłe zarzewia głupiej przeszłości. Nie rozumiem ludzi, którzy z zimną krwią bawią się cudzą męczarnią.

W istocie, takiej zabawki i ja bym nie rozumiał — odezwał się Męczyński — byłaby głupią i okrutną. Jesteś dziwak, ale ci dobrze z tym dziwactwem, albo przynajmniej znośnie, dlaczegoż bym miał chcieć cię nawracać, nie wiedząc, czy cię potrafię szczęśliwym uczynić? Widzisz więc, Krzysiu, żem chyba ani tak zły, ani tak nierozsądny, jak myślisz. Zatem... do rzeczy! — przerwał chmurno pan Krzysztof.

Męczyński wstał, przeszedł się, namyślił i stanąwszy naprzeciw brata, począł:

— Byłem w Zamostowie kilka razy; Wanda mi się podoba, jest to dla mnie jakby stworzona na osłodzenie reszty mojego życia kobieta; chcę się z nią ożenić, uczynię, co jest w ludzkiej mocy, aby się jej podobać, aby jej rękę pozyskać; otwarcie ci to oznajmuję.

— Po cóż, u kaduka, oznajmujesz mi to! — wybuchnął pan Krzysztof — po co? Kto ci broni czynić, co ci się podoba. Idź, jedź, staraj się, kochaj, żeń; co mnie do tego!

Z tak gwałtownym wyrazem powiedział te słowa Pobóg, iż Męczyński chwilę stał zmieszany.

— Słuchajże — odezwał się — z tego gniewu wnieść łatwo, że się w niej jeszcze kochasz. Ludzie mi mówią i składają dowody, że ona o tobie nie tylko pamięta, ale że prawdopodobnie kocha cię jeszcze. Widzisz, żem człowiek uczciwy, mówię to przeciwko własnym interesom, chcę twojego szczęścia. Idź! zobacz ją, zbliż się, ja ci ustąpię.

Oczy pana Krzysztofa złowrogim jakimś palące się blaskiem wlepione były w Męczyńskiego, uderzył pięścią w stół i rozśmiał się dzikim, przymuszonym śmiechem.

Szatanie! kusicielu! szaleńcze! stary dzieciaku! krzyknął — idź precz ode mnie, idź! to są głupie domysły i fałsze. Młodość się nie wraca i miłość nie wraca; mnie o grobie myśleć, nie o małżeństwie, stanie przed ołtarzem, ale chyba trumna moja. Dajcie mi pokój! nie dręczcie mnie — wołał podnosząc głos — co wam do mnie? Nie jestem dzieckiem, nie potrzebuję opieki, nie chcę rady; dosyć tego, na miłość Boga! dosyć tego!

Ale nie gniewajże się! nie gniewaj! — odpowiedział pan Teodor — skąd ta pasja cię bierze? jeśli nie

z niedogasłych żarów, jak sam przyznajesz. Kochasz ją więc, a nie chcesz jej.

Krzysztof oburącz chwycił się za głowę i milczał uparcie. Gwałt sobie zadawał widocznie. Nagle wstał, podniósłszy oczy, które poczęły błędzić po izbie.

— Spiknęliście się na mnie — zawołał. — Słuchaj, Teodorze, kochałem cię jak brata, więcej niż tego rodzonego, którego za nieboszczyka uważam; nie godzi się, abyś mnie za to wystawiał na męczarnie. Pierwszą twą bytność odbołałem srodze, chodziłem po niej jak szalony. Uczucia i namiętności gwałtowne dała mi natura, walczyć musiałem z nimi, aby je pokonać. Stłumiłem — zasklepiły się rany, wy, pod pozorem przywiązania, przychodzicie je rozdzierać. Jestem stary, szczęścia sobą nie przyniosę nikomu i nikt mi go na ziemi dać nie jest w stanie. Młodość poniosła z sobą złudzenia, sny i marzenia. Nie zużyta jej gorączka została mi na lata stare, ale co po niej, gdy nie ma służyć już komu. Wiem, że to, co dla was wygląda owocem, jest popiołem; że to, co wam

wygląda złotem, jest szychem; że to, co dla was nieśmiertelnością, jest znikomą chwilą. Życia na nowo rozpoczynać nie chcę. Trupem między żywych nie wejdę. Wasz świat.

Aleś mi to wszystko mówił pierwszym razem — przerwał Teodor — ja ci więc powiem także: dosyć! Odpędzasz mnie, pójdę i nie wrócę więcej. Człowiekowi szczęścia narzucić niepodobna.

To mówiąc, Męczyński wziął za kapelusz. Nie gniewaj się... i... bywaj zdrow. Kilka kroków postąpił w tył, Krzysztof ochłonął był nieco i podszedł ku niemu.

I ty się nie gniewaj na mnie — rzekł cicho — wstydzę się mojego uniesienia. Siadaj, spocznij.

Męczyński usiadł widocznie uradowany.

Wiem, że mi źle nie życzysz — dodał gospodarz — ale wy... wy... ty... nie wychodziłeś ze społe

czeństwa, nie zakosztowałeś ciszy, nie pożegnałeś się ze światem. Wniądź w położenie moje.

— W dziwactwo chyba — dodał Teodor — tego inaczej nazwać nie można. Jesteś w istocie młodym i gorączkowym nad wyraz wszelki. Ja ten ogień posiałem po gościach, nie ma go już we mnie i... doprawdy ci go zazdroścę. Na twoim miejscu, wiesz, co bym zrobił?

— Na przykład? — spytał Krzysztof.

— Oto pojechałbym z panem Teodorem do Zamostowa w odwiedziny, zobaczyć najprzód, jakie uczynię wrażenie, potem, jakiego doznam. Masz zupełną słuszość, że nieśmiertelnego na świecie szczęścia nie ma, ale znikome musimy chwycić, aby go skosztować! Dlaczegoż nie sięgnąć po nie? czemu nie spróbować.

Milczący pan Krzysztof chodził, podśpiewując coś, po pokoju, Teodorowi się zdawało, że słowa jego czyniły pewne wrażenie, ciągnął więc dalej.

— Nie godzi się gardzić i resztką żywota, że się go zmarnowało wiele, nie jest to przyczyną, ażeby

wyrzekać się pozostałego. Jesteś w sile wieku i zachowałeś serce gorące.

Krzysztof się rozśmiał.

A! tak! rzekł ironicznie w człowieku umiera najprzód, co w nim jest dobrego, tak jak z wiekiem ściera się najprzód wdzięk z twarzy, pozostają olbrzymiejące brodawki i przeroste wady. Miła jest taka dojrzałość! Z usposobieniem, jak moje, z humorem, stanąć do Holbejnowskiego tańca śmierci, bardzo dobrze, ale do menueta z piękną panią...

Rękami strzepnął gwałtownie, pan Teodor śmiał się, w mowie pana Krzysztofa zaszła już widoczna zmiana na lepsze, nie rozpacział więc, że go, jeśli nie nawróci od razu, to przynajmniej przysposobi ku temu.

Krzysiu! zawołał kradliśmy z tobą razem wiśnie z ogrodu, truskawki na inspektach, lataliśmy

za wiejskimi dziewczętami, nasza przyjaźń stara, jak my, czemu byśmy dziś z sobą tak szczerzy być nie mieli, jak niegdyś? Nie odziewaj się żadną szatą pustelniczą, żadnym płaszczem dziurawym hiszpańskiego granda, bądź dla mnie jednego Krzysiem... proszę cię.

— Chcesz rzeczy niepodobnej — westchnął gospodarz — ja nim nawet sam dla siebie być nie mogę. Ów Krzyś roztopił się gdzieś, rozwiął, zniknął, nie poznaję samego siebie; nie ma mnie we mnie. Com kochał, dziś mi obojętne, czym się brzydziłem, to drogie.

— I niepotrzebnej deklamacji nauczyłeś się, nie rozmawiając z ludźmi, tylko się bawiąc z bibułą — dodał Teodor. — Jam zimniejszy, ostudzę cię, Krzysiu, jedź ze mną, zaklinam cię, jedź ze mną. Raz, tylko raz pokaż się w Zamostowie, spokojniejszy będę w sumieniu.

Uśmiechnął się pan Krzysztof.

— Jeśli Wanda jest taką, jaką ją sobie wyobrażam, choć wiem, że zmienić się wielce musiała od

tej, którą znałem i pamiętam, na sumieniu możesz być spokojnym, bo nigdy nie pójdzie za ciebie.

Dlaczego? spytał nieco sucho Teodor.

Dlatego, żeś ty nadto człowiekiem... dla niej zbyt zimną istotą. Masz zmysły młodzieńcze, a zdaje ci się, że masz serce, masz może nawet uczucie, ale ono pełza po ziemi.

Dziękuję — rzekł Teodor nieco urażony. W istocie, do tych sfer, do których ty Ikarowymi skrzydłami dobijać się chciałeś, spadłeś i połamałeś sobie nie tylko żebra, ale klepki w głowie, ja nigdy lecieć nie miałem najmniejszej ochoty. Dla mnie ideałem była... elegancja, przyzwoitość, atłasy i koronki, a pod nimi marmurowe kształty i uśmiech szczerze zalotny. Na starość ideał stał się poważniejszy, lecz jak nie wierzyłem w anioły

i heroiny, tak dziś też nadziei spotkania się z nimi wyrzekam.

Trochę się nadąsał pan Teodor, ale to przeszło prędko.

— Powiedziałeś mi prawie impertynencją — rzekł w końcu. — Zdaje się więc, żeśmy się pokwitowali z sobą, piękne za nadobne.

Krzysztof rękę wyciągnął, ujął dłoń Teodora i jakiś czas ją trzymał w swej dłoni, twarz jego jakby pod wrażeniem wewnętrznej walki zmieniła się i spoważniała.

— Nie potrafisz — rzekł — ani tego rozumieć, ani ocenić, ani mi uwierzyć. Uczynię dla ciebie tę ofiarę największą, jaką w życiu dla kogokolwiek bądź zrobiłem; tak, pojedę z tobą do Zamostowa, stanę przed nią zmieniony, stary, zdziczały, wstręt obudzający, ze wszystkimi wadami moimi, z szyderstwem w ustach i niewiarą. Pojadę z tobą, Wanda spojrzy na mnie... i pójdzie za ciebie. Coś przecie potrzeba uczynić dla przyjaciela młodości, któremu się dobrze życzy!

— Uśmiechnął się

smutnie. Mam się męczyć myślami i wspomnieniami, które przyszedłeś rozbudzić we mnie, będę się męczył mniej może, gdy ją zobaczę i... zostanę przyjęty, jak zasługuje, powtarzam, trup, który bez paszportu na świat powraca. Jakkolwiek może przygotowanym był Teodor do tego, iż Krzysztofa nakłoni do opuszczenia choćby chwilowego tej pustki, w której się zagrzebał, z podziwieniem nie tajonym usłyszał to nagle postanowienie, prawie z niedowierzaniem.

Tak, to rzecz postanowiona odezwał się żywo Krzysztof, wlepiając w niego oczy — teraz, gdybyś ty chciał, nic mnie od tego odstręczyć nie może, jadę, powinienem. Niech się to raz skończy i rozwiąże. Możeszż wymagać więcej?

Pan Teodor rzucił mu się na szyję.

— Krzysiu! tak! bardzo dobrze, jedź ze mną, lecz, na miłość Boga, nie z tym usposobieniem, nie z tym szyderstwem na ustach.

— Na ustach mogę tylko mieć, co będę miał w sercu — zawołał gospodarz — nauczyła mnie samotność jednego: kłamać nie umiem. Mówisz, że deklamuję? może to być; słowo, którego używałem mało, stało się dla mnie świętym, płynie mi z serca. Gdybym chciał, to go ani powstrzymać, ani skrzywić nie potrafię. Z góry więc powiedzieć ci nie mogę, ani jakim będę, ani co usta moje poruszy: uczucie czy szyderstwo.

Teodor znalazł się nagle w położeniu człowieka, który dopraszał się czegoś usilnie bez nadziei otrzymania, a nagle zdobywszy to, czego pragnął, nie wie, co ma począć ze zdobyczą.

— Ha! więc jedziemy! — rzekł — jedziemy! Kiedyż? jak?

— Natychmiast — odpowiedział pan Krzysztof — nosić się z tą myślą wyjazdu nie umiałbym, ona by mnie spaliła. Słowo się rzekło... jedziemy.

Do mnie najprzód dodał Teodor. Nim staniemy w Zieleniewszczyźnie, czas na odwiedziny przyzwoity minie. Nocujesz u mnie, jutro jesteśmy w Zamostowie. Czy każesz się spytać wprzód o pozwolenie?

Po co? — rzekł, brwi marszcząc, Krzysztof — dlaczego? Nie może mi być wzbronionym wstęp do jej domu. Opowiemy się u drzwi, nie zechce mnie przyjąć? tym lepiej; przyjmie....

Cichym szeptem dokończył, spuszczać głowę.

Można sobie wyobrazić przerażenie starego sługi, gdy go zawoławszy, pan Krzysztof kazał tłumoczek pakować.

Nie dowierzając swym uszom, stał długo biedny stary, patrząc panu w oczy, i na ostatku zapytał:

A ja?

Zostaniesz w domu, bo i ja jutro się tu powrócić spodziewam.
Jadę do pana Teodora.

Jakiś czas postawszy jeszcze, jakby oczekiwał na odwołanie nieprawdopodobnego rozkazu, stary się poruszył mrużąc. Tysiące trudności stawało na przeszkodzie spełnienia woli pana; o tłumoku od lat kilkunastu nie używanym nie miał wyobrażenia stary sługa, nie wiedział, co do niego wpakować. Święteczna garderoba pustelnika była fantastyczną i więcej do lasu niż na pokoje zastosowaną. Potrzeba więc było kilkakrotnie wywoływać pana Krzysztofa dla narady. Na wyjeździe podano spartańskie śniadanie: flaszkę wódki z przywiązaniem do niej na sznureczku korkiem, chleb i masło. W domu nie było nic innego. Głodny pan Teodor z rezygnacją napił się i zjadł, co podano, mając też na widoku, aby się tym Krzysiowi przypodo bać który chodził jak noc posepny, chmurny i w miarę jak się chwila odjazdu zbliżała niecierpliwiej coraz. Konie pana Teodora stały pod górą

zamkową, stary więc suknie w derkę dla niedostatku tłumoka, który szczury zjadły, związane zaniósł za panem do powozu. W milczeniu zeszli obaj po ścieżce. Teodor wskazał miejsce w powozie bratu, sam usiadł przy nim, pożegnali skinieniem głowy wskutek nad drogą starego sługę i ruszyli. Pozostawszy sam, patrzył, aż dopóki powóz nie zniknął mu z oczu, i rzekł w duchu:

Sądny dzień! Na nogę przebitą nie uważał, but wdział, jakby o niej zapomniał, głowa mu się zawróciła. Co teraz dalej będzie? Tego nie umiejąc już rozwiązać, powłókł się nazad powoli. Stał tylko u krzyża z cierniową koroną na dole i pomodlił się. Na sercu lżej mu się jakoś zrobiło, bo pana opiece Bożej polecił. Teodor, nieznacznie woźnicy zaleciwszy, aby koni nie oszczędzał, siedział już niemal całą drogę milczący.

Sam się dziwował cudowi, który dokazał. Dobrze czy źle uczynił, nie wiedział spełna; zdawało mu się jednak, że dopełnił obowiązku. Pan Krzysztof zrazu jechał, nic nie widząc; jazda po długim zasiedzeniu upajała go. Nie wychodząc za obręb swych lasów od dawna, nie widział tej okolicy, w której przeżył lata młode. Tu wiele na podziw rzeczy zostały nietkniętymi, jakby wczoraj je porzucił, inne zmieniły się do niepoznania. Mimowolnie pan Krzysztof dał się pochwyć wrażliwości. Kilka razy zapytał o coś, na co mu Teodor bez pomocy swych sług odpowiedzieć nie umiał, to znowu wykrzykiwał z podziwianiem i wzdychał na widok ruin. Droga ta do Zieleniewszczyzny znacznie go uspokoiła. Gorączka, z jaką wyjechał z domu, ustała, zastępował ją innego rodzaju niepokój: męstwo słabło. Myśl o widzeniu Wandy niepokoiła go dziwnie i niemal rozczulała; gniew zastępowało rozrzewnienie, przeciw któremu sam się oburzał, a pokonać go nie mógł.

Gdy stanęli przed dworem, który pan Krzysztof świetnym jeszcze pamiętał, nie powstrzymał

wykrzyknika:

O mój Boże! cóż to za ruina.

Niestety! masz słuszność! odparł, wesołością pokrywając wstyd swój, Teodor. Qui va a la chasse, perd sa place. I łowy mi się nie udały, i majątek podupadł.

Jak zwykle gdy Teodor do domu powracał, a powóz jego z dala poznał pan Zamorski, tak i teraz znalazł się usłużny dzierżawca na wysiadanym. Zdziwiła go niezmiernie nie znana mu postać pana Krzysztofa, w której się odludka domyślił. Przychodził z zaproszeniem od żony na herbatę i wieczerzę, ale mu wyrazy na ustach zamarły.

Panowie się znać nie możecie, choć sąsiedzi bliscy odezwał się Teodor jest to mój zacny a miły przyjaciel i dzierżawca pan Zamorski, a to... domy

ślisz się pan zapewne... mój cioteczny, pan Krzysztof Pobóg.

Pobóg się z dala, sucho, sztywnie i dumnie uklonił.

Nastąpiło milczenie, Zamorski jednak nie stracił głowy i wracając do zwykłego swego tonu, odezwał się:

— A ja tu na mojego dziedzica dobrodzieja czekałem z herbatką. Czym chata bogata, tym rada. Gdyby szanowny pan Pobóg szlacheckim ubóstwem hreczkosieja nie pogardził, bardzo bym był szczęśliwy powitać go w progach naszego folwarku.

To mówiąc, skłonił się, spojrzął w oczy interpelowanemu, który stał wyprostowany, milczący, jakby nie do niego mówiono. Nie przewidywał wcale, wyjeżdżając z domu, iż zmuszonym być może wstąpić jeszcze gdzieś więcej niż do brata i do Zamostowa. Niewysłowienie przykre owładło nim uczucie.

— Darujesz mi pan — odezwał się w końcu — nie bywam nigdzie od wieków, odwykłem od ludzi a nawykłem do lasu. Na nic się wam nie przydam, zostanie tu, niech pan Teodor idzie na herbatę, ja jej

nie pijam, dziękuję.

Ale to nie może być! to nie może być! począł, przyskakując ku niemu, Zamorski moja chata uboga żadnej panu nie uczyni subiekcji. Myśmy ludzie prości; wreszcie będziesz pan zawsze jakby u brata, boć to wszystko jego, a ja i moja rodzina szcycimy się tylko, żeśmy jego wierni słudzy.

Krzysztof ręką się pochwycił za czoło, zawahał, wtem natrętny Zamorski śmiało go za rękę pochwycił.

Nie puszczę pana dobrodzieja! Bóg widzi, musisz mi ten honor uczynić! zaszczytujesz chatę naszą. Proszę, błagam.

Co począć było? Pan Teodor się uśmiechał, Krzysztof nie śmiał się opierać. Poszli więc ku folwarkowi, tąż samą drogą przez ogród jak ostatnim razem. I jak wówczas, w ogrodzie znowu spotkali bawiące się Lizę

i Misie, które na widok nieznajomego, posępnej twarzy, dziwnie trochę ubranego mężczyzny stanęły osłupiałe. Krzysztof także byłby się cofnął od białych sukienek, gdyby Zamorski nie uspokoił go zawczasu w swym szlacheckim języku wyrazistym, oznajmiając mu... że to były te... smarkate jego dziewczęta. Gdy pierwszy popłoch przeminął, obie panny przyłączyły się do towarzystwa, Misia ze zwykłą sobie bojaźliwością, Liza wesoło i z mocy dobrej znajomości z dziedzicem poufale go witając. Po chwili namysłu obie one, nie pytając, odgadły, kto był ów nieznajomy, a że o nim dziwy słyszały, z niezmierną mu się ciekawością przypatrywały. Pan Krzysztof szedł milczący i zamyślony, z twarzy mu wyczytać było łatwo, jak był nierad z siebie i swego położenia. Cofnąć się bez dziwactwa i obrazy ludzi nie było podobna. Szedł więc jak na ścięcie. W ganku nowa męczarnia: stała jakby naumyślnie pani Zamorska.

Jejmość! zawołał dzierżawca wielki zaszczyt dziś niespodzianie dom nasz spotyka: gość, jakim się nikt w sąsiedztwie nie pochłubi, nie pogardził naszym ubogim dachem pan Krzysztof Pobóg. Z rodzajem przestachu rzuciła nań okiem gospodyni i weszli wreszcie do domu, gdzie zabrawszy miejsce jak najmniej widoczne, pan Krzysztof mógł spocząć i odetchnąć. Jakkolwiek Liza rada była może osobliwej figurze, o której obiecywała sobie opowiadać później znajomym, gość ten nie bardzo był jej na rękę, gdyż nie dozwalał z równą jak zwykle poufałością zaczepiać pana Teodora. Ostrożnie tylko oczkami na, niego rzuciła Liza i strzelała półgłosnymi słówkami. Surowe oblicze pana Krzysztofa wszystkich chłodem jakimś obwiał, obudzał strach dziwny; spoglądano nań z dala, z obawą, a po kilku próbach daremnych wciągnę

cia w rozmowę, dano mu pokój i dozwolono milczeć. Zmęczeni się wszyscy tym gościem, który równie zdawał się nimi znużony. Teodor, widząc to, musiał nawet skrócić pobyt u Zamorskich, gdyż litość w nim pan Krzysztof obudzał. Pożegnali się wrędcie i wyszli nazad do pustego dworu.

Liza, nie mogąc mówić wiele, oczyma tego wieczora tak dokazywała, iż w końcu pan Teodor uległ urokowi tego wejrzenia i wyszedł rozmarzony mocniej niż kiedy.

— Siedziałeś ze spuszczonej oczyma — odezwał się, gdy weszli w ogród i oddalili się od folwarku — nie uważałeś nawet pewnie pięknych pańienek. Co to za wyśmienite dziewczęta! naiwne, proste, wieśniaczki! Prawdziwie, nie mogę się nimi nacieszyć! Porosło to u mnie na grzędzie jak polne maki.

Krzysztof się uśmiechnął.

— A tak — rzekł — doskonale porównanie, teraz są jak różowe kwiatki makowe, ale w nich już, jak w makach, zaród trucizny. Będzie z tego doskonale opium na upojenie czyjeś.

To są dzieci, naiwne istoty!

Rozśmiał się jeszcze głośniej pan Krzysztof.

Szczególniej ta, która za wami, panie Teodorze, nieustannie oczyma wodziła.

Za mną! co ci się dzieje!

Tak jest — powtórzył Krzysztof. Tyś ślepy. Zamorski ma na ustach swe ubóstwo i hreczkosiejstwo, panny udają skromne dziewczątka.

Teodor okrutnie się oburzył.

Pesymistą jesteś! zawołał — ja tych ludzi znam, co ty mówisz. W takim usposobieniu, jak twoje, w istocie nie pozostaje nic, tylko się zamknąć na puszczy.

Ja też to uczyniłem — dodał Krzysztof spokojnie.

Rozmowa skończyła się na tym wprawdzie, ale Teodor oburzonym pozostał na brata za dziwny sąd wydany o Zamorskich; nie mógł mu darować tego. Wolał już zamilczeć, aby nic więcej nie słyszeć.

Zamorscy ujęli go sobie już byli zupełnie, wierzył im, może oczy Lizy przyczyniały się też do nadania wdzięku domowa całemu, choć się sam do tego nie przyznawał przed sobą. Miał za złe Krzysztofowi, iż śmiał widzieć ich inaczej i nie oceniać tej wieśniaczej prostoty i dobroduszości.

Zaledwie powróciwszy do starego dworu, znużony, milczący gość poprosił gospodarza, aby mu dozwolił przejść do przygotowanego pokoju na spoczynek.

Pan Teodor zbyt był poruszony, aby mógł o śnie pomyśleć; zapalił cygaro, otworzył okno, a że noc była piękna majowa, oddychając powietrzem wonnym głęboko się zadumał.

IX

Hrabina Wanda czytała, siedząc w krześle i oczekując, ażeby upał, który dnia tego panował, nieco ustąpił pod wieczór, gdy panna Kornelia wpadła do jej pokoju z twarzą dziwnie, do niewypowiedzenia przestraszona.

— Nic pani nie słyszy? goście przyjechali! — zawołała.

— Któż taki? — z wolna składając książkę, odpowiedziała hrabina.

— Pan Teodor, febra, ale to nic, to by jeszcze nic nie było — mówiła płacząc się i patrząc w zwierciadło stara panna — pan Teodor przywiózł z sobą...

Głosu jej nie stało; — hrabina patrzyła na nią zdziwiona; przestrasz Kornelii nieco ją rozśmieszył,

usta się poruszyły.

Cóż ci jest, moja droga?

A! co mi jest! co mi jest! ręce załamując i przybliżając się, odezwała się stara panna — pan Teodor przywiózł z sobą... upiора!

Hrabina spojrziała na nią zdziwiona.

Proszę cię, bez zagadek.

Zdawało mi się, że się pani łatwo tego domyśli — złośliwie poczęła kuzynka — z panem Teodorem przyjechał pan pustelnik Krzysztof.

Nie domówiła tych wyrazów, gdy twarz hrabiny,

która umiała panować nad sobą, okryła błądź. Spuściła oczy, zaczęła poprawiać książkę i zmięszala się widocznie, chociaż usiłowała nie dać tego poznać po sobie, ręce jej trzęsły się; głosem na pozór spokojnym, nie patrząc w oczy towarzysze, odezwała się cicho:

— Niepotrzebnieś mnie tak — przestraszyła. Proszę cię, zabaw chwilę tych panów, nim wyjdę.

Prośba była wyrzeczona takim jakimś głosem poważnie nakazującym, zmienionym, niezwykłym, poruszonym, że panna Kornelia, której usta nie łatwo się zamykały, na którą prośba nie zawsze skutkowała od razu, cofnęła się ku drzwiom szybko i nic nie mówiąc, wyszła.

Co się działo w duszy kobiety, na którą po latach tyłu jak piorun spadało to wspomnienie tylą boleści stłumione, to po wyjściu świadka twarz sama zdradzała. Załamała ręce, stała długo zadumana, jakby rachując się z sobą, co ma począć, wynijść czy się nie pokazywać wcale. Dwa razy chwyciła za dzwonek, chcąc zawołać sługi i złożyć się chorobą, i odsunęła go nie poruszywszy. Padła na

krzesło i wstała, wstydząc się swej słabości.

Krzysztof, jak go widziała raz ostatni, młody, piękny, żywy, rozkochany, przysięgający miłość wieki, niezłomną, stanął przed jej oczyma. Tyle lat ubiegło; któż wie, co się z nim stało i w co się zmienił ten ideał kochanka? Miał go zatrzeć w pamięci widokiem innego człowieka, w którym ruina przeszłości występowała przed nią: ruina ciała, serca i ducha?

Lecz nie wyjść było to przyznać się niemal do uczucia dla niego! Prędko przeleciało także przez myśl jej, kto był winniejszym z nich dwojga, czy on, co się wyrzekł jej słowa i przyrzeczeń swych razem, czy ona, co rodzicom musiała być posłuszną, nie będąc już i niczym związaną?? To zerwanie świętego węzła, co ich łączył, ona przypłaciła ofiarą całego życia; on??

on pewnie mniej cierpiał. Uczuła żal do niego, gniew na niego niemal. Stawił się teraz więc zuchwały, jakby się upominał o to słowo, którym sam wzgardził, o węzeł, który potargał. To było zuchwalstwo z jego strojny, które ukarać należało.

— Wyobraża więc sobie — rzekła w duchu — że dosyć mu się teraz pokazać przede mną, abym na rozkaz wróciła odepchnięta??

Wszystkie te myśli szybko jak błyskawice krzyżowały się po jej głowie, przeszywały serce jak miecze rozpalone, bały krwią do skroni. Chciała go widzieć i lękała się; miała pragnienie podać mu rękę do zgody i uścisnąć dłoń serdecznie, ale duma nie pozwalała i gniew sztuczny powracał.

Długa chwila upłynęła, nim potrafiła ochłonąć, spojrzała mimochodem w zwierciadło, poprawiła włosy i suknię czarną i jakby gwałt sobie zadając, szybko, bezprzytomnie pobiegła do salonu.

Tu przybyli goście ze złośliwą panną Kornelią, która się ich pomięszaniem napawała — zostawieni

sam na sam, milczący, oczekiwali przybycia gospodyni domu. Na twarzy Teodora widać było gorączkowe rozczekawienie i niepewność, Krzysztof stał jak winowajca, na pozór zimny i nieporuszony, w rzeczy niemal nie wiedząc, co się z nim dzieje. Pot zimny występował mu na czoło. Pomimo próśb Teodora nie zmienił swojego pustelniczego, dziwaczego nieco ubioru, wieśniaczego zarazem i fantastycznego. Podobniejszym w nim był do leśniczego wracającego z polowania, niż do sąsiada przybywającego w odwiedzinach. Rysy jego twarzy, które wiek mało odmienił, posępne były i nie zdradzały rozrzewnienia ani czułości; prędzej w nich było można wyczytać wymówkę, ból niż pokorę i prośbę.

Gdy suknia zaszeleściła i kroki się słyszeć dały, pan Krzysztof skamieniał, oczy zwrócił ku wchodzącej i stał nieporuszony. Drzwi się otworzyły, Wanda raczej

wbiegła, niż weszła, spojrziała na niego, oczy ich spotkały się, krótka chwila wahania poprzedziła powitanie.

Przed wniknięciem do salonu hrabina powiedziała sobie, że powinna udawać wesołą. Nie było to ani w jej obyczaju, ani w charakterze, zdało jej się jednak, że powinna nią być, aby nie zdradzić wzruszenia ani gniewu, bo gniew dowodziłby czego więcej. Bledszą była niż zwyczajnie.

Pan Krzysztof się skłonił.

— Ośmielił mnie pan Teodor do złożenia pani mego uszanowania — rzekł powoli — nigdy bym się sam na to nie ważył, wiedząc, że pani gości nie lubi, a ja też gościem nigdzie od dawna bywać nie zwykłem.

Hrabina skłoniła się zimno i z daleka.

— Bardzo wdzięczna panu Teodorowi za tę miłą niespodziankę i za wyciągnięcie pana z jego lasów. Gdy raz ta klauzura została złamaną, inni też korzystać będą z jego towarzystwa.

Pan Krzysztof nie zebrał się na odpowiedź, skłonił się tylko z rezygnacją i siadł na miejscu wskazanym. Nastąpiło milczenie przykre, którego nikt przerwać zrazu nie śmiał. Wejrzenia się krzyżowały, pan Teodor cierpiał prawie tyle co nieszczęśliwy Krzysztof, który spuściwszy głowę i oczy, stracił zupełnie zwykłą swą odwagę i przytomność. Panna Kornelia uważała niemal za obowiązek odezwać się z czymś obojętnym, bo widziała i na twarzy Wandy na próżno tajoną boleść i wzrastające pomieszanie.

Pan podobno przemówił do Krzysztofa, przy którym ją przypadek umieścił — pan długo bardzo nie wyjeżdżał nigdzie, nawet w najbliższe okolice. Jakże się panu wydały, czy zmienione?

Zagadnięty jakby się przebudził, podniósł oczy powoli.

Zmienione? nie umiem opowiedzieć mego wra

żenia — rzekł cicho — tak, niektóre rzeczy znalazłem bardzo odmienne, inne... dziwnie zachowały się, jakby ani zestarzyć, ani rosnąć nie chciały. Tak, prawdziwie — dodał płacząc się nieco — bardzo rozmaicie trwają niektóre przedmioty, mienia się inne. W ogóle okolica charakter swój i fizjognomią zachowała.

— A ludzie? — wtrąciła złośliwa panna Kornelia.

— Ludzi... nie widziałem prawie — rzekł pan Krzysztof.

— Pan naturalnie postarzałeś — odezwała się dziwnym głosem gospodyni — aleś się bardzo mało odmienił.

— Boję się, żebyś pani tego nie wzięła za komplement — odpowiedział pan Krzysztof widocznie ośmielony — ale pani ani się mogłaś postarzyć, ani odmienić.

Rozśmiała się hrabina.

— Nauczyłeś się pan grzeczności dla kobiet w lesie — szepnęła, spuszczać oczy — ja najlepiej

czuję, jak wielka we mnie zaszła zmiana. Słyszałeś pan zapewne o moich losach; cierpiałam wiele, straciłam męża, zostałam samą na świecie, którego pokochać nie umiałam; wszystko to nie odmładza. Lecz przyszła rezygnacja, wyrobił się spokój ducha i teraz mogę powiedzieć, że tak z moim losem przejednaną, iż nadeń innego nie pragnęłabym szczęśliwszego.

Mało się ludzi poszczycić tym może — dodał pan Teodor — wszyscy musimy pani zazdrościć.

Ale nie pan Krzysztof — dokończyła gospodyni śmieiej. Słyszałam, żeś pan sobie życie urządził wśród ukochanej puszczy tak po swej myśli...

W istocie, a najlepszym tego dowodem — rzekł pan Krzysztof — iż gdyby nie pan Teodor, do śmierci bym się pewnie nie ruszył z ruin mojego zamku.

Przyznam się, że go bardzo ciekawa — przerwała panna Kornelia.

— Zawiedziona byś pani została — odezwał się Krzysztof — nic tam nie ma oprócz kupy kamieni jako tako wyporządkowanych, aby wśród nich żyć było można.

— W istocie — wmięszął się pan Teodor — z nazwiska starożytnego zamku całkiem coś innego sobie wyobrażałem. Przyznaję, że trzeba heroizmu i prostoty pana Krzysztofa, aby wyżyć wśród tej pustyni. Gospodyni słuchała, nie mięszając się i często bardzo spoglądając na pana Krzysztofa, który na nią oczu podnieść nie śmiał i siedział jak na mękach.

— Czuje się winnym! — w duchu szepnęła gospodyni — niech pokutuje.

Cały ten początek rozmowy tak jakoś był nieokreślonym i ogólnikowym, iż nic z niego o rozwinięciu się jej wnosić nie było podobna. Pan Teodor zaczynał się niecierpliwić, bo na cóż by mu się to przydało, gdyby Wanda i brat jego ani się zbliżyć, ani poufałej, szczerzej rozmówić nie mieli. Uczuć

ich nawet niepodobna mu było odgadnąć, hrabina była surową i poważną jak zwykle, Krzysztof przybity bardziej niż kiedy i dziwnie nieśmiały.

Pan Teodor, raz wzięwszy na siebie tę rolę pośrednika, chciał ją, bodaj zuchwale, doprowadzić do ostatecznego kresu. Zdawało mu się, że powinien manewrować tak, aby nie okazując, iż to czynił umyślnie, ułatwić rozmowę bez świadków. Odciągnąć pannę Kornelią zdawało mu się łatwym. Raz postanowiwszy dojść do tego, próbował z nią zawiązać rozmowę a partę, która by była wstępem do żywszej i interesowniejszej na osobności. Ganek od ogrodu stał otworem. Panna Kornelia lubiła się bardzo popisywać z dowcipem, w każdym innym razie byłaby oburącz chwyciła zręczność błysnięcia nim przed panem Teodorem, lecz teraz czy ciekawość, czy litość nad kuzynką trzymały ją przykutą do krzesła, a co gorzej, na zapytania ciche od

powiadała głośno, dając do zrozumienia, iż nie jest usposobioną do szeptów.

Zakłopotanie wszystkich trwało już dobrą chwilą, miało jednak ten skutek zbawienny, że z wolna ochłonęli aktorowie tej sceny, że śmieiej poczęły krążyć ich wejrzenia i oswoiwszy się z położeniem, każdy się czuł panem siebie.

Pierwsza oprzytomniała pani domu; bladeść powoli schodzić zaczęła z jej twarzy, litość, którą uczuła w początku, zmieniła się znowu w niewytłumaczony gniew i urazę, serce jej biło, życzyła sobie niemal zbliżyć do pana Krzysztofa, aby mu powiedzieć otwarcie, że się łudzić nie powinien. Oburzyła się na zuchwalstwo, które go tu jakby po wyplatę zaległego długu przywiodło.

Pomimo to hrabina szukała w tym człowieku, znękanym i zestarzałym, dawnego Krzysia i znajdowała z podziwieniem w tej ruinie prawie młodzieńczy wdzięk jej dawny.

— I on cierpiał! — myślała — lecz zasłużył... a ja? ja? czyż nie odbolałam więcej jeszcze?

Czymżeś pan rozrywał tę samotność? zapytała, zwracając się do milczącego Krzysztofa.

Trochę książek mi zostało — odparł spokojnie, spoglądając pierwszy raz w jej oczy, których wyraz smutny, dawny, co się tak dziwnie zenił z uśmiechem, powitał go znowu — myślałem wiele i polowałem niemal codziennie; nie licząc szczupłego mojego dworu, pozostały mi dwa psy, których przyjaciółmi nazwać się godzi. Z nimi razem błakaliśmy się po lesie.

I nigdy nie zatęskniłeś pan za światem?

Za światem? — podchwycił bardzo żywo pan Krzysztof, i w głosie jego zadźwięczała ironia — ja... za światem? Nigdy on nie był moim ulubieńcem, a od czasu jak się stał targowicą i jarmarkiem, cierpieć go nie mogę.

— Przecież nie cały? — podchwyciła, chcąc się wmięszać, panna Kornelia.

— Nie znam wyjątków — mówił pustelnik — są może mniej żarliwi handlarze i nie bardzo zręczni, ale komuż dziś o co innego idzie, jak o grosz w jakikolwiek sposób zdobyty i jak najpowszedniejszym sposobem zużywany dla siebie. Za mojej młodości świat był jeszcze chrześcijański i rycerski, dziś jest pogański i mieszczański a rzemieślniczy... wszystko się stało rzemiosłem, ja zaś na rzemieślnika nie czułem się stworzony.

— Przecież sztuki kwitną — potrąciła gospodyni.

— O tym ja na pustelni naturalnie nic nie wiem — dodał pan Krzysztof — ale o ile mnie doszły wieści, domyślam się, że sztuka stała się też po troszę rzemiosłem.

Hrabina zamilkła. Pan Krzysztof, chwilę zatrzymawszy się, mówił dalej.

— Godzi się mi przebaczyć te sądy, boć, jak pani powiada, z lasu wychodzę; jestem podobny do

Satyra Kochanowskiego.

Panna Kornelia, która o Kochanowskim wiedziała mało, a o Satyrze jego nic wcale, obejrzała się, w twarzach obecnych szukając tłumaczenia, o jakim Kochanowskim była mowa, gdyż o żadnym w sąsiedztwie nigdy nie słyszała. Nikt nie podniósł tego wyrażenia, milczeli wszyscy. Pan Teodor, już nieco zniecierpliwiony, pochylił się do ucha panny Kornelii.

Jeśli mi pani co dobrego życzy, proszę, błagam, wyjdźmy na ganek, mam z panią kilka słów do pomówienia.

Pan, ze mną, w ganku? sam na sam? — zaczęła się śmiać do rozpuku. — Cóż to może być? Uprzedzam, że jeśli mi się ośmielisz oświadczyć, weźmiesz odkosza.

— Panno Kornelio! miejże pani litość! — szepnął Teodor.

— A gdzieżeś pan słyszał, aby stara panna litość nad kim miała? — wrzuciła mu w ucho kuzynka.

Jednakże czy ciekawość, czy litość zwyciężyły; po chwili wstała z krzesła, a że i pan Teodor ruszył się zaraz, hrabina, która zrozumiała strategię Męczyńskiego, pobladła i zdała się w początku chcieć wstrzymać odchodzącą, po namyśle jednak odstąpiła od tego.

— Tak lepiej — rzekła w duchu — i owszem, dam mu jasną i wyraźną odprawę... raz na zawsze. Usłużny kuzynek doskonale robi jego interesa.

Panna Kornelia niezbyt szybkim krokiem przeszedłszy się po salonie, gdy się do niej zbliżył Teodor, posunęła się ku gankowi.

— A! rozumiem, więc to wszystko umówione! Chcieliby nam czułą scenę ułatwić — mówiła w duchu hrabina — bardzo się na tym zawiodą. Doprawdy, to oburza.

Po odejściu pana Teodora została zmuszoną choćby dla przyzwoitości zawiązać rozmowę z Krzysztofem. Pierwszy raz po latach tyłu znajdowali się sam na sam. Krzysztof, który siadł opodal, obejrzał się i jakby nabierając męstwa, przybliżył się do gospodyni.

Z postanowieniem chłodnego wytłumaczenia się szedł ku niej, podniósł oczy, twarz jej była tak groźna, tak posępna i prawie gniewna, że się zawahał.

Któż wie, jedno może z serca płynące słowo byłoby ich zbliżyło i przejednało od razu, lecz słowo to zamarło na ustach. Pan Krzysztof zrozumiał wejrzenie i ostygł.

Nie miej mi pani za złe mojego kroku — rzekł, siląc się na zobojętnienie — nie uczyniłem go z własnej woli, spełniłem życzenie Teodora. Muszę być otwartym, aby się oczyścić z zarzutu, jaki mi pani słusznie uczynić byś mogła. Teodor... marzy o szczęściu i szuka go tu

taj, ale jest dobrym bratem. Zdawało mu się, że ja także mógłbym do tego rościć nie prawo, gdyż żadnego nie mam, ale, że... że...

Hrabina przerwała żywo.

— Pan Teodor wierzy w trwałość uczuć... dawno wystygłych i zapomnianych.

Spojrzeni sobie w oczy, wejrzenie hrabiny było coraz groźniejsze, wargi jej drżały.

— Pan Teodor jest marzycielem — dodała — a my oboje staliśmy się, spodziewam, ludźmi rozumnymi i ostygłymi. Dziecinne chwilowe przywiązanie przeciw wiecznych więzów nie wkłada, pan nadto cenisz swą ciszę, abyś je miał nosić, a ja stałam się sceptyczną i nade wszystko cenię to, co dziś mam — swobodę.

— Ja także — rzekł pan Krzysztof. — Smutno mi tylko, że Teodorowi na nic się nie przyda to, co i pani musiało uczynić nieprzyjemność, i mnie kosztowało wiele.

Skłonił się lekko i zamilkł.

Biedny mój Teodor! westchnął cicho.

A! nie użalaj się pan nad nim tak bardzo odezwała się hrabina w jego wieku uczucia nie są groźne, są to echa przeszłości tylko. Mogło mu się zdawać coś na chwilę, to przejdzie.

Jak wszystko przechodzi wtrącił pan Krzysztof. Gdybym jednak śmiał pani polecić trochę mojego kuzyna, jest to bardzo dobry człowiek.

Zupełną mam wiarę w wielkie jego przynioły, ale... swoboda jest lepszą od najmilszego z mężów zawołała hrabina proszę, nie mówmy o tym.

W głosie jej drżał gniew. Spodziewała się wcale czego innego po nim zmartwychwstającej miłości, wyrzutów, upomnienia się o prawa; rzewnych wspomnień, a znajdowała wystygłe opiekowanie się kim innym.

To było nie do przebaczenia. Spojrzała nań prawie

z oburzeniem i wzdargą. A jednak głos, choć stłumiony i zmęczony, przypominał jej Krzysia; serce biło, sama siebie nie rozumiała Wanda.

Co się działo z Krzysztofem, tego z twarzy obumarłej wyczytać nie było można.

Wszedł tu rozdrażniony, poruszony, obawiając się wybuchu; kilka słów rozmowy zepchnęły go na stanowisko tak niskie, tak podrzędne, iż ani serca, ani oczów nie śmiał podnieść ku niej. Siedział milczący, czekając jakiegoś ratunku i wyzwolenia.

— Dziwnie odmienne były nasze losy — jasnym, spokojnym głosem poczęła hrabina, jakby tylko dla utrzymania obojętnej rozmowy — pan siedział zamknięty w ciasnym obrębie swoich lasów, ja musiałam latać po świecie.

Zwiedziłam całą prawie Europę.

— Wątpię, byś pani co innego znalazła w niej nad to, com ja widział w swych lasach — rzekł Krzysztof. — Ludzie są wszędzie ci sami, a natura, choć bardzo różnaita, wszędzie piękna.
— Przyznaj pan jednak, że to zamięłowanie odludzia to dziwactwo. Gniewasz się pan na świat, nie

chcąc może przyznać, że nierad jesteś z siebie.

Ale ja się na świat nie gniewam — uśmiechając się, rzekł Krzysztof — a z siebie nigdy nie byłem zadowolony i do tego przyznaję się chętnie.

Udana pokora — szepnęła hrabina, znajdując jakąś przyjemność w znęcaniu się nad panem Krzysztofem.

Bardzo pani dla mnie jesteś niełaskawą — głos zniżając, odezwał się pan Krzysztof. — Po latach wielu przyszedłem zmuszony, na chwilę, naprzykrzyć się pani; w życiu się więcej nie zobaczymy pewnie nigdy, godziż się być tak nielitościwą?

Hrabina się zarumieniła.

Nie rozumiem tego, czym mi pan grozisz, że się już więcej nigdy widzieć nie mamy — podchwyciła

szybko — byłoby to śmiesznym i kompromitującym dla nas obojga. Jeżeli o co go prosić mogę, to właśnie, byśmy jako dobrzy dawni znajomi widywać się mogli. Przeszłości trzeba zapomnieć, ale terażniejszości nie należy wyrzekać. Krzysztof, jakby nie zrozumiał zrazu, długo patrzył milczący, cierpliwość i zimna krew opuściły go nagle, poruszył się na krześle.

— Pani więc myślisz, że mnie nic ta bytność, tak jak ją, nie kosztowała, że przybyłem dla ciekawości i mógłbym od czasu do czasu stawić się tu, aby jej dostarczyć cierpliwiej ofiary, która wszystko znosić musi, byle uratowała się od mniemanej kompromitacji? Przyznam się pani, że musiałaś zapomnieć, jakim byłem dawniej, lub sądzisz, że tak się potrafił zmienić.

— Jak ja? nieprawdaż? — szydersko zawołała hrabina. — Ale ja się nie zapieram wcale tego, że jestem zupełnie, całkowicie zmienioną, że we mnie nie zostało nic z dawnej płoczej dziewczeczki, jaką mnie znałeś. Musiałam tonąć i ratować się, przejść przez wszystkie jego obrzydliwości; tak jest!

miałam prawo zmienić się... zmienioną jestem.

A ja nie! przerwał, rozogniając się, pan Krzysztof. W mchu tych moich lasów zasnąłem, zaskrzepłem z młodymi uczuciami i przeżyły we mnie za kres zwykły, gdy u innych uczucia tępieją i serce bić przestaje.

Spojrzał na nią rozpromienioną bólem twarzą, paliły mu się oczy. Wanda wejrzenia ich znieść nie mogła, drgnęła i spuściła źrenice.

Z uczuciami starymi włóczyć się po świecie, aby je drażnić, rozżarzać i cierpieć od nich, byłoby samobójstwem dodał pan Krzysztof nie mam żadnego celu wychodzenia upiorem z grobu i przebaczysz mi pani, że tego więcej nie uczynię.

Uspokój się pan, proszę odezwała się hrabina,,

spojrzawszy w ganek na Kornelią — mówimy tak żywo, że moja kuzynka posądzić nas może o wcale inną treść rozmowy. Rada bym pana widzieć chłodnym, przejednanym z losem i pożegnać go, do widzenia, dłonią przyjazną. Zdaje mi się, że w imię przeszłości mogłabym się choć tego domagać.

— Sama pani mówiłaś, że przeszłość ta umarła i że w niej nic już z tamtych czasów nie pozostało.

— Przyjaźń dla pana — cicho odezwała się hrabina.

Krzysztof poruszył się na krześle. — Na miłość Bożą! — zawołał — rozumiałbym nienawiść... przyjaźni nie pojmuję. Miłość się nigdy nie zmienia na nią, chyba od razu miłością nie była. W moim też sercu więcej jest gniewu i nienawiści; powiem szczerze, niż... tego wodnistego napoju, który się nazywać zwykł przyjaźnią.

Hrabina się zarumieniła, pan Krzysztof odsunął się z krzesłem i chciał wstać.

Proszę pana pozostań i mówmy znowu chłodno.

Lecz snadź rozmowa chłodna była niepodobieństwem, bo zamilkli oboje. Krzysztof począł się oglądać na Teodora, jakby go na pomoc wzywał, Wanda czuła się winną i była niespokojną; żalowała, że była z nim za surową, lecz mogłaż być inną? Obudzał w niej litość znowu.

Całej tej sceny świadkami były oczy panny Kornelii i pana Teodora. Tu, w ganku, rozmowa po kilku słowach się przerwała, ucichła, stanęli oboje, usiłując przeniknąć i zgadnąć, co dawni kochankowie mówić z sobą mogli.

Dałabym rok życia mówiła panna Kornelia żeby podsłuchać ich. A! to musi być ciekawym. Ale od kuzynki nic się nie dowiem, to próżno.

Ani ja od pana Krzysztofa dodał Teodor.

— Klóćą się... ja to widzę po twarzy Wandy, jest niezmiernie poruszoną. Co to będzie! co to będzie.

— Więcej się lękam o Krzysztofa niż o hrabinę, która jest panią siebie; biedny Krzysztof.

— Tst! tst! — zawołała kuzynka, którą jakieś słówko doleciało — pan jesteś niezdolny, proszę milczeć.

Zamilkli, ale rozmowa przycichła i ciekawa stara panna nic już pochwycić nie mogła.

Widocznym tylko było, że gwałtownymi wybuchy mieniali z sobą myśli ci państwo, że chwilami przerywała się ta zamiana niezgodnych wyobrażeń i że oboje męczyli się. Panna Kornelia uczuła wreszcie litość nad hrabiną i zawołała do Teodora: — Dłużej tu nie wytrzymam, wracajmy do salonu.

I nie słuchając już towarzysza, który usiłował ją uprosić, aby pozostała, posunęła się żywo ku opróżnionym krzesłom. Zastali tu uroczyste milczenie, twarze były zarumienione, widać po nich przejście burzy.

— Państwo: nas opuściliście — odezwała się hrabina — a ja naszego sąsiada wcale zabawić nie

umiałam; o wszystkośmy się prawie sprzeczać musieli, tak się jakoś nie rozumiemy.

Należy to przebaczyć odwykłemu zupełnie od ludzi — dodał Krzysztof — wiedziałem o tym, że już do towarzystwa nie stworzony.

To mówiąc, wstał z krzesła i zbliżywszy się do Teodora, szepnął mu:

Jedźmy! na miłość Bożą, jedźmy. Ale hrabina odgadła to i zawołała żywo:

Niech mi pan mojego gościa nie buntuje, musicie zostać na herbacie, choćby na dowód, że jesteśmy mimo rozmowy dosyć spornej w dobrej zgodzie.

Teodor spojrzął na gospodynię.

Ja jestem wszystkim rozkazom posłuszny.

A ja korzystam z tego zaraz — dodała Wanda

aby wydać panu rozkaz przywiezienia z sobą, gdy będziesz łaskaw być w Zamostowie, pana Krzysztofa. Pogodzimy go z życiem i światem.

— Pani by to z łatwością przyjść mogło — szepnął wzdychając Teodor.

— Nie zrozumiałeś mnie pan — poprawiła się rumieniąc. — Pan Krzysztof stał się mizantropem, trzeba go z tego wyleczyć, bo to po prostu choroba.

— Wszyscy, co z początku na ideały chorowali, kończą na mizantropii — rzekł Teodor.

Panna Kornelia, która na chwilę się oddaliła zajrzeć, co się dzieje z herbatą, oznajmiła, że ją podano. Nie można było odmówić uprzejmemu zaproszeniu gospodyni. W sali jadalnej stał już wyprostowany i milczący pan rejent.

Był to z bardzo dawnych czasów znajomy i przyjaciel niegdyś młodego jeszcze pana Krzysztofa, który straciwszy go z oczów, o losach jego nie wiedział wcale. Rejent, wiedząc o przybyciu Poboga,

zawczasu mu się z dala uśmiechał, gdy pan Krzysztof, który od razu twarzy zmienionej przypomnieć sobie nie mógł, patrzył nań, jeszcze zdziwiony tym wyrazem fizjonomii prawie obcej.

Rejent się zbliżył wzruszony cały.

Panie Krzysztofie dobrodzieju! pan mnie nie poznaje? zawołał.

Głos ten rozbudził pamięć pustelnika, który z całą żywością serca, drgającego jeszcze świeżym wzruszeniem, począł ścisnąć reagenta. Hrabina, która się tyle uczucia nie spodziewała w mizantropie, patrzyła nieco zdziwiona.

Odeszli na stronę obaj.

Po latach tyłu... o mój Boże! mówił urywanymi słowy rejent jakżem ja szczęśliwy, że widzę pana. Wiedziałem o nim, ale szanowałem wolę jego i nie śmiałem mu się naprzykrzać.

— Dobrześ uczynił, panie rejencie, jam się skazał na dobrowolną samotność i zdobyłem nią spokój, naruszyć go tak, jak spokoju grobów, nie godziło się. Dziś, gdy cię widzę, rad jestem.

Rejent patrzył nań, jakby się nie mógł nasycić widokiem jego.

— Prawda? zmieniają lata! — rzekł Krzysztof.

— Sądzę, że to więcej na mnie znać niż na panu — odparł stary.

Odeszli parę kroków od okna. Panna Kornelia zajęta była herbatą. Teodor nieśmiało zbliżył się do hrabiny.

— Nie masz mi pani za złe, żem tego dzikiego człowieka tu ściągnął? — zapytał z pokorą.

— Najlepszym tego dowodem — gorączkowo nieco i spiesznie odezwała się hrabina — żem pana prosiła, aby ten pierwszy raz nie był ostatnim.

Głos jej sprzeciwiał się wyrazom, Teodor łatwo to dostrzegł.

Zdzczałym dodał wiele przebaczyć potrzeba.

Wanda spojrziała nań roztargniona i nie odpowiedziała ani słowa; patrzyła w okno zadumana, policzki jej okrywał rumieniec, cierpiała widocznie. Stanu duszy nikt, nawet ona sama, wytłumaczyć by była nie mogła. Za co się gniewała na biednego człowieka, na siebie, na Teodora, na wszystko?

Przez kilka minut mówili po cichu Krzysztof z rejentem, wrócili potem do stolika i gość zajął miejsce skromne, jak najdalej gospodyni, przy dawnym znajomym, z którym ciągnął dalej urywaną rozmowę, nie mieszając się do ogólnej, podsycanej przez pannę Kornelię, która na pustelnika nieustannie oczyma ciekawymi rzucała.

Wanda niekiedy z ukosa spoglądała na odsuniętego daleko Krzysztofa, niekiedy dorzucała słówko do roz

prawy pana Teodora o herbacie w Europie. Długie pół godziny ceremonialnego podwieczorku przeszło nareszcie. Krzysztof, domagający się oczyma odjazdu co najprędszego, na ostatek zmusił kuzynka, że wstał i zaczął się żegnać. Żał się zrobiło hrabinie tak upokorzonego i zrezygnowanego Krzysztofa. W chwili, gdy nie śmiejąc się nawet zbliżyć już, chciał ją pożegnać z daleka, postąpiła kilka kroków i podała mu rękę.

Zawahał się zrazu gość, machinalnie prawie wyciągnął dłoń drżącą i po latach wielu te dwie ręce, które los miał niegdyś połączyć na zawsze, spotkały się znowu. Ręka Wandy była drżąca, Krzysztofową nieśmiało dotknęła i cofnęła się, jakby z obawy, ażeby magnetyczny prąd z serca przez nią nie przeszedł do jego piersi i większym ich jeszcze nie napełnił niepokojem.

— Mam słowo pana Teodora, że mnie wprędce panowie obaj odwiedzicie — odezwała się

zmięszana hrabina rachując na jego spełnienie.

Teodor się skłonił, Krzysztof już dążył ku drzwiom. Powóz stał u ganku, siedli milczący. Przez całą drogę Męczyński na próżno zaczepiał po kilkakroć pana Krzysztofa, który mu nic nie odpowiadał. Tak dojechali do Zieleniewszczyzny i gdy wysiedli w starym dworze, a zostali sam na sam, Krzysztof ujął rękę Teodora.

Teraz mówmy rzekł skończmy tę męczarnię, którą wycierpiałem dla ciebie. Zrobiłem, czegoś wymagał po mnie, wiesz, z jakim skutkiem? Hrabina nie tylko odepchnęła mnie tegom się spodziewałem ale gdym zagadnął o ciebie, odpowiedziała mi stanowczo, że swobodę swą nade wszystko ceni, że za ciebie ani za nikogo nie wyjdzie; oto masz ostateczny rezultat, czym okupiony dodał, uderzając się w piersi Bóg i ja wiemy tylko.

To mówiąc, rzucił się na krzesło i zamilkł, Teodor stał zupełnie spokojny przed nim.

— Mniej więcej i ja się tego samego lub gorszego spodziewałem — odezwał się powoli — nie dziwi mnie to nic a nic. Ty, Krzysiu mój, zapomniałeś ludzi i nie znasz kobiet. To, co ona powiedziała w uniesieniu, nic nie dowodzi, a zdobyliśmy jeden fakt, którego mi nikt nie wybije z głowy: była mocno poruszona, serce jej biło, wspomnienia się odezwały. Na chwilę mogła być podrażniona. Pojedziemy raz drugi i wszystko się zmieni, a ja jeszcze będę drużbą na twoim weselu.

Krzysztof porwał się z krzesła śmiejąc.

— Noga moja tam nie postanie nigdy. Jadę do domu i żadna moc ludzka stamtąd mnie nie wyciągnie, ani ty, ani nikt. Dostyc tego. Jestem na długo a długo wzburzony, gniewny, nierad z siebie i nieszczęśliwy, tom winien tobie.

Noc już była, pomimo to pan Krzysztof domagał się koni do chaty Wilczka i koniecznie chciał odjeżdżać natychmiast. Teodor zaklinał go na wszystko, aby pozostał, obiecywał go odwieźć

nazajutrz, nic nie pomogło.

Jeśli mi nie dasz koni, pójde piechotą — odparł spokojnie — nawykłem do długich wycieczek, to mi wszystko jedno. Nie było sposobu, nie chcąc go więcej drażnić, posłał Męczyński po konie, pożegnali się zimno. Krzysztof śpieszył, pilno mu było zostać z samym sobą; skoczył na bryczkę, ręką jeszcze pożegnał brata i kazał jechać ku swym lasom. W półtorej godziny, gdy już wszyscy spali we dworku, Grzmiła zaczął szczeleć okrutnie i wszystkich pobudził. Krzysztof wchodził na dziedzińcyk i co żyło, zerwało się, aby mu nocleg przysposobić.

Stary leśniczy chciał pana zabawiać rozmową, ale się wprędce przekonał, że był w tym niemym usposobieniu, w którym słowa z niego dobyć nie było podobna.

Dosia, która posługiwała, wróciwszy do matki, szepnęła:

— Coś mu się stać musiało? Bóg wie, chmurny jak noc, ja go z jednego wejrzenia poznam! Biedny człek!!

Przed starym dworem w Pobogowszczyźnie, który ostatni dziedzice, chcąc po swojemu upiększyć, popsuli niesmacznymi przybudówkami w nowszym, a raczej bez żadnego smaku, pomiędzy dwoma starymi lipami na ławce z

brusa dębowego, u stolika siedział ubrany po wiejsku w surducie płóciennym pan Paweł. Patrząc nań z uwagą, można w nim było poznać brata Krzysztofa, lecz w twarzy jego rysach zmęczonej i zwiędłej więcej było czynu, a mniej myśli. Bystrzejszy wzrok patrzył śmiało w oczy temu, co przed sobą spotykał. Mniej rycerstwa i dumy, mniej w nim było wdzięku, lecz za to coś wzbudzającego zaufanie i wiarę. Czytałeś w nim, że marzyć nie umiał, że do walki był

gotowym i że słowo mierzył z czynem, tak aby się jedno nie rozbijało o drugie.

Pan Paweł trzymał gazetkę w ręku, na którą rzucał roztargnionymi oczyma. Naprzeciw niego, bardzo skromnie ubrana, siedziała kobieta rysów twarzy pospolitych i nie pięknych wcale, pełna zdrowia i spokoju na czole, dosyć rumiana i otyła. Strój jej czysty był, ale niewyszukany i nie ułożony dla wdzięku, snadź wiedziała, że piękną być nie mogła, a udawać piękności nie chciała. Za to na ustach miała uśmiech dobroci pełny. Białe oczy niebieskie, usta duże, nos kształtny, ale spory, owal twarzy nieco za pełny odznaczały gosposię. Była to żona pana Pawła, córka zamożnego kupca z miasteczka, która się jeszcze z nowym szczęściem męża i dostatkami jego oswoić nie mogła i zachowała dawną obyczajną prostotę, choć może marzyła o czym innym. Stojąca przy niej wysmukła

i piękna dziesięcioletnia dziewczynka wesoło spoglądała na matkę i robiła ową podwiązkę, od której panienki poczynają swój zawód jako od wstępu do skomplikowanej pończochy. Tuż za siostrą stał słuszniejszy od niej chłopak w siermiężce, podobny trochę do ojca, trochę do matki, dziarski i żywy a niespokojny. Książkę złożywszy, patrzeć się dokoła zdawał, gdzie by mógł jakiego figla wypłatać. Między siostrą a nim odbywała się rozmowa na migi. Magdzia go wstrzymywała od jakiegoś wybryku, pokazując mu ojca drutem od pończochy.

— Już chyba dziś Teodor nie przyjedzie — odezwał się pan Paweł do żony — przysłał się dowiadywać, czy jesteśmy w domu, miał na pewno przyjechać, a tu wieczór już... i nie ma go. To bałamut, z podwieczorkiem nie trzeba czekać na niego, kaźcie dawać.

— Jeszcze chwileczkę się wstrzymamy — odezwał się łagodny głos kobiety — może nadjedzie.

Paweł na zegarek spojrział.

Siódma godzina.

Człowiek z wielkiego świata przemówiła pani Pawiowa u nich godziny inne mają znaczenie. Wstają o południu, a kładą się po północy.

Gdy to mówili, niepoczesny człowieczyna na lichym koniu zatrzymał się u wrót, konia przywiązał do słupa i sam, trzymając w ręku biały papier, zbliżył się ku lipom. Pan Paweł podszedł.

Skąd to?

Z Zieleniewszczyzny.

Prędko rozpieczętował kopertę gospodarz, rzucił okiem na kartę i krzyknął tak jakoś dziwnie, że żona, rzuciwszy pończochę, podbiegła ku niemu. Dzieci zdziwione zostały przy stoliku.

Pawłostwo oboje z pochylonymi nad listem głowami czytali. Był następującej treści:

“Me mogę dziś przybyć do kochanego kuzyna, a co gorzej, przykrą mu udzielić muszę wiadomość. Pozawczoraj byliśmy z panem Krzysztofem w Zamostowie; późno w noc napał się powracać do domu, a raczej do chaty Wilczka. Co się potem stało — nie wiem, ale Wilczek dał mi znać, że nad ranem, wybierając się na polowanie, Krzys nieostrożnie obszedł się ze strzelbą i cały nabój w lewy bok sobie wpakował. Nim przybyłem, felczer, wezwany z miasteczka, już mu łoftki powyjmował, rana niebezpieczna, pierś przestrelona, cudem jakimś niepojętym serca nie tknął i zdaje się, że żaden ważniejszy organ nie ucierpiał. Bóg wie, czy go ocalemy. Może by wypadło, abyście wy przyjechali; ja go nie odstępuję...”

Przeczytawszy list oboje państwo Pawłostwo stali długo milczący, spoglądając po sobie, oboje byli mocno wzruszeni, Paweł niepewien i wahający się, co ma począć.

Nie chcąc, aby ich dzieci słyszały, odeszli nieco w głąb dziedzińca.

Żona patrzała mężowi w oczy niespokojna — on milczał.

Niepojęta rzecz odezwał się nareszcie człowiek, który całe życie nawykł chodzić około broni, żeby się mógł w ten sposób przez nieostrożność postrzelić... w lewy bok...

Poruszył głową.

Jechać? nie jechać? dodał wiesz, jak mnie nie lubi, moje przybycie może go podrażnić. Co ja tam pomogę? lękam się, bym nie zaszkodził!

Ale jechać potrzeba, należy odezwała się kobieta łagodnie uczynisz, jak zechcesz, ja ci radzę... jedź. Choćbyś go nie miał widzieć, dobrze, byś tam był i dowiedział się, czy mu czego nie potrzeba.

Ode mnie nic nie przyjmie.

Znajdziesz sposób, podyktuje ci serce twoje, jak

mu masz usłużyć. Ty wiesz jak ja, nie znając go, lituję się nad nim... jak mi go serdecznie żal. Sam mi mówiłeś, że nieszczęśliwa miłość przyprowadziła go do tego.

— Tak! i nieszczęśliwe pojęcie o szlacheństwie.

— Trzeba mu to przebaczyć — westchnęła kobieta. — Ale, proszę cię — dodała — nie znajdujesz to dziwnym, że zaraz po podróży do Zamostowa trafił się ten przypadek. Po co tam jeździł?

— Mnie to także uderzyło. Teodor mi mówił, że go tam zawiezie. Zmusił go... któż wie, jak tam został przyjęty. W tym człowieku wieczna burza mieszkała.

Westchnął głęboko.

— Jadę — rzekł — nie pójdę do niego, wiedzieć o mnie nawet nie będzie, ale ja dowiem się przynajmniej.

Skinął na chłopaka stojącego z siostrą przy stole.

— Wacek, każ mi zaprząć prędko parę koni! Ledwie dosłuchawszy rozkazu, Wacek się kopnął ku stajni; nic przyjemniejszym mu być nie mogło nad zbliżenie się do furmanów i koni, do których

towarzystwa tęsknił zawsze.

Państwo Pawłostwo przechadzali się smutni. Posłańca odprawiono ze słowną odpowiedzią, iż Paweł natychmiast jedzie. Człowiek upewniał, że w chacie Wilczka znajdzie pana Teodora.

W kwadrans zaszły konie, gospodarz się ubrał naprędce, pożegnał żonę kilkoma cichymi słowami i wyjechał.

Wieczór był chmurny i wietrzny, zanosilo się na burzę. Nie zważając na to, kazał pośpieszać i bliższą drogą, choć gorszą znacznie, przed północą w deszcz już stanął po cichu u podwórka chaty Wilczkowej.

W oknach widać było światło... ale cisza panowała dokoła. Na szczekanie psa wyszedł stary leśniczy.

Jest pan Teodor? zapytał w sieni przybyły.

Jest przy panu.

— Wywołajcie go ostrożnie, nie mówiąc o mnie. Wilczek otworzył drzwi przeciwnika i wpuścił Pawła do izby. Przy piecu siedziała leśniczyna z twarzą fartuchem okrytą, płacząc. Tuż przy niej Dosia stała z rękami załamany, z głową spuszczoną, zatopiona w myślach, z oczyma suchymi, których nawet na wchodzącego nie podniosła. Pierwsza matka spostrzegła pana Pawła i dała znak osłupiałej córce, aby stółek podała. Dziewczę nie zrozumiała.

— Jak się ma chory? — spytał Paweł.

— Pan nasz... a! nie wiem! nie wiem — poczęła Wilczkowa i zakryła znowu twarz fartuchem, a córka dodała głośno:

— Ale on umrzeć nie może! Pan Bóg nie dopuści na nas tego nieszczęścia — nie... nie... O! nigdy... a to...

I opamiętawszy się nagle, zamilkła, cofając się w głąb izby za piec, o który oparła głowę i ręce. Wtem wszedł błady Teodor. W milczeniu podali sobie ręce. Nadto było świadków, ażeby mówić

mogli; obejrzał się Męczyński, deszcz lał na podwórzu, wyszli obaj do sieni ku ogródkowi. Tu stanęli w progu.

Jest niebezpieczeństwo? — zapytał Paweł.

Felczer niepewny swego, posłał po doktora, choć Krzysztof się temu sprzeciwia. Zrazu ratować się nie dawał, nierychłom go skłonił, a raczej zmusił do tego.

Lecz jakże doświadczony stary myśliwy... mógł... Teodor uderzył po rękę Pawła i dziwnie głową poruszył; zmarszczyły mu się brwi.

Strzał niepojęty... wypadek niezrozumiały — rzekł cicho — tajemnica, której lepiej się nie dobadywać. Wilczek powiada, że przybywszy ode mnie w nocy, bo się napał powracać, tak że chciał bodaj iść pieszo, zamknął się zaraz w izbie, w której zwykle nocował. Dosia, córka leśniczego, chciała go spytać, czy mu

czego nie potrzeba, odprawił ją, słowa nie mówiąc. Stał, trzymając się za głowę, myślano, że go boli. Dano mu pokój. Kobiety się nie kładły, sądząc, że czego zapotrzebować może. Dosia, która do niego jest jak dziecię przywiązana, podsłuchiwała pode drzwiami; chodził do późna, a raczej do rana, jęcząc i stękając. Zaczynało świtać, gdy w izbie ucichło; myśleli, że się wreszcie położył. Zaledwo dziewczę odeszło i poczęło się do snu układać, gdy strzał się dał słyszeć. Wilczek, będący najbliżej, wpadł pierwszy, zastał go leżącego na ziemi i broczącego we krwi, a rękami konwulsyjnie odpychającego ratunek. Na stole leżała torba i przybory myśliwskie Wilczka. Zaniesiono go gwałtem na łóżko i szlachcic mimo oporu ranę poobwiązywał, chłopca wyprawiono po felczera i do mnie. Przybyłem razem prawie z nim... zdawało się, że nie ma ratunku. Męczył się okrutnie; wołał: Dajcie mi umrzeć!... Scena była dziwna. Dosia u nóg łoża uczepiona u jego ręki i jak obłąkana, Wilczkowa, on sam... wszystko to jęczące i ryczące z płaczu. Przystąpiłem i ja. Udało się nam wszystkim

razem zmusić go do posłuszeństwa i dozwolenia opatrzenia rany, z której felczer najprzód szczęściem po żebrach poosuwane loftki powyjmował. Upływ krwi był ogromny... rany szkaradne. Od czasu jak się dał opatrzyć, słowa nie można dopytać się, milczy, usta zacięte, oczy zamknięte. Daje z sobą robić, co chcą, lecz jest jakby obumarłym. Ból mu jęku nie wycisnął z ust.

Cóż to było? przypadek? zapytał Paweł. Teodor chwycił się za głowę i stęknął.

Przypadek!... mówmy, że to był przypadek, chociaż nie pojmuję takiego przypadku ani takiego samobójstwa.

Byliście tego dnia w Zamostowie? podchwycił Paweł. Po co?

Teodor się w piersi uderzył.

Zapytaj tego głupca, który stoi przed tobą! po

co? tak? po co go wozic tam było, ażeby się w nim odezwała stara boleść, której on długimi latami w sobie nie zwyciężył? Ale któż mógł przewidzieć, kto się mógł spodziewać takiej głupiej namiętności w człowieku zestarzałym, ostygłym. Jam go tam zawiózł...

— To nie mogło być samobójstwo — przerwał Paweł.

— Mówmy tak — ja wiedzieć nie chcę nic... sumienie by mnie gryzło całe życie. Wilczek powiada, że nie jeden raz tak z rana wybierał się na polowanie, tym razem może znużony, nieprzytomny nieostrożność popełnił.

— Mogę go widzieć? — zapytał Paweł.

— Widzieć go — zapewne, ale nie mówić do niego; nie odpowiada nikomu. Jedna Dosia gdy przyjdzie i pochwyci go za rękę a płacze — oczy otwiera.

Nic już nie mówiąc, Paweł za Teodorem zbliżył się ku drzwiom prowadzącym do izby, w której leżał

chory. Przyciemniona była: świeca stała osłonięta w kątku, na tapczanie, okryty chustami skrwawionymi, z twarzą bladą leżał pan Krzysztof; oddech ciężki słycać było i chrypienie w piersi; oczy miał zamknięte. Jedna ręka wisiała zwieszona, żółta, jakby bezwładna i trupia. Obnażone na pół piersi widać było poobwiązywane ręcznikami, na których także krwi plamy leżały ciemne. Felczer siedział na stołeczku przy chorym. Wilczek stał w kątku, podparłszy głowę na rękę.

Otwarcie drzwi nie rozbudziło chorego, nie poruszył się, przystąpili do łóża i mogli mu się przypatrzeć z bliska. Mimo bóleści twarz była wypogodzona, namarszczone tylko brwi i zagryzione usta zdradzały cierpienie. Chwilami wargi spalone otwierał, zmarszczki jakieś krzywiły mu twarz, ale natychmiast nikły i dawny spokój na nią powracał. Ani Teodor, ani Paweł odezwać się do niego nie śmieli. Stali jeszcze, gdy weszła z przeciwka córka le

śniczego, wodząc oczyma obłąkanymi po izbie, przystąpiła do tapczana, przyklękła i wzięwszy rękę zwieszoną, całować ją zaczęła. Chory otworzył oczy, spostrzegł może braci obu d prędko zamknął je znowu. Dosią płakać poczęła. Przywiązanie to dziecka dziwnym by się mogło wydawać, gdyby Dosią nie wychowała się w oczach i niemal na rękę pana Krzysztofa, który ją lubił bardzo.

Nie dziwiło ono nikogo z domowych, bo Wilczek i wprzódy wiedział, jak dziewczę natrętnie zajmowało się swym opiekunem, jak niekiedy nawet pozwalało sobie dawać mu rady i rozkazy, których pan Krzysztof uśmiechając się słuchał. Pani Wilczkowa naganiała córce tę poufałość, ale jej poprawić nie mogła; niepokoiła się nawet trochę przywiązaniem, które się objawiało często prawie namiętnie, ale trudno było posądzić kilkunastoletnią dziewczynę o inną miłość dla człowieka tak wiekiem od niej różnego. Ze strony pana troskliwość o los Dosi była prawdziwie ojcowska... i opiekuńcza.

Postawszy jeszcze u łóża, Paweł i Teodor wyszli po cichu. Deszcz ustał był, niebo nocne wyjaśniało się, wiatr rozpędzał chmur reszty, na wschodzie blade światło zwiastowało ukazanie się księżyca. Oczekując na lekarza, którego można się było spodziewać co chwila, dwaj krewni poczęli się przechadzać po podwórku. Rozmowa była przerywana i smutna.

Świtało już, gdy stary Schirner nadjechał. Ze trzech lekarzy w okolicy, jego jednego znaleziono w domu. Był to Niemiec, osiadły od lat dwudziestu kilku w miasteczku, człowiek dobry, lekarz doświadczony, ale już podstarzały i nie bardzo rad praktyce. Ciężko go było z domu wyciągnąć, gdyż z lenistwa czy z doświadczenia utrzymywał, iż większa część ludzi choruje na imaginacją, a leczy się bez potrzeby. Wszystko rad był zostawić naturze, byleby mu pokój dano. Tym

razem wypadek dziwny, potrzeba gwałtowna wyciągnęły go z domu bez przymusu wielkiego, nie skarżył się nawet. Teodor wprowadził go, kilką słowy przygotowawszy, do izby chorego.

Na widok okrągłego, łysego staruszka, niosącego pudełko pod pachą, Dosia, która dotąd klęczała u tapczana, porwała się i uciekła na przeciwek, zasłaniając oczy.

Schirner, poszeptawszy z felczerem na uboczu, przystąpił do chorego. Nie widział go od lat dawnych. Teodor oznajmił o jego przybyciu i o potrzebie nowego opatrzenia rany, Krzysztof oczy otworzył, zamknął je i dał z sobą czynić, co się podobało.

Dobre pół godziny trwało to nowe opatrywanie, które nie dobyło ani jęku z ust rannego. Schirner zauważył, że felczer raczej przypadkiem niż umiejętnością uczynił, co było można w pierwszej chwili. Obandażowano bok i zalecono spoczynek.

Dzień był biały, gdy staruszek zmęczony, ocierając pot z czoła, wyszedł odetchnąć na podwórko. Teodor i Paweł przystąpili do niego, badając oczyma, a pytać nie śmiejąc.

Człowiek jest zdrow i silny rzekł Schirner rana ciężka, ale niebezpieczeństwa nie widzę. Wyjść może, jeśli komplikacja jaka stanu nie pogorszy.

Potrząsnął głową dziwnie.

Skądże taki strzał? dodał.

Nieostrożność wtrącił Teodor.

Staruszek popatrzał na obu, ramionami ruszył, powtórzył: nieostrożność! i zamilkł.

Potrzebna spokojność dodał nic więcej, felczer opatrzyć potrafi, a ja od czasu do czasu zajadę.

Nie było czym tak bardzo przyjmować w ubogiej chacie nawykłego do wygod i popsutego pieścizotami staruszka; wybrał się więc wprędce pod pozorem, że ma innych chorych do odwiedzenia. Wypadek chciał,

by mu droga szła na Zamostów, gdzie ekonomowa była chora. Chociaż Schirner słyszał był kiedyś może o stosunkach Krzysztofa i Wandy, zupełnie o tym zapomniał.

Przybył w rannej godzinie na folwark. Krótco tam zabawił, znalazłszy chorą lepiej daleko, a że go dobrze przyjmowano w pałacu, gdzie panna Kornelia za to nudziła go swymi spazmami, migreną i wypadającymi włosami, poszedł się pokłonić jeśli nie hrabinie, to jej kuzynce. Spodziewał się tu dobrej kawy.

W pałacu wstawano dosyć rano, panna Kornelia wprawdzie jeszcze nie była ubrana do ludzi, ale hrabina piła na ganku herbatę, gdy jej oznajmiono Schirnera. Kazała go prosić, trochę zaniepokojona tak wczesnymi odwiedzinami.

— Cóż to kochanego konsyliarza tak rano obudziło? — zapytała, witając go w progu.

— Ja, pani hrabino — odezwał się Schirner — nie budziłem się rano, ale niestety całą noc dziś nie

spąłem. Trzeba umieć się poświęcać dla cierpiącej ludzkości.

Któż chory? u mnie? przerwała. Wanda.

Chwała Bogu nikt — rzekł doktor siadając — wstąpiłem powracając skądinąd. Szkaradny się stał wypadek: pan Krzysztof Pobóg się przestrelił.

Mówił to obojętnie, nie spodziewając się uczynić wielkiego wrażenia; wtem hrabina zbladła, rękami chwyciła się za stół i na krzesło blisko stojące padła, zakrywając oczy.

Doktor osłupiał, nie mogąc pojąć tej drażliwości nerwów.

Przestraszyłem panią niepotrzebnie — dodał — zapomniałem, że o takich wypadkach nie mówi się przed kobietami z natury czułymi.

Zabity? raniony? niebezpiecznie? mów pan — przerwała żywo Wanda — jak się to stało?

Zawahał się staruszek.

— Pani bo dziś nerwowa i podrażniona — odezwał się spokojnie — może by lepiej o tym nie mówić.

— Ale ja proszę was! jak się to stało?...

— Jak?... ani ja, ani nikt podobno wytłumaczyć nie potrafi. Stary myśliwy, który sobie przypadkiem lewy bok całym ładunkiem tuż pod sercem przestrelał... i to w taki sposób! w taki sposób! hm... hm!... niezrozumiałe.

Spojrzał na hrabinę, była cała drżąca i jak trup blada; wstał co prędzej podać jej wody, nie rozumiejąc jeszcze, aby się tak cudzym wypadkiem można było poruszać.

— Niech się pani uspokoi — rzekł — ja już więcej nie powiem nic. Pani dziś jest nerwowo usposobioną. Nie należy słuchać takich rzeczy; a ja, stary, i lekarz w dodatku, dopuściłem się takiej nieroztropności.

Hrabina zamilkła pohamowany się.

W istocie . odezwała się dzwoniąc wstałam dziś po nocy bezsennej, nie wiem, co mi jest, rozdrażnionam bardzo.
Darujesz mi, pójdę trochę do siebie.
Kazawszy prosić co rychlej panny Kornelii, hrabina, zaledwie zobaczywszy ją z daleka, ukłoniła się i znikła. Otóż ze mnie asinus rzekł Schirner w duchu. Panna Kornelia nadbiegła.
Cóż to Wandzi? wyszła. Jak się masz konsyliarzu! dobrze się stało, że przybyłeś, umierałam bez rady twojej.
Ano tak, dobrze się stało, żem przybył, ale źle się stało, że hrabina niezdrowa.
Jak to? ona niezdrowa?
Zdaje mi się.
Podrażniona! uśmiechając się, rzekła stara panna, zbliżając się. Jak to? waćpan nic nie wiesz? Swieżuteńko mieliśmy tu odwiedziny, po nie wiedzieć

wielu latach, dawnego narzeczonego hrabiny, za którego wychodzić miała. Rozumiesz, że spotkanie takie nie przechodzi bez wzruszenia.

— Któż to taki? — zapytał Schirner.

— A pan Krzysztof Pobóg! — rozśmiała się Kornelia — wszak wiedzieć musisz.

Doktor szeroką dłonią w usta się uderzył.

— Ot, tom głupi!! ot... głupi! — krzyknął i ręce załamał. — Gdzież pamięć miałem.

Panna stała zdziwiona, nic nie rozumiejąc.

— Cóż to się stało?

— Język miałem za długi! wypaplałem się jak baba. Rozumiem teraz, dlaczego hrabina tak pobladła.

— A cóżeś jej za wiadomość przywiózł z sobą? — pytała ciekawa.

— Pobóg się przestrzelił.

Można było sądzić, że i panna Kornelia miała sympatią dla pana Krzysztofa, gdyż usłyszawszy tę

wiadomość, zakryła sobie oczy i z krzykiem rzuciła się na kanapę.

Posypały się gradem pytania, na które doktor, wzięty na spytki, odpowiadać musiał, nie mogąc się spodziewanej kawy doczekać. Na ostatek aż się do niej przymówić musiał.

Panna Kornelia kazawszy mu ją podać, przeprosiła i pobiegła do kuzynki. Drzwi sypialnego jej pokoju były na klucz zamknięte; na domaganie się o otwarcie otrzymała tylko uspakajającą odpowiedź i prośbę, ażeby do doktora wracała. Wcale jej to jednak nie uspokoiło.

Schirner też widząc, że tu więcej zawadza, niż pomaga, wypiwszy kawę, zaleciwszy krople laurowe i wodę pomarańczową, zabrał się i odjechał.

Po wyjeździe jego panna Kornelia na próżno u progu kuzynki domagała się wpuszczenia; hrabina wymówiła się przed nią bólem głowy i potrzebą odpoczynku. W godzinie obiadowej nie przyszła do stołu.

Kuzynka, która z początku nie bardzo to brała do serca, poszła wreszcie pode drzwi domagać się i zaklinać, aby ją wpuszczono; strach ją jakiś ogarnął. Po długim parlamentowaniu u progu hrabina otworzyła.

Z twarzy jej widać było cierpienie, oczy miała zaczerwienione, włos rozpuszczony.

— Może w czym pomóc mogę? — zapytała Kornelia — co ci jest? Kazesz może posłać po Schirnera.

— Nic mi nie jest, mam ból głowy, to przejdzie — odezwała się hrabina — przechodzi... prawie przeszło. Nie kłopotz się o mnie. Nie będę taić przed tobą, ta wiadomość o nieszczęśliwym wypadku, niespodziana, dziwna, przeraziła mnie. Żal mi tego nieszczęśliwego, którego przyjął może za surowo.

— Ale to przypadek... nieostrożność — odezwała się, odgadując myśl, kuzynka — cóż cię to ma tak obchodzić?

Wiem, że przypadek; lecz niemniej żal mi starego, biednego przyjaciela!

Jeżeli o niego jesteś niespokojną — dodała kuzynka — dałabym jedną radę: można by posłać rejenta, który mi sam mówił, że był z nim w przyjaźni, ten by pojechał z chęcią i przywiózł dokładniejszą wiadomość.

Doskonała myśl — odezwała się hrabina — tak jest, prosz go, niech pojedzie, dowie się i wraca.

Rada, że jej się udało podać choć raz myśl szczęśliwą, co się rzadko trafiało, panna Kornelia pobiegła wyprawić rezydenta, który natychmiast poszedł do stajni i zamiast czekać na konie, okulbaczył sobie wierzchowca i wyruszył. Było już pod wieczór, hrabina wyszła uspokojona nieco na herbatę. Wedle obrachunku, tegoż dnia niezbyt późno mógł i powinien był rejent powrócić. Hrabina poczęła się przechadzać po salonie, Kornelia siadła grać do fortepianu, ale dla bólu głowy Wanda ją poprosiła, aby przestała. Rozma

wiały więc o rzeczach obojętnych do późna. Rejent, o którego się dowiadywać posyłano, nie powracał. Musimy dodać, że szanowny rezydent nie miał najmniejszego pojęcia o stosunku osób go otaczających. O miłości pana Krzysztofa dla hrabiny albo mało co słyszał, lub zupełnie zapomniał; nie wyobrażał sobie, aby coś innego nad dobrą sąsiedzką znajomości istniało pomiędzy nimi. Nie widział więc potrzeby nadzwyczajnego pośpiechu, chyba dla dogodzenia fantazji pani, którą uwielbiał.

Było już około północy, gdy nareszcie wszedł do salonu. Hrabina, nie okazując zbytnej niecierpliwości, podeszła ku niemu, Kornelia podbiegła.

— Mówże pan, zlituj się, co się tam dzieje?

— Dzięki Bogu nie jest tak źle — odezwał się rejent — byłem nawet w pokoju, gdzie chory leży, i widziałem go na własne oczy. Niebezpieczeństwa życia na pewno nie ma żadnego. Jak to się często

myśliwym zdarza, pośpiesznie broń nabijał, zawadził czymś o kurek i wpakował sobie loftki w bok. Ale je wyjęto... Mówić, nie mówi, lecz to nic dziwnego, bo nigdy, nawet zdrów, zbyt rozmownym nie był. Pan Teodor jest przy nim, myślę, że i pan Paweł nie odjedzie, bo i ten także przybył. Na ostatek Wilczkowie go tam mają w opiece, to dosyć, a jedna Wilczka córka za wszystkich by stała.

Któż to jest? zapytała, chmurząc brew, hrabina — któż jest Wilczek?

To mi tam na miejscu opowiadali — począł rejent powoli. Wilczek, ubogi szlachcic nie mający przytułku, został już temu dawno przyjęty za leśniczego przez pana Krzysztofa. Dał mu grunt, postawił chatę, obsypał go dobrodziejstwami. Stąd cała rodzina wielbi go, a córka Wilczków to formalnie, słyszę, szaleje za nim.

Panie zamilkły obie.

— Ale to tam w tym, uchowaj Boże, nic złego nie było i nie ma; dziewczyna, słyszę, bardzo rozsądna i poczciwa, przywiązała się do niego zrazu jak do ojca. Dopiero, jak mi mówił pan Teodor, teraz, po tym strzale, postrzegli, że to przywiązanie może w sercu prostego dziewczęcia inny charakter przybrało.

— Jaki inny? cóż to takiego? — zawołała śmiejąc się panna Kornelia — córka leśniczego zakochana w starym kawalerze?

Hrabina ścięła usta i cofnęła się nieco.

— Ale Bóg to tam raczy wiedzieć... albo ja wiem... powtarzam, co mi mówił pan Teodor, że dziewczyna od łóżka nie odstępuje i płacze a jęczy, aż ją parę razy matka sfukała i odciągnąć musiała.

Kornelia zwróciła się ku Wandzie z szyderską minką.

— Otóż jak to czasem i wystrzał nieostrożny na coś się przydać może: wyjaśnia tajemnicę. Może by pan

Krzysztof nie wiedział o tym przywiązaniu.

Hrabina wtrąciła żywo:

Dziękuję ci, kochany rejencie, idźże odpocząć, proszę, dosyć mi, że wiem, iż nie ma niebezpieczeństwa; bardzo panu wdzięczna.

Kornelia dla rozpytania o córkę leśniczego byłaby chętnie wstrzymała rejenta, ale ten cofnął się, jak mógł najprędzej.

Hrabina też pożegnała natychmiast swą towarzyszkę i cofnęła się do swego pokoju.

Nazajutrz mowy o panu Krzysztofie już nie było, choć Kornelia kilka razy o nim zagadywała; równie też o córce leśniczego słuchać nie chciała hrabina, okazując widoczny wstręt do tej plotki, która na starej panie wielkie robiła wrażenie.

Chociaż znacznie bledsza i jeszcze poważniejsza a bardziej milcząca niż zwykle, pani Wanda nie skarżyła się na ból głowy, przegrywała kilka godzin nuty

nowe, chodziła po parku, mocno się nim zajmując, wydawała rozkazy, będąc nadzwyczaj czynną; — niepokój ducha tym się zdradzał, że na chwilę usiedzieć nie mogła i poruszała się gorączkowo dzień cały. Nikt pilniej nie mógł nigdy śledzić ruchów ukochanej osoby nad panną Kornelię, zajętą odgadnięciem stanu ducha kuzynki, która się jej zwierzać nie miała zwyczaju.

Nawet w tych chwilach, gdy serce gwałtownie wywnętrzyć się potrzebuje, hrabina była panią siebie i słówko, za które by się zadzierzgnąć można, nie wyrwało się z ust jej nigdy. Kuzynka była tym dotkniętą, uważała to za brak zaufania, choć skarżyć się nie mogła, aby ktoś inny go więcej posiadał. Hrabina jednaką była dla wszystkich. Myśli swe kryła w sobie, żyła z nimi i trawiła się nimi.

Już tego dnia mniej znać było po niej doznane wrażenia, a jedna tylko panna Kornelia mogła ten odcień małego rozgorączkowania w niej ocenić, który się jeszcze czuć dawał we wszystkich czynnościach. Udawała nawet wesołość chwilami, chociaż śpieszyła z nią, boby długo w tonie tym

wytrwać nie mogła. Osamotnione życie, nawyknienie do obcowania samej z sobą nauczyły biedną kobietę tego smutnego zamykania się w sobie, które pan Krzysztof, oddzielając się gwałtem od ludzi, wyrobił mechanicznie, jeśli się tak nazwać godzi.

Drugiego czy trzeciego dnia jakieś przyobiecane rośliny z ogrodu w Zieleniewszczyźnie służyły za doskonały powód do napisania grzecznej karteczki do pana Teodora, w której, jakby od niechcienia, wyrażone było życzenie, aby ją kiedy odwiedził. List ten nie zastał Męczyńskiego w domu, gdyż zawsze jeszcze był przy chorym, odesłano mu go dopiero przy zręczności i późno, do czego, nie ręczę, żeby się Liza nie przyczyniła... niechęć.

Upłynęło parę tygodni, Krzysztof miał się znacznie lepiej. Troskliwość Teodora o jego zdrowie zbliżyła ich

znowu do siebie, tak jak byli niegdyś w młodości. Chory, który długo zbywał wszystkich milczeniem, powoli dał się wyciągnąć na rozmowę bratu. Życzył sobie być już przeniesionym do zamku, aby nie ciążył Wilczkom, ale mu Teodor przedstawiał, że nigdzie tak czule dogładanym być nie może, jak tutaj.

Jednego poobiedzia, gdy się Krzysztof mógł już podnosić i siedział, ostawiony poduszkami, sam na sam z Teodorem, Męczyński puścił cugle żartobliwości, która go czasem napadała. Nie było nikogo w pobliżu, kobiety widzieli wychodzące do gospodarstwa. Wilczek błądził po lesie.

— Wiesz — rzekł Teodor — o mało ci twojego przypadku nie zazdroszczę, wiesz dlaczego? On ci odkrył naiwne, nieklamane przywiązanie tego prostego dziewczęcia, które na coś więcej zarywa niż na uczucie dziecięce, za jakie ty je chcesz brać. Dosia chyba się u kaduka zakochała w tobie. Anibym się dziwił temu. Dziewczyna z głową uczyła wyższość twoją, zresztą...

— Daj temu pokój — przerwał Krzysztof.

Ale ci wiesz, dalipan! zawołał Teodor taka miłość leśna i dzika coś jest warta!

Krzywdzisz i mnie, i tę pocziwą Dosię wtrącił Krzysztof.

Uchowaj Boże! jakkolwiek wiele złego widziałem na świecie, ani ciebie bym nie posądził o takie lowelasostwo, ani ją o zalotność. Cóż chcesz! zrodziło się to mimowolnie na pustyni.

Stoisz przy swoim! stary, zepsuty światem człowiecze — rzekł poważnie Krzysztof — wy nie jesteście w stanie ani pojąć czystego uczucia, ani w nie uwierzyć, natychmiast posądzacie i czernicie.

Ale ja uczucie to mam za czyste i najczyściejsze jak łza, jak diament! zawołał Teodor i na twym miejscu...

Cóż byś zrobił na moim miejscu?

— Nie, tego ci nie powiem — rzekł po namyśle Teodor — nazwałbyś mnie obrzydliwym egoistą.
Krzysztof zamilkł, Teodorowi tak łatwo ust zamknąć nie było podobna.
— Dziewczę roztropne, nie jest boginią piękności, lecz świeże i wdzięczne, instynkta niewieście, w każdym ruchu nieszukana gracia... Nie umiałbym się oprzeć pokusie!
— I poświęcił chwilowemu szałowi całą przyszłość pocziwego dziecka, które dowiodło, że ma serce — rzekł Krzysztof.
— No, nie wiem, czyby sumienie zagłuszyło namiętność, czy namiętność sumienie — mówił Teodor — za nic w takich razach ręczyć nie można. Gdyby mnie kochała jak ciebie.
— Ona mnie kocha jak ojca.
— Nieprawda — zawołał Męczyński — patrzę na nią ciągle, słyszę ją mówiącą nieopatrznie, spowiadającą się mimowolnie, kocha cię po prostu jak dziewczę, które nic w życiu szlachetniejszego, idealniejszego nad ciebie nie widziało.

Niestety! rzekł Krzysztof nie mogę temu uwierzyć.
A gdybyś uwierzył?
Chwila milczenia trwała dość długo, pan Krzysztof westchnął.
Gdybym uwierzył rzekł gdybym wiedział, że mogę jej dać szczęście... szlachcianka jest, mnie równa, szlachetna ma serce; po odprawie, jaką dostałem od hrabiny Wandy, masz słuszność, mógłbym się z nią ożenić!
Teodor aż się zerwał z krzesła.
Co ci się dzieje, człowiecze?
Wszystko to są przypuszczenia, dziecko to kochać mnie, tak jak sądzisz, nie może. Gdyby tak nawet było,

miłość byłaby chwilowym obłędem, z którego się korzystać nie godzi... Ja kocham inną i...
Nie dokończył pan Krzysztof, nie odezwał się nic pan Teodor, i dodał dopiero po chwili:
— Kończy się życie zmarnowane, na coś chciałbym się przydać, gdybym jej dać mógł szczęście... czemuż nie? Dla siebie się go nie spodziewam, nic do stracenia nie mam.

Pan Teodor, który przez chwilę siedział zamyślony, począł się śmiać.

— A wiesz — rzekł — że to by było zakończenie żywota naprawdę wielce oryginalne. Siedzieć w lesie lat kilkanaście i wreszcie ożenić się z córką leśniczego, która krowy doi i chodzi bez trzewików, z kwiatkami leśnymi we włosach.

— Szlachcianka! — wtrącił pan Krzysztof — widziałem papiery; Wilczkowie w Galicji są hrabiami, ród dobry. Nasze stare prababki gospodarzyły jak ona, nie umiały czytać ni pisać, ale chwytały i za

oreż w potrzebie i umiały wystąpić w atłasach i aksamitach, gdy tego była potrzeba. Myślisz, że to dziewczę w salonie gorzej by wyglądało od innych wybladłych rówieśniczek?

Odezwał się w tobie szlachcic! — rozśmiał się pan Teodor.

Plećże co innego, kiedy masz mnie ochotę zabawiać — przerwał Krzysztof.

Dla ciebie trudno wybrać przedmiot; Paprockiego na pamięć nie umiem, a o Wandzie mówić nie pozwalasz.

Dla mnie ona nie istnieje — zamknął Krzysztof — dosyć! dosyć.

Za pozwoleniem, za pozwoleniem — wyrzekł Teodor — mówisz fałsz, sam o tym może nie wiedząc, bo o dobrowolne kłamstwo szlachcica nie posądzam.

Chciałbyś, żeby ona dla ciebie nie istniała, ale to samo, iż mi usta zamykasz, przekonywa, iż o niej nie zapomniłeś.

Parę pytań i zamilknę. Szczerze, verbum nobile, jak ci się Wanda wydała? Krzysztof miał oczy spuszczone.

— Tak uroczo piękna, tak bosko powabna, tak... jedyna w świecie... jak niegdyś... Z dziewczęciami wykwitła na niewiastę... przeszła męczennicą przez ogień próby i nosi aureolę na czole, mieć taki skarb i stracić — zawołał — mieć serce i wyrzec się go, i przyjść żebrakiem po latach wielu, prosząc o jałmużnę trochę litości, a być odpawionym ze wzdrgną, Teodorze... z tą myślą żyć było trudno, niepodobna!

Pierwszy raz Krzysztof mówił tak otwarcie.

— Ty ją kochasz więc — przerwał Teodor.

— Jak szaleniec stary — cicho mruknął Krzysztof — lituj się nade mną.

— A przed chwilą chciałeś się żenić z inną.

Czyżeś mnie nie zrozumiał? spytał Krzysztof: wiem, co złamane serce kosztuje, jam na nic się nie zdał, czemuż bym poświęcić siebie nie miał?

Sofista jesteś! dodał Teodor: piękne poświęcenie, dziewczę jak malina.

Nie umiem ci na to odpowiedzieć: surowo odezwał się Krzysztof: trzpiotem byleś i umrzesz trzpiotem. Żal mi kobiety, z którą się ożenisz; bo gdyby była ideałem, jutro będziesz klęczał u kolan jakiej piętnastoletniej garderobianej jejmości.

Masz słuszość: odparł Teodor: takim ułomnym Pan Bóg mnie stworzył.

Nie mówże nigdy o miłości, bo ją usta twoje profanują: zakończył Krzysztof.

Na tym przerwali rozmowę. Pan Teodor wiele się z niej nauczył: zajrzał w serce na chwilę otwarte pana Krzysztofa.

Stary marzyciel: rzekł w duchu: człowiek

niepraktyczny, który dobrze zrobił, że się w lesie zamknął, bo na świecie tłukłby się ciągle o mur głową.

Tegoż samego dnia Paweł, który mało nie co dzień przybywał się dowiadywać o zdrowie brata, ale go nie widywał nigdy, aby mu nie być natrętnym i nie obudzać w nim gniewu, przyjechał znowu dla rozmówienia się z Teodorem. Nie mówiąc o tym Krzysztofowi, dostarczano od Pawła wszystko, czego mógł chory potrzebować; pani Pawłowa nasyłała więcej daleko, niż na wykarmienie całego domu najwykwintniejsze wymagać było można. Zwykle poszeptawszy z Teodorem chwilę, Paweł powracał do domu.

Stało się to i teraz. Gdy Męczyński powrócił do chorego po odjeździe brata i znalazł go zasępionym i milczącym, nie mógł wytrzymać.

— Słuchaj, Krzysiu — rzekł — dobry jesteś człowiek, a zły by od ciebie gorszym być nie mógł w niektórych sprawach.

— Na przykład? — zapytał chory.

Jak można być tak zawziętym przeciwko rodzonemu bratu?

Nie rozumiesz mnie nigdy: odezwał się Krzysztof: zawzięty nie jestem, ale go znać nie chcę. Na świniach się majątku dorobił, handlarz, przekupień, nie chcę go znać, powiadam ci. Wszedł między innych ludzi, niechże mi da pokój.

W istocie nie rozumiem cię, bo w ten lub inny sposób mało kto świniami lub niewiele szlachetniejszymi przedmiotami nie handluje. Wszyscy mu oddają sprawiedliwość, iż człowiek jest uczciwy, zacny i prawy.

Niechże się z nim noszą przerwał chory niech będzie, jakim chce! Nie chciał mnie słuchać, poszedł swoją drogą, poszczyściło mu się, kapcańską krew w drzewo genealogiczne wprowadził.

Kobieta poczciwa, żona dobra, a matka, jakich mało począł Teodor. Alboż to szlachta nie żeniła

się u nas z chłopkami i z mieszczańkami, przecież mężowskie szlachectwo zacierało roturę. Zdaje mi się, iż Pobogowie są dosyć dobrą szlachtą, by się kilku kropel innej krwi nie obawiali.

— Zapewne — potwierdził Krzysztof — a dlatego między Pawłem a mną rozbrat wieczny.

Teodor ruszył ramionami.

— Jeszcze raz trzeba powtórzyć, że się nie rozumiemy — rzekł cicho. — Ci ludzie dla ciebie mimo twojego dziwactwa są z poszanowaniem i przywiązaniem, na które, dalipan, nie zasłużyłeś.

— A tak! wiem, Paweł co trzeci czy co drugi dzień przyjeżdża się dowiadywać, czym nie umarł, boby mu lasy do Pobogowszczyzny się przydały — rozśmiał się szydersko pan Krzysztof — nieprawdaż? Ale zje licha. Zapiszę komukolwiek, byle mu się nie dostały.

Teodor ruszył ramionami.

— I to się nazywa po chrześcijańsku a po szlachecku — wtrącił cicho.

To się nazywa po ludzku, ale to tak jest i kwita! zamknął Krzysztof, odwracając się ku ścianie. Daj mi pokój. Słowem, że z tobą rozmowy nie ma, żeby się nie skończyła na sporze.

Ano tak, i nie ma co rozmawiać ze mną, sam widzisz; jedź do Zamostowa lub do Zieleniewszczyzny i... baw się, a o mnie zapomnij.

Teodor nie odpowiedział nic, wziął za czapkę i wyszedł w podwórko zasepiony.

W istocie zaczynało mu być tęskno choćby za Zamorskimi i za panną Kornelią; przychodząc do zdrowia, Krzyś odzyskiwał swą opryskliwość i zdziczenie. Teodor chodził jeszcze po podwórku, gdy Dusia się ukazała od ogrodu i uśmiechnęła mu się z daleka. Szła z koszem na głowie, wyprostowana, gibka, zręczna i przypomniała mu włoskie niewiasty w majestacie

swego wdzięku i prostoty, jak królowe z homerowskich pieśni, wracające od studni z miedzianymi cebrzykami... kanefory malownicze. Stanął się jej napatrzeć; Dosia zbliżyła się poufale ku niemu.

— Widzi pan, jak mi ochoczo i raźnie, gdy nasz pan coraz zdrowszy; znowu życie wstąpiło we mnie.

— Zazdroszczę mu, że go tak panna Wilczkówna kocha — odezwał się Teodor.

— A cóż jemu z tego? — odparło śmiało dziewczę — co mu po tym? na co mu się to zdało . Jemu to wszystko jedno pewnie.

— Nie sędzę.

— I jakże bym ja go nie miała kochać jak ojca, jak dobrego opiekuna, jak jedyne po tatku człowieka, co dla mnie był dobrym. Pan nie wie? Ja, co umiem, od liter począwszy, to mu prawie wszystko winnam!

— Jednakże radziłbym Dosi — uśmiechnął się Teodor, po swojemu żartując — aby kochania trochę zostawiła w zapasie dla przyszłego męża.

Dosia się nieco zarumieniła.

Męża nie potrzebuję i nie chcę, a pewnie żadnego tak nie kochałabym, jak mojego pana.

Aj! to coś za wiele dla starego! — rzekł Teodor.

Wcale nie stary! nie stary! — oburzyło się dziewczę. — Ot, wie pan — dodała, patrząc mu w oczy — pan chcesz i wydajesz się młodszym od niego, a w moich oczach starszym jesteś.

Dziewczę chciało, powiedziawszy tę niegrzeczność, odejść, gdy Teodor śmiejąc się zatrzymał ją.

Cóż na to rodzice mówią? — zapytał.

No, matuś mnie czasem połaje, a ojciec broni. Cóż w tym złego?

Pewnie nic, bliźniego kochać potrzeba! — śmiał się Teodor.

Dosia, spostrzegłszy, że z niej żartował, nic nie mówiąc trochę gniewna odeszła żwawo do swojej

roboty, rzuciwszy mu tylko na pożegnanie: — Bałamut z pana.

Teodorowi wszystko to razem już dosyć dokuczyło, życie zbyt było jednostajne; kazał konie zaprzęgać. Stały już gotowe u bramy, gdy wszedł Krzysztofa pożegnać, który leżał odwrócony ku ścianie.

— Krzysiu, serce— rzekł — już ja cię nudzić zaczynam, klócim się co dzień więcej, miarkuję, że czas jechać. Ty mnie nie potrzebujesz, bywaj md zdrów.

Krzysztof milcząco rękę wyciągnął.

— Bóg zapłać za okazane mi dobre serce, Teodorze, jedź, spocznij, nie frasuj się o mnie, zapomnijcie o starym, jakby go na świecie nie było.

Pożegnali się tak dosyć chłodno.

W drodze Męczyński rozmyślał, dokąd ma jechać, i zwrócił się do Zieleniewszczyzny. Tu dosyć byli wszyscy niespokojni o niego, Zamorski bał się, aby obcując z drugimi, spod jego władzy się nie wyśliznął, Liza chodziła niespokojna. Chociaż późny już był wieczór, gdy zajechał przed ganek, w kilka minut dzierzawca się przystawił, zapraszając od żony na gotowiuteńką wieczerzę. Trudno się

było oprzeć, pan Teodor poszedł.

Liza coś robiła w dziedzińcu, tak, że się pierwsza z nim spotkała.

Pan tak o nas zapomniał? szepnęła.

Bynajmniej, alem miał obowiązek do pełnienia.

Jakże się ma chory?

Przychodzi do zdrowia.

Proszę pana, czyż to prawda, noszą się z tym po całym sąsiedztwie, ale ja o tym mówić nie powinnam.

Spuściła oczy skromnie i podniosła je nagle, jak dwiema kulami strzelając w samą pierś nieszczęśliwego Teodora.

O czym, pani?

Ze pan Krzysztof chciał się zastrzelić z miłości.

— Tak jest, pani, z miłości ku cietrzewiom — rzekł poważnie Teodor — to rzecz niezawodna.

Liza zaczęła się śmiać, zalotną układając minkę i postać.

— Proszę pani — dołożył po chwili — czy człowiek w tym wieku, jak on i ja, może się tak kochać, ażeby...

— Dlaczego? dlaczego? — żywo przerwała Liza — pan nie jesteś wcale stary, pan się tylko przez lenistwo nie kochasz.

Teodor tak był uszczęśliwiony tym konceptem, że poskoczył ją pochwycić za rączkę, którą niby wrywała, i ucałował ją z zapalem. W tej właśnie chwili pani Zamorska wychodziła na ganek, ale jako troskliwa matka, postrzegłszy tę scenę ożywioną, cofnęła się żywo w głąb domu, aby córce nie przeszkadzać.

Teodor i ona śmieli się do rozpuku, to był znak rozpoczynającej się poufałości. Śmiejąc się, oboje powoli weszli na folwark.

Wieczór zszedł jak najweselej. Teodor, dopiero powróciwszy do dworu, dowiedział się tam, że przysyłano z Zamostowa po kwiaty, że był list od hrabiny, że miano go wyprawić do Wilczków, ale się gdzieś musiał zaplątać, bo ani Męczyński go nie odebrał, ani można dojść było, co się z nim stało.

Chociaż noc już była, rozesłano natychmiast sługi po całym dworze śledzić i szukać tego listu, do którego, zapomniawszy już o Lizie, pan Teodor największą zdawał się przywiązywać wagę. Chodził po pokoju niespokojny, gdy nareszcie kartkę ową pomięta i bodaj odklejoną przyniesiono, tłumacząc, że chłopak stajenny, w kieszeń ją wrzuciwszy, zapomniał o niej.

Zobaczywszy datę na kartce hrabiny, biedny pan Teodor aż się pochwyił za głowę. Gdyby nie noc, byłby natychmiast ruszył do Zamostowa tłumaczyć się i uniewinniać, iż nie przyjechał jednej godziny i na

list nie odpowiedział. Zburczał wszystkich, którzy mu się nawinęli, mowa była o przykładowym ukaraniu masztalerza, ale go ocalono, bo w istocie ktoś inny więcej był winien. Noc spędził niespokojną stary kawaler, ranek wydał mu się niezmiernie długi, w ostatku, nie mogąc dłużej ścierpieć wyczekiwania przyzwoitszej godziny, ruszył do Zamostowa przed obiadem. Panna Kornelia stała właśnie w ganku.

— Słyszanaż to i widziana rzecz — zawołała — taka niegrzeczność jak pańska; hrabina pisze i zaprasza go, pan ani odpowiadasz, ani przybyć raczysz.

— Pani! ale mam stu świadków, że list dopiero wczoraj odebrał w nocy!

— To pańska wina, żeś go nie dostał wprzód, zawsze wina pańska, masz pan złe sługi.

— Ale...

— Nie ma żadnego ale.

Weszli tak do salonu, w którym zastali hrabinę. Na pierwszy rzut oka postrzegł Teodor, że bardzo

przez czas, jak ją nie widział, zbladła i zmizerniała; twarz jednak uczyniła wesołą, wzięła uśmiech na usta; widocznie usiłowała nie pokazać po sobie tego, co czuła.

Panna Kornelia słusznie mnie w progę zburczała — rzekł Męczyński, witając się — za niesłychaną niegrzeczność; ale ja listu nie odebrałem. Pani, klnę się...

Dajże pan pokój, miałeś daleko ważniejsze obowiązki do spełnienia.

Teodor westchnął.

I tych bardzo nieudolnie dopełniając rzekł zmęczyłem się na śmierć.

Wszakże niebezpieczeństwa nie ma.

Tak dalece wrócił do zdrowia kochany brat wtrącił Teodor żeśmy się po dziesięć razy na dzień już kłócili i w końcu mnie precz wyprawił.

Zamilkli trochę.

— Cóż to za dziwny przypadek! — dodała hrabina. Pan Teodor spojrział na nią, zarumieniła się mocno.

— Tak, to był bardzo dziwny wypadek! — potwierdził, spuszczać oczy — szczęściem, że się to tak dobrze skończyło.

— Słyszałam, że bardzo szczęśliwie — szepnęła hrabina — bo nawet podobno wypadek ten odsłonił jakieś dziewicze zranione serce.

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Jak to? i o tym pani już wie?

— My o wszystkim wiemy — wtrąciła panna Kornelia.

— Muszę jednak sprostować tę wiadomość, jako świadek naoczny, jako człowiek sumienny — mówił Męczyński — dziewicze serce jest sercem dziecięcym. Panna Wilczkówna wyrosła w oczach pana Krzysztofa, który się podobno jej wychowaniem zajmował.

Ale to dziecięce przywiązanie ma być tak uderzające, tak dziwne, gwałtowne.

Jak każde uczucie w sercu, co się hamować nie nawykło — odparł Teodor.

Rzecz bardzo zajmująca! — przemówiła hrabina. Opisz nam pan, jak dziewczę wygląda — wtrąciła natarczywie panna Kornelia.

To trudno — śmiejąc się rzekł Teodor. Panna Wilczkówna zupełnie jest podobną do dziewcząt, które na folwarku krowy doją: jest świeża i zdrowa. Jednak jej to przyznać muszę, że ma wiele wdzięku, ładne ręce i nóżki, złocistą kosę i bładniebieskie oczy bardzo rozumne.

I pan ją z zapalem maluje! — rzekła z przekąsem panna Kornelia.

Chociaż tego rodzaju piękności, du diable, nie lubię — poprawił się Teodor — dla mnie dystyngwowana brzydkość ma więcej uroku.

— A więc nie desperuję, że i ja się panu, nabrawszy dystynkcji, podobać będę mogła — zażartowała panna Kornelia. Pan Teodor się skłonił.

Żartobliwy obrót rozmowy zdawał się nie podobać hrabini, która zwróciwszy głowę, patrzyła w okno.

— Mów pan, jakże tam było, wszystko, wszystko — nalegała panna Kornelia.

— Dajże panu Teodorowi choć spocząć — odezwała się hrabina.

Teodor był oczarowany Wandą, przyjęciem i towarzystwem właściwym, którego dawno nie miał, bo na folwarku panny, choć ładne i utalentowane, zawsze mu się trochę parafiańsko wydawały. Tu był w swoim żywiole, pewien, że żadne słówko jego nie przejdzie nie podniesione, nie ocenione.

Powoli wygadywał się z różnymi szczegółami i spostrzeżeniami i czas zbiegł aż do obiadu bardzo szybko. Panna Kornelia, aby domowi nie uczynić wstydu, wystąpiła paradnie. W Zamostowie zresztą

kuchnia i piwnica jeszcze od czasów hrabiego były bardzo wykwintne. Nic nadto przyjemniejszym być nie mogło panu Teodorowi, który wielką wagę do gastronomicznych wykwintów przykładął. Szczególniej wina mu się podobały, a zdradliwa panna Kornelia zajętemu rozmową nie omieszkała nalewać sama i kazać ciągle dolewać kamerdynerowi. Wpadł więc pan Teodor w to błogie usposobienie, jakie daje dobrze rozgospodarowane win wyszukanych następstwo logiczne, na pewnych doświadczeniach zdobytych prawidłach oparte. Nie zabrakło ani szampańskiego carte blanche przy pieczystym, ani starego węgryna przy deserze. Hrabina wydawała mu się teraz piękniejszą niż kiedykolwiek, idealną, uroczą, niezrównaną.

Zapomniał się trochę i paplał, nabierając dowcipu. Czarna kawa i wyborne curaçao wprawiły, go w jesz

cze lepsze usposobienie. Mówił i spowiadał się ze wszystkiego. Składało się tak jakoś dziwnie, iż pytania krążyły ciągle około pana Krzysztofa.

Pan Teodor powtarzał niektóre rozmowy z nim. Zapomniał tylko tego ustępu o hrabinej, który by rumieńcem mógł okryć jej lice. Za to o Dosi wypowiedział tak dalece wszystko, iż zdradził nawet to usposobienie Krzysztofa do ewentualnego ożenienia, w które sam nie wierzył, mając je za dziwactwo. Hrabina, posłyszawszy to, spuściła oczy i żywo dodała zaraz:

— Ale powinien się z nią ożenić i uczynić ją szczęśliwą, i sam być szczęśliwym. To by było prawdziwie romantycznie i budująco, i oryginalnie. Nieprawdaż?

— Ja go na to namawiać nie będę — rzekł Teodor poważniej — ona by była szczęśliwą może, ale on...

— Dlaczegoż nie? Stworzonym jest właśnie do tego świata pół dzikiego, pół dziecięcego, bo sam jest trochę dziki i trochę dziecinny.

Ostatnie słowa domówione były cicho. Jakby chcąc zatrzeć wrażenie po nich, hrabina zwróciła rozmowę, wyprowadziła pana Teodora do ogrodu, aby mu pokazać jego piękności, poczęła mu opowiadać, jak ją park, kwiaty i drzewa zajmują, wreszcie... stała się tak miłą, tak niemal wesołą, iż pan Teodor oszalał.

Było to bardzo widoczne, bo stary kawaler nie taił się wcale z uwielbieniem, a panna Kornelia, trochę go prześmiewając, podnosiła i akcentowała każde jego słowo, mimo to hrabina wcale się nie zdawała ani nudzić tym, ani obrażać. Odjeżdżającego wstrzymała do herbaty, była w wybornym humorze i nad wieczór odjeżdżając, pan Teodor, gdy siadł do koczka, a począł rozbierać wszystkie szczegóły pobytu swojego i rozmowy, przyszedł do tego przekonania, iż uparcie a umiejętnie starając się o hrabinę Wandę będzie ją mógł pozyskać sobie.

Ona sama dziś tego nie przypuszcza — mówił

w duchu — oburzyłyby się może na tę myśl, lecz uparta miłość, pokora, staranie, cierpliwość, czas, trochę kadzidla a wiele zapału i admiracji!

Przeszedłszy w życiu różne koleje, pan Teodor, który tyle razy był zawiedzionym, pomimo to we własnych oczach uchodził za niepospolitego *mangeur des coeurs*, za Don Juana. Wprawdzie wszystkie jego doświadczenia odbyły się *in anima vili*, żadna z tych kobiet, których wspomnienia nosił nie w sercu, ale w głowie, nie była warta stanąć ani w przedpokoju hrabiny Wandy; — lecz natura ludzka — mówił sobie stary kawaler — we wszystkich jest jednaką.

Trzeba tylko stałości i umiejętności! — Prawie pewnym był swego.

W tych marzeniach ani się spostrzegł, gdy go Zamorski przed bramą, wracający z pola, powitał i obyczajem powszednim pociągnąć chciał do siebie.

Męczyński był nadto w dobrym humorze, by mu odmówić. Uściskał go nawet daleko poufalej i

serdeczniej niż kiedykolwiek, konie porzucił i wzięwszy pod rękę, poszedł na folwark z nim razem. Lizę znaleźli tym razem rozbijającą nieszczęśliwy fortepian Bösendorfera.

Spostrzegła ona z dala idącego z ojcem pana Teodora i udawała, że gra zapamiętała. Ręce jej drżały, omyłek było mnóstwo, ale Lisztowska kompozycja wychodziła świetnie i huczno. Niepodobna, aby stary kawaler nie był zachwycony takim talentem — myślała Liza.

Tymczasem Teodor nigdy pono do muzyki nie miał zbytniego nabożeństwa, brakło mu do niej zmysłu. Dziwił się, że ludzie grać mogą, ale w tym nie smakował. Stanąwszy jednak tuż przy fortepianie, gdy panna udawała przestraszoną niezmiernie, poklasnął przez grzeczność niezrozumiałej burzy tonów.

A! tak mnie pan przestraszył! — zawołała Liza

odrzucając włosy na tył głowy — ja, gdy gram, zapominam o całym świecie... marzę... marzę, śnię, unoszę się w obłoki... za światy.

Złożyła ręce i zwiesiła główkę, była bardzo ładną. Na świeże policzki wystąpił kwiecisty rumieniec; loki rozrzucone odsłaniały uszko maleńkie stworzone do szeptów i do całowania.

Pan Teodor wpatrywał się z zachwyceniem, już zapomniawszy nieco o hrabinie. Misia, stojąca dalej przy fortepianie, mierzyła go oczyma ironicznymi, nie widział jej. Ojciec odszedł; zawsze się tak jakoś składało, że ich zostawiano sam na sam.

Liza wstała, skacząc do fortepianu, i poczęła prześladować pana Teodora hrabiną. To mu nieco humor popsuło. Uczuł się zmęczony, szczęściem na odsiecz córce przybyli rodzice i przedmiot rozmowy się zmienił, a gość odzyskał wesołość.

Przy wieczerzy podano węgryzna; parę kieliszków wypiwszy, Teodor uczuł się znowu rzeświejszym.

Lizę miał obok siebie i nie wiedzieć skąd i jak, naprzód się zaczęło o francuskich romansach, potem o uczuciach, o mężczyznach, o kobietach. Wstali od stołu, a Liza nieznacznie przechadzając się po pokoju, pociągnęła z sobą pana dziedzica. Poufalej rozmowie dodawało smaku wyborne cygaro, które u Zamorskich palić było wolno, a pannom ono nie szkodziło; pan Teodor się rozgadał! Liza po raz pierwszy okazała taką erudycją uczuciową, tak wytrawny sąd, iż Męczyński zdumiony był i przerażony.

Było to rachubą, obawiała się, aby ją nie brał za dziecko, wołała być posądzoną o zbytnią dojrzałość; instynkt ją uczył, że to się staremu kawalerowi rychlej może podobać. Dowiadywała się bardzo starannie, ile razy w życiu i w kim się pan Teodor kochał, wreszcie stała się tak niedyskretną, iż rzuciła mu pytanie, dlaczego się nie żeni?

Pan Męczyński nie taił się z tym, że gotów by raz na tym skończyć, trudność było w wyborze, gdyż... wszystkie kobiety wielbił i wszystkie gotów był kochać.

— Jak to, i mnie? — zapytała Liza.

— To by było najłatwiejszym — rzekł śmiejąc się Teodor — ale najniezwyklejszym. I od tego niech mnie Pan Bóg broni.

— A to pięknie! dlaczegoż?

— Bo pani jesteś młodziuchną... i ja się jej godnym nie czuję.

— A w dodatku jestem zazdrosną straszliwie i nie pozwoliłabym panu ani spojrzeć na inną, ani jeździć do hrabiny, ani...

Wszystko to w śmiech obrócono, ale niektóre słowa i towarzyszące im wejrzenia utkwiły w panu Teodorze.

— Ha! — rzekł, wracając do starego dworu — dziewczyna może by i doprawdy gotowa pójść za

mnie?

Zamyślił się. A hrabina? począł dumać. Tu może by przyszło łatwiej z istotą niedoświadczoną i naiwną, ale następstwa. Rachujmy. Lat ośmnaście, za dziesięć ona w kwiecie młodości, a ja suwam nogami. To fatalne. Hrabina by stanęła razem ze mną... kombinacja nieskończenie bezpieczniejsza... Dystynkcji więcej w jednej, w drugiej życia i uczucia. Ale to wszystko gruszki na wierzbie dokończył wzdychając i jedna, i druga drwią może ze mnie.

Po długich rozmyślach pan Teodor uczuł się sam po troszę śmiesznym, splunął gniewliwie i zabierał się do snu, gdy w przedpokoju chrypliwe kaszlanie i suwanie nogami oznajmiło mu człowieka, który miał szczególny talent przyprowadzania go do niecierpliwości.

Był to stary Olszak, ów sługa, nigdy ojcowski, zostawiony na straży dworu, który tak pięknie tu gospodarzył. Od kilku dni dobijał on się widzenia z paniczem,

aby pogderać na niego, i dopiero teraz potrafił się do niego dostać.

Pan Teodor chciałby się był schować lub uciec od niego, lecz nawet oknem już było za późno.

Wtaczał się właśnie na próg ogromny ów drab w berlaczach szerokich na nogach, pochylony nieco, o jednym kiju i kuli pod pachą, w obdartym surducie, z szyją obwiązaną chustą wełnianą, ponad którą sterczała trzęsąca się głowa

ogromna, mało co włosów mająca, z twarzą czerwoną, oczyma wypukłymi i wargą dolną obwisłą. Broda, od tygodnia nie golona, dodawała mu brzydoty poczarnej, powiększonej zmarszczkami, które przecinały policzki i czoło jakby siecią dziwnie poplecioną. Stanąwszy w progu, Olszak odchrząknął mocno, plunął i odezwał się dawnym zwyczajem:
— Niech będzie pochwalony...
— Na wieki... — odparł niecierpliwie Teodor — ale, że o tej porze przychodzisz, wszak to noc.
— A kiedy we dnie panicza nigdy w domu nie ma — ochryplym głosem począł stary — przecież się

kiedyś rozmówić potrzeba o tym, co się tu dzieje. Człowiekowi, na to patrząc, serce się kraje.

Cóż się takiego stało?

. Albo to panicz ślepy czy co? zawołał Olszak dzierżawca, żonka jego i córeczki opętały panicza i prowadzą do zguby, a człowiek na to ma patrzeć i milczeć. Opamiętajże się, człowiecze, że to wszystko szalbierze, że cię chcą oplątać! na miłego Boga! Gdyby nieboszczyk jegomość z grobu wstał, umarłby drugi raz, zobaczywszy, co się tu dzieje.

Na tę apostrofę pan Teodor, który dozwalał staremu pleść, co mu się podobało, nie znalazł odpowiedzi, ruszył ramionami.

. Wy sobie nie ważycie moich słów, ja wiem — mówił Olszak — myślicie, co ten stary opój tam plecie.

Ano tak, opój; z desperacji trzeba było się choć rozpić! alem rozumu nie stracił. A toć do zguby idziecie.

— Do jakiej? — spytał Teodor cierpliwie.

— Co ja mam w bawełnę obwijać, mnie zgubiło próżniactwo i was zgubi. Co panicz robi? co myśli? hę? a czemu nie odebrać gospodarstwa na siebie i nie pracować? Toż dzierżawca wkrótce wszystko zabierze. Było się ożenić zawczasu, a nie teraz ganiać wiatru w polu, gdy już Pan Bóg łysinę dał, a pedogry tylko co nie widać.

Zamilkł chwilę.

— Ale ta młodzież wszystka taka. Albo i pan Krzysztof co lepszego? udawał pustelnika, ażeby po pięćdziesięciu latach jeździć w konkury, a to wszystko z tego próżniactwa.

Stuknął kijem stary i mocno kaszlać począł, pan Teodor cygaro zapalił, sparł się tyłem o biurko i słuchał.

— No, cóż dalej? — spytał — czyś się już wygadał?

Dopierom zaczął odezwał się stary jest do gadania wiele. W starych piecach diabeł pali, co z tego będzie? niechże mi panicz powie, co z tego będzie?

Z czego?

A z tych konkurów i lataniny?

Mój Olszak, nie zapominaj, że ja stary też, jak sam mówisz.

Ale ja starszy jeszcze. Co tu w bawełnę obwijać (lubił to powtarzać Olszak), dzierżawca wam córunię podsadza, wy się durzycie hrabiną, pan Krzysztof też, sami nie wiecie, czego się wam zachciewa... a dalipan... przez próżniactwo. Rozśmiał się Teodor z przymusem.

Jakaż na to rada? spytał.

Odebrać gospodarstwo na siebie, dzierżawcę furfanta z córeczkami razem wypędzić, a rozum mieć

i w romanse się nie wdawać, kiedy czas nie po temu. W porę się było ożenić, no — bodaj i dziś, ale ani z tą fertyczną Zamorską, ani z hrabiną.

— Chybabyś mnie wyswatał — szydersko dodał Teodor — ale tymczasem idź spać, to będzie lepiej.

— Ono to tak się zawsze kończy — mruknął Olszak — idź spać, stary, a słowa jak groch o ścianę.

Pogładził się po nie ogolonej brodzie, popatrzał na panicza, spokojnie palącego cygaro, i westchnął całą piersią.

— Moje oczy na to patrzeć nie będą, ale wy poginiecie. Cóż robić, kto się sam ratować nie chce, tego i Pan Bóg nawet poratować nie może, co dopiero stary opój, jak ja.

Teodor nie odpowiadał, był to jeden najlepszy sposób pozbycia się nudziarza, który, wedle zwyczaju, skończył, dziękując za służbę, i odszedł mrucząc.

A jednak rzekł w duchu Teodor, gdy się za nim drzwi zamknęły ten człowiek, co nie ma rozumu dla siebie, miał go dla mnie. Któż wie, czy nie słusznie mi wyrzucił próżnowanie? O Zamorskich tylko niesłusznie sądzi tak surowo, bo ich nie cierpi; Liza jest czarodziejką.

Stary kawaler, na przemiany marząc o Lizie i o hrabinie, położył się wreszcie, a we snach wróciły obie postacie, nie dając mu spoczynku.

Dramat, który się odegrywał między kilkoma osobami naszej powieści, cały był w ich piersi i wnętrzu, nic z niego nie wychodziło na zewnątrz. Hrabina cierpiała i przemagała się, aby okazać chłodną i nie zmienioną, Krzysztof roznamiętniony był, a wracał do dawnego życia, jakby nie stał na progu śmierci z niesmaku do niego. Dosia

gospodarowała z sercem rozkołysanym, Liza piorunowymi gromy przebiegała fortepian, Zamorski zajęty był wrzekomo gospodarstwem i niewinny

jak baranek, a pan Teodor błąkał się z myślami, nie wiedząc, co ma uczynić z sobą.

W młodości, w jakimkolwiek człowiek idzie kierunku, sprężyna ta, którą jest wola, pędzi go silniej, dobiega celu prędzej lub omyliwszy się na nim, cofa. Uczucia i namiętności prędzej się rozwijają. W wieku późniejszym człowiek, doświadczeniem onieśmielony, stawia kroki ostrożnie, często nie wie, gdzie iść, porusza się i cofa, przedłuża drogę, nie ufa sobie, boi się losu.

W takim położeniu były wszystkie niemal główne osoby powieści naszej, a skutkiem przeciągniętej niepewności, która nuży człowieka, jest prawie zawsze krok nierozważny i popędliwy, którego celem pozbyć się dręczącego oczekiwania jutra i obawy, gorszej od nieszczęścia samego.

Pan Teodor wstał nazajutrz zmęczony, rozdrażniony, z mocnym postanowieniem stałego zajęcia się własnym losem i uczynienia stanowczego kroku. Dał sobie tylko jeden dzień do namysłu i — pojechał do chaty Wilczków, niedobrze wiedząc, po co tam wracał tak prędko. Chciał się radzić

Krzysztofa, choćby się z nim miał pokłócić. Rozmowa z nim poddawała mu myśli i wlewała odwagę. Ruszył więc rano i stanął u chaty Wilczków przed południem. Pana Krzysztofa po raz pierwszy wyprowadzono na podwórko w cień, ustawivszy mu krzesło i poduszki. Dosia stała przy nim, śmiejąc się i szczebiocząc wesoło.

Na widok pana Teodora, skłoniwszy mu się z daleka, pobiegła do dworku. Bracia się powitali dosyć uprzejmie.

Chociaż mnie wczoraj wypędził, widzisz, żem lepszy od ciebie, bo wracam bez gniewu dowiedzieć się o twoje zdrowie. Jak ci jest?

Dużo mi lepiej — rzekł Krzysztof — spokojniejszy jestem, powracam do zameczku; za kilka dni felczer mi obiecał, że i chodzić będę mógł.

— Wyśmienicie — odezwał się Teodor.

— Wszystkiemu wy jesteście winni — kończył Krzysztof, obejrawszy się — byłbym spokojnie dobił się do końca, pogrzebawszy wspomnienia i nadzieje. Wyciągnęliście mnie, podrażnili... i trudno dziś powrócić do dawnego stanu. Westchnął.

— Mam niezmiennie postanowienie; inaczej się upartej a głupiej starej miłości dla tej kobiety nie pozbędę, tylko — tu się zaciął — chyba się żeniąc.

Teodor cofnął się o krok.

— Jak to? serio?

— Ożenię się z Dosią, wiem, że istotnie do mnie przywiązana i nieszczęśliwą ze mną nie będzie. Moje ubóstwo stanie jej za dostatek. Dziewczę nie zepsute, dziej się wola Boża! Lekarstwo jest heroiczne, zabije mnie lub — uzdrowi.

— Jeszcze się raz ciebie pytam: myślisz to uczynić w istocie? — zawołał Teodor — mówiłeś jej o

tym?

Jeszcze nie rzekł Krzysztof badam ją, i nie powiem, aż w ostatniej chwili, lecz co do mnie, mam najmocniejsze postanowienie. Gdy raz zapora niezłomna stanie między mną a nią — ta nieszczęsna pasja ustąpi

Rozumowanie osobliwsze, lekarstwo także rozśmiał się Teodor. Wprawdzie ja, który sobie najgorzej radzę, tobie żadnej rady dawać nie mam prawa, ale człowiek zawsze jaśniej widzi cudze niż swoje sprawy. Na twoim miejscu przynajmniej bym spróbował serce Wandy odzyskać.

Dała mi odprawę — rzekł ponuro Krzysztof — szlachcic jestem, poniżać się nie mogę... prosić nie będę. Męczyński śmiać się zaczął okrutnie.

W miejscu bardzo przypomniałeś sobie butę szlachecką. Przed kobietą się ukorzyć nie bezcześci nikogo.

— Dała mi odprawę — powtórzył sucho Krzysztof. Nie było już sposobu mówić dłużej, nadeszła Wilczkova z córką dowiadywać się, czy choremu czego nie potrzeba; zamilkli więc. Wiatr, który się zerwał koło południa, zmusił Krzysztofa schronić się do dworku, Teodor, pokręciwszy się, po godzinnym pobycie już się tu czuł znowu znudzonym i niepotrzebnym. Pożegnał brata i odjechał. W drodze przyszła mu myśl zawrócić do Zamostowa.

— Będę natrętnym — rzekł — niech mnie odprawi, kiedy chce, naówczas rozwiąże się raz wątpliwość, pomyślę o czym innym. Krzyś myśli się żenić z Dosią, dlaczegóż bym ja nie mógł tentować o Lizę. Jeśli mi da odkosza?

W tych myślach przybył do Zamostowa, Lękał się tym razem chłodniejszego przyjęcia, ale się omylił; hrabina wyszła zaraz naprzeciw niego, z uprzejmością wielką dziękując mu za pamięć.

Jakże się ma chory? zapytała po kilku słowach.

Wcale dobrze, przenosi się nawet podobno do zameczku.

A to bardzo szczęśliwie dla mnie. Winnam mu wizytę, nie chcę, ażeby mnie o złą wolę dla siebie posądził. Niech mu pan nie mówi nic, ale jak tylko wróci, ja go tam odwiedzę.

Teodor spojrział zdziwiony.

Pani nie żartuje?

A! nic a nic, owszem, mam to niezmiennie postanowienie.

Posmutniał nieco gość, siadł zamyślony, a panna Kornelia zaczęła go prześladować pannami Zamorskimi, choć nie wiedziała wcale o bliskich z nimi stosunkach. Pan Teodor wypierał się jak najmocniej, ale mu to humor popsulo, czuł się odgadniętym; wstydził się swego bałamuctwa.

Obiad był tak paradny jak pierwszy i wpływ jego okazał się wielce zbawiennym. Gospodyni, choć smutna, dnia tego więcej była mówiącą i wspomnienia podróży obojga stały się przedmiotem zajmującej rozmowy. Panna Kornelia złośliwie dosyć naprowadzała Teodora na gastronomiczne wspomnienia włoskich ryb i owoców, na ocenianie napojów, jak gdyby w oczach hrabiny chciała śmieszność starego kawalera uwydatnić. Okazało się w istocie, że lepiej znał hotele Florencji niż galerie i gatunki ostryg okolic Neapolu niż Real Museo. Wanda nieznacznie się uśmiechała. Teodor coraz potężniej czuł się w niej rozkochanym.

Po kawie czarnej wyszli do parku. Pod wrażeniem dni ostatnich Męczyński postanowił uczynić krok stanowczy.

Zdawało mu się, że pod sekretem zwierając hrabinie, iż Krzysztof chce się z Dosią ożenić, wyjaśni tym położenie i ułatwi sobie samemu staranie o rękę pięknej wdowy.

Był jednak człowiekiem nadto sumiennym i kochał Krzysia tak, że nie mógł uczynić zwierzenia, nie

odsłaniając powodów, które skłoniły go do tego kroku. Właśnie hrabina napomknęła coś o panu Krzysztofie, chcąc się dobrze o drogę do zamku dowiedzieć, gdy Teodor jej przerwał.

Pani hrabina szczerości mi nie weźmie za złe?

Nigdy, byle to była szczerza szczerłość.

Mam wiele wad — odezwał się Teodor — ale dobrowolnie nigdy nie kłamię.
Mówże pan, co chcesz, i nie lękaj się wcale, ja się za prawdę nie gniewam nigdy.
Ja bym pani do zamku jechać i Krzysia odwiedzać nie radził.

Dlaczego?

Pan Teodor był po obiedzie mocno ożywiony poprzednią rozmową, w usposobieniu do otwartości wielkiej.

— Pani — rzekł — pan Krzysztof do reszty głowę strącić gotów zobaczywszy ją. — On się kocha tak szalenie jak niegdyś, to, co mi mówił, świeżo dowodzi, że miłość jego...

Hrabina spuściła oczy. Teodor zamilkł na chwilę i nastraszył się własnego zuchwalstwa.

— Może pani wierzyć lub nie, gotowem jego własne powtórzyć jej słowa, aby tę podróż odradzić. Wbiły się one w pamięć. Mówiliśmy o pani. “Nie zmieniła się nic — zawołał — uroczo piękna, bosko poważna, jedyna w świecie, z dziewczęcia wykwitła tylko na niewiastę, przeszła męczennicą przez ogień próby i nosi aureolę na czole”.

— Przestańże pan, dosyć tego — przerwała hrabina z rodzajem gniewu — ja tego słuchać nie chcę, to mi przykrość robi.

— Nie, już mi pan pozwól dokończyć — rzekł Teodor — nie ulega wątpliwości, że po odwiedzinach w Zamostowie, do których ja go namówiłem, czego sobie darować nie mogę, z rozpaczy chciał sobie

odebrać życie.

To być nie może, zaklinam pana — zawołała zmięszana hrabina — nie dręcz mnie.

Milczę więc — rzekł Teodor, kłaniając się — ale innego coś dopowiem. Do tego stopnia oszalał i czuje, że żyć nie potrafi z tą miłością, iż w najtrywialniejszy sposób chce ją zabić w sobie.

Hrabina, nie rozumiejąc, podniosła oczy, które zdawały się łzami zasłże.

Chce się ożenić z córką leśniczego, sam mi to mówił.

Uśmiech dziwny skrzywił usta hrabiny, nie odpowiedziała nic.

Są rzeczy, których nie mogę zrozumieć i wołałabym nie słyszeć — odezwała się z powagą — nie mówmy o tym, proszę pana.

Teodor na próżno chciał się dobadać z twarzy, z mowy hrabiny, jakie to zwierzenie mogło wrażenie uczynić na niej. Twarz powlekła się posępnym jakimś wyrazem tajemniczym, czoło zmarszczyło, była wzruszoną, lecz litość czuła czy oburzenie, tego odgadnąć nie umiał. Zmieniła natychmiast rozmowę, wstała z ławki, na której usiedli na chwilę, i skierowała się ku pałacykowi, na którego ganku widać było stojącą pannę Kornelię.

— Pani — rzekł po przestanku długim Teodor — tyle już niedorzeczności popełniłem dzisiaj, że jedną więcej nie potępi mnie. Zuchwałe rzucę pytanie, ale od niego los mój zależy. Mówiłem o Krzysztofie, powiem o sobie. Stan jego serca jest moim.

— W kimże się pan kocha? — zimno zapytała hrabina, zwracając nań oczy.

— Pani mnie nie zrozumiała?

Wanda popatrzała nań długo, pytająco, z wyrazem Nielitościwego politowania.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała — czyżbyś pan chciał mi uczynić ten zaszczyt i pomyślał — o

mnie!

Sposób, w jaki mnie pani pyta, już mi usta zamyka.

Nie miej mi pan za złe dokończyła hrabina cenię pana, szacuję, chcę, byś mi zachował swą przyjaźń, ale postanowiła nie iść za męż. Znasz pan życie moje, przebolelałam wiele. Mówiłam to panu Krzysztofowi, nade wszystko cenię swobodę moją, spokój i ciszę.

Lecz ani swobody, ani ciszy nie potrzebowalabyś pani poświęcić — zawołał Teodor — owszem, stałbym na straży tych skarbów.

Uśmiechnęła się Wanda, podając mu rękę uprzejmie.

Panie Teodorze — rzekła — to nie może być...

Pani mnie do rozpaczki przyprowadza... Szydersko nieco spojrziała hrabina przelotnie, a że już byli blisko ganku, dodała głośno:

— Nie mówmy o tym — jutro lub pojutrze przyjedź pan na obiad i przywieź mi te książki, ale proszę, bardzo proszę nie zapomnieć. Będziemy nań z obiadem do trzeciej czekały. A gdy pan Krzysztof przeniesie się do zameczku, zapraszam go na przewodnika w odwiedzinę razem.

Panna Kornelia, usłyszawszy to z ganku, w ręce uderzyła z radości.

— Złota moja hrabino! — co za myśl cudowna. Jeśli nas nie wypędzi od progu, splądruję mu wszystkie kąty. Tak jestem ciekawa! tak okrutnie ciekawa.

Zaczęła się śmiać, biedny Męczyński szedł posępny, kłaniając się tylko i czując się w tak niewygodnym położeniu, iż rad był uciec co prędzej. Nie puszczono go jednak; hrabina kazała mu pozostać na herbatę, nie mógł, okazując gniewu i dąsając się, odmówić. Wielkiego znawcę serca ludzkiego, za jakiego się miał pan Teodor, to tylko pocieszało, że

piękna pani wcale się nie pogniewała za jego oświadczenie, że była dlań prawie więcej jeszcze uprzejmą niż przedtem, że jej

to nawet nie popsulo humoru.

Zwyczajnie, kobieta — rzekł w duchu stary kawaler — nie mogła mnie przyjąć tak od razu, na to potrzeba czasu. Zbyła mnie ogólnikiem, iż za mąż iść nie chce, każda z nich to mówi, a wszystkie potem namówić się dają. Wyraźnie dała mi do zrozumienia, żebym był częściej, chce mnie poznać bliżej. Jestem więc na bardzo dobrej drodze, choć w pierwszej chwili byłem mocno zmięszany.

Tak szczęśliwym sofizmatem przywróciwszy sobie straconą nadzieję, pan Teodor rozchmurzył się, stał zabawnym umiarkowanie, aby się nie wydać z tym, że ją odgadnął, i pił herbatę, dając z siebie żartować niezmordowanej pannie Kornelii, która go ciągle pannami Zamorskimi dręczyła.

Na próżno się pan wypierasz, ja mam szpie

gów — mówiła po cichu — co dzień pan tam przesiadujesz i zachwycasz się grą panny Lizy.

— Ale, pani dobrodziejko, ja muzyki cierpieć nie mogę.

— Więc rozmową i dowcipem Lizy, która jest bardzo żywa, żartobliwa i ma dowcipu wiele.

— To dziecko! — rzekł Teodor.

— Starym kawalerom, to przecie rzecz uznana i wiadoma, najwięcej do smaku przypadają nierozwite pączki. Pan przecie nie jesteś wyjątkiem.

— Na ten raz chyba mam to szczęście.

— Kłamiesz pan — dokończyła Kornelia.

— Pan Teodor zapewnił mnie, że nigdy nie kłamie, muszę się ująć za niego — wrzuciła uśmiechając się hrabina.

Talk z poprawionym nieco humorem pożegnał się wreszcie pan Teodor, a na wyjeźdźnym przypomniano mu jeszcze owo na obiad zaproszenie.

Przez całą drogę zatopiony był w myślach, chcąc się utwierdzić w mocnym postanowieniu starania o hrabinę.

Jest rzeczą oczywistą mówił że ona chce mnie wypróbować, stałości mojego przywiązania, bo może coś wiedzieć o przeszłości, charakteru zgodności... o przywiązaniu do Krzysztofa mowy nie ma. Przyjęła wiadomość o zaślubieniu Dosi zupełnie obojętnie, zaambarasowało ją to na chwilę. Wążąc każde słowo odpowiedzi, czuję, że to była finta, którą zaraz naprawiła, nalegając, bym bywał w jej domu; główną rzecz zyskałem, reszta ode mnie zależy. Zatarł ręce.

Przybywszy do Zieleniewszczyzny tak był jeszcze przejęty wrażeniami świeżo doznanymi, że odmówił Zamorskiemu zaproszenia zwykłego na wieczerzę, składając to na ból głowy. Dzierżawca, nie chcąc nalegać, odszedł.

W kwadrans potem siedział w fotelu pan Teodor z cygarem w ustach, gdy stała się rzecz w rocznikach Zieleniewszczyzny niesłychana. W oknie otwartym od ogrodu nagle ukazała się główka zarumieniona Lizy. Oczy jej szukały zbiega.

— Przychodzę po pana, mama i Misia stoją o trzy kroki, nic nie pomoże, choć z bólem głowy musisz pan iść do nas! Mamy truskawki umyślnie przygotowane, do jutra zwiędną. Exécutez vous de bonne grâce! — dodała figlarnie dziewczyna.

Pan Teodor wstał z fotelu zachwycony. Wspomnienie Wandy, mocne postanowienie nie dopuszczenia sercu, aby się bałamuciło nadaremnie, wszystko to prysło, rozbiło się, znikło. Przed nim, w jego oknie stało zachwycające świeżością zjawisko; czarodziejka, której oprzeć się nie umiał.

— Idę natychmiast! — zawołał w zachwyceniu. Rączka biała leżała na skraju okna otwartego, pokiśliwie piękna i nęcąca bezbronnością, pan Teodor, niby dziękując, przyłożył do niej usta i

pocałował ramę okna, bo paluszki szybko się usunęły i śmiech trzpiotowaty rozległ w ogrodzie.

Wyszedł, jak przyobiecał, i w istocie o kilka kroków od domu spotkał wszystkie panie dowiadujące się o jego ból głowy. Pani Zamorska radziła staroświecką lekką infuzję szafranu, Misia herbatę zieloną, Liza kolońską wódkę, Zamorski gorącą wodę z cytryną.

Sam chory postanowił to zostawić naturze i wkrótce, w istocie odwdzięczając jego zaufanie, pocziwa matka ból głowy wyleczyła wesołością Lizy i uprzejmością całego domu dzierżawcy, nadskakującego kochanemu dziedzicowi.

Wstrzymano się nawet na ten raz od hałaśliwej muzyki, a po wieczerzy, co się nigdy nie trafiało, panny i mama gdzieś znikły.

Zamorski sam na sam został z dziedzicem, wzdychał i uskarżał się na ciężkie czasy, pocziwe człowie

czysko. Po zręcznie umotywowanych i przeprowadzonych preludiach dzierżawca przybrał posępną minę.

— Już to my — rzekł — całym domem dla osoby naszego dziedzica jesteśmy z taką, mogę powiedzieć, czcią i głębokim szacunkiem, z takim przywiązaniem, że nie wiem, czy pan dobrodziej znajdziesz gdzie na świecie ludzi więcej sobie oddanych, a tu składają się tak okoliczności...

— Cóż takiego? — spytał zaniepokojony pan Teodor.

— A nic, nic; ale my, prostaczkowie, dorobkowiec biedni, musimy myśleć o przyszłości: córki dorastają, trzeba im coś będzie dać, bez posagu nikt nie weźmie. Ot, między nami mówią. O Misię stara się bardzo godny młodzieniec, i nie bez grosza, edukowany, skończył sześć klas, dobrych rodziców, Maciorkiewicz, pan go nie zna?

— Nie mam przyjemności.

— Ale jakże tu wydać młodszą przed starszą — kończył Zamorski — jejmość go namawia do Lizy,

nie wiem, czy go zechce, bo ona do wyższych rzeczy aspiruje. Z bólem serca mi to przychodzi panu dobrodziejowi powiedzieć, ale trzeba będzie podobno Zieleniewszczyznę porzucić.

A toż dlaczego?

Tak się to składa. Mam tam u pana dobrodziejza trochę tej mojej krwawicy. A niechby sobie było i wiekowało w takich rękach, ale z czegoż posązek dać? Trzeba by się nam obliczyć, potem wypadnie z zięciem razem coś wziąć choćby większego. Człek w dorobku, ja się starzeję.

Mówił ciągle przypatrując się Teodorowi, który przybrał wyraz posępny, ale nie dający odgadnąć wrażenia.

Już to na córkach, nie dawszy mi syna, pobłogosławił mnie Pan Bóg — dodał dzierżawca. Nie chwałac się, Liza mogłaby w najpierwszym domu być ozdo

bą. Główka nie dla proporcji... Ale to takie sobie trochę dumne, trochę głupie, że powiada, iż nie pójdzie inaczej, tylko za dystyngowanego człowieka, i nigdy w świecie za młodego, ale za poważnego, dojrzałego. Dlatego to o Maciorkiewiczzu jej ani wspomnieć. Nawet nazwiskiem się brzydzi, choć Maciorkiewicz nie ma nic tak złego. Teodor słuchał, ale myśl obrachunku i spłaty należności tak go pochłaniała, że o Lizie zapomniał.

— A będzie ten człowiek szczęśliwy, co Lizę weźmie — wywnętrzał się ojciec — to prawdziwa perła. Co to za takt! jaki rozum, jaki statek. U niej tylko książki, muzyka i wyższe towarzystwo. A to będzie bieda, jeśli się nie trafi kto po jej myśli, bo się zaklina, że nie pójdzie, tylko za dystyngowanego i poważnego człowieka. Powtórzywszy to z pewnym naciskiem, dobry ojciec westchnął i począł się rozwodzić o genealogii Maciorkiewiczów. Przyszłego zięcia rodziła de domo Ozorcanka, dziad był autentycznym

podstępkiem. Wszystko to coś znaczyło. Teodor głową kiwał.

Po rozmowie tej stary, zwróciwszy się ku innemu przedmiotowi, począł chodzić po pokoju i panna Liza, jakby na dany znak, wróciła wraz z matką. O interesach mówić przestano. Zamorski miał coś do poradzenia się z żoną w drugim kątku, a Liza od niechcienia zbliżyła się do pana Teodora.

Wszystko, co o niej opowiadał ojciec, przyszło na myśl staremu kawalerowi, ale bronił się, jak mógł, pokusie różowego buziaczka wspomnieniem hrabiny. To go uratowało, że mimo uśmiechów i drażnień bardzo umiejętnych, utrzymał się przy powadze i chłodzie.

Po wyjściu jego Liza szepnęła Misi:

Czasem tak jestem na niego zła, że bym go biła. Proszę cię, dziś, jakby go kto zimną wodą oblał; na jeden dzień mu pofolgować nie można, bo zaraz sty

gnie. Jednego wieczora zdaje się, że go już mam, patrz! już się wyzłiznął. To bałamut.

— Gdzież tam — odparła Misia — on się ciebie może boi, boś zanadto śmiała.

— A gdybym taką nie była! aniby pomyślał o mnie. Już ja ich znam!!

Znała panna Liza z teorii zapewne tylko męskie usposobienia, ale niemniej pewną była siebie. Uczył ją nieochybny instynkt niewieści.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM II

I

Skutkiem psychologicznego obrachunku pan Teodor postanowił dni kilka przeczekać, nimby się znowu zjawił w Zamostowie. Zdawało mu się to właściwszym, niż nazbyt okazać natrętnym. Niecierpliwość jednak rosła i czwartego wybrał się w porze przedobiedniej wyświeżony, ubrany z wielką prostotą, dystynkcją i smakiem. Przejrząwszy się w zwierciadle, był z siebie zupełnie zadowolony; uważał się tak przyzwoitym, tak comme il faut, iż nikt z nim na całą okolicę walczyć nie mógł. Nawet wiek, a raczej pewna dojrzałość, jak się wyrażał o sobie, dodawała mu wdzięku,

łysina powagi, parę lekkich marszczek, każących się domyślać nieco burzliwego żywota, nie szkodziły wcale w oczach kobiety. Wchodziło to do teorii pana Teodora.

Dzień był wcale piękny; dojeżdżając do pałacyku, dobył zwierciadełko kieszonkowe, poprawił włosy i gotował się wysiadać, gdy na ganku ujrzał niespodziankę tak nieprzyjemną, iż na chwilę sądził, że gdzie indziej zajechać chyba musiał. W ganku na ławeczce, z cygarem w ustach, nogę na nogę założywszy, siedział młody chłopak ogromnie wyrosły, z włosami długimi, po artystowsku zarzuconymi na ramiona, z jednym palcem założonym za kamizelkę, ze szkiełkiem w oku, bez ceremonii rozparty, jakby był w domu.

Młody panicz był pięknej twarzy, rumianej, weso

łej, nieco szyderskiej, a tryskającej niezmiernym życiem. Wszystko się w nim śmiało, drgało, lśniało, oczy niebieskie, wargi rumiane, policzki różowe, ręce żyłaste i silne. Najdziwniejszą było rzeczą, że ten nieznajomy, przed którym leżał słomiany kapelusz i rękawiczki z laseczką bardzo kształtną, ubraniem i postawą zupełnie domowego, poufałego kogoś udawał.

Ale któż to mógł być taki?

Pan Teodor wysiadał, a młodzieniec, popatrzywszy nań, wstał, choć go nie było komu przedstawić, i wyjąwszy z ust cygaro, podszedł z uśmiechem.

— Wszak mam honor pana Teodora Męczyńskiego widzieć.

— Tak jest.

— Adrian Brzoski, siostrzan cioteczny pani hrabiny Wandy; domyśliłem się, że to pan jesteś, bo tu o panu była mowa

— mówił żywo i wesoło Brzoski — prezentuję się więc bez ceremonii przyjacielowi cioci i polecam jego łasce. Od dwóch dni na próżność pana dobrodzieja wyglądali; rzucam cygaro,

którego nie mam powodu żałować, bo źle ciągnie, i... służę do salonu. Kochana, śliczna ciocia będzie panu rada. Pan Teodor poufałością i śmiałością młodzieńca nieco był zmieszany, twarz jego musiała to wyrażać, ale pan Adrian wcale na to nie zdał się uważać. Grzecznie się skłonił, odrzucił włosy i we drzwiach stanął, prosząc gościa, aby go poprzedzał. Chłopak, gdy wstał, olbrzymiej postawy się wydał, piękny cale i zręczny.

Bardzośmy pana wyglądali — rzekł idąc — ciocia, nie wątpię, że zostanie uszczęśliwioną, a ja także, bo choć śliczną ciocię kocham, ale dla mnie za poważna, a panna Kornelia dowcipna i zabawna, lecz oczy trzeba zamykać, tak brzydka. Ja też wolę męskie towarzystwo. Cieszę się, że pana złapał, i obiecuję być natrętnym.

Pana Teodora ujęła i ośmieliła ta poufałość. — Bardzo będę szczęśliwy, jeśli się tu na co przydam panu — rzekł grzecznie.

— Ale bardzo, niezmiernie! — zawołał Adrian — nie dasz mi umrzeć z nudów.

Weszli do salonu, tu nikogo nie było, a pan Brzoski mówił dalej:

— Ja już miałem czas doskonale się poinformować o całym sąsiedztwie i stosunkach. Wszystko wiem, co siostrzeniec wiedzieć i znać powinien. Stosunki cioci, upodobania, wstręty, i sąsiedztwa naokół z pomocą panny Kornelii nauczyłem się na pamięć z komentarzem nieustającym...

Rozśmiał się. Jakkolwiek był ekscentryczny i zbyt otwarty, pan Teodor, który zrazu nie zasmakował w nim, bo mu się ta młodzieńcza krasa, zbyt odbijająca od jego dojrzałości, nie podobała, uczuwał się już pociągniętym ku niemu.

Adrian podał mu rękę.

— Jeszcze raz — rzekł — łasce i życzliwości się pańskiej polecam. Jestem na wakacjach, bo jeszcze powracam dla doktoryzacji do uniwersytetu; zabawię tu kilka tygodni, pan mnie uratujesz,

biorąc w opiekę.

Powtarzam, że się oddaję do dyspozycji pańskiej — odparł udobruchany Męczyński — dom mój proszę uważać za własny.

Myśliwy pan? — spytał Adrian.

Ja? tak, trochę, ale niekoniecznie, nie przeszkadza to wcale, bym mu polowania nie urządził i nie służył za towarzysza. Mój dzierżawca to doskonale umie.

Doskonale! zawołał Adrian żywo tym bardziej że ma, jak już wiem, dwie ładne żwawe córki w domu.
Rozśmiał się, a pan Teodor za nim.
I to już pan wiesz! zawołał.
Jak to, i to? ale ja wiem co do joty wszystko;

wystudiowałem doskonale grunt, po którym mam chodzić, znam historię pańską.

— Moją? — przerwał przestraszony Teodor.

— O ile ona jest dostępna dla profanów i o ile wolno mi ją było poznać — dodał Adrian — wiem o panu Krzysztofie... od a do z... wszystko.

Pan Teodor stanął zdumiony.

— Skądże, od panny Kornelii? — spytał.

— Nie od niej jednej — mówił z młodzieńczą żywością Adrian — proszę pana, siedzę tu dzień trzeci, a od czegoż rejent, choć małowówny, ludzie... zresztą talent prawnika (chodzę na prawo), który może być kiedyś sędzią śledczym, jeśli nie zostanie romansopisarzem?

Zaczął się śmiać pan Teodor, Adrian mu pomógł i śmieli się jak starzy, dobrzy znajomi, gdy obleczona swą zwykłą powagą, piękna, majestatyczna wyszła ciocia Wanda.

Zobaczywszy dwóch panów w tak doskonałej komitywie, uśmiechnęła się i ona.

Ciociu dobrodziejko zawołał Adrian w niedostatku mistrza dworu, to jest rejenta, zaprezentowałem się czcigodnemu panu Męczyńskiemu, nie wziął mi tego za złe... i pierwsze lody wspólnymi siłami połamane. To mówiąc, uklonił się, ciotkę w rękę pocałował i zostawując panu Teodorowi czas na przywitanie ceremonialne, sam poszedł do okna. Zdawało się, że w miejscu mu trudno było ustać i zamilczeć chwilę.

Miła to dla mnie niespodzianka taki gość... taka znajomość odezwał się pan Teodor przynosi nam z sobą życie do tego zamarłego kątku.

O! życia ma tak, że mógłby się nim podzielić odrzekła hrabina, spoglądając z dala na Adriana, który już w braku zajęcia nuty przewracał na fortepianie. Trzeba go hamować, ale nam, starym, ten uśmiech

młodości jest jak promień słońca, czujemy się nim odżywieni.

— Pani mówi: nam, starym! — zaprzeczył Teodor.

— Bo się starą czuję, a przy Adrianie mało kto nie dozna tego uczucia.

Adrian już, pobłądziwszy trochę po salonie, powracał do cioci i gościa, podsuwał krzesła i widać mu było z twarzy, że do rozmowy tęsknił.

— Wie ciocia, już ułożyliśmy... polowanie.

— Rejent?

— A! nie; między gankiem a salonem z panem Teodorem — rozśmiał się Adrian. — Rejent wszystko w świecie urządzi, ale nigdy w życiu nie polował, chyba na zabitego zająca na talerzu.

Panna Kornelia wbiegła i objąwszy okiem panującą w salonie harmonię, uśmiechnęła się.

— Widzę, że zostałam uprzedzona — rzekła — śpieszyłam, aby tych panów poznać z sobą.

— A! parni! znamy się już jakby od lat stu — zawołał Adrian — ja jestem natręt i gaduła, to wiele

rzeczy ułatwia.

W ten sposób rozpoczęta rozmowa potoczyła się wesoło. Podano śniadanie; po nim Adrian zaproponował w ganku cygaro i wyszli.

Młodzieniec wziął gościa pod rękę i zaprowadził ulicą do parku.

Wie pan co — rzekł po chwili. Ciocia czegoś smutna; znalazłem tu humory powarzone, wielu się rzeczy domyślam... trzeba was rozbawić, rozruszać i nie dać się wam nudzić. Ja do tego jestem jedyny.

W istocie odpowiedział Teodor — życie tu nasze jest dosyć... jednostajne.

Ale nudne przerwał młodzieniec — nie ma co się z tym ukrywać, kółko małe, ciocia zamknięta, mało osób przyjmuje, stosunki ostygłe. My to wszystko przerobiemy. Mam wiele planów różnych, zobaczycie.

Włosy odrzucił w tył i uśmiechnął się. Panu Teodorowi jakoś przy nim rosło serce, uśmiechał się także.

— Jakże może być — wtrącił Adrian — najbliższe sąsiedztwo, państwo Pawłostwo, nieznajomi prawie. Ona sama córka kupca, powiada panna Kornelia, no to co? może być osoba prosta, ale dlatego miła, a zawsze dziś pani Pobogowa. Państwo Zamorscy, dzierżawcy; dlaczegoż ich nie ośmielić, nie zbliżyć. Są to żywioly, które przygarniać należy, nie odpychać. Na ostatek pan Krzysztof, dziwak, boicie go zażyć nie umieli!

— A! tegom ciekawy, jak się pan. do niego weźmiesz.

— Zobaczycie — rzekł zarozumiale młodzieniec — widzisz pan, młodość jest nieustraszona i dlatego się jej wiele rzeczy udaje. Panowie nadto macie rozumu i rachuby i dlatego często się mylicie.

— Tak! tak! — zakończył Teodor — napraw nas pan, bardzo mu wdzięczni będziemy.

Szanowny sąsiedzie, nie pochlebiam sobie, bym co więcej nad to zrobił, że odgadłszy was, będę mówił to głośno, co wy myślicie po cichu. W tym cała sztuka. A teraz rzućmy cygara i chodźmy do cioci, aby się nie nudziła. Ciocię kocham, ubóstwiam; jest jak anioł dobra, piękna, a wydaje mi się nieszczęśliwą. Na to także radzić potrzeba! Spojrzał na pana Teodora, który się uśmiechnął i jakby o niego szło, pełne wdzięczności zwrócił nań wejrzenie, ale nie odezwał się przez skromność. Teraz młodzieniec mu się stokroć więcej podobał; rachował na to, iż może mu być pomocnym wielce, i postanowił wejść z nim w jak najbliższe stosunki.

Jeśli to panu przykrości nie zrobi odezwał się — wszak byśmy dziś razem mogli pojechać do Zieleniewszczyzny, wieczorem zabawić u Zamorskich, a jutro... polowanie.

Adrian uściskał pana Teodora.

— Cudowny projekt, wieczór w towarzystwie panien, a o świcie z trąbką w lasy — zawołał w uniesieniu.

— Ale czekaj pan, ostrzec go muszę, abyś się młodszą Zamorską nie zajął; jest tak prawie, jak przyrzeczoną jakiemuś panu Maciorkiewiczowi.

— A to doskonale! — żywo przerwał Adrian — właśnie najswobodniej umizgać się mogę, nie narażając na to, aby mnie posądzano o matrymonialne widoki, bo co się tyczy ożenienia, o! do tego się ja nie dam prędko skłonić. Dałem sobie słowo nie żenić się, póki nie wyłysię.

— Czy to przymówka do mojej łysiny?

— Uchowaj Boże! — krzyknął Adrian — pan masz tylko czoło wysokie, łysiny nie dostrzegłem. Jest więc rzeczą postanowioną, że do Zieleniewszczyzny jedziemy.

— Ja dziękuję...

Ja stokroć mocniej; panna Kornelia wieczorem kładzie kabałę, a ciocia czyta i duma; zaczynałem już myśleć, czy mi się siatki robić nie wypadnie nauczyć.

Po krótkiej rozmowie w salonie dano obiad... jak zwykle wykwinął, do którego Adrian zasiadł z apetytem dwudziestoletnim i poufałością dziecięcia domu. Nadszedł i poważny rejent, który w chęci przysłużenia się siostrzeńcowi hrabiny zapowiadał, iż może się polowanie złożyć.

Ja jadę na polowanie do Zieleniewszczyzny, kochany rejencie — rzekł Adrian — już sobie o mnie głowy nie łamcie, odłożymy to na później.

Jak to już jedziesz? — zapytała hrabina.

Muszę, jestem proszony — zawołał Adrian — a przy tym rad będę poznać panny Zamorskie, o których tyle słyszałem. Gdzie? w Warszawie? — potrząsała hrabina.

— Nie, tu już, na miejscu — rzekł Adrian — juściż to obowiązek z mej strony porobić znajomości.

— Z ładnymi pannami — szepnęła panna Kornelia.

— A, podwójny! — skłaniając głowę, zawołał Adrian — starożytni składali cześć piękności, jako objawowi bóstwa, a ja jeszcze jestem w tej życia epoce, gdy się karmimy samymi starożytnymi. Studiuję prawo rzymskie, mam prawo być trochę poganinem.

Adrian przez cały czas obiadu nie zamknął ust i udało mu się nawet poważną ciocię nieraz rozśmieszyć. Rejent, zwykle posępny, rozchmurzył się także, panna Kornelia była w zachwycie nad miłym młodzieńcem, pan Teodor czuł, że przy nim by odmłodził. Jednym słowem, ta iskra, wrzucona na zaschły materiał, rozniecała powoli ogień, jakiego dawno w Zamostowie nie było. Ciepłej jakoś zrobiło się wszystkim, nowe życie w nich wstępowało. Hrabina słuchała szczebioczącego i kręcącego się młodzieńca, z macierzyńską niemal czułością spoglądając na niego.

Tak przeszedł czas do herbaty, gdy Teodor przypomniał, że jechać trzeba. Adrian już pamiętał o

tym, by być gotowym, w ganku leżała jego torba, dubeltówka i płaszcz, pożegnali się więc i wsiedli z cygarami do powozu, a Adrian, z niego się jeszcze wychyliwszy, rejentowi dał jakiegoś polecenia na wyjeździe.

Z tą moją najukochańszą ciotką — rzekł, gdy się oddalili od pałacu — nie będzie innej rady, tylko ją za mąż wydać potrzeba. Szkoda jej, zanudzi się, znajdziemy kogoś stosownego, ja małżeństwo skojarzę i... pobłogosławię. Jest to wiek, w którym starsi młodszych słuchać powinni, mam obowiązek ratować ciotkę.

Panu Teodorowi podobał się plan ten bardzo, uśmiechał się, nie śmiejąc go widocznie zastosowywać do siebie, ale był tego przekonania, że Adrian sam wpadnie na myśl szczęśliwą. Pochwalał więc bardzo sposób

zapatrywania się na przyszłość kochanej ciotki i aplaudował z całego serca.

— Cierpliwości tylko — mówił Adrian — w ciągu kilku tygodni wiele się daje uczynić, a z ciotką trzeba ostrożnie. Narzucić sobie nic nie da, ale to samo przyjdzie, zobaczysz pan.

Wielkie było podziwienie Zamorskich, których jadący na przechadzce całą rodziną przypadkiem spotkali na drodze, gdy ujrzeli dziedzica wracającego w towarzystwie nieznanego, a tak pięknego młodzieńca. Wyjąwszy Zamorskiego, który nigdy tonu nie zmieniał i zawsze był jednaki, pani i obie panny spoważniały, zasznurowały usta, przybrały postacie krochmalne. Instynkt ludzki zawsze ten ostrożny chłód narzuca nam na widok nowych nieznanymi postaci. Zamorski podszedł do powozu, Teodor i Adrian wysiedli, a dziedzic przedstawił siostrzeńca hrabiny.

Wprawdzie hrabina rodzonej siostry nie miała, ale domyślano się, że pokrewieństwo to było... cioteczne. Zamorski nawet o rodzinie Brzoskich był dobrze uwiadomiony i przyjął młodzieńca z

wielką uprzejmością.

Rachuję na dobroć waszą odezwał się Teodor i zaprosiłem, ufając w nią, pana Adriana do nas na polowanie.

Z duszy serca! zaraz na jutro zadysponuję; rozkazuj pan, jesteś w domu, jam sługa jego.

Panny gryzły końce parasolków, spoglądając z ukosa na ładnego chłopaka. Liza mierzyła go oczyma, mimowolnie nastrożając się porównanie z Teodorem nie mogło wypaść na korzyść jego. Tylko że z Teodorem była śmielszą, a tego się po troszę obawiała. Z oczu mu tafcie szatańskie zuchwałstwo błyskało!

Początki rozmowy były jak lód zimne, lecz po kilku słowach Adrian rozśmieszył panny, matkę ujął chwilową rozmową, ojca poufale pod rękę wzięwszy od

razu się z nim poprzyjaźnił i nim do domu doszli, on już był... jak w domu.

— Jak to zaraz na nim znać wybornie wychowanego młodzieńca! — mówiła Zamorska — co to za grzeczność dla wszystkich, a jaki miły humor i dowcip.

— Przyznam się — dodał na ucho Zamorski — że nie gniewałbym się mieć go za zięcia, ale Misia już tak jak przyobiecana, a Liza...

Kaszlnął znacząco, spoglądając na Teodora, który był nieśmiały jakoś i od panien dnia tego stronił. Zamorska westchnęła, przebieg tych spraw zostawując Opatrzności. Nie wątpiła ona, że z takimi córkami kłopotu mieć nie będzie.

Ostatecznie podbił serca wszystkich Adrian, znajdując wiejskie zacisze na folwarku nader miłym i bardzo smakownie urządzone. Zobaczywszy fortepian, zadał gwałt przyjemny panie Lizie, zapraszając do niego, czego Teodor nigdy nie czynił. Po odegraniu Ständchen Schuberta według Liszta unosił się nad wykonaniem; słowem, pokochali go wszyscy.

Pan Teodor z cygarem zmuszony był siedzieć w oknie, słuchać, patrzeć i odpoczywać; pocieszał się tylko tym, że zdając interesa swe na siostrzeńca, postawi je wkrótce na najlepszej stopie.

Zabawa u państwa Zamorskich przedłużyła się dosyć długo i zakończyła tym, że Adrian od Lizy przeszedł do cichej i skromniejszej Misi, z którą zawiązał rozprawę jakąś i chodził z nią po pokoju. Liza, uwolniona, manewrowała tak, że się zbliżyła do dziedzica, który cygaro odrzucił i ulegając jej urokowi, cały się oddał miłej pogadance, pół tęsknej, pół wesołej, a ta zaprowadziła go znowu niezmiernie daleko.

Liza powtórzyła mu przy nadarzonej zręczności to, o czym już zawiadomił go wprzód ojciec, że ma skłonności arystokratyczne, że młodych ludzi nie lubi i że przekłada ludzi nieco ostyglych i poważnych. Uderzyło

to wreszcie pana Teodora, ale na pochyłości już będąc ku czulszym wynurzeniom, w sam czas się powstrzymał. Długie to posiedzenie z Lizą nie uszło baczno oka młodzieńca i gdy nareszcie nakarmieni i napojeni wyszli, w przyzwoitym oddaleniu od folwarku szepnął panu Męczyńskiemu:

— Widzę, że pan się bierzesz do starszej panny, albo raczej, że ona się ma do pana... to w oczy, bije!

— Ale, na Boga! — przecząc gwałtownie, rzekł Teodor — ani wiek, ani położenie moje w świecie nie pozwala mi nawet pomyśleć o niczym podobnym! Bawi mnie wesołe dziewczę i na tym koniec. Zmiłuj się, nie wyobrażaj sobie, żebym... miał coś takiego w myśli.

— Najzupełniej temu wierzę, ale jeśli tak jest — dodał Adrian — to pozwólże mi się pan przestrzec, ażebyś pozorów unikał. Z daleka patrząc, strasznie się to wydaje podejrzanym. Prawdą a Bogiem — oni na pana polują.

Teodor się zamyślił.

To prości bardzo ludzie i nie sędzę, żeby szli takimi drogami do celu, zbyt są naiwni.

Ale ba przerwał Adrian panny mają może pozór dziewczątek wiejskich, ale im z oczu okrutny spryt patrzy, bądź pan ostrożnym. Nie wszystko jest naiwnym, co się nim być zdaje.

Przez cały wieczór nie ustawała żwawa rozmowa, którą Adrian sam prawie podtrzymywał, paląc cygaro po cygarze.

Rozstali się po północy, a gospodarz wieszował sobie nowej znajomości niewymownie. Nazajutrz raniuteńko wszystko było do polowania w gotowości. Los chciał, ażeby obrany na nie ostęp przytykał do puszczy pana Krzysztofa.

Zmęczeni znaleźli się w bliskości chaty Wilczków, a że Teodor rad się był też dowiedzieć o Krzysztofie, a Adrian niezmiernie ciekawym był go zobaczyć, zawrócili pod pozorem spytania o zdrowie pustelnika.

— Ale jakże ja was potrafię wprowadzić — rzekł Męczyński — kiedy on z nikim obcym mówić nie chce i odprawia czasem nawet grubiańsko.

— To moja rzecz — odparł Adrian — pan mnie tylko weź z sobą... ja na resztę poradzę.

Trafiło się tak, że nie tylko Krzysztof był jeszcze w chacie, ale od strony cienia siedział w chłodku na krześle, pilnowany z dala przez Dosię. Na widok nieznanego młodzieńca dziewczę zawstydziło się jakoś i schowało, został sam pan Krzysztof, który z dala zmierzył zdziwionym okiem Teodora i jego towarzysza, nie kryjąc się, jak przykre na nim czynił ten. najazd wrażenie. Pan Teodor miał go już przedstawić, gdy Adrian wyrwał się naprzód.

— Pan dobrodziej mi przebaczysz — rzekł z ukłonem niskim — iż mimo najusilniejszych próśb pana Teodora Męczyńskiego, który mnie tu dopuścić nie chciał, narzucam się mu gwałtem, natrętnie. Tyle o czcigodnym panu słyszałem, o jego życiu samotnym, o mocy ducha, tak mnie to poetycznością uderzyło, zachwyciło, iż nie mogłem się powstrzymać...

Krzysztof patrzył zdumiony.

Jestem Adrian Brzoski, siostrzan pani Wandy, ona też mówiła mi o panu... przebaczysz pan śmiałość moją? Stary na chwilę sumując zamilkł.

Powinien bym, wedle obyczaju świata, być panu wdzięcznym — rzekł chmurno — ale ja jestem stary weredyk; nowe znajomości mi ciężą.

Nie myślę też pana moją obarczać — dodał Adrian — chciałem tylko raz w życiu go widzieć i tym się poszczycić. To życie samotne z Bogiem i naturą! przejmuję mnie uwielbieniem...

Pobóg ramionami ruszył.

Czy pan sobie żartujesz ze mnie? — zapytał.

Najszczerzą mówię prawdę — począł gorąco

Adrian. — Wiek nasz, niestety, jest wiekiem nie posągów ciosanych z marmuru, ale gipsowych odlewów w jednych formach. Wszyscyśmy kubek w kubek do siebie podobni i o nic się mocniej nie staramy nad to, by się nie wyróżniać od ludzi. Gdy się więc trafi wśród martwych gipsów marmurowa postać, jestem dla niej ze czcią.

— Tylko że ja podobny chyba jestem do tych starych grobowych, którym rąk, nóg i całych brył braknie — rzekł Krzysztof.

— Tors Herkulesa jest zawsze arcydziełem — wtrącił Adrian.

Krzysztof uśmiechnął się mimowolnie i popatrzał na Adriana; pocziwa, wesoła twarz ujęła go, obejrzał się, aby mu podano krzesło.

— Na Boga, nie troszczcie się o mnie — krzyknął chłopiec i padł na zieloną murawę tak zręcznie przed Krzysztofem, tak się wygodnie umieścił, iż go tą żywością ujął znowu. Przypatrywał mu się niemal z zazdrością jakąś.

Zza węgła patrzyła też na niego Dosia, bo po raz pierwszy w życiu takiego Antynousa uśmiechniętego widziała. Teodor stał milczący.

Wie pan, że jeśli się nie ożenię, jeśli w pojedynku nie polegnę, jeśli mnie kto na polowaniu nie postrzeli i jeśli nie zmienię charakteru, pobujawszy nieco po świecie, gotowem się cofnąć na taki jakiś zamek stary, jak pański, aby tam dumać o przeszłości i na świat, który komposty i gnoje, do ideału podnosi, nie patrzeć — odezwał się do pana Krzysztofa. Zyskam na tym, że się w gnój sam nie obrócę i umrę człowiekiem.

Panu Krzysztofowi to wyznanie wiary dziwnym się wydało, ale chłopak zdawał się być szczerym.

Jedno z dwojga: albo rycerzem być, albo pustelnikiem, to rozumiem; do siania kartofli dosyć tych, co są sami do nich podobni

— Skądże pan z tymi przekonaniem tu do nas przybywasz? — zapytał pustelnik — z księżycą?

— Nie, z uniwersytetu. Uczyć się trzeba, to każdemu potrzebne — rzekł Adrian. — Na wakacje szczególny skład okoliczności napędził mnie do Zamostowa, do cioci. Ale z cioci niezupełnie jestem kontent; smutna jest, młoda, a wyrzeka się świata. W panu uwielbiam ten heroizm, ale w niej go nie przyjmuję; kobiety nie mają prawa iść na pustynię, zwłaszcza tak miłe, dobre i ładne, jak ciocia.

— Wydaj ją pan za męża! — dodał sucho Krzysztof — chociaż powiada, że swobodę ceni tak wysoko.

— Byłem znalazł stosowną parę dla ciotki, muszę ją wyswatać.

Krzysztof się rozśmiał smutnie i ironicznie, Teodor skromnie. Nagle młodzieniec, zmieniawszy rozmowę, począł o polowaniu i lasach, Krzysztof mówił z nim chętnie i coraz poufalej. Wkrótce potem rozprawiali już o genealogiach polskich, pochodzeniu herbów i przydomkach, w czym Adrian okazał dosyć erudycji, bo szczęściem świeżo jakoś grzebał się w Niesieckim, a pamięć miał

doskonałą.

Z wielkim podziwieniem Teodora zdobywca serc, Brzoski, pozyskać sobie potrafił i szturmem wziął najtrudniejsze do pozyskania. Krzysztof był z nim już po godzinie jak najlepiej. Co więcej, twarz mu się wyjaśniła, humor poprawił, dowcipował i otwarcie rozprawiał o swych przekonaniach, nie tając się z nimi przed obcym.

Adrian potakiwał, unosił się, niekiedy rzucał wątpliwość i wciągał przez nią w żywsze rozprawy. Pani Wilczkowa przyszła pytać, czy goście nie będą co jedli.

Nie ma co pytać — zawołał Adrian — co na placu to nieprzyjaciel, bo jeść, mnie przynajmniej, chce się okrutnie. Nie wstając z murawy, śmiejąc się, baraszkując,

wprawiwszy wszystkich w wesołe usposobienie, Brzoski, jak wszędzie, tak i tu wniósł z sobą życie. Korciło go tylko snadź, że Dosi, o której słyszał, nie mógł widzieć z bliska. Posłużyła mu do tego zapowiedź śniadania, przymówił się, jako najmłodszy, pomóc do podania i usługi. Mm kto miał czas zaprzeczyć, wstał i pobiegł do chaty. W progu jej stała Dosi, Adrian się skłonił grzecznie, jakby największej damie.

— Pani mi pozwól pomóc sobie do podania śniadania. Słuszna rzecz, abym, jako młody, spełnił ten obowiązek. Szkoda pani rączek.

Dosią spojrzała nań śmiało, a potem na ręce, które naiwnie wyciągnęła do Adriana.

— Albo to rączki tak jak u waszych pańienek? — zapytała pół gniewnie, pół żartobliwie.

Rączki były opalone, trochę podrapane od pracy, ale mimo to wcale ładne.

— Wie panna Wilczkówna, że niejedna panienka by jej ich pozazdrościła.
— Bałamut z pana! — rozśmiała się leśniczanka.

Przekonasz się pani, gdy będę miał przyjemność lepiej się jej dać poznać, że jestem najrzetelniejszy z ludzi, ale rzekł nie ma czasu do sprzeczki, jeść się chce, pokaż mi pani stół!

Stół, a ot! odezwała się, otwierając drzwi i wskazując stojący w pośrodku stolik niewielki.
Adrian spojrział nań.

We dwoje go łatwo wynieść — ozwała się Dosia już nieco przyswojona i ujęła z jednego końca.

Chociażby mi było bardzo miło z panią go nieść, ale nie dopuszczę, ażebyś miała dźwigać. Niech pani odstąpi, ja go wezmę sam.

Jak to sam?

Adrian, który miał siłę wyrobioną potężnie gimnastyką, schylił się, ujął stół jedną ręką za nogę, podniósł go do góry i nie mówiąc słowa, jak zabawkę

utrzymując w powietrzu, wyszedł z nim na podwórze. Ten dowód zręczności wywołał naiwne zdziwienie i wesoły uśmiech Dosi.

Adrian już był ustawił stół przed panem Krzysztofem i powracał po resztę. Wpadł naprzeciwko zaprezentować się pani Wilczkowej, matce; pomówił z nią kilka minut, zabrał co było potrzeba do śniadania, i łupami obciążony, wrócił do Krzysztofa i Teodora. Dosia nie mogła się wstrzymać, by za nim nie iść oczyma i nie postąpić kilka kroków. Zdziwił ją ten śmiały, wesoły, na pozór paniczowaty, a w istocie tak usłużny i skromny chłopiec, który w dodatku był, jak się dowiedziała podsłuchując, siostrzeńcem hrabiny.

Przy stole Adrian tak dobrze jadł, jak wprzódych ochoczo służył. Krzysztofowi i to się podobało, bo on także wolał sam wszystko, co mógł, robić, niż ludzkiej wyciągać pomocy.

— Co to może krew — rzekł w końcu Adrian — pannę Wilczkównę tylko ubrać w jedwabie, a do karety posadzić, mogłaby z niej być wielka pani.

Już ciż to prawda potwierdził Krzysztof i powiem panu rzecz szczególną. Czym się to dzieje, że tę krew znajdziesz pan w szlachcie i w chłopach; ale wie pan, to plemię, co skulone dwieście lat siedziało za warsztatem, co szyło buty i majstrowało; praca ta, choćby nawet mierzenie łokciem, zwicznęła im kłęby, pokoszła nogi, porobiła z nich kaleków.

Smutna to rzecz, choć prawdziwa — wrzucił Adrian — boć przemysł jest i będzie dźwignią wielkiej cywilizacji.

Pewnie — odparł, swojej teorii oburącz się trzymając, pan Krzysztof — ale nie darmo dzielimy się na narody, a narody posłannictwa mają. Niemcy powinni szyć buty dla całego świata i robić pończochy, my za cały świat wojować i żyto siać, a Anglicy sprzedawać nasze zboże i niemieckie trzewiki.

Od dawna pana Krzysztofa nikt w takim nie widział humorze.

— Wydała się panu Wilczkówna szlachcianką z powierzchowności — dodał — to nic, ale dusza w niej szlachecka i szlachetna, ale rozum w niej, który z czego wyrósł, to już nie wiem, bo szlachta z rozumu tak dalece nigdy nie słyęła. Myślę, że ojciec, który, ją ma jedną i bardzo kocha, a jest rodzajem filozofa, czytającego chętnie i myślącego wiele po cichu, rozwinął ten umysł tak szczęśliwie. Będąc tu chorym długo — mówił pustelnik — miałem zrzęczość poznać bliżej to dziewczę i zdumiewałem się co dzień jej prostocie zarazem i dowcipowi. Ale dowcip biorę w znaczeniu, w jakim go brał Kochanowski.

— Z oczów jej ten rozum patrzy — odezwał się pan Adrian — chociaż kobiecie oczy okrutnie zwodzą. Jestem przekonany, że one często same nie wiedzą, co mówią, bo przez nie odzywa się coś więcej niż jedna dusza niewieścia, może cały duch niewieści.

Teodor był milczący dnia tego, rozmowę utrzymywali Krzysztof z młodym znajomym. Po śniadaniu

Adrian wstał, zebrawszy sprzęt, który pochwyciła zaraz nadbiegająca Dosi. Stół tym samym sposobem odniósł na miejsce. Prawda, że mu nieco żyły na czoło wystąpiły, ale za to miał zrzęczość zbliżyć się do owej pięknej Dosi, która mu się więcej podobała od wyfiokowanych panien Zamorskich.

Już się nie dziwuję — rzekła do niego, gdy na miejscu stół ustawiała — że pan takich sztuk dokazujesz, kiedyś największą nam pokazał, w dobry humor wprawiając naszego kochanego pana. Nikt wam za to nade mnie nie może być wdzięczniejszym, bo go kocham bardzo.

Spuściła oczy.

— Za to, jeśli zabłądzą na polowaniu i zajdą kiedy do państwa — rzekł Adrian, kłaniając się grzecznie

niech mnie pani nie wypędza i przyjmie dobrym sercem.

— A czemuż by nie? — odparła Dosia — wszak my każdego, kogo Bóg da, gotowiśmy przyjąć gościnnie.

Spojrzeni sobie w oczy, a obojgu się oczy śmiały.

— Więc do zobaczenia! — powtórzył Adrian. Dosia tylko główką mu się skłoniła, ale wejrzenie było wymowne i serdeczne. Nigdy się nie spodziewała, aby jej kto na świecie tak się mógł podobać, zdziwiła się sama sobie, wiodąc za nim oczyma długo.

Pożegnawszy gospodarza, obaj goście siedli do bryczki, która ich tu przywiozła, i ruszyli nazad do Zieleniewszczyzny.

Tu na nich z obiadem czekano tak wykwinnym, że pomimo największego starania pani Zamorskiej był szkaradny.

Proste potrawy daleko się jej lepiej udawały, ale Liza układała program i uczyniła go niewykonalnym.

Drugiego dnia dzierżawca obiecywał łowy daleko wspanialsze, miał się czas do nich przygotować.

Szczęście dziwne sprzyjało młodemu paniczowi, wszystko mu się wiodło po myśli. Życzył sobie poznać sąsiedztwo, a właśnie tego dnia nad drogą stojąc na przesmyku z Teodorem, spotkał się z nie znanym sobie panem Pawłem.

Pawłowi, w którego domu mało kto jeszcze bywał, szło nieco o pozawiazywanie stosunków, żona mu się nudziła, dom stał pustkami, rad był ludzi przyciągnąć. Pół mili dzieliło myśliwych od Pobogowszczyzny.

Jeżeli polowanie skończone zawołał Paweł zjedźcie do mnie na obiad.

Nie jesteście ubrani na pierwsze odwiedziny rzekł Adrian.

A! dajcież temu pokój! przerwał Paweł na wsi jesteśmy, ja panów biorę gwałtem i przed moją żoną wytłumaczę, myśmy do zbytich ceremonij nie nawykli. Teodor powinien był panu powiedzieć, że ja

się z niczego dorabiałem majątku, byłem więc na wozie i pod wozem, żona moja kobieta prosta, nie nawykliśmy do białych rękawiczek.

Adrian się skłonił, Teodor przystał chętnie. Zamorski, który im towarzyszył, chciał się wymówić, ale go gwałtem pociągnięto. W ten sposób z południa dostali się do starego dworu w Pobogowszczyźnie.

— Obiad będzie improwizowany — dodał Paweł — ale żona moja jest ostrożna, mamy zawsze od przypadku coś tak zachowanego, aby podróżnego nakarmić, bo na wsi o każdej dnia godzinie spodziewać się go można. Zaręczam za to, że nie będziecie głodni.

Paweł, wzięwszy na swą bryczkę Zamorskiego, pośpieszył nieco przodem, Teodor z Adrianem jechali za nimi. W ganku czekała męża pani Pawiowa z córką i synem.

— Jejmość — zawołał z bryczki gospodarz — wiozę gości, jedzie pan Teodor, pan Brzoski i pan Zamorski, po polowaniu głodni, trzeba się popisać i nie dać im czekać długo.

Jejmość nie pokazując się znikła, została, tylko zastępująca gospodynię dziewczynka i chłopiec, który miał wielką ochotę bryczce ojcowskiej furmanić, choćby tylko do stajni, i popisać się, paląc z bata. Pozwolono mu tej uciechy. Weszli do dworu. Był on przez ostatniego dziedzica nieszczęśliwie odświeżony, a nowi posiadacze nie mieli ani czasu, ani ochoty wrócić mu wdzięk stracony. Było tu więc bardzo wygodnie, ale wcale niepięknie. Meble ni stare, ni nowe. Sprzęt prosty, ozdób prawie żadnych, czysta proza życia, które się niedawno dorobiło gniazda, jeszcze w nim puchu zasłać nie mając czasu. Nie zbywało na niczym, ale nic nie było dla oczów. Nawet folwark państwa Zamorskich, przyozdobiony przez panny, daleko wyglądał zalotniej. Znać było, że w gospodarzu i jego pani zmysł piękna wcale wyrobionym nie był.

Po upływie dobrej pół godziny pokazała się dopiero gospodyni, w bardzo skromnym stroju, z twarzą swobodną i uprzejmą, ze spokojem ducha, który dał panu Teodorowi otuchę, że obiad będzie dobry. Z którejże twarzy gospodyni nie można poznać frasunku, gdy przyjęcie jest skompromitowanym?

— Wczoraj jedliśmy śniadanie u pana Krzysztofa — rzekł Teodor — a dziś nas losy do państwa przyniosły.

— No, a cóż się ze starym dziwakiem dzieje? — zapytał Paweł.

— Zdrowszy jest.

— Powiadasz, żeście panowie byli obaj u niego, ale jakże nieznanomego przyjęć raczył pana Brzoskiego?

— Nie mogę się skarżyć — zawołał Adrian — jak najlepiej, gdybym nie wiedział, że ma trochę dzikości, posądziłbym go o nią.

— To prawdziwy cud! — rzekł wzdychając Paweł.

A cudu dokazał nie kto inny tylko pan Adrian dołożył Teodor, wskazując na młodzieńca, który się skłonił skromnie. Córka pani domu zajęta była układaniem łąmigłówki na stole. Adrian, nie mając zajęcia, zbliżył się do niej i ofiarował jej pomagać. Ta grzeczność dla dziecka ujęła matkę, a młody chłopak bawił się, jakby sam jeszcze z wieku łąmigłówek nie wyszedł. Wkrótce też, widząc go tak powolnym, chłopak, który ze stajni powrócił, wziął go w kontrybucję, aby mu różne swoje bicze, buty i przybory sportsmanowskie pokazać. Adrian poszedł z nim do drugiego pokoju.

Nie nudźcież pana! zawołała matka.

Ale ja się jak najdoskonalej bawię! zawołał śmiejąc się Adrian przypominam sobie z rozkoszą niedawno upłynione lata młode.

Szczęściem podanie obiadu ocaliło pana Adriana

z rąk młodzieży, która go opanowała. Obiad wykwinnym nie był, ale doskonałym, sam pan Teodor oddał mu tę sprawiedliwość, win nie podano wiele, ale te, którymi częstowano, okazały się wybornymi.

— Starej piwnicy nie mam — odezwał się Paweł — bo ja sam człowiek nowy. Nie miałem długo nic, oprócz dzierzawy i handlu, dopókim się powoli nie dorobił znowu do ojcowizny. Sprzyjał mi los, żem ją na nowo mógł odkupić i wyrwać z rąk obcych. Wprawdzie mam jeszcze długi, ale z tych wyjdę. Nie mogęż się tym pochlubić, przynajmniej tak jak Krzysztof chlubi się nie skażonym niczym szlachectwem swoim, które w pudełku trzymał zamknięte.

— Mnie się zdaje — wtrącił Adrian — że ani jemu nie można mieć za złe, iż się zakopał w lesie, ani panu, żeś pracował i walczył. Każdy z panów szedł za swym powołaniem, a ludzie są stworzeni różnie.

— Masz pan zupełną słuszość — rzekł Teodor — a wino pana Pawła doskonale i nie mówmy już o tym. Gdybyśmy jeszcze kiedy dwóch braci do siebie zbliżyć i pojednać mogli — dodał — wszystkie

moje życzenia byłyby spełnione.

Mnie się zdaje cicho odezwał się Adrian że do tego przyjść musi.

Ale ba! rzekł Paweł ja się już przestałem spodziewać, choć ja i żona niczego w życiu nie pragniemy więcej. Gość się obejrzał.

Mam pozwolenie odwiedzenia pana Krzysztofa rzekł nagle przyszyłym razem gdy tam jechać będę, niech państwo dadzą za towarzysza swojego syna.

Pani Pawłowa zarumieniała się.

Ja z panem chętnie pojedę zawołał chłopiec.

Może się to na co przyda dokończył Adrian. Tą myślą, która zdawała się szczęśliwą, pozyskał sobie gość serca państwa Pawłostwa. Teodor nie mógł

sobie darować, że jemu to wprzód do głowy nie przyszło.

Do wieczora zszedł czas bardzo przyjemnie, Paweł wprawdzie za wiele może mówił o swoim dorobku, który był celem jego życia, nadto się może chwalił zwycięstwem, lecz historia to była u nas rzadka i dla słuchaczy nowa, bo na dziesięciu, którzy tracą, nie wiem, czy jeden jest, co by się szczęśliwie czegoś dobił, nie straciwszy głowy, gdy mu się powiedzie. I on, i żona nieprzebrani byli w tych powieściach o przebytych biedach i szczęśliwych spekulacjach, o trudzie, jaki ich kosztowało z bogaceniem. Adrian umiał słuchać, czyniąc uwagę, że się ze wszystkiego czegoś zawsze nauczyć można.

Wieczorem wrócono na wieczerzę do Zamorskich, a na następny dzień zapowiedział powrót swój do Zamostowa pan Adrian. Zdawało mu się, że choć zameldować się był powinien ciotce, nim dalsze polowanie na zwierza i ludzi przedsięwzię. Paweł dał mu upoważnienie do plądrowania po

wszystkich błotach i lasach obszernych dóbr swoich. Teodor, którego niepokoiło ciągle wspomnienie Zamorskiego o Maciorkiewiczzu i potrzebie uregulowania rachunków, pozostał w domu. Naprzeciwko powracającego pana Adriana wybiegła panna Kornelia.

Przyjechałeś pan na wakacje do ciotki, spodziewam się dlaczego, żebyś ją, nie siebie, bawił, a latasz nie wiem gdzie? pięknie to?

Zbierałem właśnie materiał dla bawienia cioci i pani śmiejąc się rzekł Adrian polowałem nie tylko na zwierzynę, ale i na plotki. Com widział! gdzieś bywał, o pani!

Mów.

Powoli, chodźmy do cioci.

Ciotka przyjęła siostrzeńca bardzo serdecznie, ale ze swą nieporuszoną powagą i spokojem.

— Jakże ci się udało polowanie? — spytała.
— Doskonale.
— A panny się podobały?
— Wie ciocia, która? proszę zgadnąć.
— Starsza — zawołała Kornelia — bo taki trzpiot, jak pan.
— Otóż nie.
— Więc młodsza?
— I to nie. Trzecia mi się podobała najlepiej — rzekł Adrian.
— Jaka? która?
— Panna Wilczkówna, Dosia, polny kwiat cudowny.
— A! a! — zawołała hrabina rumieniąc się.
— A panny Zamorskie?
— Ekstra miłe, alem się rozmyślił, młodsza wychodzi za pana Maciorkiewicza, a starsza zastawia

siłą na pana Teodora, nie chcę nikomu przeszkadzać.

Tegom się domyślała — rzekła panna Kornelia — dziewczyna filut wielki!

I poszedłbym o zakład, że pan Teodor w końcu się z nią ożeni.

Hrabina uśmiechnęła się smutnie.

Prawdziwie bym rada była — rzekła — żeby to przyszło do skutku, pannie byłoby z tym bardzo dobrze, jemu także.

A hrabina byłaby wolną od nieznośnych starań pana Teodora, który, odprawiany, powraca uparcie, wzdycha, patrzy i po każdym obiedzie ośmiela się do pół oświadczenia — mówiła szydersko panna Kornelia.

Hrabina pogroziła jej na nosie, Adrian się rozśmiał.

Jeżeli to koniecznie do spokoju cioci potrzebne, ożeniemy pana Teodora.

Któż? pan? — śmiejąc się poczęła kuzynka — o! doskonały swat!

— Przekonasz się pani, że lepszego nie ma nade mnie — wesoło mówił Adrian.

— Więc i mnie pan wreszcie kogo wyswataj — dodała dygając panna Kornelia.

— Dajcie mi się państwo rozpatrzyć tylko, a wszystkich pożenię — zakończył Adrian. Obrócono to w śmiech.

Nigdy przybycie tak na pozór maleńkiej i nie znaczącej figurki, jaką był pan Adrian Brzoski, nie wywołało na większej przestrzeni sąsiedztwa silniejszego wrażenia. Mówiono o nim u państwa Pawłostwa, w dworku Wilczków, w Zieleniewszczyźnie, a z tych ognisk sława jego rozchodziła się i promieniała po wszystkich dworach i dworkach.

Przez kilka dni jednak odpoczywał w Zamostowie i nie pokazywał się nigdzie, chociaż pan Teodor listami go wzywał ciągle. Na ostatek Teodor, zniecierpliwiony, przyjechał sam jednego dnia wieczorem.

— Przybywam — rzekł — z ważną nowiną, której hrabina sobie życzyła; Krzysztof przeniósł się już na zamczysko, jeśli więc pani trwa w myśli odwiedzenia go, będę miał przyjemność służyć jej za

przewodnika.

A ja się zamawiam za pazia wtrącił szybko Adrian. Beze mnie byście sobie państwo rady nie dali. Hrabina trochę była zakłopotaną, zdawała się wahać.

Ciociu dobrodziejko rzekł Adrian jest to tak piękny projekt, że nie godzi się mu dać upaść. Ciocia i ja musimy uratować od zguby człowieka, możemy go wyciągnąć na świat i uczynić miłym a pożytecznym.

Ale jak nas przyjmie!

Doskonale! zawołał Adrian. Najprzód, kobiety źle przyjąć nie może, jest nadto mocny szlachcic i rycerz, ażeby chybił płci pięknej. Po wtóre, od czegoż ja i łaska, jaką potrafiłem zyskać u niego, świad

kiem pan Teodor. Ja pojedę przodem i biorę na siebie, że przyjęcie będzie świetne!

— Świetne — przerwał Teodor — to wątpię, oprócz chleba razowego, jaj i masła na zamku nie ma nic. Kawy tam nawet nie znają, Krzysztof żył z zasady jak anachoreta, gardząc zbytkiem, który człowieka rozmiękcza i psuje.

— Byle nam wody dano, jeśli będzie gorąco — rzekła hrabina.

— Ja bym zawiózł wszystko, co potrzeba, i byłbym bardzo szczęśliwy, żeby mi się udało go z kłopotu wybawić, ale się obrazi, mnie wylaje... i...

— I wszystko się popsuje! — zawołał Adrian. — Pojedziemy na chwilę, napawać się wonią lasów, nasycić powietrzem, wrócimy z lepszym apetytem do panny Kornelii.

— Mnie więc zostawiacie państwo na gospodarstwie, uznając niegodną towarzyszenia im?

— W istocie, im mniej nas będzie, tym lepiej — dodał Teodor.

Tak tedy owa wyprawa, w którą pan Teodor nie bardzo wierzyć się zdawał, osnutą została. Dziwiło go nieco, że hrabina podjąć ją chciała, i z tym się przed nią nie tał.

Mam na sumieniu, że go nie dosyć uprzejmie przyjęła na stronie poczęła się tłumaczyć spytana hrabina Wanda. Wyobraziłam sobie fałszywie, że mieć może jakieś myśli... nadzieje, które od razu chciałam rozproszyc. Byłam za surową, chcę to naprawić.

Teodor, który zawsze łudził się tym, iż piękną wdowę powoli sobie zjednać potrafi, nie znalazł w tym postępowaniu nic dla siebie zagrażającego, skłonił się i zamilkł.

Rejent zapewniał, że barometr stał nieporuszony na pogodzie, wycieczka więc na dzień następny umówioną została. Adrian miał jechać pół godziną wprzód konno

i oznajmić gości. Hrabina, nie chcąc pozostać sama z panem Teodorem w ciągu podróży, boby ją był czułościami swymi nudził zbyt długo, namówiła go, ażeby jechał z Adrianem, któremu nie wypadało stawić się samemu. Ludzie znali drogę do zamku i właściwie przewodnika nie potrzebowała. Po rannym obiedzie w Zamostowie wyruszyć miano. Program został spełniony jak najściślej. Piękna droga wiodła do lasów piękniejszych jeszcze. Pan Teodor, który niegdyś był bardzo dobrym jeźdźcem, chociaż teraz znajdował, że już koni takich, jak dawniej, na świecie nie było, bo go jazda dziwnie męczyła, dobrał sobie jednak wierzchowca, za którego przyzwoite znajdowanie się ręczył Zamorski, i wyruszył po kawalersku z Adrianem. Nie obrachował się tylko z fantazjami młodzieńczymi i pierwszą część drogi namęczył się okrutnie. Adrian z koniem swoim był w ciągłym nieporozumieniu, jakkolwiek spokojny wierzchowiec starego kawalera zapatrywał się na towarzysza i próbował też trochę się dąsać, pan Teodor wcale sobie

zlecieć nie życzył, szczególnie dla reputacji; musiał więc w końcu prosić Adriana, ażeby uśmierzał swe zapędy i złęgo przykładu nie dawał. Puścili się tęgim klusem, bo trzeba było hrabinę wyprzedzić. Siodło było twarde, a koń miał nogi doskonałe i trzął też przedziwnie. W ostatku ukazał się las, droga niedobra nie dozwalała dokazywać, pojechali wolniej i po pewnym przeciągu czasu wśród wzgórzów ukazała się ruina, a u podnóża jej stojący krzyż, gdzie wierzchowce z masztalerzem zostały. Poszli pieszo. Cisza głucha panowała dokoła. Na odgłos ich kroków stary Hermes parę razy szczeknął, obudzając czujność stróżów.

Weszli w starą bramę, w dziedzińcu nie było żywego ducha, oprócz Hermesa, który szczekał, nie trując się zbytnio i z wygodnego miejsca się nie podnosząc. Ukazanie się ich w dziedzińcu nie wywołało, jak zwykle,

starego sługi, dopiero gdy się zbliżyli do, ganku, rozespany, bez surduta ukazał się, gładząc po łysinie.

— Jak się masz? — zawołał Teodor — a pan?

Stary ręką w powietrzu zakręcił.

— Gdzie pan?

— Jak to gdzie! Już ciż w domu?

— Ani śladu.

— Ale nie był jeszcze całkiem zdrow? Stary ramionami ruszył.

— Poszedł w las — rzekł sucho.

Przybyli spojrzeli po sobie, wyglądało to na kłamstwo. Adrian był trochę zafrasowany.

— Ale, bądź co bądź, czy pan jest, czy nie ma, my spocząć nieco musimy.

Sługa wskazał drzwi z ukłonem.

— Nie wiem tylko, czym bym panom mógł służyć, oprócz bardzo dobrej wody, bo źródło mamy doskonałe, ale zresztą...

Uśmiechnął się.

Lecz czy może być, aby Krzyś wyszedł z raną ledwie dogojoną.

Ha! z panem moim, to pan wie, żartu nie ma, jak sobie powie... idzie... to choć na skręcenie karku.

Co tu robić? szepnął Teodor.

Jedźmy po ciocię — odparł Adrian — to jest ja pójdę, a pan zostań tu, aby szanownego Cerbera do wprowadzenia nas na zamek przygotował.

To mówiąc, gdy w dali dał się słyszeć turkot powozu, Adrian w skok ruszył nazad ku krzyżowi.

W istocie hrabina wysiadła przy nim i rozglądała się po pustyni. Spokój, jaki tu panował, żywa zieloność otaczających lasów i wzgórze, powietrze przejęte wonią drzew, wreszcie widok ławki u krzyża, może myśl o przetęsknionych tu latach tego, którego kochała niegdyś, powlokły smutkiem jej czoło. Powoli bardzo zabierała się iść ścieżką ku górze i wahała widocznie.

Krok, który czyniła, zdawał się jej teraz co najmniej niepotrzebnym, rada się była zawrócić. Wtem Adrian rozpedzony nadbiegł.

— Nie mamy szczęścia — zawołał — któż by się tego mógł spodziewać! Gospodarza nie zastaliśmy, powlókł się już do lasów.

Wanda odetchnęła i rozjaśniło się jej lice.

— A! tym lepiej — rzekła — zostawiamy mu nasze karty wizytowe.

— Ale zamek przynajmniej zobaczyć potrzeba — dodał, rękę podając, Adrian — to ciekawe.

Jeszcze się trochę wahając, piękna pani poczęła iść ku górze. Stanęli najprzód przypatrzeć się bramie i murom z polnych kamieni.

— Jakże to smutne! jakie to biedne. Stare, zrujnowane! Jak ten człowiek mógł tu wyżyć lat tyle — odezwała się po cichu.

W bramie obwiał ich chłód i otoczyły mroki. Hrabina zamilkła, na dziedzińcu zatrzymali się chwilę,

blżej przypatrując rozwalonym w części murom. Teodor czekał ze sługą już w kapotę ubranym w ganku. Rozglądając się wszędzie ciekawie, hrabina dała się prowadzić na górę, do wielkiej izby sklepionej, gdzie miała odpocząć chwilę. Wszędzie uderzało ją to ubóstwo dobrowolne, świadczące o życiu surowym. U wnijścia ze wschodów po ścianach poczepiane były okruchy i resztki zardzewiałych zbroi, które czerwony kolor poprzybierały. Nic tu nie było całego, nic kształtnego, zbrojownia, jakby z grobu i ziemi dobyta, podziurawiona przez wieki, co ją jadły, ścieniała, pogięta, zniszczona. W wielkiej izbie sprzęt połamany, choć stary, a niepiękny, połatany ad siekiery, okazywał zaniedbanie zupełne i wyrzeczenie się wygody równie, jak powierzchowności. Na jednej ze ścian stare drzewo genealogiczne wisiało, a pod nim ręką Krzysztofa stał w chwili pognębiaenia rzucony napis:
Fuimus!

Na stoliku rozłożony był Niesiecki i Biblia. Na drugim leżała Kronika Bielskiego.

Hrabina siadła, przypatrując się ciekawie; zdawało się jej, że człowiek, co tu żył, musiał zbutwieć, jak to, co go otaczało. Serce ścisnęło się coraz mocniej, i gdyby się nie wstrzymywała, może by spod powiek ła się jaka dobyła. Teodor i Adrian stali, widząc ją wzruszoną, ale młody chłopak nie mógł długo wytrzymać w takim grobowym nastroju ducha.

— Powietrze tu — rzekł — przesiąkło smutkiem; jak ten człowiek mógł tu tak długo wytrzymać i dlaczego się skazał na tę pokutę?

Hrabina nie odpowiedziała nic, oglądając się, przypatrując szczegółom, z których by mogła życie tu spędzone odgadnąć. Rozumiała, jak ono musiało z wolna kołysać do snu mogiły, usypiać, ostudzać, odrętwiać i kamienieć człowieka. Był to klasztor, ale bez towarzyszków, chóru, bez śpiewu i bez

wspólnej modlitwy. Dreszcz ją przechodził, myśląc o długich wieczorach zimowych i tym milczeniu pustyni, co grozić się zdaje lada chwila piorunem i gromem. Chwilę tu posiedziawszy, wstała Wanda i podeszła ku stolikowi, na którym czegoś się zdawała szukać oczyma. Kawałek szarego papieru leżał pod książkami, lecz nie do pisania, Adrian, domyśliwszy się, czego potrzebowano, podał ołówek, i hrabina na świstku napisała po krótkim namyśle: "Dawna znajoma pustelnika, która przybyła go odwiedzić, pamięci się jego przypomina".

W.

Adrian, nie śmiejąc nic dodać na tym samym papierze, wydarł kartkę z pugilaresu i zapisał imię swoje, a pod nim: "Beata solitudo sola beati tudo."

Pan Teodor z kolei wziął ołówek i dodał:

"Krzysiu, płacz, miałeś takich gości, jakich zamek twój nigdy nie widział. Teodor"

Wszystkie złożono na otwartym Niesieckim, trzeba było wychodzić; oglądając się, hrabina pierwsza opuściła smutne to więzienie. Byłoli to zapomnieniem umyślnym czy mimowolnym? obok Niesieckiego zostawiła małą rękawiczkę. Adrian z pewnością to dostrzegł, ale nie powiedział nic i zakrył ją sobą od Teodora, który byłby się nieochybnie przysłużył zwróceniem jej właścicielce. Równie powoli, jak weszli, schodzić zaczęli ze wschodów, w zamku nie było nic więcej do widzenia. Teodor poprowadził tylko jeszcze między baszt zwaliska, skąd widok się rozciągał nieco szerzej na wzgórza lasami okryte, ale wszystko to było tak smutne, tak smutne! Hrabina kilka razy powtórzyła

ten wyraz, który się jej wyrwał mimo woli. Widok zamczyska pustego podziałał na nią może więcej, niż gdyby w nim właściciela znalazła. Adrianowi nawet nic nie przychodziło na myśl, czym by ją mógł rozerwać i rozweselić. Teodor trochę się próbował wyśmiać z brata, ale mu nikt nie odpowiadał i nie wtórował.

Wnosząc z kary, jaką sobie ten człowiek za grzechy żywota naznaczył rzekł Adrian można by sądzić, że grzeszył wiele. Mnie go szczerze żal, czuję sympatią dla niego i gdyby było w mojej mocy, choć ostatki życia starałbym się mu uprzyjemnić. Ten człowiek wycierpiał wiele.

Hrabina ze spuszczoną stała głową, nie odpowiadając nic.

Dziwak! rzekł Teodor hipokondryk, któż mu winien?

Postawszy nieco między kupami kamieni, które

chmiele oplatały, poszli nazad ku bramie ciemnej. Hermes podniósł głowę, aby się odchodzącym przypatrzeć, i spać się położył znowu. Za bramą było weselej i odetchnęli swobodniej, nie cisnęły już ich te szare mury, które zdawały się gotowe co chwila obalić się na głowę.

I krzyż z cierniową koroną u dołu coś mówił. Przy nim ławka stała, posadzone kwitły róże, czepiały się dzikie powoje. Niepodobna było nie pomyśleć, ile tu chwil przedumał ten, co to godło cierpienia wystawił. Hrabina, ciągle milcząca, siadła do powozu, a panowie znaleźli tuż konie, na których jej z powrotem towarzyszyć mieli. Dla Adriana niczym to było. Teodor rad by się był od kawalkaty uwolnił, bo kłusowanie przy powozie niezbyt było wygodnym, ale wstydził się, biedny, wesołością nadrobił i wdrapał się na siodło. Od pierwszej przejażdżki czuł się, odwykły od konia, złamanym, cóż to dopiero miało być wieczorem? Trzeba się było wszakże młodszym pokazać, niż stary kawaler był w istocie; kłusował.

Na pół drogi dopiero, gdzie mógł zawrócić do Zieleniewszczyzny, pożegnał hrabinę i zwolniwszy koniowi biegu, stępo, noga za nogą, ruszył w kwaśnym humorze do domu. Adrian też namyślił się, oddał wierzchowca wkrótce, a że wieczór był piękny, namówił ciotkę, żeby resztę drogi zrobić pieszo.

Gdyby się godziło posadzać tak młodego chłopaka, mógłby kto pomyśleć, że umyślnie sam na sam wybrał się z ciotką, aby rozpocząć rozmowę, której w Zamostowie, gdzie czujnego ucha panny Kornelii nigdy pewnym być nie mógł, trudno mu było zagać.

Widzę rzekł że i na cioci smutne wywarł wrażenie ten biedny pogruchotany zamek pana Krzysztofa. Ja, który jestem aż do zbytku wesół, wywiozłem z niego nieopisaną tęsknicę. Żal mi człowieka, który, przyznać muszę, najsympatyczniejszym jest dla mnie.

Ciotka spojrzała żywo i odwróciła wzrok jeszcze prędzej.

— Tyle siły i energii zmarnowanej i takie życie zwichnięte, złamane — dodał Adrian.

— Któż mu winien — szepnęła hrabina.

— Zapewne, zawsze wyrzeczenie się czynnego życia jest grzechem, winą, uznaniem swej niezdadności do niego, ale gdyby ludzie trochę mu gwałt zadali, gdyby się oni troszczyli, gdyby mu rękę wyciągnęli, podźwignąć by go było można, i mnie się zdaje, że dziś jeszcze...

Hrabina milczała ciągle, Adrian się rozgorączkował.

— Myślę — rzekł — pogodzić go z bratem, to będzie pierwszym krokiem do przejednania go ze światem.

— A! ty mój drogi zarozumiały młodziku! — przerwała hrabina — jakże ty śmiesz się porywać na to, czego nikt nie mógł dokazać?

— To właśnie młodzików zadanie — rzekł Adrian — jesteśmy trochę ślepi, nie widzimy

niebezpieczeństwa i często go przez to samo unikamy. Dlaczegoż bym nie miał spróbować? Plan już osnuty: biorę z sobą synka pana Pawła, który goreje do konia. Chłopiec zrobi pod moim okiem przejażdżkę małą, a stryj musi go dobrze przyjąć i pokochać. Dziecko będzie najlepszym pośrednikiem do rodziców.

Myśl wcale oryginalna — zawołała hrabina — ale, ale, ale...

Spróbuję — rzekł Adrian — powtarzam cioci, szkoda człowieka, przyznaję się, że gdybym mógł pomyśleć, że choć w najmniejszej części przyczyniłem się do złamania mu życia, chwili bym nie miał spokojnej.

Ostatnie słowa, wymówione niby nieumyślnie, aż drgnienie nerwowe wywołały w hrabinie, która się wstrzymała trochę, jakby chciała coś powiedzieć, i szła dalej z głową spuszczoną. Adrian, zwykle wesoły, po

wracał z zamku jakby podrażniony. Schylał się po trawy, stojące nad drogą, rwał je, plótł w rękach, rzucał, zaczepiał gałęzie wierzb, zwieszane nad głowami, potykał się na kamieniach, Wanda widocznie chciała odwrócić rozmowę od przedmiotu niemiłego i zagadnęła coś o Teodorze.

— Z tym toście się poprzyjaźnili — rzekła — i tak to jakoś łatwo wam przyszło, musicie mieć charaktery zgodne.

Adrian podskoczył dla urwania kilku liści, które zgniółł w dłoni, i rozśmiał się.

— O ciociu nielitościwa! — zawołał — pan Teodor jest najlepszym z ludzi, ale jakże źle życzysz siostrzeńcowi, jeśli w nim widzisz do niego podobieństwo. Jest to człowiek złamany, ale poklejonny, biedny nad wyraz, na wylot przezroczysty jak zegarek ze szklaną kopertą, i do tego chodzący nieregularnie, jeśli go już mam porównywać do chronometru. Ale, ale, ciocia się nie obrazi? mnie się zdaje, że on nie darmo bywa w Zamostowie.

A mnie się zdaje, że darmo — odpowiedziała hrabina, rozweselając się nieco. Ale kto ci dał prawo, siostrzeńcze niedyskretny, tak się mieszać do wszystkiego?

Z wielkiej miłości mojej dla cioci zdaję się mieć prawo nieograniczone nawet być niedyskretnym! Więc pociesza mnie ciocia, że w osobie pana Teodora wujaszka mieć nie będę?

Hrabina krzyknęła aż...

Mój Adrianie, czy się co takiego pleść godzi?

Proszę łajać! proszę, bylebym był spokojnym. Pana Teodora szanuję, miłuję, Kocham, ale bałbym się go mocno! Dlaczego?

Dlatego, że on cioci niewart, chociaż zresztą

jest to zacny człowiek, ale tak zwichnięty i stokroć niepowrotnie od pana Krzysztofa.

Wspomnienie tego imienia znowu chłodem obwiało hrabinę, która dała poznać serio, iż nierada była, aby Adrian mówił o nim. Chłopak z niezmiernym taktem zamilkł zaraz. Zbliźali się też ku pałacowi, a w dziedzińcu chodziła wśród kwiatów, do których wcale nie była już podobną, panna Kornelia. Ciekawość wiodła ją na powitanie, patrzyła w oczy, usiłując odgadnąć wrażenia.

— A! zmiłujcież się państwo, cóż się stało? jak tam było? mówcie, goreję ciekawością.

— Niech pani zgadnie — rzekł Adrian.

— Nie przyjął. Milczenie.

— Nie! a więc, ale ja nie umiem rozwiązywać zagadek — poczęła coraz żywiej stara panna — zlitujcież się nade mną.

— Nie było go w domu.

— I pani nie widziała nic?

Owszem, byliśmy na zamku, który się wali, odpoczywaliśmy w lesie, który go otacza, i powracamy, pana Teodora zgubiwszy po drodze.

Ta zguba to się prędko znajdzie — złośliwie szepnęła panna Kornelia.

Hrabina nie miała ochoty do rozmowy i dała to poznać, poszli więc wszyscy do pałacu. Adrian zaś, ulitowawszy się nad starą panną, rozpoczął drobnostkowy, humorystyczny opis podróży, przygody wierzchowych koni i jeźdźców, topografię miejsc, wizerunki osób... przeplatając je filozoficznymi uwagami, i tak przywrócił towarzystwu postradaną wesołość.

W parę dni potem, chociaż dzień był gorący i na burzę się zbierało, Adrian, na konia wsadziwszy Wacka, jechał z nim na niedaleki od Pobogowszczyzny zamek. Chłopcu ojciec i matka dawali przestrogi po

cichu, jak się miał znajdować, lecz w tej chwili podobno więcej myślał o koniu, którego miał dosiąść, niż o stryju, którego miał poznać. Adrian jechał spokojny. Zbierało się na burzę, gdy wjechali w las, i ledwie kłusując, w chwili gdy już i deszcz padać zaczynał, i grzmoty się rozlegały po górach, dobiegli do zamczyska.

— Wyśmienicie — rzekł w duchu młody przewodnik — mamy powód schronienia się do zamku, a już ciż najniegościnniejszy z ludzi by nas nie wypędził na slotę.

Deszcz już wielkimi kroplami rosił, gdy stanęli przed zamkiem. Z górnego okna widać było ciekawie wyglądającego pana Krzysztofa, który snadź poznać nie mogąc, kogo tu burza przyniosła, wychylił głowę, popatrzał długo i okno zamknął z trzaskiem. Po wschodach słychać było zbiegającego, co tchu starczyło, czujnego stróża, któremu szczekając młody Hermes towarzyszył.

— Mój panie — rzekł Adrian, wchodząc do sieni — burza nadchodzi, nie mamy się gdzie schronić, na miłość Bożą, dajcie nam przytułek. Pan mnie zna, powiedz, że ten przyjechał, co u Wilczków stół

do śniadania przynosił.

E! już wiem — odparł stary, ale obejrzał się na chłopaka, który stał zarumieniony i zmieszany nieco.

A to, to mój dwunastoletni przyjaciel, pan Waclaw — dodał Adrian.

Zacząłem trzynasty — wtrącił żywo obrażony Wacek.

Powiedz trzynastoletni — poprawił się Adrian. Stali w sieniach, na dworze poczynano łać i pioruny biły w drzewa po górach, a nad schodami słychać było żywą rozmowę pana ze sługą. Zszedł wreszcie stary.

Pan prosi.

Chodźmy — rzekł Adrian i szepnął na ucho Wackowi — nie mów swojego nazwiska.

Dzieciak głową dał znak, że rozumie. We drzwiach salki stał pan Krzysztof, opierając się na kij, postrzegłszy Adriana powitał go dosyć wesoło, ale idący za nim chłopak zaniepokoił go widocznie.

— A to kto? — zapytał.

— To, tak sobie, przyjaciel mój, dobre chłopię.

Ta rekomendacja nie podobała się jakoś panu Krzysztofowi, namarszczył brwi, ale do pokoju ich wpuścił; burza się srożyła nad lasem. Gdy chłopak kłaniając się stanął tak przed panem Krzysztofem, że mu się mógł lepiej przypatrzeć, zdziwienie i niepokój odmalowały się na jego twarzy. Wacek był do ojca bardzo podobny.

— Kto taki? — zapytał Krzysztof, wskazując na niego.

— Krewny mój.

Oczy Krzysztofa skierowały się znowu na stojącego Wacka, który nawzajem ciekawie mu się przypatrywał.

— Ten kawaler — rzekł Adrian — pierwszy raz pewnie w życiu widzi taki stary zamek, nie dziw, że

mu to wszystko ciekawe.

Nie ma nic ciekawego, ruina, kupa gruzu i po wszystkim — rzekł prędko pan Krzysztof — mieszkanie puszczyków takich jak ja.

Przed kilku dniami miałeś tu pan z nas gości — dodał Adrian.

Krzysztof się zarumienił nieco.

Proszę panów siadać — rzekł, odwracając rozmowę.

Moja ciotka, której ja miałem szczęście towarzyszyć, ubolewała nad tym, żeśmy go tu nie zastali.

Bardzo żałuję — krótko bąknął Krzysztof.

Teraz pan jesteście zmuszonym wywdzięczyć się nam wizytą.

W czasie tej rozmowy Wacek pilno się pokojowi

i sprzętom przypatrywał, a pan Krzysztof równie ciekawie chłopcu. Można było posądzić, że w nim odgadywał dziecię brata.

— Skąd jest pański krewny? — zapytał.

— Tu w sąsiedztwie mieszkają rodzice.

Już się usta Wackowi otwierały, by powiedzieć, w Pobogowszczyźnie, gdy Adrian w czas spojrział nań i wstrzymał zdradzenie tajemnicy.

— Pan pewnie, jak ja, lubi taką ochotę młodzież, jak ten oto pan Waclaw. Powiadam panu, do konia jakby się urodził, siedzi jak wkuty i aż mu się dusza oczyma śmieje jadąc, a zarywa konika! ho! ho!

— Bo mi dali takiego powolnego szłapaka — ozwał się Wacek markotno. — Czego nie ubijesz, tego nie ujedziesz.
— Ano, tak, bo gdyby ci zwawszego dano, albo ty jego, alboby on ciebie zamęczył — rzekł Adrian.
Głos chłopca zdawał się także czynić wrażenie na Krzysztofie, jak twarz jego, drgnął, usłyszawszy

pierwsze słowa.

Ale cóż to jest! krzyknął nagle to chyba syn mojego brata.

Zarumieniony Wacek zerwał się z krzesła przejęty i przypadł do siedzącego stryja. Dobrze chłopię uklękło przed nim, złożył ręce i począł szybko:

Niechże się stryjcio na tatka i na matkę nie gniewa! kiedy ja proszę.

Milczenie zapanowało na chwilę, Krzysztof rzucił się zrazu w tył krzesła, łzy mu się zakręciły w oczach, potem pochwycił chłopca oburącz, odwrócił ku światłu, począł mu się przypatrywać długo i zawołał z uniesieniem:

Jak Bóg Bogiem, Pobogów krew!

Począł go, w szerokie ramiona ująwszy, ścisnąć i całować i płakał. Chłopak się tulił doń szczęśliwy i szeptał: Niech się stryjcio nie gniewa!

Nagle pan Krzysztof puścił go z objęć i wstał, począł trzeć czoło, zwrócił się znowu do chłopca, ujął go jeszcze, przycisnął do piersi i nic nie mówiąc, tak samo poszedł do Adriana ucałować go w milczeniu. Twarz pochmurna wyjaśniała mu się, to zaciemniała znowu, widocznie walczył z sobą, oddychał ciężko i jakby zrzuciwszy z piersi brzemień, począł swobodniej mówić.

— Masz siostrę?

— A tak, proszę stryjaszka, Magdzię, młodszą ode mnie, bardzo dobra dziewczyna, podobna trochę do mamy, robi już pończochę, a ja pójdę do klasy trzeciej po wakacjach... pan Wikarski, mój nauczyciel, powiada, że ja się nieźle uczę, ale na koniu to lepiej jeźdź niż na łacinie, proszę stryja. Gdyby mi i niekiego konia dali, nie złękę się, a jak z pistoletu strzelam!

— Krew Pobogów! — przerwał Krzysztof uśmiechając się — to nie tak jak ojciec.

Ale domówiwszy ledwie, za język się ukąsił i chłopca pocałował.

— Słuchaj — rzekł — jak będziesz miał z kim, przyjeżdżaj tu czasem do mnie, ja cię strzelać

nauczę.

A! dobrze, doskonale całując w ręce stryja, zawołał Wacek — ale też stryjcio kiedyś do nas przyjedzie? Spojrzał mu w oczy, Krzysztof milczał. Pan Adrian, któremu się tak na podziw szczęśliwie udało, odszedł umyślnie do okna.

Jaki by tatko, jak by mama była szczęśliwa...

Dość, dość! — rzekł Krzysztof. — Tu w lesie strzelać ci będzie lepiej, przyjeżdżaj do mnie.

Ale z kim? — rzekł Wacek — to sęk. Ojciec z lada masztalerzem nie puści, a pan Wikarski tak jeździ na koniu, jak to mówią, po łacinie. Byle co, za grzywę się chwyta i woła: Jezus Maria...

Krzysztof się rozśmiał.

— Czym was tu przyjąć? — zawołał wesoło i wstał — boć to goście.

Podszedł ku drzwiom, za kij chwyciwszy. — Niechże stryjcio się nie fatyguje, ja kogo zawołam.

I chłopak poleciał przodem.

— Siarczyste chłopię! — rzekł do Adriana gospodarz — a żeś to wasze mnie tak wziął zdradą i przywiózł go tutaj. — I uścisnął Adriana.

Wacek powracał, wiodąc za sobą starego. Pierwszą rzeczą, gdy go ujrzał na progu Krzysztof, było zapytanie:

— Wiesz, kto to? — i wskazał na Wacka.

— Zarazem się domyślił — mruknął stary sługa.

— Czymże tu ich przyjmiesz?

— Ano, szczęście, że od Wilczków przynieśli poziomki i śmietaną.

— Bravo! — zawołał Adrian — podwieczorek gotowy.

A suto! — dodał gospodarz.

Sługi już nie było.

Na podwórzu, jakby niebo chciało być w zgodzie z mieszkańcami zamku, szybko przechodząca burza ustawała. Zza podartych chmur dobywało się słońce, tęcza nad lasami promieniowała, grzmot tylko rozlegał się w oddali, pan Krzysztof okno otworzył.

Patrz! chłopcze — zawołał — jak to tu w lasach pięknie, jak cicho, jaka woń z nich płynie, jakie niebo lazurowe nad głowami.

A juści, że pięknie — odparł Wacek — ale pusto, proszę stryja, ja bym się tu strasznie nudził bez ludzi.

Boś młody — rzekł Krzysztof — a gdy ci oni dokuczają...

Ja im nie dam sobie dokuczać — ozwał się wesoło Wacek — o nie! prędeż sam im dokuczę.

Adrian się rozśmiał, śmiech starego wtórował mu.

— Daj ci Boże nie dać się ludziom — rzekł wzdychając.

Tymczasem podano poziomki i śmietanę na tych samych pootłukanych talerzach i miskach, któreśmy już tu raz widzieli. Pan Krzysztof sam zapalił fajkę, a gości poprosił do stołu. Siadł przy Wacku i zamyślony patrzył na niego. Ciekawym się zdawał każdego słowa i gdy którego nie dosłyszał, kazał je powtarzać sobie. Nowa dlań była ta przyjemność, a zmieniona i rozweselona twarz mówiła, jak nią był przejęty.

— Wielki urok ma młodość — rzekł w końcu — niepojęty. Któż by to powiedział? — I umilkł znowu.

— No, teraz my w drogę, póki nowa się jaka chmura skąd nie wyrwie — odezwał się Adrian wstając.

— Ja was przeprowadzę do krzyża, droga oślizła, lepiej, żebyście zeszli piechotą, a konie sprowadzić. I słuchaj, Wacek, konia w cuglach trzymaj, aby ci się nie pośliznął na błocie.

A już ja, proszę stryja — zawołał Wacek — nie dam mu pod sobą utknąć, można być spokojnym. Tylko mi się raz trafiło, że kasztanowaty kuc ze mną padł i jam się przez łeb wywalił, ale dałem ja jemu potem za moje guzy, bom zaraz na niego siadł. I śmiał się, strzelając oczyma, Wacek.

Zeszli tedy w dolinę ku krzyżowi rozmawiając, burza już się była oddaliła, błędnych kilka chmur przeciągało po lazurowym niebie, powietrze było ochłodło, obmyte lasy zieleniały świeżo i lśniąco, pan Krzysztof szedł jakoś raźniejszy, przeprowadzając swoich gości, niewiele mówiąc, ale chłopca klepiąc po ramieniu i uśmiechając mu się po cichu. Gdy przyszło na koń siadać, opatrzył i kuca, na którym Wacek miał jechać, pochwalił nogi, spróbował sam, czy przyciągnięte były dobrze popręgi, a gdy chłopak siadł i rażno kopnął się z miejsca, rozjaśniła mu się twarz i sypnął brawo.

Po chwili wesela jednak, jak wszyscy, co odwykli od niego, pan Krzysztof usiadł na ławce, nie zważając, że wilgotną była po deszczu, i zadumał się smutnie.

— Dziwne rzeczy stały się ze mną — rzekł w duchu — wieko trumny, w której byłem zamknięty, odchyliło się, mamli uwierzyć znów w życie? Śnią się znowu jakby młode marzenia, powraca Wanda, rodzina, świat. Uciekać mam czy zostać? poddać się czy walczyć?

Zmieszane obrazy dni ostatnich cisnęły się tłumnie; zrozpaczony powrót z Zamostowa i ten szal, w którego przystępie o mało nie zerwał węzła, łączącego z życiem, przywiązanie Dosi, dowody przyjaźni Teodora, odwiedziny hrabiny, na ostatek to dziecię. Zagadką dlań były uczucia Wandy, odepchnęła go, gdy przybył, teraz się zdawała jeśli nie żałować kroku swego, to litować nad nim. Kartkę, na której zapisała swą bytność, czytał i odczytywał pan Krzysztof, serce mu biło. Czasami chciałby był biec ku niej i paść jej do nóg i o litość prosić, to znowu duma nie pozwalała. Mamże ją

uczynić nieszczęśliwą i mogęż złamany przynieść jej to szczęście, do którego ma prawo? Najdziwniejsze pomysły krzyżowały się w jego głowie, ale po owych błyszczących marzeniach skończyło się wszystko, na zwątpieniu jakimś i zwrocie ku dawnemu. Wrażenia terażniejszości pelzły wobec wyrobionych dawniej postanowień i nałogów, zdało mu się, iż powinien był potargać na nowo oplątające go węzły, powrócić do ciszy i samotności, uciec w lasy i zabronić ludziom przystępu do siebie.

Słońce zaszło za chmury i góry, mrok wieczorny okrywał już zamek, gdy pan Krzysztof wstał i skierował się ku swemu, jak je czasem nazywał, legowisku. Stary sługa zamyślony czekał nań pod gankiem z Hermesem. Pustelnik, który tak długo bronił się wszelkiej pokusie, uczuł jakiś wstyd na widok człowieka,

który był świadkiem jego słabości, czytać się zdawał w oczach starego towarzysza rodzaj politowania.

— Cóż ty mówisz na to? — mruknął, zbliżając się.

— A co mam mówić? — odparł stary — pan więcej pewnie masz rozumu nade mnie, wiedziałeś, dlaczegoś od nich uciekał, musisz wiedzieć, czemu ich nie odpychasz teraz? aby tylko panu było dobrze. Juźci Pan Bóg stworzył nas, abyśmy w kupie żyli.

— Ale tak spokojni, jakeśmy byli, nie będziemy już, gdy się tu raz ludzie dostaną.

Stary głową pokiwał, zawinął się i poszedł dawać wieczerzę.

Unikając podziękowań, przez jakąś delikatność Adrian nie chciał z powrotem zajechać do państwa Pawłostwa.

Doprowadził Wacka do samych wrót niemal, pocałował go, kazał się kłaniać rodzicom, a sam ścisnął konia i puścił się na prost do Zamostowa. Tryumfująco zajechał chłopiec sam jeden

przed wrota. Matka już od dawna o niego była niespokojna, lękała się, aby go burza nie pochwyciła gdzie na drodze, aby go koń nie zrzucił, aby stryj nie był niehumanitarnym względem niewinnego dziecięcia. Zaledwie klus stępaka dał się słyszeć, wybiegła pani Pawłowa, gdy już Wacek z konia zsiadał, pochwyciła go za główkę i zaczęła ścisnąć; czerwona ze zmęczenia, ale wesoła twarzyczka uspokoiła ją znacznie. Ojciec nadchodził.

A pan Adrian? zapytali.

Kazał się kłaniać i odjechał, bo mu było bardzo pilno.

Nadbiegła Magdzia, obściskali wszyscy chłopca, nagłąc, by mówił, jak tam było.

Ale wszystko doskonale. Stryjciowi nie mówiliśmy, kto ja taki, aż się sam domyślił, rozplakał się

i zaczął mnie ścisnąć, a potem byliśmy już jak najlepiej. Nakarmił nas poziomkami, obiecał mnie nauczyć strzelać, pozwolił, żebym przyjeżdżał do niego, nawet był wesoły, choć mówiono, że zawsze chmurny chodzi. Konia opatrywał, popręg próbował.

Tak się rozpoczęło opowiadanie, któremu długo nie było końca, Wacek przypominał sobie coraz nowe szczegóły, wracał do już odpowiedzialnych, ale był bardzo szczęśliwy. O wiele rzeczy pytał go nie śmiano, ojciec się cieszył choć tym, że znowu rodzinę łączyła nić jakaś, którą czas mógł umocnić.

Jakkolwiek pan Wikarski istotnie bardzo po łacinie konno jeździł, postanowiono chłopca z nim i ze starym woźnicą choć raz w tydzień posyłać do stryja. Pan Paweł obiecywał sobie nieco później sam towarzyszyć dziecku, aby za przyjęcie go podziękować, pani Pawłowa po cichu wzdychała do tego, aby i ona mogła wreszcie dostać się na zamek ten zaczarowany i pokazać Magdzię swoją.

Paweł radził stopniami i powoli iść, aby Krzysztofa nie zrazić. Od dawna weselszego wieczora nie pamiętano w Pobogowszczyźnie. Pawiowej łzy stawały w oczach, przykro jej tylko było, że temu prawie nieznanemu dobroczyńcy nawet podziękować nie mogła. Hrabina wiedziała także o celu wyprawy Adriana i była trochę niespokojną o nią, posłyszawszy głos jego, wyszła co prędzej dowiedzieć się, co się stało. Panna Kornelia i rejent już obiegli młodego rycerza. Pocałował w rękę ciotkę.

Dokonałem dzieła szczęśliwie rzekł tak jakem się spodziewał, bo rachowałem, że w tym sercu, które zaschło z wierzchu, jest jeszcze czucie i życie. Nie omyliłem się wcale, trzeba było być świadkiem sceny tej, aby pana Krzysztofa pokochać. Łzy mu się rzuciły z oczów, uściskał chłopca i już się od niego nie mógł oderwać. Tak zmienionego anim się go widzieć

spodziewał. O! niech mi ciocia wierzy, tylko gorące, wielkie serca mogą być zdolne do heroicznych dziwactw i do znoszenia długiej takiej dobrowolnie narzuconej sobie pokuty.

Hrabina nie odpowiedziała nic. Pan Teodor, który był także wtajemniczony w tę wyprawę i o jej skutku chciał co najprędzej się dowiedzieć, przystawił się konno z Zieleniewszczyzny. Pierwsza próba, choć ją odbołał, zachęciła go do odnowienia znajomości z siodłem, zdawało mu się, że przez to młodszym się wyda. Przybył więc w rejtroku i spacerowym ubiorze z dawną, wydobytą gdzieś z tłumoków szpicrutą i nadszedł właśnie, gdy Adrian zdawał z misji swojej sprawę. Musiano przed nim powtórzyć wesołą nowinę, której rad był serdecznie.

— Pan Adrian doprawdy dokazuje cudów! kto by się tego mógł po takim trzpiecie spodziewać! — zawołała panna Kornelia.

Okrywano go pochwałami, Teodor pomyślał sobie w duchu: — Muszę go mieć za sobą, niechże

jeszcze mnie wyswata, o czym zresztą nie wątpię.

Po herbacie, przy której rozmowa mimowolnie wracała do pana Krzysztofa, a hrabina milczała, ponieważ wieczór był piękny, towarzystwo całe na ganek się przeniosło, a Męczyński z cygarem wyprowadził Adriana do parku. Gdy się nieco oddalili, a rozmowa wesoły zwrót przybrała:

No, co byś pan na to powiedział odezwał się Teodor żebym ja jeszcze o ożenieniu pomyślał?

Pan? o ożenieniu podchwycił Adrian powiedziałbym, że lepiej trochę późno niż nigdy.

Znajdujeszże trochę późno? Że nie za wcześnie, to pewna.

To wiem mówił Teodor że się czuję młodym. Kto rachuje na lata, zawsze się myli, one różnie płyną dla ludzi, metryka nic nie dowodzi.

— Jestem też tego zdania.
— W latach dojrzałych dopiero ożenie loterią być przestaje.
— Myślisz pan? — zapytał Adrian — ja nie wiem, dla mnie c'est du grec. Zdawałoby mnie się jednak, że małżeństwo zawsze jest loterią, boć choć się znają narzeczeni, nigdy obrachować nie mogą, jak się z sobą, zbliżywszy, godzić będą. Więc myślisz się pan żenić? — rzekł Adrian — będzie to zapewne obrachowane teoretycznie małżeństwo.
— Trochę teorii a dużo serca.
— Dużo cukru, i ja słodko wszystko lubię — rzekł Adrian — serce słodzi wszystko. Masz pan jakie projekta? Teodor wprawdzie miał na ustach tajemnicę swą, ale się powstrzymał od objawienia jej, chciał sondować wprzód Adriana, gdyby można naprowadzić go na to zrećźnie, aby on sam wpadł na myśl swatania go.
— Projekta! — powtórzył pan Teodor — hm! snuje się ich wiele. Stałego tak stanowczego nie mam

jeszcze nic, lękam się. W moim wieku posunąć się i zostać odepchniętym przykro.
Nie chciał się przyznać, że to go już spotkało, a raczej odprawę, którą otrzymał, uparcie sobie chciał inaczej tłumaczyć.
Tu w sąsiedztwie nie ma w czym wybierać, o ile ja je znam — dodał Adrian — panien niewiele.
Nie jestem koniecznie za panną, mogłaby być wdową — cicho szepnął Teodor, sądząc, że Adriana to na myśl jakąś naprowadzi.
No, i wdów nie widzę — odparł młody chłopak, udając niepojętnego — oprócz cioci, która, o ile wiem, wcale się za mąż nie wybiera.
Teodor puścił dym nagle z cygara i zamilkł.
Wie pan co — dorzucił, zbliżając się doń poufale — pan jesteś w niebezpieczeństwie w domu. Panny

przeczuwają tych, co się chcą żenić. Mężczyźni tego wieku i takiego wykształcenia, jak pan, wywierają urok wielki na młode istoty. A nuż się w panu która z Zamorskich rozkocha? Uważałem, że panna Liza...
— To dziecko — mruknął Teodor.
— Ale rozzgnięta bardzo — mówił Adrian — żywa... w takiej główce lęgną się czasem dziwne myśli. Cóż pan byś na to powiedział?
— Nie znasz mnie dobrze, panie Adrianie — odezwał się z powagą Teodor — młode dziewczę może na mnie chwilowe uczynić wrażenie, ale stałego, głębokiego uczucia nie rozumiem, chyba dla osoby poważnej i z naszego świata.
Adrian popatrzał nań.
— Panny Zamorskie są bardzo miłe, lecz zawsze przyznaj...
— To im daje urok i oryginalność.

Ale to straszy, wychowanie pierwsze nigdy się nie ściiera, ślady jego zostają na wieki.
Hm, trochę oryginalności uśmiechając się rzekł Adrian.
Oryginalność jest jak brodawka wtrącił Teodor za młoda c'est un grain de beauté, na starość wyrasta poczwarnie.
Notuję to w moim pugilaresie jako aksjomat z doświadczenia zaczerpnięty śmiejąc się zawołał Adrian. Czuję, że to prawdą być musi, chociaż przekonać się o tym nie miałem czasu.
Z kobiet, jakie na kilkadziesiąt mil wokoło znam ciągnął Męczyński śmieiej, gdyż pochlebił mu młodzieniec nie ma ani jednej, co by się z hrabiną porównać nawet mogła.
Zupełnie jestem tego zdania, bom ciocią zachwycony rzekł Adrian ale wie pan, że się jej trochę boję. Jest to bóstwo, które z daleka i na kolanach czcić potrzeba.

— A tak! tak! — poklasnął Teodor.

— Bądź co bądź, całe życie na kolanach! — szepnął Adrian.

Męczyński się zadumał.

— Ciocia jest trudną, niełatwo się jej kto podoba — po pierwszym małżeństwie, nie dziwuję się temu.

— Ale jak się panu zdaje, czyby to miało być nieodwołalnym, że nigdy za mąż już nie pójdzie?

— Za nic nie ręczę — ramionami ruszając, dokończył Adrian — lecz zdaje mi się, że w każdym razie niełatwo zmienia przekonania.

Wydatniej już nie chciał się spowiadać pan Teodor, ziarno było rzucone. Inteligentny młodzieniec powinien się był domyśleć reszty.

Druga część zadania zależała na tym, aby Adriana zapewnić o najczulszej przyjaźni i zjednać go sobie, resztę więc rozmowy temu celowi poświęcił pan Teodor. Chłopak i tak był szczery, lgnący,

przyjacielski, sympatyczny; zaczęli więc mówić o czym innym i spoufaleri bardzo wrócili do ganku.

Z salonu rozlegała się muzyka panny Kornelii, którą ona miała za znakomitą, choć w istocie tylko anielska cierpliwość hrabiny znieść ją mogła. Teodor przysiadł się do Wandy zamyślonej i smutnej i usiłował ją rozweselić, co mu się nie udało wcale.

Następnych dni pan Krzysztof chodził po lasach, jak dawniej, parę razy zaszedł do chaty Wilczków. Za drugim zdziwił się nieco, gdy mu Dosia rumieniąc się powiedziała, że ich pan Adrian odwiedził.

A on tu po co? zapytał marszcząc się.

Przejeżdżając, przychodził wody się napić, pogadał chwilkę bardzo grzecznie z matunią i ze mną, i więcej nic.

Wcale niepotrzebnie, niepotrzebnie zamruczał stary przyjaciel. Młodzież, zwyczajnie młodzież, ba

łamuty, a ręczę, że gdyby tu świeżej twarzyczki Dosinej nie było, pewno by nie zajrzał.

Dosia twarz przysłoniła fartuszkim.

— Więc nie wychodzić, jeśli nadejdzie?

— A zapewne — rzekł pan Krzysztof — po co? ożenić się z waćpanną nie ożeni, a bałamucić się dać... nie godzi się, do czego to?

Zamyśliło się dziewczę.

— I, proszę jegomości — dodała z cicha — on tak na bałamuta nie wygląda, a ja znowu nie jestem łatwa, żeby mi kto bardzo głowę zawrócił. Chwilkę pogadać z takim panem, co rozumno i pięknie mówić umie, zawsze się czegoś nauczy...

— A! czasem więcej niż potrzeba — rzekł Krzysztof — wierz mi. Trzpiot jest. .

— Jak jegomość zakaze!

— Co ja mam kazać lub zakazywać — ofuknął stary — to do ojca i matki należy.

— E! e! — zawołała Dosia — ojciec i matka znają mnie i wierzą, oni też ani kazać, ani zakazywać

nie będą, jać trochę rozumu mam.

No, zapewne, ale jak ci się bałamut podoba? Milczała Dosia zamyślona.

A cóż by to było złego?

Gdybyś go pokochała?

Gdzie zaś! odparła spokojnie Dosia — mnie się to zdaje niepodobnym, nie można się pokochać nierównym, tak jak się rozmówić niepodobna, gdy jeden stoi na górze, na dole drugi.

Krzysztof popatrzał na nią, wydała mu się rozsądną i chłodną.

No, tak prawdą a Bogiem, podobał ci się? Wilczkówna jakby w sercu prawdy szukała, pomyślała nieco.

A, pewnie — ozwała się rumieniąc — jak by się podobać nie miał. Chłopak chwyt, i znać nie pieszco

ny, bo stoliki nosi w rękę, a o piękne słowo mu nietrudno, i niebrzydki, i śmiały.

— Wszystkie przymioty — mruknął stary ponuro. — Tym ci gorzej, moja Dosiu, życzę więc szczerze, gdyby panicza znowu napadło u chaty pragnienie, niech mu lepiej matka wody wyniesie albo chłopak.

— Jak każecie — rzekła Dosią posłuszna — tać to wy to lepiej znacie, co trzeba, a co się nie godzi.

Śmiałe dziewczę zadumało się i poszło do roboty, a gdy Wilczek nadszedł, Krzysztof go wziął na stronę.

— Był tu, słyszę, ten panicz z Zamostowa — rzekł cicho — żeby się tu nie plątał tylko koło Dosi. Wpadła mu w oko, on jej, a do czego się to zdało?

Wilczek się rozśmiał.

— A! jaśnie panie — rzekł — o nią się nie bójcie! żeby tak zbawienia pewnym był, jak tej

dziewczyny! Nic się jej nie stanie. Niech się on jej boi, nie ma się ona lękać czego. Rozum ma.

Ale to młode — dodał Krzysztof. Machnął ręką ojciec.

Niech pan będzie spokojny, byle się krok posunął zbyteczny, da mu ona taką odprawę, jak należy, o to frasunku nie mam.

Nie wypadło więc i panu Krzysztofowi tak bardzo się troszczyć, ale pomyślał sobie, że jednak na tę wielką miłość dziewczęcia dla siebie, z którą się tak oświadczyła, wiele rachować się nie godziło. Parę słów młodego chłopaka już ją ostudziło. Poszedł w las zamyślony.

Nie bardzo bym ją ożenieniem uszczęśliwił — rzekł w duchu — ale też dać o tym pokój myśleć.

Zamierzył, jeśliby Adrian nadjechał, dać mu, tak z dala, nauczkę, ażeby dziewczę szanował i do Wilczków na rozmowy nie uczęszczał. Wieczorem powróciwszy dosyć znowu smutny, gdy przewracał po szuflad

kach, wpadł mu w rękę papier z kilką słowy przez Wandę nakreślonymi, stanął zadumany nad nimi.

— Pojechać by tam potrzeba, ażeby się nie okazać mściwym i gniewnym — lepiej obojętnym. Pojechać trzeba — powtórzył.

Jazda nie była tak łatwą, wózek ubogi, którego się nigdy nie wstydził dawniej, zdał mu się śmiesznym. Nie chciał wystąpić jak bernardyński kwestarz przed pałacem. Konia wierzchowego dobrego nie miał. Pieszko nie było daleko... pieszo pustelnikowi było najprzyzwoiciej.

— Pójdę pieszo! co mi to szkodzi.

Dzień jeden upłynął na rozmyślaniach, drugiego rosła już niecierpliwość, ubrał się trochę staranniej niż zwykle, a że lasy swe znał tak, iż drogi nie potrzebował się pilnować, poszedł wprost ku Zamostowu.

Była godzina popołudniowa, słońce dopiekało, wydobywszy się z puszczy w zarośla, skierował się ocienioną ścieżyną, którą po raz pierwszy już przebył, gdy z rozbudzonymi wspomnieniami,

mimowolnie biegł w nadziei zobaczenia hrabiny. Drożyna ta prowadziła nie od strony pałacu, ale w kończyzny parku. Gdy rów opasujący go zobaczył pan Krzysztof, niemal chciał się cofnąć. Strach go jakiś ogarnął. Wstydził się tego uczucia i zebrał na męstwo. Od pola furtka ogrodowa stała na pół otwarta. Wszedł nią do parku.

Z tej strony był on rodzajem starego lasu, niemal dziko puszczonego, mnóstwo czapli gnieździło się na ogromnych osadach nad stawkiem i wrzask ich słychać było nad głowami. Żwirem wysypana drożyna wiła się między zaroślami. Gdzieniedzie przecięty widok w dali dozwalał ujrzeć to budowlę jakąś, to ugrupowane jakby umyślnie dla perspektywy drzewa. Cicho tu było, pięknie i smutno. Gospodyni snadź ogród stworzyła na obraz i podobieństwo swoje, poważnym, zamyślonym, ponurym.

Pan Krzysztof szedł nie śpiesząc, nie szukając drogi, błędząc trochę, doświadczając jakiegoś błędnego uczucia, które mu dawało myśl, że był tam, gdzie ona mieszkała, królowała, rządziła i gdzie jej stopy tysiąc razy wycisnęły się na wilgotnym piasku.

Tak idąc, wyszedł wreszcie na zieloną, szeroką łąkę, wśród której kilka drzew stało samotnych; po brzegach jej wdzięcznie pożenione różnych barw zarośla składały się na klomby pięknego kształtu. Tu i owdzie stała ławka kamienna. Lasek starych lip i klonów zasłaniał mu widok z lewej strony, ścieżka go okrążyła. Szedł nią rozglądając się, gdy na zawrocie o kroków kilkanaście spostrzegł postać niewieścią siedzącą, z głową nad książką spuszczoną. Twarzy jej widać nie było, ale mógłże nie poznać w niej Wandy i nie przeczuć?

Staął, nie chcąc ją przestraszyć swoim zjawieniem się niespodzianym i niemiłym, gdy szelest jego kroków snadź zwrócił czytającej uwagę, podniosła z wolna głowę, spostrzegła przybysza, na chwilę zdawała zdumioną i jakby przelękną, ale natychmiast, powstawszy z wolna, postąpiła parę kroków ku

niemu i z wyciągniętą dłonią na powitanie zbliżyła się do pana Krzysztofa. Na ustach miała uśmiech uprzejmy.

Bardzo mi pan miłą zrobił niespodziankę odezwała się myślałam o panu, tak, doprawdy! ale nie odgadniesz dlaczego! Sądziłam, że nie zechcesz mnie odwiedzić, a pragnęłam tego. Chcesz pan ze mną iść do domu, czy spocznieś tutaj?

Pan Krzysztof w istocie był dosyć zmęczony, ale nic nie odpowiedział.

Hrabina usiadła na ławce, z której tylko co powstała, i wskazała mu miejsce przy sobie. Posłuszny usiadł.

Wie pani, że tu jest bardzo pięknie. Wszedłem przypadkiem przez furtkę ogrodową, bo bo z domu idę pieszo.

— Jak to? pieszo, tak daleko?

— Wprost przez lasy odległość nie jest tak bardzo wielka — mówił Krzysztof — ja chodzić lubię i nawykłem wiele. Ogród ten, w którym nigdy nie byłem, dziwnie mi się wydał pięknym.

— Tym milej mi to słyszeć, bom ja go niemal sama, bez nauki i instynktem stworzyła — odezwała się hrabina. — Był to las, zarosła, bagno. Powoli jedno przybyło, drugie wyrabano, co roku się coś dodało. Cóż pan myślisz? to także pustelnia moja, jak wasza tam, choć na pozór otwarta, ale i tu mało bywa ludzi, wołałam i lubiałam być samotną, a jako kobieta stroiłam klatkę moją.

— Nie wiem, czy jest weselszą od mojej, ale to pewna, że piękniejszą — rzekł Krzysztof.

Pierwszy raz widzieli się tak oko w oko, w blasku dnia jasnego; ukradkiem Krzysztof spoglądał na nią, była młodą, piękną, zawsze tąż samą, ale cierpienie zostawiło ślady w tych oczach, co we łzach pływały, i w ustach, co się uśmiechały. Oczy suchsze były może po łzach wypłakanych, usta nie

śmiały się tak dziecinnie, uśmiech ich był wyrazem rezygnacji i miłosierdzia. Hrabina w twarzy Krzysztofa, zoranej bliznami długich bólów, widziała dawnego Krzysia, ale jakby obleczonego żałobą. Oboje stali teraz, po latach tyłu, swobodni, jedno naprzeciw drugiego z takimi jakimiś uczuciami dziwnymi w sercach, że sami się w nie zajrzeć lękali.

Sądzę, że życie nauczyło, was wiele przebaczać tout connaître, c'est tout pardonner odezwała się hrabina powinniście więc darować mi tę rozmowę pierwszą, którą wyrzucam sobie. Byłam pod wpływem jakiegoś uczucia, które przeszło, rozwiało się, zgryzotę tylko zostawując po sobie. Dlaczegoż byśmy nie mieli na drugim życia końcu podać sobie przyjaznych dłoni i żyć w świętej zgodzie?

Wyciągnęła mu białą rękę, na której widok pan Krzysztof pobladał, była to ta sama, na której gorącymi pocałunkami przed laty wycisnął pożegnanie, ta sama dłoń sympatyczna, której dotknięcie odbijało się w sercu, łączył mu się w oczach zakręciły, milcząc, zbliżył usta i nie śmiał ich przycisnąć nawet. Dłoń drgnęła i usunęła się nagle, a hrabina mówiła dalej:

— Wszakże możemy, powinniśmy być dobrymi przyjaciółmi, panie Krzysztofie, pan mi wiele przebaczyć powinien, ja wiele zapomniałam. Jesteśmy oboje spokojni.

Mówiła o spokoju, a głos jej był drżącym, zamilkła, długo czekać musiała na odpowiedź, nareszcie otworzył usta pan Krzysztof.

— Pani byłaś zawsze tak dobrą — rzekł — że mnie przebaczysz winy. Czym winien, nie wiem, ale jeśli jest wina, ta nigdy na kobietę nie spada.

— A! nie mówmy o przeszłości — przerwała hrabina — nie dotykajmy jej. Cóż skargi pomogą? życia upłynionego wskrzesić nie można. Szczęśliwą jestem, że was widzę spokojnym i

przejednanym z życiem, a mam nadzieję, iż przejednacie się też i z ludźmi, a wreszcie z tą biedną kobietą, którą ja jestem.

Rozmowa tak poczęta byłaby nie wiem jaki obrót wzięła, gdyby ze strony przeciwnej nadchodzący Adrian, który nucił piosenkę wesołą, nie zjawił się niespodzianie. Spostrzegłszy gościa, o którym nie wiedział, którego się tu nie spodziewał, i widząc go siedzącego spokojnie przy ciotce, chciał się cofnąć, nimby go zobaczono, ale hrabina skinęła na niego. Było za późno.

A! to, gość drogi! zawołał, zbliżając się Adrian — ale gdzież, jak, którądy?

Zbłądziłem w lesie i wszedłem od parku — rzekł Krzysztof, witając się — a byłem tak szczęśliwy, że tu zastałem panią hrabinę.

Wanda wstała i uprzedzając idących za nią, powoli

iść zaczęła ku pałacowi. Krzysztof stał się milczący, nadto był wzruszonym jeszcze kilką słowy, które zamienili z sobą; hrabina weselszą może być chciała, niż w istocie się czuła. Adrian nie krył radości, jaką mu sprawiło to spotkanie.

Gniewał się tylko na siebie, że nadszedł tak nie w porę, obiecując to sobie wynagrodzić jak najtroskliwszym czuwaniem nad tą parą, której niemal opiekunem być pragnął.

— To są stare dzieci — myślał — potrzebujące pokierowania nimi, więcej niż młode dziatki, szczęściem, że ja tu jestem i że się w dobre ręce dostali.

Na ganku siedziała z robotą kanwową pomietą i od lat trzech będącą prawie w jednym stanie panna Kornelia.

Podniosła oczy i zobaczywszy pana Krzysztofa, stanęła osłupiała. Nie mogła pojąć, skąd się wziął, nie wszedłszy urzędownie przez ganek i jej kontrolę. Oczom prawie uwierzyć nie chciała. Adrian, który to postrzegł, rozśmieszony był wyrazem zdumionym jej twarzy. Nie dając poznać po sobie ani ciekawości, ani zadziwienia, kuzynka złożyła tę nieszczęśliwą robotę kanwową, do której

ilekroć się wzięła, zawsze jej coś przeszkodzić musiało, i zbliżyła się do hrabiny.

Skądże pani wzięła gościa?

Spotkaliśmy się w parku — odpowiedziała gospodyni — bardzo miła niespodzianka.

Ja jestem z tych gości, co piechotą przychodzą — rzekł pan Krzysztof.

Kornelia uśmiechnęła się, nie odpowiedziawszy nic, towarzystwo całe usiadło w ganku. Rozmowa we czworo nieskończenie była trudniejszą od tej, którą poczęli sam na sam, ale na to był Adrian, żeby cugle pochwycił i pokierował nią zręcznie.

Spodziewam się — zawołał — że teraz, gdy droga do Zamostowa już dobrze prześledzoną została, miłego gościa zobaczymy częściej u siebie. Szedłeś pan długo?

Pewnie daleko krócej, niżby się jechać potrzebo

wało — mówił Krzysztof — bom szedł, jak oczy niosły, zupełnie prosto, i dopiero z puszczy mojej wyszedłszy, trochę krążyć musiałem.

— Droga jest dziką?

— Owszem, bardzo piękną, dopiero, gdy się park Zamostowski zobaczy, może się dziką wydawać.

— Nieprawdaż — rzekł Adrian — że dzieło cioci jest zachwycające?

Nie dając odpowiedzi zagadnionemu, chłopak się zbliżył do panny Kornelii i cicho coś jej szepnąwszy, wyprowadził ją do sąsiedniego salonu.

— Panno Kornelio — rzekł śpiesznie — mówmy, o czym pani chcesz, kłóćmy się, o co się pani podoba, ale nie siedźmy im na karku i nie przeszkadzajmy.

— A toż dlaczego? — zapytała stara, panna.

— Pani się nie domyślasz?

— Nic a nic.

Pani byś miała być tak niedomyślną? powtórzył Adrian.
Pan wiesz, co francuskie przysłowie powiada, iż najgłuchszy jest ten, który słyszeć nie chce.
A dlaczegoż byś pani nie chciała słyszeć? Panna Kornelia nogą aż tupnęła.
Cóż to panu w głowie? zawołała może byś rad tego łysego cioci nastęczyć za męża?
A gdyby?
Nigdy w świecie! Nudziarz! dzik! fantastyk! nigdy w świecie.
Odwróciła się zagniewana.
Ani pan myśl o tym. Ja znam lepiej od was hrabinę. Ona jest teraz szczęśliwą, bawi się kwiatami i ogrodem, swobodna, pani swej woli. Chceszże ją, uratowaną, znowu popchnąć na morze i burze! Bądź co bądź, zapowiadam panu, wszem wobec i każdemu z osobna, że co do mnie, będę o ile sił przeszkadzała niedorzecznemu projektowi.

— Mnie się zdaje — zawołał Adrian — że ciocia jest pełnoletnią i że nikt jej nie ma prawa ani pomagać, ani radzić, ani odradzać i przeszkadzać.
— Doskonały! — przerwała zniecierpliwiona stara panna — jemu wolno wszystko, a mnie nic! Pan bierzesz w opiekę starego tego wariata, a mnie nie pozwalasz bronić mojej drogiej kuzynki od niego.
— Ona się sama obroni, jeśli zechce.
Kornelia, zacisnąwszy usta, umilkła i ciągnęła nazad do ganku, gdy Adrian drogę jej ku drzwiom zastąpił.
— Mam nadzwyczaj zajmującą kwestię — rzekł — którą z panią pragnę roztrząsnąć, zostaliśmy jeszcze w salonie. Ton ten żartobliwy zwykle dosyć wesołej pannie Kornelii zdawał się nie być do smaku, spojrziała na chłopaka surowo, pominęła i weszła na ganek, prawie szturmem biorąc wnijsie. Wszedłszy zajęła

miejsce jak najbliżej pana Krzysztofa i niedługo czekając, zwróciła się ku niemu.
Więc tedy klauzura pańska skończona i towarzystwo nasze zyskuje w panu bardzo cennego członka poczęła szydersko. Przyznam się panu, że się zawsze tego spodziewała, że pan nie wytrzymasz w tych leśnych nudach i

towarzystwie Wilczków. Ale, a propos, niechże nam też pan powie co o tej cudownej Dosi, o której całe sąsiedztwo prawi zadziwiające rzeczy. Czy prawda, że tak piękna, rozumna, nawet... (rozśmiała się) dyslyngwowana? Pan Krzysztof wymierzona nań napaścią zrazu się zmięszał, hrabina spojrzała na kuzynkę, marszcząc brwi, z wymówką i niecierpliwością, to jednak nic nie pomogło, panna Kornelia była rozdrażniona. Nie spodziewała się jednak, by milczący pustelnik tak zagadnięty, zdobył się na rześką odpowiedź, a raczej nie znała charakteru dziwaka, który, przyparty do muru,

umiał się bronić dzielnie. Twarz Krzysztofa przebiegł uśmiech ironiczny.

— W istocie — rzekł — Wilczek, Wilczkowa i Wilczkówna, wszyscy razem warci, aby ich poznać, by się im przypatrzeć i oddać im sprawiedliwość. Są to leśne kwiaty, które wyrosły na podziw pięknie i bujno.

— Doprawdy? — podchwyciła Kornelia.

— Tak jest, szczególnie Dosia — dodał pan Krzysztof — niech mi poświadczy pan Adrian, który ją widział i sprawiedliwość jej oddaje.

Złośliwie spojrzała stara panna na chłopaka, ale ten się wcale nie zmięszał. Hrabina milczała, Krzysztofowi twarz zachodziła rumieńcem.

— Wezwany na świadectwo — śmiejąc się rzekł Adrian — nie zaprę się mojego uwielbienia dla panny Wilczkównej.

— Aż uwielbienia — wtrąciła ciotka. Kornelia się śmiała szydersko.

Powtarzam, uwielbienia, nic podobnego nie widziałem w życiu — mówił Adrian. Piękność wcale nienadzwyczajna, i ta najmniejszą jej zaletą, fenomen osobliwy w tym, że tam nic sztucznego nie ma, że jest śmiała i rozsądna, że jest sobą.

Wychował ją pan Krzysztof — syknęła panna Kornelia.

Tak jest — rzekł stary — ja i jej ojciec. Ojciec jest rodzajem filozofa, równie oryginalnym.

Nasze sąsiedztwo ma bo szczęście do oryginalności — śmiejąc się mówiła panna Kornelia, która nieśmiertelną robotę kanwową chwyciła znowu i kłuła ją nie szyjąc, gdyż nadto była poruszona. Zabawna to rzecz oryginały, ale z nimi żyć...

Moja droga — przerwała hrabina — jesteś dziś w takim usposobieniu...

Kuzynka zmilczała, wzrok Wandy wywołał tylko uśmiech ironiczny.

— Pani, co masz tak dobre serce — dodał Adrian, zwracając się do Kornelii — ręczę, że gdybyś zobaczyła Dosię, zaczęłabyś być dla niej z tą sympatią, jaką my mamy wszyscy.

— Panowie dla młodych i ładnych pań i dziewczątek macie sympatie na zawołanie — zaczęła Kornelia — to mnie nie dziwi.

— Nie przeczę — rzekł Adrian — wszystko, co miłe, dobre i piękne, sympatią obudza.

Kornelia podniosła oczy gniewne nieco, Adrian się skłonił.

— Pochwaliłeś pan owo leśne cudo — poczęła żywo — dlatego że w nim nic nie ma sztywnego, ale nauczże mnie pan, gdzie się kończy natura, a sztuka poczyna? Gdybyśmy zeszli do stanu natury, byłibyśmy obrzydliwi.

— Musiałem się źle wyrazić — przerwał Adrian — sztuką nazwałem, co się kłamstwem nazwać było powinno, kłamanych rzeczy i ludzi kłamanych nie cierpię.

Na bardzo zajmujący przedmiot wprowadziliście państwo rozmowę — wtrąciła hrabina — ale przewiduję chwilę, gdy w mgły metafizyczne nas uniesie. Czyby go zmienić nie wypadało?

Pan Krzysztof, który się przypatrywał ciekawie złośliwej kuzynce, do niej mowę obrócił zupełnie spokojnie.

Spytałaś mnie pani o Wilczków — rzekł — ta rodzina była niemal całym moim towarzystwem przez długie lata, gdym z umysłu od wszelkiego unikał, cóż dziwnego, że się przywiązałem do niej. Wiele się też mógł od niej nauczyć.

I jakże się po tych ideałach wydaje teraz nasz biedny świat? — spytała Kornelia.

Jeszcze się nie miał w nim czasu rozpatrzyć — rzekł pan Krzysztof.

— Z góry odgaduję, że o nas wypadnie sąd niekorzystny — mówiła Kornelia.

— Nie wiem — spokojnie odparł Krzysztof — człowiek w ogóle jest bardzo różny, a zawsze ten sam, gdy się w niego głębiej wpatrzy. Cywilizacja jest jak politura, która z drzewa dobywa piękne słoje i sęki na widok powszechny, ale natury jego nie zmienia.

— Szczególniej o sęki się obawiam — rozśmiała się stara panna.

— Samotność i cierpienie uczą pobłażania — rzekł pan Krzysztof. — Wszędzie złe i dobre się mięsza, idzie o to, co przeważa.

Pan Krzysztof mniej się dzikim i dziwnym wydał, niż się może wszyscy spodziewali, on sam nie poznawał siebie, tak nań oddziaływało towarzystwo; widok hrabiny, jej odzyskana uprzejmość i uśmiech sympatyczny Adriana. Na stole leżało kilka rozłożonych książek, machinalnie wziął jedną w rękę.

— Miałeś pan przynajmniej książki na zamku? — zapytała hrabina.

Nie zbywało mi na nich, ale mogłem mieć tylko stare, nowe mnie nie dochodziły, żyłem cały w kronikach, w herbarzach, w Biblii i kilku pisarzach starożytnych. Dawniej pisano mniej, nie nadużywano słowa, wszystko więc niemal, co pozostało z przeszłości, ma daleko większą wagę, pełniejszym jest i silniejszym, książki te powtarzać można, myśl pracuje nad nimi. Szczególniej zajmowała mnie nasza przeszłość.

Szlachecka! wtrąciła Kornelia. Przyznam się panu, że tej miłości dla świata, co w guzach szukał przyjemności, pociechy w kieliszkach, u którego kobieta była zepchnięta do kądzieli, trudno dziś podzielać.

Bo tego świata państwo wcale nie znacie. Choć niezbyt od nas oddalony, znikł prawie bez śladu i jak po człowieku zostaje, co w nim najmniej pięknego, kości

suche, tak po tym świecie pozostały też rusztowania, co go trzymały; życie, co je oblekało, znikło. Trzeba być wieszczem, aby je odgadnąć i odtworzyć.

— Nie ma większych kłamców jak poeci — odezwała się panna Kornelia.

— Tak, ale nie ma większego fałszu nad to, co się zimną często prawdą nazywa. Prawda życia, jak woń kwiatu, ulatnia się i uchodzi.

Westchnął pan Krzysztof, a hrabina, chcąc przerwać rozmowę niewłaściwą, wspomniała umyślnie o panu Teodorze.

— Nie wiesz, Adrianie, czy dziś nie przyjedzie?

— Panny Zamorskie go nie puszcza — wtrąciła śmiejąc się Kornelia.

— Jestem pewny, że gdyby mógł, przyjechałby niezawodnie, ale po uszy w interesach.

— Za późno pono je sobie przypomniał — rzekł Krzysztof — wątpię, ażeby je mógł uratować.

— Sam pewno nie — odezwał się Adrian — aleby mógł wezwać na pomoc pana Pawła, a ten by to

może potrafił.

Krzysztof na wspomnienie brata zamilkł, spuszczać głowę, rozmowa rozbiła się o to imię. Adrian zniecierpliwiony chodził po ganku, niekiedy spoglądając gniewnie na pannę Kornelię, chciał ją oddalić, aby dozwolnić Krzysztofowi swobodniejszej rozmowy z hrabiną, a mimo młodzieńczej przemyślności, sposobu na to znaleźć nie umiał. Nawet obowiązki gospodarskie, które na siebie brała stara panna, wyciągnąć jej stąd nie mogły. Byłyby więc odwiedziny pana Krzysztofa pozostawiły tylko po sobie rozdrażnienie, gdyby hrabina sama nie zaradziła temu. Kilku słowami cichszą zawiązała rozmowę ze swym gościem i powoli schodząc ze wschodów, wyciągnęła go z sobą ku drzewom, które naprzeciw ganku się znajdowały, tak blisko, by nie zejść z oczów osób

pozostałych, a dosyć daleko, by nie mieć natrętnych słuchaczy. Panna Kornelia spojrzała gniewnie za kuzynką, a Adrian się tryumfalnie uśmiechnął.

— Tryumfujesz pan — szepnęła stara panna — ale poczekaj! nie potrwa to długo! Znam dobrze hrabinę, jest do zbytku grzeczną, ale ma wiele charakteru i żaden z tych starych, nieznośnych kawalerów połamanych pewnie jej nie skusi.

— *Il ne faut jurer de rien!* — rzekł Adrian.

— Nie rozumiem pana — z gniewem przerwała Kornelia — pracujesz przeciwko sobie samemu i na zgubę ciotki, dla której masz, jak mówisz, przywiązanie. Trzeba być tak młodym, jak pan, ażeby być tak...

— Dokończ pani — odezwał się Adrian — tak głupim? chciałaś pani powiedzieć. Ja nawet ten epitet przyjmę z pokorą, Kornelia zerwała się nagle, zniecierpliwiona, złożyła swą kanwową robotę, zwinęła ją, rzuciła w kąt i

okiem gniewnym zmierzywszy hrabinę i jej towarzysza, weszła w głąb domu, na sługach spędzić zły humor, którym ją to nabawiło.

Adrian pozostał w ganku, z dala mógł tylko odgadywać, co z sobą dawni mówili znajomi. Hrabina była widocznie poruszoną, Krzysztof się także ożywił, rozmowa szła z zajęciem i trwała bez przerwy aż do herbaty, którą Kornelia umyślnie snadź przyspieszyła, ażeby ją co prędzej zakończyć.

Gdy gospodyni wróciła do salonu, i ona, i towarzysze jej znajdowali się w stanie umysłu, dowodzącym przynajmniej, że sporu między nimi nie było i że zgoda i pokój panowały, których starania panny Kornelii nadwerężyć nie mogły.

Nad wieczór Adrian kazał przygotować konie, aby odwieźć Krzysztofa; w chwili, gdy się żegnał, podszedł ku niemu z czapką w rękę i zaprosił go do powozu. Siedli do niego razem i choć się pustelnik bronił,

chcąc iść pieszo do domu, dał się skłonić wreszcie, by go odwiedzić przynajmniej ku granicy.

Zły humor panny Kornelii nie pochodził jedynie z wielkiej miłości do hrabiny. W Zamostowie było jej bardzo dobrze, dopóki trwał ten stan, jaki tu zastała, najmniejsza zmiana mogła zachwiać jej wszechwładztwem i związanymi z nim korzyściami. Panna Kornelia sama przed sobą tłumaczyła opór przeciw wszelkim nowym związkom przywiązaniem do kuzynki, chociaż w nim więcej było miłości własnej i obawy o siebie samą. Nie przyznając się do tego, panna Kornelia instynktem zachowawczym broniła swojego stanowiska. Wieczorem, gdy zostały same, kołowała naprzód ostrożnie około przedmiotu, który pragnęła zaczepić, na ostatek gwałtownie wtargnęła in medias res.

— Moja droga pani — rzekła — coś ta odnowiona przyjaźń, odgrzewane stosunki ze starym dziwakiem domyślać się każą. Czyż pani miałabyś znowu dobrowolnie chcieć sobie narzucić nieznośne pęta? Będąc swobodną...

— Moja Kornelciu — przerwała hrabina — dajże mi pokój! Nie chcę mieć nieprzyjaciół, potrzebuję

stosunków przyjaznych, czyż zaraz masz się więcej domyślać, niż jest?!

O! bo znam mężczyzn, pozwól kurze grzędy, może mu znowu coś przyjść na myśl, a ja drzę o szczęście wasze.

A! bądźże spokojną. Hrabina ruszyła ramionami. Kornelia nie zdawała się tym zapewnieniem wcale uspokojoną.

To ten szalawiła, faworyt pani, siostrzeńczyk, wszystkiej tej biedy naprowadza. A! bo to ta terazniejsza młodzież!

Kornelko! w jakimże ty dziś jesteś humorze?

Jestem zła, bo się o panią boję. Przyznam się, że gdyby już miała się popełnić ta... niedorzeczność i iść

znowu za męża, przecież by coś można lepszego znaleźć nad pana Krzysztofa.

— Ale skądże to zamążpójście? — spytała hrabina.

— Czuję, widzę, że do tego idzie. Pani jesteś nadto dobrą, ci ludzie są natrętni, a wspomnienie dawne, a politowanie, a to, a owo, i niewola w końcu gorsza od pierwszej.

— Kornelciu! powtarzam, skądże to zamążpójście, o którym się nikomu nie śni?

— Ja widzę daleko naprzód! — Proszę cię!

Stara panna chodziła żywymi krokami po salonie, zburzona i chmurna. Kilka razy w ten sposób zaczynała się i zrywała rozmowa. Hrabina była małomówna, poznać jednak mogła kuzynka, że ta napaść jej nie smakowała i że się jej przez nią naraziła. Rozeszły się uczciwie każda w swoją stronę, a Kornelia długo samotna chodziła po swoim pokoju.

— To są intrygi, na które ja pozwolić nie mogę — mówiła do siebie. — Hrabina widocznie znudzona

za mąż wyjść pragnie, Teodora nie chce, Krzysztof, ten nieznośny dziwak, wziąć ją może. Niewola i nudy w domu. Pedant stary! Wynosić by się trzeba nazajutrz. Ale na to radzić muszę, tonący brzytwy się chwyta.

Panna Kornelia siadła pisać list, zamknąwszy się na klucz, sześć stronic napelniła pismem pochyłym i zamaszystym i dopiero odetchnęła swobodniej. Odczytała, poprawiła, dodała jeszcze pół ćwiartka, dopisała komentarze na bokach i list zapieczętowała, przechowała go starannie. Uspokoilo ją to znacznie i rozweseliło.

Nazajutrz wstała rano, wyszła do ogrodu i list wczorajszy zniknął. Zdawało się, że tajemniczo został wysłany. Zdradzić musimy kuzynkę hrabiny.

Z dawnych stosunków potarganych i nadwerężo

nych pozostał jeden jeszcze, niezupełnie zerwany. Pani kasztelanowa Chorzyńska, u której jakiś czas przebywała panna Kornelia, ale się z nią w końcu pour incompatibilité d'humeur rozstać musiała, miała pewną słabość do niej, kłóciły się często i godziły prędko, aż wreszcie żywe słówko, wyrzeczone za pośpiesznie, oplakiwane potem, zmusiło pannę wyjechać z tego domu. Kasztelanowa miała syna, wdowca, zwanego Walerkiem, bardzo miłego łotryka, którego już raz była ożeniła, który po roku żonę stracił, a teraz po świecie baki zbijał, nie mogąc się ożenić.

Był to młodzieniec wychowany jak najstaranniej, wielce zdolny, ale nałogowy gracz i płochy, tak że nawet dobiegające do czterdziestówki lata nie mogły go ustatkować. Kasztelanowa pragnęła go ożenić, ufając, że kobieta, którą by kochał, poprowadzić go potrafi. Był bowiem Walerek łagodny na pozór, czynił z nim, co kto chciał, lecz nazajutrz przychodził ktoś drugi i odrabiał. Póki był z matką, słuchał matki, wpadłszy w inne towarzystwo ulegał jego wpływowi. Czynił to wszystko z jakimś

sceptycyzmem miłym, jakby do żadnego kroku w życiu wagi nie przywiązywał. Szło mu głównie o to, aby z życia droga uprzętnąć sobie wszelkie zawady jakimkolwiek bądź kosztem. Uniknąć cierpienia było dlań najwyższym

zadaniem. Bardzo piękny mężczyzna, choć na twarzy jego znać było znużenie, był najmiłym gościem, witano go wszędzie serdecznie, kochał po pół godziny każdego namiętnie, ale nazajutrz mógł go nie poznać. Toż samo działo się z kobietami, bóstwem dlań była każda, dopóki drugiej nie zobaczył.

W przekonaniach swych Walerek był, jak w uczuciach, przyjacielem świętego spokoju; zgadzał się na każde wygłoszone, potakiwał mu, a wkrótce potem, jeśli z tym było dogodnie, utrzymywał przeciwne zdanie. Dla niego wszystko służyło do zabawy, nic nie

brał serio — świat go bawił, serca mu nic nie poruszało. Ruszał ramionami i śmiał się z ludzi, którzy w coś wierzyli i do jakichś poświęceń byli gotowi.

Z tym wszystkim był to najmiłszy z ludzi, a twarz jego wyrażać się zdawała taką dobroć i łagodność, oczy niebieskie tak się uśmiechały, różowe usta taką namaszczone były słodyczą, iż go każdy pokochać musiał mimo woli.

Pomimo swych przymiotów Walerek nie mógł się ożenić, zgrywał się okrutnie, często odchorowywał hulanki, płatał się w stosunki najdziwaczniejsze i kasztelanowa ręce łamała z rozpaczony nad przyszłością. On się śmiał, całował ją, rozbrajał gniew i nazajutrz broił tak samo. Wszyscy mówili, że go należy ożenić.

Panna Kornelia, która przed dwudziestu laty umiała mu się nawet podobać i wodziła go trochę na pasku, obrachowała teraz, iż nic by szczęśliwszego wypaść nie mogło nad to, gdyby go ożeniła z

hrabiną. Hrabina i ona władałyby nim zupełnie, w domu nic by się nie zmieniło. Walerek podobać się mógł i musiał, był młody, czuły, piękny i dowcipny. Widywała go niegdyś pani Wanda za życia męża, ale w Zamostowie nie był od tego czasu. Kasztelanowa wyjeżdżała mało, była to osoba otyła, ciężka, cicha, modląca się po całych dniach i niby zajęta jakąś robótką, ale w istocie w myślach zatopiona i roztargniona tak, że nim jej kto na pytanie odpowiedział, już nie wiedziała sama, o co zagadnęła. Celem jej życia był ów Walerek nieszczęśliwy, nad którego losem bolała, bo go kochała namiętnie. Połowa majątku już poszła dla tego drogiego dziecka. List panny Kornelii miał na celu sprowadzenie kasztelanowej z synem do Zamostowa i odnowienie dawnych stosunków.

Jak się spodziewała kuzynka, tak się stało; jednego poobiedzia sześciokonna karetą przywiozła staruszkę, a czterokonną kocz jej syna.

Hrabina, która odwykła od nowych twarzy, przestraszona była tym najazdem, wytłumaczyć go sobie nie mogąc. Kasztelanowa wystrojona była w klejnoty rodzinne, Walerek ubrany jak lalka.

Był to mężczyzna w sile wieku, nieco już otyły, ale wyglądający bardzo młodo, z niebieskimi oczyma, z różowymi ustami, z zarodkiem łysiny i ogromnymi angielskimi faworytami. Znać w nim było człowieka wielkiego świata, nawykłego do stolic i salonów.

Szczęściem dla gospodyni, przyjazd pana Teodora, bytność Adriana ułatwiały jej wielce przyjęcie tych gości. Nie potrzebowała się zajmować wielce kasztelanowicą, a cała oddała dobrej staruszce, która, pytając nieustannie: — Co mówisz! — uśmiechała się na wszystko. Piękny Walerek mało uczynił wrażenia na hrabinie, a co gorzej, przypominał jej męża, u którego bywał, nie tylko sobą samym, ale też obejściem i domniemanym charakterem. Byli to niegdyś wielcy przyjaciele i ludzie jednego obozu.

Pan Teodor, który łatwo przeniknął, co znaczyło przybycie kasztelanowa, posmutniał i zafrasował się,

choć Walerek i jego, i Adriana uprzejmością i wesołością zaraz sobie od pierwszych słów ująć umiał. Młody siostrzeńczyk domyślił się także projektów kasztelanowej, ale po sobie nie pokazał tego, tknęło go coś nawet, jakby przecucie, że przyjazd ten pannie Kornelii nie musiał być niespodzianką; dostrzegł rumieńca gwałtownego na jej twarzy w chwili, gdy goście oznajmiono. Kasztelan bawił gospodynię, którą już był do najwyższego stopnia zachwycony, gdy niespokojny Teodor odciągnął na chwilę Adriana na stronę.

A wiesz, co te odwiedziny znaczą? — szepnął mu.

Domyślam się.

Stara kasztelanowa podjeżdża tu z tym towarem, którego, mimo pięknej jego powierzchowności, nikt nie chce. Mam nadto dobre wyobrażenie o hrabinie,

ażebym się lękał wrażenia, zawsze jednak bliżsi i domowi przestrzec powinni; Walerek jest najpłochszym z ludzi pod słońcem; dobry, miły, serdeczny, ale do niczego, a zapaliwszy się, żonę by w diabełkę przegrał i duszę w dodatku.

— Wiesz pan co? — rzekł zdrójca Adrian — dobrze by było, żebyś to pannie Kornelii powiedział, ona prędzej jak ja znajdzie zręczność z tego korzystać.

I odszedł. Teodor tak jakoś zapalił się, iż natychmiast, wśród salonu spotkawszy starą pannę, pobiegł za nią do jadalnego pokoju.

— Na miłość Boga — zawołał — co to znaczy kasztelanowa z synem? pani nie wie?

— Ja? a skądże ja mam wiedzieć o tym. — Jak to? pani się nie domyśla?

— Ja nie jestem domyślną wcale. Teodor rozśmiał się.

— Muszę więc panią przestrzec, Walerek, który się ożenić nie może, a pragnie, przybył pewnie nie bez myśli. Trzeba go znać.

— Bardzo miły człowiek! — odezwała się panna.

Nie przeczę bynajmniej — rzekł Teodor — niepodobna go nie pokochać, ale jutro nas wszystkich w karty przegra. Od pół roku wiem, że matce dał słowo i nie gra — odparła panna Kornelia.

I płochy.

Może był, ależ wiek! ustatkował się zupełnie — wtrąciła kuzynka — a przyznam się panu, że przy nim wszyscy, wiele was jest, wydajecie się nieokrzesanymi.

Pan Męczyński sapnął.

Nie wiedziałem, że w takich łaskach u pani!

A na cóż mu łaski moje się przydały — żywo szczebiotała panna — on ani moich, ani niczyich nie potrzebuje. Nie ma kobiety, która by go pokochać nie była zmuszoną, gdy się o to postarać zechce.

Teodor zamilkł, skrzywiwszy usta.

— Tak pani sądzi.

— Nie ja, ale wszyscy.

— Szczęśliwy człowiek! — sucho rzekł Teodor i odszedł.

Gdy się to działo, Walerek w ganku zalecał się już gospodyni, która bardzo grzecznie, ale przyjmowała go zimno i serio, nie dając mu się spoufalać, do czego aż nadto był skłonnym. Nie zraziło to pretendenta, który, snadź mając to w instrukcjach, wkrótce przeszedł od pani do siostrzeńca, chcąc i jego serce podbić.

Adrian, zwykle otwarty i żywy, na ten raz przybrał postawę sztywną, ale że niemal grał rolę półgospodarza, musiał być grzecznym.

— Śliczny park — rzekł Walerek — co za kampania senioralna! Jak tu czuć ducha i smak gospodyni, co za wdzięk we wszystkim. Dawno bardzo nie byłem w Zamostowie, jestem nim prawdziwie oczarowany.

Ja także rzekł Brzoski. Ciocią i jej rezydencją razem.

Nie dziwuję się, gdyż jedno doskonale odpowiada drugiemu — mówił Walery — pan tu spędza...

Wakacje wtrącił Adrian i bardzo mile. Sąsiedztwo mamy nieliczne wprawdzie, ale wystarczające dla cioci, która nie lubi zbyt tłumnego, ani zbyt wrzawliwego towarzystwa.

A! a! — rzekł Walery — ale tak młoda osoba.

Umysł poważny nad wiek, dla niej spokój i cisza najwyższym dobrem.

Ha! to przyznam się panu, że jak na wakacje, niekoniecznie właściwe sobie wybrałeś miejsce pobytu.

Dlaczego? — odparł Adrian — w Zamostowie mam ciszę, a gdy chcę swawoli i śmiechu trochę, jadę do pana Teodora, którego dzierżawcy dom jest bardzo wesoły.

Tak! u dzierżawców często się bardzo dobrze

bawi — dodał Walerek. — Są to ludzie, co potrzebują stosunków i przyjmują hojnie. Są panny? — zapytał po chwili.

— Dwie, i bardzo ładne — mówił Adrian — oprócz tego mam polowanie w lasach u pana Pawła, u Krzysztofa Poboga, w naszych i Zieleniewszczyźnie.

— Gdybyś mi pan zrobić chciał ten zaszczyt, prosiłbym go do siebie.

— O! serdecznie dziękuję, wakacje się kończą, a ja jestem pono na odjeźdźnym, liczę już dni ostatnie.

— To szkoda.

W istocie Walerek rad był wyjazdowi temu, bo go uprzedzono, że siostrzeniec podejrzany jest o popieranie kogoś innego.

Zaczęli mówić o psach, koniach i innych młodzieńczych zabawach, a Adrian nie omieszkał przybyłemu tak odmalować życia i usposobień ciotki, aby mu odjął wszelką nadzieję. Trudno to jednak było z takim pewnym siebie człowiekiem, który nawykł był do łatwych zwycięstw i o niczym

nie wątpił. W rozmowie z hrabiną kasztelanowa nie mogła się powstrzymać od pochwał tego swego Walerka.

Powiadam ci, droga moja, nie dlatego, że to syn mój, ale drugiego takiego chyba nie ma na świecie. Młodość miał cokolwiek burzliwą, ale któryż mężczyzna przez to nie przechodzi? Dziś zaś co to za statek, rozum, a co za serce złote? dla mnie co za syn! dla przyjaciół, dla wszystkich co za anielska dusza. Łzy mi stoją w oczach, gdy mówię o nim. I proszę cię, kochana hrabino, takiego człowieka dotąd ożenić nie mogłam! a tak tego pragnę. Chciałabym spokojną umrzeć widząc go szczęśliwym.

Piękna Wanda, domyśliwszy się ukrytej w tym zaczepki, poczęła gorliwie swatać rozmaite panny i wdowy, ale kasztelanowa każdej miała coś do zarzucenia. Wzdychała, patrząc na nią. Odwiedziny trwały dosyć

długo, szczególnie dla gospodyni, pana Teodora i Adriana. Męczyński postanowił nieodbicie przesiedzieć tych gości i stołka Waleremu przystawić. Kasztelanic wyjeżdżał niezadowolony wcale, popisywał się świetnie i czuł, że nie czynił wrażenia, matka też była jakoś smutną. Napomykała kilka razy, że Walerek pragnąłby bywać częściej w Zamostowie, na co odebrała tylko bardzo zimną odpowiedź. Jakoś go nie zapraszano. Hrabina oświadczyła nawet, że nie jest pewną, czy na czas jakiś nie wyjedzie z domu.

Humor Kornelii, zrazu bardzo wesoły, pod koniec się też zmienił i stał ponurym. Spodziewała się wcale innego wrażenia, a choć tłumaczyła sama przed sobą, że od pierwszych odwiedzin niepodobna było wymagać wiele, jednakże gniewała się na hrabinę.

Po wyjeździe kasztelanowej Teodor, już z kapeluszem w rękę, przysiadł się do gospodyni, od niechcienia jakoś zaczawszy jej opowiadać żartobliwie żywot i sprawy kasztelanica.

Z początkiem słuchała ich roztargniona hrabina, lecz wkrótce przerwała mu tym, że wiedziała to wszystko z dawniejszych czasów. Musiała nawet wspomnieć z tego powodu męża, czego zwykła była starannie unikać. Dała do zrozumienia, że nierada by słuchać więcej.

Jakby domyślając się tej małej intryżki, przysiadła się zaraz panna Kornelia, usiłując ją zneutralizować.

Znałam dawniej pana Walerego odezwała się zawsze to był człowiek niezmiernie miły, ale jakże dziś zyskał, jak zyskał, jak spoważniał. Co za dowcip, jakiegoś sympatycznego, a jakie serce, jaki to syn dla matki!

W istocie? spytała hrabina zmienił się tak bardzo w twych oczach? Ja tego nie znajduję!

A! pani moja poczęła Kornelia jak można tego nie widzieć.

Rozpoczęty w ten sposób panegiryk kasztelanica ciągnął się długo, bo panna Kornelia i wymowną była, i wielomówną, czy poskutkowało, osądzić było trudno, gdyż Wanda słuchała go chłodno i niewiele zdając się do tego przywiązywać

wagi. Teodor nareszcie odjechał, a Adrian, gdy zostali sam na sam, wziął się, aby Kornelię doprowadzić do niecierpliwości, dalszemu ciągowi pochwał kasztelanica stawiając najrozmaitsze przeszkody i najpocieszniej rozłamując rozmowę. Hrabinę bawiła wesołość siostrzeńca i rozdrażnienie starej panny, która w końcu musiała sama śmiać się, aby gniewu nie zdradzić.

II

Zbliżała się w istocie chwila wyjazdu Adriana, który, jak mógł, pobyt swój przedłużał w Zamostowie. Zajmowało go tu wszystko, ale któż wie, czy ten młody opiekun, któremu się tak szczęśliwie powiodło zbliżyć jednych, drugich pouśmiewać, który zdawał się jak z pionkami na szachownicy postępować z tymi, co go otaczali, nie mając do posuwania się na niej woli własnej, kto wie, czy ten panujący nad innymi chłopak sam nad sobą panować umiał. Wieczory spędzane z pannami Zamorskimi nie poruszyły wcale młodego jego serca, a rozmowa jedna z prostą dziewczyną wyjść mu nie mogła z pamięci. Dusia wabiła go, jak zagadka. Za drugim razem spotkawszy się z nią,

przekonał się, że pierwsze wrażenie mylnym nie było, dziewczę miało dlań urok dziwny. Nic nie mówiąc nikomu, a korzystając z pozwolenia pana Krzysztofa, poszedł w las jego polować sam jeden. Nie wiem, czy co zabił, czy co widział nawet, lecz tak się obrachować jakoś potrafił, że na skraju lasu z Dosią się spotkał. Wracała z poziomkami dla pana Krzysztofa.

Dziewczę się nieco zmięszało z początku, zobaczywszy Adriana, ale natychmiast oprzytomniało.

Dobry wieczór pannie Wilczkównie.

A! dobry wieczór panu. Chciała odchodzić zaraz.

— Cóż to pannie tak śpieszno.

— No, nie, ale — zarumieniła się — jeszcze by też dopiero, gdybym z panem w lesie miała gawędzić, kiedy już i tak...

— I tak? co? proszę dokończyć.

— Mówią, że to nie uchodzi.

— Któż mówił?

— A jegomość stary...

— A skądże wiedział o jakiej rozmowie?

— Ja mu sama o niej powiedziałam, bo się kryć z niczym nie umiem. Stary powiada, że młodzi wszyscy to bałamuty. Rozśmiał się Adrian.

— Niech mu panienka powie, że starzy są gdery.

— Ale co panu po mojej rozmowie, jam prosta dziewczyna.

— I prosta rozmowa najmiłsza — rzekł Adrian.

Ja od pana to bym się jeszcze czego nauczyć mogła, ale pan ode mnie?

O! bardzo wiele! patrząc jej w oczy wesoło, rzekł Adrian — ja jestem uczony z książki, a panna masz mądrość leśną, która więcej warta.

Na cóż pan kłamie! odezwało się dziewczę, które odchodzić chciało, a stało jak przykute.

Prawdę mówię.

Jak się dowie jegomość, jak mnie spotka, to dopiero będzie! szepnęła jakby sama do siebie — bądź pan zdrow.

Pobiegła kilka kroków. Adrian stał i patrzył zamyślony.

Jeszcze słówko! zawołał — tylko słówko. Stanęła.

Czego pan chcesz?

Pożegnać się z panną Dosią.

Albo co?

— Jadę stąd, i któż wie, może tu nigdy nie powrócę, może panienki nie zobaczę nigdy. Podniosła oczy jasne na niego.

— A to dlaczego? — spytała — któż panu broni?

— Mieszkać będę w innych stronach, więc choć dobre słówko.

Spuściła oczy.

— E! pan bałamucisz! a czyż ja wiem, co za dobre słowo powiedzieć, dobre słowo? Najlepsze słowo... Niech Bóg prowadzi — dodała cicho, a głośniejszym głosem rzuciła: — Do zobaczenia! do zobaczenia!

I uciekła żywo. Pan Adrian stał długo w miejscu, dopiero, gdy mu z oczów znikła, powoli powlókł się do Zamostowa. Przez cały wieczór zamyślony był i smutny, zdawał się czekać chwili, gdy się pozbędzie panny Kornelii, i nareszcie został sam na sam z ciotką. Pocałował ją w rękę.

— Mam rozmaite prośby do kochanej cioci — rzekł — ale potrzebuję ośmielenia.
Rozśmiała się hrabina.
— Ty?

Czasami bywam strasznie bojaźliwy — rzekł Adrian.
Ale kiedyż?
Gdy się obawiam, że mogę być źle zrozumianym.
Mówże, o co idzie?
Nie jest to tak łatwo, jak się zdaje.

Rękami potarł włosy, odrzucił je na ramiona i począł:

Prośba jest oryginalna, jak ja czasem bywam. Oto prosiłbym pani hrabiny dobrodziejki, ażeby kiedykolwiek przejeżdżając drogą około chaty pana Wilczka, stojącej na samej granicy lasów pana Krzysztofa, raczyła wstąpić pod jakimkolwiek pozorem, a wstąpiwszy, starała się widzieć i rozmówić z panną Dosią Wilczkówną.

— A! znowu ona! tyle o niej mówicie, żem doprawdy jej ciekawa.

— I należy ciekawości tej dogodzić. — A potem?

— Jeśli się Dosią podoba, jeśli ją znajdzie ciocia taką, jaką się ona nam wydaje, czemuż by jej nie można wziąć do Zamostowa na wychowanie? — Z takiego szlacheckiego kruszczu zrobić artystyczne arcydzieło nie byłoby to godnym jej serca? nie zajęłoby to cioci i nie rozradowało, gdyby pod jej oddechem pączek ten rozkwitł pięknymi, pełnymi barwami?

— Ale cóż ci się śni? — zawołała hrabina — ja? wychowywać to dziecko lasu? czyżby mi ją dali rodzice?

— Z pewnością — rzekł Adrian — byłoby to dzieło chrześcijańskie, godne serca waszego.

— Tak — przerwała hrabina — oderwać ją od tego życia, w którym jest szczęśliwą, dać jej nowe pragnienia z jej stanem niezgodne, na to, ażeby wyrzucona ze społeczeństwa, stała się istotą

zwichniętą i biedną, jeśli nie gorzej, jedną z tych nie należących do żadnej klasy wyrzutków, związkami krwi połączonych z ludem, a duszą z tymi, co ją odepchną lub... Adrianie, znać, żeś młody.

Nie zapieram się tego — odparł Adrian spokojnie — właściwością mojego wieku jest marzenie, lecz, gdyby Dosia stała się tym, czym marzę?

To cóż? — zapytała hrabina. Adrian pocałował ją w rękę.

Burę dostanę — ożeniłbym się z tą Dosią. Pani Wanda śmiać się zaczęła, lecz wkrótce twarz się jej zasepiła.

Mój Adrianie — rzekła — przypuść, żem cię usłuchała, wzięłam Dosię. Ty naturalnie rok lub więcej nogą byś nie powstał w moim domu, zajęłabym się nią

całym sercem. Po tych dwóch latach alboś ty się gdzie indziej zakochał i zapomniał o narzuconej mi wychowawcy, alba powracasz i znajdujesz dziewczę zmienione, pozbawione tego wdzięku prostoty, który miał urok dla ciebie, i Dosia osiada na koszu, nieszczęśliwa na życie całe.

— Dlaczego? dlaczego? — pochwycił Adrian. — Mój Boże! więc wychowanie i światło jest tak niebezpiecznym darem, który z sobą niesie pragnienia, jakich świat nasycić nie może? Więc nauka może być trucizną? więc ona tylko namiętności i żądze rozwija, a nie rozum, co nad nimi panuje? Ja sędzę, że wychowanie powinno uczyć człowieka godzić się z przeznaczeniem, z pracą, z niedolą nawet, i dawać mu siły a nie osłabiać?. Jakież by to było wychowanie, co by gorszym oddało dziecię, niż wzięło? Dlaczego ma stracić prostotę? To są wszystko dla mnie rzeczy niezrozumiałe, chyba tym wytłumaczone, że wychowanie jest złe, a ja o takim wiedzieć nie chcę. Niech jej ciocia

da dobre, a da jej skarb. Z takim ona nie powstydzi się rodzicom pomagać w najcięższej pracy i ubóstwo lżejszym się dla niej stanie.

Adrian mówił z zapałem, który hrabinę ujął, zbliżyła się doń i pocałowała go w głowę.

Masz słusność — rzekła — jam mówiła o wychowaniu tym tuzinkowym, pospolitym, któremu imię to dają niesłusznie, tyś je pojął lepiej. Gdybym wiedziała, że potrafię...

Ciociu, niech głowie pomoże serce... tymi tylko dwoma czynnikami coś dokonać można, one są jak dwie części składowe powietrza, którym oddychamy, żadną z nich żyć samą nie można, spojone z sobą, dają życie. Serce może się obłąkać, rozum może się omylić, we dwoje są nieochybni...

Ja ci się oprzeć nigdy nie umiem — szepnęła hrabina — więc zobaczemy...

Adrian aż upadł przed nią na kolana, pochwycił jej rękę, całując z zapalem, i wybiegł szybko.

Nazajutrz jakby się wstydził pokazać po tej wieczornej scenie, Adrian pojechał do pana Teodora. Godzina była, w której się go zastać spodziewał, a nie znalazł. Powiedziano mu, że jest na folwarku.

Nie pytając, co się tam działo, nie spodziewając się, ażeby mógł być natrętnym, Adrian poszedł znajomą przez ogród drożyną. Zbliżając się ku dworowi, postrzegł w podwórzu kilka! bryczek i jeden koczobryk wyświeżony, ludzi pełno kręciło się około domu. Okna były otwarte, a przez nie gwarna i wesoła dolatywała rozmowa. Wstrzymało to nieco pana Adriana, który nie uważał, że chłopak go wyprzedził i dał znać panu Męczyńskiemu o jego przybyciu. Już chciał się zawracać, gdy razem pan Teodor i Zamorski w granatowym fraku, białej kamizelce, nankinowych spodenkach, wybiegli naprzeciw niemu.

— Prosimy pana! prosimy!

Wpadam tu niespodzianie na uroczystość jakąś, bardzo przepraszam.

Żadna uroczystość, panie dobrodzieju! Do ubogiej chaty kilku łaskawców raczyło przybyć, aby być świadkami szczęścia rodziców. Panie dobrodzieju, mojej córki, Michaliny, zaręczyny z Maciorkiewiczem...

Nie było się wymówić sposobu. Na ganek z kieliszkami wychodziła już szlachta, kilku z zawieszonymi wąsami taratatkowych, dwóch we frakach, jakby z archeologicznego zbioru pożyczonych, wreszcie Maciorkiewicz, ładny chłopak ubrany ad hoc wykwinicie, z wąsami blond i bródką podstrzyżoną. Trzeba się tedy było przedstawić szanownemu towarzystwu i pójść powinszować zarumienionej pannie, ubranej w białą suknię z pąsowymi wstęgami. Zupełnie podobnie ustrojona była Liza, której ufryzowane włosy spadały

w puklach na białe ramiona. Matka dnia tego miała złoty łańcuch na szyi i zegarek.

Pan Teodor po kilku kieliszkach węgrzyna ze szczególnym zuchwalstwem uśmiechał się do pięknej Lizy, która go jawnie i oczywiście kokietowała. Fortepian stał otworem, bukiety, gdzie się tylko mogły zmieścić. Na stole, już zburzonym szturmem, jaki doń przypuszczano, cały zastęp butelek i plama od! czerwonego wina świadczyła o gościnności gospodarzy. Niesiona już kielich panu Adrianowi dla spełnienia za zdrowie przyszłej pary.

Maciorkiewicz tego dnia był najniezszczęśliwszym z ludzi; serce go ciągnęło ku narzeczonej, a Misi się zdawało, że przyzwoitość wymagała, aby się dlań okazywała jak najchłodniejszą, odsuwała się więc od niego z przesadzoną skromnością. Za to Liza uśmiechami, wejrzeniami, słówkami obdzielała wszystkich, co się nią zachwycali, a najobficiej pana Teodora, który dybał na nią widocznie, stawał przed nią bezwstydnie z kieliszkiem i całując w ręce nieustannie, szósty raz pił jej zdrowie. Matka

udawała, że nie widzi, ojciec, że nie rozumie. W panu Teodorze zdawała się odbywać walka wewnętrzna, której płomień wino podsycało. Ujął Adriana za rękę i odprowadził go na stronę.

Proszę cię, kochanie moje, przypatrz się tej dziewczynie. Hebe! powiadam ci.

Hebes! pomyślał Adrian, ale głośno się odezwał: Weźże ją waćpan, aby mu nektar nalewała całe życie.

Tak, ale, ba! zawołał Męczyński — zapewne, a lata! Młodym się to ja czuję, a jednakże rachunek, rachunkiem. No i ten świat, ten świat...

Wskazał nieznacznie na taratki.

Z dziewczyny jeszcze zrobiłoby się może, co należy, bo instynkt ma przedziwny, ano, rodzice, krewni, cioteczni, wujeczni, stryjeczni, wszystko to rękawiczek

nie nosiło, chyba na niedzielę i wełniane. Bigosem karmione, chustki do nosa uważa za luksus i po francusku ani w ząb!

— Tak, to prawda — szepnął Adrian — ale Hebe.

— A oczy! patrzaj tylko — mówił Teodor — też to błyskawice z nich lecą i pioruny w samo serce. A biust! proszę cię, biust! marmur żywy... a...

Przerwał, bo się właśnie Liza zbliżała, jakby czuła, że na nią patrzą, i chciała się jeszcze bliżej pokazać w całym blasku. Pan Teodor zawołał:

— Pijemy pani zdrowie!

— A! panie — zawołała trzpiotnica — państwo mi wszystkie zdrowie wypijecie. Dość już tego.

— Ja nie tyle się obawiam o zdrowie pani — zawołał Adrian — co o pana Męczyńskiego, upija się zarówno winem i wzrokiem pani i gotów postradać przytomność.

— O! o! panowie jej zawsze macie dosyć, ażeby z nas sobie żartować — odpowiedziała żwawo Liza

wszystko, co mówicie, ma pozór słodczy i grzeczności, a w istocie to tylko niemiłosierne szyderstwo.

Skądżeś pani się nauczyła takiej niewiary? spytał Adrian.

Pani, co jeszcze z wieku złudzeń i marzeń nie wyszłaś dokończył Teodor.

I my mamy tradycje nasze odpowiedziała Liza.

A! więc to przestrogi mamy! rozśmiał się Teodor ale niech pani wierzy, że mężczyźni są, jak diabli, nie tak czarni, jak ich malują.

Porównanie do diabłów rozśmieszyło Lizę, spojrzała na Teodora, którego twarz, rozczulona winem i widokiem Heby, dziwnie sentymentalnie była wykrzywioną, Adrian także się uśmiechnął.

Ja ręczę za mego przyjaciela, pana Teodora, że wcale czarnym nie jest, mimo wszelkich tradycyj, ma

tylko tę wadę, że jest nieśmiały, pani powinna mu dodać odwagi.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszej, tak by ich pan Teodor nie słyszał, dziewczę bystro spojrzało na Adriana, dając mu niby znak, że go zrozumiało, i zwróciło wzrok na Teodora, który oczów z niej nie spuszczał.

— Żal mi mojej Misi — rzekła figlarnie — najprzód moje prawo starszeństwa stracone, potem towarzyszka i przyjaciółka mi ubywa, na ostatek lituję się nad jej losem.

— Przecież to małżeństwo nie przymuszone — rzekł Teodor — ale z przywiązania i wzajemnej skłonności.

— A kto by tam wierzył w męskie przywiązanie — zawołała Liza.

— Czy i to należy do tradycji? — spytał Adrian.

Liza się śmiała, spoglądając na pana Teodora, wyzywając go oczyma; Męczyński zbierał się na jakąś ostrą i strzelistą odpowiedź, ale się lękał powiedzieć za wiele.

Pani rzekł wreszcie niech się wszystkie kobiety boją, niech nie wierzą, ale nie godzi się tak mało ufać sobie, pani, co masz oręż na podbicie serc najtwardszych... w wejrzeniu, w uśmiechu, w głosie, w dowcipie...

I w czymże jeszcze więcej? spytała Liza.

I w całej swej uroczej postaci... i...

Dziękuję panu zawołała Liza a jednak z całą tą postacią nie mogłam uprzedzić Misi i nie znalazłam dotąd dla siebie Maciorkiewicza.

Imię to wymówiła z pewnym żartobliwym przyciskiem, pan Teodor pomyślał o możliwości pokrewieństwa z Maciorkiewiczami i dreszcz go jakiś przeszedł, ostygł znacznie i zamyślił się. Dziewczę to postrzegło i oczyma znowu ogrzewać go zaczęło, a że kieliszek był wypróżniony, pobiegło po butelkę, by go na

lać, wymagając, aby pan Adrian i Męczyński wypili zdrowia, które zalegały. Stało się, jak kazała.

Towarzystwo niezmiernie było ożywione, gwar panował w pokojach i w ganku, Liza pomagała matce, biegała więc ciągle i chwilami tylko zbliżała się do Teodora, który ją ścigał oczyma.

— Na miejscu pańskim — szepnął Adrian — nie czułbym się bezpiecznym przy takiej zwodnicy, zobaczysz pan, że padniesz jej ofiarą.

— Niebezpieczeństwo jest w istocie wielkie — odezwał się, wzdychając, Teodor — ale między nami mówiąc, serce moje nie jest zupełnie wolnym.

— Niezupełnie? więc kątek jakiś zajęty? — rozśmiał się Adrian — nie mógłbym się dowiedzieć przez kogo?

Teodor napił się wina, westchnął i rzekł z powagą:

— To moja tajemnica, kiedyś może, ale dziś jeszcze jej zdradzić nie mogę. Dziewczę to barwi mnie, to prawda, lecz rozum każe stronić od pokusy. Chodźmy.

Wyszli obaj na ganek, gdzie męskie towarzystwo rozprawiało o koniach, o gospodarstwie, o myślistwie i innych sympatycznych przedmiotach. Adrian miał zręczność przypatrzeć się po raz pierwszy temu szczeroci pełnemu, serdecznemu kółku pocziwej szlachty, która była najpewniejszą, że ogromne brzemień pracy dźwigała na swych ramionach. Stękali wszyscy, kieliszki krążyły dokoła, a pracowitsi upominali się o karty do preferansa i wista, aby nie próżnować.

Teodor, zaledwie się schroniwszy tu od pokusy i porzuciwszy Adriana, prawie natychmiast wciągniony wzrokiem Lizy, powrócił znowu do pokoju. Nigdy może tak wielkie mu nie groziło niebezpieczeństwo. Dziewczę, jak ostrogą ukłute zaręczynami siostry, dobijało nieszczęśliwego Męczyńskiego, który się bronił tylko wspomnieniami hrabiny trochę, a nazwiskiem Maciorkiewiczów...

Rodząca się namiętność zaczynała sofizmatami zasłaniać się od napaści. Można się przecież było wynieść gdzieś tak daleko, aby tam o Maciorkiewiczach słuch nie dochodził. Liza tego dnia wydawała mu się tak piękną, tak pełną życia! Nie właściwiejże było jej młodością dopełnić swej dojrzałości, niż sprzęgać dwie istoty przeżyte, jak on i hrabina? Wszystko to mówił sobie pan Teodor i już, już nabierał odwagi do stanowczego kroku, gdy wiekowi właściwa obawa i brak tej woli sprężystej, co do czynu popycha, cofały go i onieśmiały.

Lizie zdawało się, że już dosięga celu, gdy nagle stary kawaler stygł, ziaął, zamyślał się i milczący odchodził. Stało się to i teraz, bo zaledwie kilku słowy począł sentymentalną rozmowę, która daleko bardzo z pomocą zręcznej współuczestniczki zaprowadzić go mogła, gdy się Maciorkiewicz nawinał, oblał go jak zimną wodą i pan Teodor na ganek powrócił.

Adrian, zdrajca, skorzystał z tego i wsunął się do salonu, w którym panna starsza gospodarowała.

potrzebują, aby im zadać nieco gwałtu, aby im litościwą dłoń podać. Pani mnie rozumie?

— Niezupełnie — odparła Liza — bo skądże pan wiedzieć możesz, czy ta osoba, ten ktoś życzy sobie ośmielać pana Teodora, a nie przeciwnie?

— Spodziewam się tego — odezwał się Adrian — bo pan Teodor jest człowiek miły, dobry, zacny i godzien sympatii.

— Ale sympatie się rodzą, a któż wie?

— Jeśli jej nie ma, nie trzeba przynajmniej zostawiać go w błędzie i okazać mu, że może sobie szukać jej gdzie indziej.

— Przepraszam pana — śmiejąc się i mrużąc oczki, rzekła Liza — daj mi pan słowo, że powiesz prawdę! Czy proszono pana o pośrednictwo?

— Daję słowo, że nie — odparł Adrian.

— Więc tak, przez miłosierdzie nad tym nieszczęśliwym?

— Nie inaczej.

Cóż to za dobre serce! — parsknęła Liza, spoglądając mu w oczy.

Pani jesteś tak zachwycającą istotą. — zakończył Adrian — że każdy by jej służyć pragnął, ale jesteś niedoświadczoną, przynoszę więc tylko dobrą radę, ot tak, czy się zda na co, czy nie, i rzucam ją pod nóżki pani, choćbyś ją zdeptać miała.

Liza się zarumieniła, czując odgadniętą, zakręciła się, spojrzała bystro, nie odpowiedziała nic i uciekła.

Zatrzymano Adriana mimo woli, chociaż po razy kilka brał za kapelusz, chcąc się wysunąć. Zamorski miał na to sposób doskonały: zaczynał zaraz utyskiwać nad tym, że zapewne takie towarzystwo hreczkosiejów i ich proste,

wiejskie przyjęcie do smaku paniczowi być nie mogło. Naturalnie trzeba było czynem protestować przeciw temu przypuszczeniu i zostać na dłużej. Nad wieczór podano przez pożyczanego kuchmistrza

wystylizowany obiad, do którego i gość przypadkowy zasiąść był zmuszony. Teodor znalazł się, istotnie mimo woli, koło panny Lizy, zdawało się to być w przeznaczaniu.

Naprzeciwko posadzono Adriana, który mógł czynić postrzeżenia nad bardzo trafną metodą kokietowania na przemiany zaczepnego i odpornego panny Lizy. Potrafiła ona do końca obiadu tak wyłącznie opanować dziedzica, że nie obawiając się nawet oczów licznych świadków, zwróconych na siebie, cały nią tylko był zajęty, a gdy od stołu wstawano, podał jej rękę i przy czarnej kawie jeszcze poczetą przeciągał rozmowę.

Ku wieczorowi potrafił wreszcie Adrian, z wielką przebiegłością zdobywszy swój Kapelusz, wysunąć się przez ogród, aby powrócić do Zamostowa. Już oddychał swobodniej po tej wrzawie, gdy szybkie kroki usłyszał za sobą i uczył się za rękę pochwyconym. Był to pan Teodor, który z odkrytą głową wymknął się za nim i cały zdyszany zawołał mu nad uchem:

— O... włos!

Niezrozumiały był ten wykrzyknik, ale wnet nadszedł komentarz.

Co? spytał Adrian.

O włos, że m głupstwa nie zrobił westchnął stary kawaler dziewczyna mnie opętała, miałem już na ustach słowo, które by mnie było związało! Szczęściem, w czas rozum przyszedł. Już nie powrócę do nich, nie, nie... Dostyc tego igrania z ogniem.

Szanowny panie rozśmiał się chłopak ale dlaczegoż nie masz odwagi, jeśli na ochocie nie zbywa?

Tak! zapewne, ale widzisz... Te dwie metryki, a potem, widzisz, ci Maciorkiewiczze, a na ostatek to śliczne dziewczę może odszedłszy od ołtarza dopiero przekonać się, że kochać mnie nie potrafi. Nie! nie! nie!

Pan Teodor po obiedzie był trochę zanadto ożywionym i szczerzym niż kiedykolwiek.

— Wiesz co? — rzekł — dla mnie ideałem jest nie ta pokusa, ale, już ci się przyznam, twoja ciocia. Przed nią bym padłszy na kolana oświadczył się w pięć minut, gdyby na mnie okiem rzucić raczyła!

— Ach! — zawołał Adrian zdziwiony — bardzo mi pana żal, żeś tak niewygodnie swój sentyment umieścił. Ciocia była długo nieszczęśliwą i nie wiem, by drugi raz chciała iść do ołtarza. W najszcześniejszym razie zresztą, czyż nie widzisz pan, że stokroć byś był z nią w trudniejszym położeniu, niż z tą różową i białą pokusą, dla której sam możesz być ideałem i która cię słuchać będzie, gdy z moją ciocią...

Nie dokończył.

— Rozumna uwaga, za którą dziękuję — odpowiedział Teodor — ale cóż, gdy tam serce ciągnie.

— A do Lizy?

— E! to płocha pokusa.

Zaczęli się śmiać, pan Teodor odprowadził Adriana do ganku, pożegnał go, postanowił jak najmocniej na folwark już nie powracać, zasiadł w swoim pokoju, ale w kwadrans Zamorski, Maciorkiewicz i trzech obywateli przyszli za zbiegami, aby ich prosić, by towarzystwa nie pozbawiali tak drogiej ozdoby i uczynili mu zaszczyt dotrwania z nimi. Adriana już nie znaleziono, Teodor padł ofiarą, powracać musiał, pił znowu i całego rozumu swego potrzebował, by po wieczery sam na sam w oknie stojąc z Lizą, nie wyrzec nieodwołalnego słowa.

Tego dnia jednak, na wargach mu drgając, nie przeszło ich. Teodor został ocalony. Liza nad rankiem, rozbierając się w swoim pokoiku, zamyślona, tupała nóżką z niecierpliwości.

To niegodziwy uwodziciel i zdrajca! mówiła. Gdybym się nie wstydziła, płakałabym ze złości.

Doprowadzi zawsze prawie do... do ostatniego słówka, zdaje się, że już nic a nic nie braknie, tylko dokończyć sylabę. Nie! tej jednej sylaby niczym mu z ust wyciągnąć nie można. O! czekaj pan! gdy się pobierzemy, bo ja muszę być jego żoną, odpłacę za to, chyba bym nie żyła! odpłacę!

Męczarnie pana Teodora w inny tylko sposób powtarzały się na pustelniku... Powrócił do zamku z odwiedzin w Zamostowie w stanie ducha, który go przerażał. Zostawszy sam na sam z sobą, czuł się rozgorączkowanym, pomięszanym, a co najgorzej, niepewnym własnych wrażeń i ich następstw.

Wieczór był, gdy się z Adrianem rozstali, i pan Krzysztof, przeszedłszy pieszko ścieżynkę od krzyża do zamku, znalazł się w spokojnym swoim dziedzińcu, okolonym murami, a dwa Hermesy, stary i młody, wyszedłszy na spotkanie, lizały mu ręce, skacząc i witając.

Cisza i spokój tej kamiennej trumny otoczyły go znowu, ale dokoła głowy czuł ulatujące jak mary

słowa, dźwięki, wspomnienia, nawet nadzieję. To ukojenie, którym go karmiła jego pustelnia, już z niej uciekło, została tylko grobowa cisza i tęsknota. Minął dziedziniec, nie powitał słowem starego sługi, poszedł roztargniony wprost na górę do swojej izby.

Na stoliku stał przygotowany talerz poziomek, przysłany przez Dosię, pan Krzysztof spojrział nań i nie tknął. Stary przyniósł świecę i postawił przy oknie na zwykłym miejscu, ale próżno czekał, aby mu co powiedział pan Krzysztof, i wysunął się w końcu z westchnieniem.

Znał on już z oznak zewnętrznych ten stan duszy swojego pana, który zburzonym będąc zwykle, błędny, godzinami bił się po swym mieszkaniu jak w klatce! Tym razem tylko zapomniał o towarzysze zwykłej swych dumań o fajce. Z rękami zaciśniętymi na

piersiach, z głową spuszczoną chodził, stawał. Powtarzał sobie każde słowo Wandy, od pierwszego z nią spotkania w parku aż do pożegnania, każde z nich tłumaczył, rozbierał, ważył. Nie ze wszystkich swych odpowiedzi był zadowolonym, znajdował, że więcej, że szczerzej mógł się wynurzyć przed nią, zdawało mu się, iż powiedział za mało, a nie to, co był powinien. Wnikał w jej duszę i nie był pewnym, czy ją zrozumiał. Wszystko dlań było wątpliwym. Czasami znajdował w niej dawną swą ukochaną Wandę, znajomą, to znowu inną, drugą, podobną do tamtej, ale ostygłą i niewiary pełną. Dwie jakby postacie łączyły się w jednej, dwie twarze miała ta żywa: oblicze umarłej i rysy wskrzeszonej.

Z przestrachem porywał się za pierś, w której serce biło; znowu czuł, że kochał, że dał się wyciągnąć do świata żywych i że strącenie go na powrót do mogiły byłaby śmiercią straszliwszą nad tę, którą się przemęczył.

Co miał poczyć? sam nie wiedział, dokąd uciec? czy z przeznaczeniem się zgodzić i odrobiną kropelką zwilżając spiekłe usta, czekać, aż ducha z nich resztką uleci.

Pomimo tej mocy, jaką miał nad sobą, pan Krzysztof przekonał się, surowo badając, że do dawnego stanu powrócić nie potrafi. Do szczęścia nie miał ni prawa, ni nadziei osiągnięcia go, ale dlaczegoż miał odpychać cień jego? Rozmyślając, wpadł na to postanowienie, iż mu starczy widzieć, słyszeć, być przypuszczonym przed jej oblicze i karmić się okruszynami. To dlań było dozwolonym, dlaczegoż miał chcieć wszystkiego lub nic i nie przyjąć w pokorze jałmużny? Dawniej byłby pewnie oburzył się sam na taki wydział połowiczny szczęścia, na cień jego, zamiast rzeczywistość; dziś gotów był przyjąć niewiele, aby nie wracać do pustyni i ciszy.

Zamek wydał mu się ponurym, brudnym, nieznośnym. Na ścianach jego wisiały wszędzie wspomnienia męczarni długoletnich, jak te zeschnięte głowy i ćwierci ciał, które na grozę zbrodniarzy dawniej na blankach twierdz rozwieszano. Dumając, ani się spostrzegł, jak świeca dogorzała w lichtarzu, zasyczała i zgasła. Znalazł się sam w ciemnościach, a przez szyby okien wpadał brzask dnia wczesnego, który już na wschodnim rodził się niebie. Zmęczony rzucił się na posłanie. Jedynym ratunkiem na ten stan niepokoju było znużenie cielesne.

— Jutro w las! w las! — rzekł, kładąc się — kilka dni w ostępach, kilka nocy na barłogach, głód, trud, bezsenność złamię — i... uleczą.

Gdy się zbudził, słońce już było wysoko, obawiając się jakiej przeszkody, natychmiast porwał strzelbę, zawołał Hermesa, zapowiedział w domu, że nie powróci pewnie dni kilka, i uciekł ścieżyną w głąb swych lasów.

W torbie miał trochę chleba, trochę wody w blaszance i flaszeczkę z wódką; starczyło mu to na długo. Jagody w lesie kołysały pragnienie i zaspokajały głód, wreszcie miał zawsze chatkę Wilczków jako schronienie, gdyby się czuł nadto znużonym.

Błądzenie to po lesie, dawniej tak skuteczne, teraz wszakże prawie było niepodobnym. Siadał co chwila i dumał, lub roztargniony rozbijał się o drzewa. Ptastwo i zwierz pierzchały mu prawie spod nóg bez wystrzału.

Dwa dni i dwie noce spędził w takiej wędrówce bez celu, po różnych zakątkach, nie zaglądał nawet do Wilczków, bo i tam lękał się znaleźć wspomnienia i zamiast pokoju rozdrażnienie nowe. Wreszcie znużenie i wyczerpanie zupełne trzeciego dnia zaprowadziły go do zagrody leśniczego po południu.

Dosia, spostrzegłszy go z daleka, jak zawsze, wy

biegła na spotkanie i zabrała mu torbę i strzelbę, pocałowawszy go w rękę. Spojrzała mu w twarz i znalazła go bardzo mizernym i bladym.

— Znowu pan pewnie kilka dni po lesie błąkać się musiał, bo widać, jak okrutnie zmęczony. No, czy to się godzi! Pan mnie nauki daje, a mógłby mnie posłuchać.

Wyszła i pani Wilczkowa.

— Pewnie pan głodny! Słyszę, trzeci dzień, jak z zamku! — miłosierny Boże, a toż się pan zamęczy!

Pan Krzysztof, prawie nic nie odpowiadając, siadł na przyźbie. Zakręcili się zaraz wszyscy, aby go czym posilić.

Wilczek, który już od półtora dnia niespokojny z daleka się za nim włóczył nie postrzeżony, także nadszedł z innej niby strony do domu. Dosia, która dawniej umiała go rozweselić i usta mu rozwiązać, tego dnia mimo szczebiotania dokazać tego nie mogła. Patrzył na nią nie widząc i milczał. Podano naprędce, co w chacie było gotowego, bo się go po troszę spodziewano,

pan Krzysztof ledwie czego dotknął i zabierał się spoczywać, gdy drogą ponad zagrodą ujrzano posuwający się powóz, któremu się kazano zatrzymać.

Nie dostrzegłszy jeszcze, kto w nim był, pan Krzysztof natychmiast pierzchnął z ławy, na której siedział, i schował się do dworku.

Z powozu wysiadła właśnie Wanda, która przybyła sama jedna, nie wzięwszy nawet z sobą nieodstępnej towarzyszki, panny Kornelii. Służący tylko szedł za nią.

Do dworku Wilczków rzadko kto, mimo jego położenia nad drogą, zachodził, zdziwili się więc wszyscy, postrzegłszy piękną panią, która z wolna, rozglądając się, weszła na podwórko i skierowała się ku chacie. Wilczek znał hrabinę z widzenia i jako gospodarz posunął się na jej przyjęcie. W progu dworku stała opodal nieco Dosia, fartuszek trzymając pod brodą,

wcale nie zmieszana tym niespodziewanym zjawiskiem. Trochę głębiej za nią bojaźliwie wyglądała sama Wilczkowa. Grzmilas był zamknięty, a Hermes pana Krzysztofa, który dla pań pięknie ubranych miał poszanowanie, wystąpił z Wilczkiem na powitanie z taką uprzejmością, jakby był jej dawnym i dobrym znajomym.

— Choć nieznamoma panu Wilczkowi — odezwała się hrabina — ale znając go z jego gościnności, pozwoliłam sobie zająć tu, aby chwilkę spocząć... a jeśli będziecie łaskawi mi dać szklankę mleka...

— Pani hrabina — odezwał się stary kłaniając — wcale nie jest nam nieznajomą. A któż to pani naokół nie zna i kogo pani kiedy nie poratowała? Toć to szczęście takiego mieć gościa... bardzo proszę — mówił prowadząc. — Dosiu! — zawołał — krzeselka...

Hrabina ciekawym okiem rzuciła na dziewczę, ale jej znikło. W chwileczkę potem niosła już zarumieniona stółek i ustawiała go przed dworkiem. Miała więc pani Wanda czas dobrze się jej przypatrzeć. Dosia była jak na dzień powszedni ubrana bardzo skromnie, w koszuli, kaftaniku,

spódniczce ciemnej i fartuszką nie bardzo białym. Nie miała nawet trzewików, a ręce zakasane poza łokcie zarumienione i opalone. Już chciała uciekać Dosia, gdy hrabina chwyciła ją za rękę i zatrzymała.

Zatrzymajże się, moja piękna panno Dosiu — odezwała się słodkim głosem, wesoło — tylem o was słyszała, że rada bym poznać bliżej.

Dziewczę wcale bojaźliwym nie było.

Pani słyszałaś o mnie? A od kogóż? — zawołała.

A! od bardzo wielu osób.

Od wielu! — powtórzyła Dosia, myśląc — to już nie wiem, bo my tu mało kogo widzujemy. Chyba jak nasz pan był chory, to tu więcej się czasem gości trafiało, a tak...

— Pusto tu, cicho, ale ładnie — mówiła hrabina — a nie tęskno?

— Tęskno? a dla czegoż by tęskno być miało, tać to raj, proszę pani — szczebiotało zupełnie już ośmielone dziewczę.

— Taki śliczny las dokoła, łąki zielone, cicho, tylko pracować i modlić się, a Pana Boga prosić, aby stąd nie wypędził.

— Szerszego świata nie jesteś ciekawa? — zapytała hrabina, a ojciec odpowiedział, uśmiechając się, za nią:

— My tu wszyscy swojemu radzi.

— Przecież — odwracając się ku niemu, rzekła Wanda — Dosi by nie zawadziło i coś więcej widzieć, i trochę się rozpatrzeć.

— A jej to po co? — odezwał się Wilczek — wysokiej edukacji my nie potrzebujemy, a co dla zbawienia duszy wiedzieć potrzeba, to się nauczyło.

— Główkę, słyszę, ma Dosia bardzo otwartą — wtrąciła hrabina.

Ano, na to się skarżyć nie mogę — począł Wilczek — dziewczyna roztropna... Com też ja umiał, a z książek miał i wiedział, tym się z nią podzieliłem.

Hrabina wpatrywała się w nią bacznie, ale i Dosia równie ciekawa badała strój, twarz i każdy ruch pięknej pani.

Pewnie to najlepsza nauka, co z ojcowskiego serca płynie — ciągnęła dalej Wanda — ale pan Wilczek na to nie może mieć, widzę, czasu.

A ja też, proszę pani — odezwała się Dosia. — O! żeby tak czas! ja bym się uczyła bardzo chętnie i czytała a czytała, ale matce trzeba pomóc, a tu koło domu dużo roboty. Mamy, proszę pani, krówki i ptastwo, i gospodarstwo, no i o krośnach nie można zapomnieć, a ogród! to też pilności potrzebuje. Dzień od brzasku do wieczora jak mignął i już go nie ma. Chyba w święto albo w niedzielę to się tam jaką godzinę poczyta.

— Ale to prawdziwie szkoda — mówiła hrabina — że przy takiej ochocie tak mało. czasu. Coś by na to poradzić potrzeba, panie Wilczek.

Zamilkła chwilę, jakby się namyślała.

— Już ciż by się kimś posłużyć znalazła, a Dosię by doprawdy trzeba dać jeszcze na naukę.

— A! niech Pan Bóg obroni! — zawołał Wilczek — niech Matka Boska uchwata. Ja bym ze strachu zdechł, żeby mi poczciwego dziewczęcia nie popsuli, a głowy mu nie przewrócili!

Dosia się uśmiechnęła, kręcąc głową.

— Boby też można Dosię powierzyć nie na takie ręce, gdzie sumienia nie ma.

— Ale nie! nie! — dodał Wilczek — lepiej tak, jak jest!

Całej tej rozmowy przez na wpół otwarte okno dworku słuchał pan Krzysztof i serce mu biło. Czuł się wzruszonym, rozrzuwionym prawie. Usposabiał go ku temu stan jego duszy. Chciał wyjść, pokazać się, wmięszać do rozmowy i nie śmiał, kilka razy poruszał się już i wstrzymywał, wreszcie, nie

mogąc wytrwać tak dłużej, wyszedł z chaty.

Wanda obróciła się, słysząc kroki czyjeś, postrzegła go i mocno się zarumieniła. Krzysztof miał twarz wypogodzoną, tak jak jej nie widziała jeszcze.

Zbliżył się, z uśmiechem ją witając.

Nie mogę dłużej podsłuchiwać rozmowy — rzekł — i siedzieć w ukryciu... Przychodzę za moją. wychowanekę podziękować.

Siadajże pan — odezwała się hrabina — a kiedy los tak zdarzył, że tu jesteś, czemu niewymownie rada, musimy razem coś dla tej miłej wychowanki obmyśleć, nieprawdaż?

A możemy się posprzeczać? — zapytał Krzysztof, któremu Dosia właśnie drugi stołek przyniosła i usta

wiła. Chciała odejść zaraz, lecz hrabina dała jej znak, by pozostała.

— Sprzecajmy się, byleśmy się nie gniewali, gniew własny i cudzy ciężą na duszy.

— Słyszałem, żeś hrabina życzyła dla Dosi wychowania i nauki... mnie się zdaje — rzekł Krzysztof — iż jest pewien stopień obojga wystarczający do rozwinięcia moralnej strony człowieka, bez niepokojenia go i przeszkadzania mu do jego powołania... Dosia właśnie jest w tym stanie szczęśliwym, który starczy jej potrzebom. Nauka czasem bywa jak fabrykowane piwo, zamiast koić pragnienie, budzi je do nieskończoności.

— Tych wszystkich obaw ja nie podzielam — odezwała się Wanda — im człowiek staje wyżej, tym widzi lepiej. Nauka, to uzbrojenie do życia, nadto go mieć nie można.

— Nie chcę się sprzeczać z panią — po cichu dodał Krzysztof — zawłaszcza że życzenie jej z tak pięknych wpływa pobudek.

— Szczególniej z tej, że jak wszyscy mówicie, i ja sama widzę — przerwała hrabina — zdolności

są wielkie, których zagrzebywać nie należy.

Więc cóż? oddamy ją na pensję? ach! — zawołał Krzysztof — biedne dziewczę wymęczyłoby się okrutnie.

Ale nigdy w świecie — poczęła żywo Wanda — trzeba, żeby ktoś z miłością i poświęceniem się nią zajął.

Gdzież znaleźć kogoś takiego?

Hrabina zmilczała nieco, podniosła głowę, spojrzała na Krzysztofa i uśmiechnęła się.

A mnie byście ją nie powierzyli? — spytała — mieszkam tak blisko, że ojciec i matka widywać by ją mogli, ona by do nich dojechać i dojść nie miała trudności, ja bym miała zajęcie, a w dodatku pan Krzysztof dla wychowanki przyszedłby mnie też może czasem odwiedzić.

Uszom swym nie chciał wierzyć stary, a Dosia poczęła patrzeć z większą coraz uwagą na hrabinę.

— A! pani — zawołał Krzysztof — to chyba niepodobna, takie poświęcenie.

— Ale to byłoby najmiłsze w świecie zajęcie, ja bym to za łaskę poczytywała.

Dosia wcale nie opierała się rzuconej myśli, rozbierała ją w duchu.

Przywołano Wilczka, który się był usunął.

— Słyszysz, co hrabina wnosi? — rzekł Krzysztof — rada by Dosię wziąć na jakiś czas do siebie.

— Do garderoby? — spytał Wilczek, marszcząc się.

— Nie, nie, do mnie, przy mnie by była, czytałybyśmy razem i bawiłybyśmy się rozmową. Kiedy niekiedy mogłaby tu przyjechać.

Stary poszedł w rękę pocałować hrabinę, oczy mu pojaśniały.

— Ale czyżby to mogło być? a...

— Gdyby jej źle i nieznośnie było, wszakże by każdego czasu powrócić do was mogła.

W ten sposób rozpoczęło się traktowanie o Dosię, a ta milcząc słuchała go, nie odzywając się ani słowa. Mówiono za i przeciw, wezwano matki, która niepewną była, czy ma się cieszyć, czy płakać, na ostatek wyrok o sobie zostawiono jej samej.

Hrabina, patrząc jej w oczy, ujęła jej opaloną ręką i spytała:

Jakże ci się zdaje, możesz mi zaufać? chcesz jechać ze mną?

Stała Dosia milcząca, spojrzała na Krzysztofa, który po sobie nic poznać nie dawał, na ojca milczącego także, na matkę, widocznie zaniepokojoną, zdała się ich pytać i badać, jakie to na nich uczyni wrażenie.

Jeśli rodzice i opiekun pozwolą — rzekł — ano, to z ochotą, tylko matusi trzeba kogo dać, co by jej

pomagał, bo sama nie wydała albo gospodarstwo upadnie.

— O tym ja pomyślę — zawołała hrabina.

Dosia przyklękła u kolan Wandy.

— No, to mnie pani bierz, jeśliś łaskawa, będę cię słuchać jak matki.

Pocałowawszy ją w obie ręce, pobiegła ojca, matkę i pana Krzysztofa całować rozradowana i wzruszona. Nagle, spojrzawszy po sobie, stanęła jakby przestraszona.

— Ale jak ja się tak we dworze pokażę! a! mój Boże! to się dopiero ludzie będą śmieli! Tu, w chacie, wszystko dobre, ale tam...

— Na to poradzimy! — szepnęła hrabina — ja jutro po was przybędę ze wszystkim, co potrzeba; pojedziesz ze mną.

Kto by się był przypatrzył panu Krzysztofowi, jak się wśród tej rozmowy mienił, jak chłód z siebie

zrzucał, jak coraz śmielej zbliżał się do hrabiny, zdziwić by się musiał nagłej metamorfozie. Szczęście, którego doznawał, przeistoczyło go zupełnie, dawna owa dobra, łagodna, żywa i śmiała Wanda znowu stała przed nim. Miał prawo zbliżyć się do niej, mówić, patrzeć, czegoż mu więcej było potrzeba? Wychowanka stawiała się węzłem, który łączył ich na nowo.

Hrabina także czuła się tego wieczora szczęśliwszą, niż od dawna była, nie wiedząc czym, dobra myśl, dobry uczynek wlał w nią życie, którego jej brakło. Ucałowawszy Dosię i szepnąwszy jej na ucho, że jutro przyjedzie z południa po nią, siadła do pojazdu i odjechała. Gdy znikło im z oczu to zjawisko, dopiero się całej rodzinie rozwiązały języki swobodniej. Wilczkowa zaczęła płakać nad utratą córki, znajdowała tyle niebezpieczeństw na dworze, iż jej od siebie puścić znowu nie chciała, ojciec sam nie wiedział, co począć, pan Krzysztof milczał. Trzeba się było dać wszystkim

śłom i uczuciom wydobyć, wymówić i samym się przewalczyć. Ku wieczorowi w istocie uspokoiła się matka, ojciec rozweselił, a Dosia, która na chwilę nie straciła odwagi i nie zachwiała się, gdy jej wolę zostawiono, oświadczyła stanowczo, że pojedzie. Wreszcie i pan Krzysztof był w końcu za tym, ale bez łez i troski obejść się nie mogło tak ważne postanowienie, a matce zawsze ta miła odległości wydawała się gdzieś za światem. Dosia raz w tydzień obiecywała odwiedzać rodziców.

W rozmowie też nieznacznie wspomniała hrabina, że jej siostrzeniec odjeżdża i zapewne przez czas długi w Zamostowie bywać nie będzie mógł, dla nauk, które musiał dokończyć. Wpłynęło to wielce na zgodę ze strony pana Krzysztofa.

Panna Kornelia, która przejażdżką hrabiny była wielce zaintrygowaną, gdyż celu jej nie wiedziała, a domyślała się jakiegoś niebezpieczeństwa, czekała na powrót niecierpliwie. Wanda wysiadła w dobrym humoże, weszła i powitała ją tym, że ma jej dobrą zwiastować nowinę.

Dobną? tom bardzo ciekawa, co też to być może spytała Kornelia a gdzie pani była, jeżeli zapytać wolno?
Jeździłam ponad granicą i lasami, a odpoczywałam kilka chwil u Wilczków, gdzie spotkała pana Krzysztofa. Jestem z tego bardzo rada, bom z nim zawarła znowu zgodę i jesteśmy przyjaciółmi.
A! i to ma być ta dobra nowina? spytała Kornelia, zagryzając usta.
To jedna, a drugą jest, zem sobie wzięła jeśli nie na wychowanie, bo to by było może za późno, to na wykształcenie jej nieco, Dosię! córkę leśniczego.
A! tę sławną Dosię! tę nieporównaną, którą się to wszyscy tak zachwycają.
Tę samą odpowiedziała spokojnie hrabina

jest to w istocie miła i zdolna dziewczyna, chciałabym przyłożyć się w czymś do jej wykształcenia.

— Pani ją bierze do garderoby? — zapytała Kornelia.

— Wcale nie, będzie przy mnie — odezwała się hrabina — będzie ze mną.

Kuzynka zamilkła, widocznie dotknięta tym, że leśniczanka miała zasiąść może obok niej na krzeselku.

— Pańska fantazyjka! droga pani — poczęła z uśmiechem ironicznym — ale ja nie mam w tym głosu, wychowasz pani kockodona i niewdzięcznicę, głowa się jej przewróci, ale cóż to do mnie należy.

— Czasem, gdy się ma dobre intencje, to i fantazje mieć wolno — zakończyła hrabina.

Na tym przerwano rozmowę, panna Kornelia usunęła się zburzona i niemal gniewne.

— Zobaczemy — rzekła — jeśli położenie moje stanie się do niezniesienia, trzeba będzie inaczej pomyśleć o sobie.

Bądź co bądź, z usposobienia panny Kornelii łatwo wniesć było i gospodyni, że Dosią będzie miała wiele do przetrwania ze starą panną. Zapobiegając jak najtroskliwiej stykaniu się ich z sobą, tegoż dnia gabinet przy swej sypialni kazała hrabina urządzić dla Dosi i cały wieczór temu poświęciła.

Panna Kornelia przyszła niby w pomoc, ale nie mogła się wstrzymać od ostrych słówek i żarcików. Czuła, że ofiara ta wysliznie się z jej rąk, już zaostrzonych na przyjęcie. Poczęła ją nazywać nie inaczej jak faworytką. Hrabina zdawała się na to nie zważać wcale.

Adrian, który późno z polowania powrócił, dowiedziawszy się o tym, co już w całym dworze było głośnym, polecił dziękować ciotce.

Proszę się, żadnych podziękowań, bo ja to nie dla ciebie czynię, ale z egoizmu, dla siebie; poddałeś

mi myśl, za którą ci jestem wdzięczną. Na nieszczęście spełnienie jej musi być hasłem do twojego odjazdu. Nie mogę na to pozwolić, abyś mi ją tu bałamucił.

— Jadę — rzekł Adrian posłusznie, całując ją w rękę — wprawdzie parę dni dłużej potrzeba mi się było zatrzymać, ale te przebędę u Teodora. Ciocia ma słuszność, i ani słowa. Kiedyż przybywa wychowanka?

— Jutro!

— Więc ja raniuteńko się do Zieleniewszczyzny przenoszę.

— Jeszcze raz ci dziękuję za myśl dobrą, której się cała chcę poświęcić; zbliżyła ona do mnie i przejednała ze starym przyjacielem, panem Krzysztofem. Spodziewam się, że przed odjazdem pojedziesz do niego na pożegnanie.

Adrian spojrzał na hrabinę, mówiła jakoś tak spokojnie, tak łagodnie, że mu dodała śmiałości do wystąpienia z tym, co mu na sercu leżało...

Pocałował piękną rączkę raz jeszcze.

Gdy się zuchwałemu raz coś uda, to on jeszcze bardziej się uzuchwala odezwał się niech mi ciocia pozwoli być szczerym, albo zamknie od razu usta. Pan Krzysztof kochał, kocha i kochać musi ciocię, czyż nie należałoby mieć litości nad nim?

Adrianie, o tym ani słowa poważnie zaczęła hrabina wkraczasz już w te sfery, których prawa nie masz dostąpić, chcę być w zgodzie z panem Krzysztofem, ale nic więcej, rozumiesz mnie, nigdy, nic więcej...

Wstała zarumieniona cała.

Przepraszam — rzekł Adrian — zdawało mi się, że szczęście cioci...

Ja jestem zupełnie szczęśliwą i tego, co mam, stawiać nie myślę na kartę. Zostaw mnie samej sobie. Chcę być swobodną. Życia zostało niewiele, lata biegną jak strzały, dobijem się tak jakoś do końca. O szczęściu,

o jakim wy marzycie, młodzi, nam się już myśleć nie godzi. Dostyc, mój Adrianie, proszą cię.

Zamilkli więc. Jakiś czas trwało milczenie to, ale hrabina chodziła po pokoju poruszona i długo się uspokoić nie mogła.

Chłopak zaczął mówić o czym innym, posiedział jeszcze i zapowiedziawszy, że nazajutrz rano wynosi się do pana Teodora, a raz tylko przyjedzie jeszcze na pożegnanie, wyrzekł dobranoc i wyszedł. Zostawało mu przed odjazdem

wiele do czynienia, chciał być u Pawłostwa, u Krzysztofa i uspokoić się, że Teodor przestanie nudzić hrabinę. Co do kasztelanica, o tego los był spokojnym, nie pojmował bowiem, ażeby się mógł podobać. W Zieleniewszczyźnie zastał starego kawalera w uporządkowanym nieco ogrodzie, który teraz wcale czysto wyglądał, świeżo wynudzonego przez starego Olszaka i zadumanego o przyszłych losach. Pan Teodor ziewał mocno i na losy swe narzekał. — Był w tym usposobieniu, w jakim się

szczególniej starzy kawalerowie często znajdują, gdy chmury obloką im horyzont i wszystko wydaje się czarnym, okropnym, rozpaczliwie smutnym.

Masz pan załogę ze mnie na trzy dni — rzekł podchodząc Adrian. Ciotka mnie wypędziła z Zamostowa, a że przede dniami trzema wyjechać nie mogę, stawam u pana na egzekucji.

Jak to, wypędziła? cóżeś zbroił? czy może jaka awanturka w garderobie?

Uchowaj Boże! wcale nie jestem skłonny do tego, ale hrabina bierze na wychowanie Dosię i uważa, że tam, gdzie ona ma być, ja jestem niebezpieczny i nieprzyzwoity; kazała mi jechać precz. Jadę.

Co? co? co? Dosię bierze hrabina? skądże, na miły Bóg, do tego przyszło?

No, z dobrego serca.

— Czy z nudów może, ale czemuż lepiej za mąż nie idzie?

— Spytaj pan ją! ja nie mogę! — śmiejąc się rzekł Adrian. — Przyjmujesz mnie pan na trzy dni?

— Na trzy miesiące, trzy lata! — zawołał ściskając go Teodor — tym bardziej że mnie formalny spleen napadł. I dziw! Nieszczęśliwszej doli nad moją nie znam. Nigdy mi się w życiu nic nie udało.

— Wiesz pan dlaczego?

— Szukam właśnie przyczyny.

— Ta jest bardzo prosta, nigdyś pan do niczego nie przywiązywał takiej wagi, aby chcieć prawdziwie i wytrwale dążyć do tego wszelkimi siłami. Przysłowie łacińskie, mądrość narodów, powiada: Amor i Labor zwycięża wszystko.

Teodor ramionami ruszył.

— No, niech sobie będzie, jak chce, dosyć, że mi na świecie wszystko opak idzie. Co tu począć? co począć!

Zamyślony przechadzał się i wzdychał.

Przyjacielu kochany, trzeba chcieć i mieć wolę, to wasza rzecz. Ja potrzebuję się z Krzysztofem pożegnać, jedziesz pan ze mną?

Dziś nie mogę za nic! przerwał Teodor jutro.

Zajęty pan dzisiaj jesteś?

Tak, zajęty jestem, tak powtórzył roztargniony pan Teodor.

Przeszedł się parę razy po ścieżce, dobył z kieszeni chustkę, zawiązał na niej węzełek, zmięszał końce, zebrał je w rękę i patrząc na nie, chodził znowu,

Ciągnij pan węzełek i rozstrzygnij o moich losach rzekł do Adriana.

Chłopak śmiać się począł.

W ślepe losy nie wierzę kłaniając się i cofając, odparł Adrian nie ciągnę, ale o cóż chodzi?

Gorączkowo jakoś schował pan Teodor chustkę do kieszeni.

— Na starość człek głupieje — odezwał się smutnie. — Nie, ale słabnie.

— To wychodzi na jedno.

Rozmawiali o wszech rzeczach, między innymi o hrabinie, za którą jak najuroczyściej zaręczył Adrian, że za mąż iść nie myśli, co zasmuciło Męczyńskiego na chwilę, aż z folwarku nadszedł Zamorski, zapraszając na obiad. Pan Teodor wcale u siebie kuchni nie miał.

Poszli tedy do Zamorskich, gdzie kobiet nie zastali w pokoju, ale salonik cały zarzucony mnóstwem bielizny i rozmaitych części wyprawy, którą robiono dla Misi. Kobiety same się nią zajmowały.

— Wie pan co — rzekł, uśmiechając się, Zamorski — my, ludzie w dorobku, musimy każdą rzecz robić oszczędnie, po gospodarsku. Moja żona wyrachowała, że dwie wyprawy razem sprawiając, taniej nam wypadną. Zachód jeden, Liza przecież kogoś sobie znaleźć musi, szyje się więc dubeltowa wyprawa!

Teodor pokiwał głową.

Doskonała myśl! potwierdził Adrian.

Wtem wpadła Liza i chwyciła się za potarganą główkę.

Ot, to nas panowie pięknie zastali wśród tych gałganków! Dopiero się wyśmiewać będziecie z parafiańszczyzny.

Przynajmniej nie ja — rzekł Adrian — bo mi Się panie przy domowych zajęciach wydajecie najpiękniejszymi.

Taka proza! westchnęła Liza.

Życie jest prozą! są poezji chwile, ale tło szare, takie przeznaczenie. W poezji popalilibyśmy się prędko.
Lizy oczki błysnęły.
Krótko żyć, a dobrze! szepnęła.
Nie, długo i dobrze poprawił Adrian.

Teodor stał nad sztuką płótna i dumał. Krajały się z niego podobno poszewki i prześcieradła.
— Dla pani także robi się wyprawa! — rzekł sentymentalnie do Lizy.
— Któż to panu powiedział? — ofuknęła żywo Liza, i pogroziła ojcu, który się śmiał, pewien, że nie zgrzeszył.
— Masz więc pani już kogoś w zapasie — mówił Teodor.
Liza figlarnie oczki spuszczała, jakby mówiła: — Nie chciałeś mnie, muszę sobie innego szukać.
Męczyński był w humorze najgorszym, poszedł do okna, siadł w nim i zamyślony patrzył na obory, które wcale poetycznie ani malowniczo nie wyglądały. Liza ścigała go oczyma z daleka. Wyszła i pani Zamorska z nożyczkami u pasa, a czepkiem trochę na bakier, i Misia wreszcie dosyć smutna. Wazę niesiono na stół.
Adrian rad był odgadnąć, dlaczego dziedzic dnia tego nie chciał się ruszać z domu, przeczuwał, że

coś się stanowczego święciło, i w milczeniu robił postrzeżenia. Ale po obiedzie nagle Teodor jakby zmienił zdanie, sam wniósł, żeby jechać do państwa Pawłostwa. Wymknęli się pod niebytność Lizy w salonie.

Walczę z sobą mruknął Teodor na ucho przyjacielowi dziewczyna mi się podobała, powiem ci szczerze, rodzice wcale by nie byli od tego, ona oczkuje i uśmiecha się, odwagi nie mam! Wieczorem czasem już, już bym się oświadczył, strach ogarnia i odkładam do jutra. Nazajutrz rano o białym dniu wydaję się sam sobie śmiesznym. Łysina i gdzieniegdzie siwe włosy. Tfu! do kata. Ale w końcu raz trzeba się decydować, bo tylko co nie widać drugiego jakiego Maciorkiewicza. Gdyby mi ją kto wziął, byłbym w rozpacz, a sam się posunąć nie mam odwagi. Jedźmy do Pawłostwa, zyskam dzionek i namyślę się.

— Czy znasz pan tę anegdotkę o wiarusie, co stał dwanaście lat u wdowy na kwaterze na wsi? — spytał Adrian.

— Nie przypominam sobie.

— Posłuchajże jej pan — kończył chłopak. — Dwunastego roku, gdy wiarus zawsze myślał się oświadczyć, wyszedł rozkaz do pułku, żeby zmienił kwatery. Wiarus był w rozpacz, utrzymywał, że gdyby jeden dzień jeszcze, wszystko by się najszcześliwiej skończyło. Boję się, żeby co podobnego nie spotkało pana.

Pojechali tedy do Pobogowszczyzny. U państwa Pawłostwa zastali po staremu wszystko. Wacek był już trzy razy u stryja, a za czwartym wybierała się z nim matka i Magdzia. Wielka panowała obawa i niepewność, jak się ten krok uda. Pan Krzysztof był już tak usposobiony, że niebezpieczeństwo zdawało się nie grozić żadne, biedna pani Pawłowa odkładała także z dnia na dzień, nie mając odwagi do stanowczego kroku.

Jedźmy jutro wszyscy — rzekł Adrian, którego to niecierpliwiło.

Chwycono się tej myśli, Teodor tym bardziej, że to znowu przeciągało walkę, której lękał się ostatecznego wypadku. Opowiadanie o Dosi, o panu Krzysztofie, zajęło wszystkich, pani Pawłowa myślała, czyby nie najbezpieczniej było przez hrabinę i z jej pomocą dobić przejednania, ale Adrian odważnie brał wszystko na siebie.

Kochana pani — rzekł na wyjeździe — nie odkładajmy, bijmy żelazo póki gorące, pan Krzysztof jest w dobrym usposobieniu, potrzeba z tego korzystać.

Ja chcę dla niego urządzić w jednym z folwarków mieszkanie — dodał Paweł — po co ma się wędzić na tym starym zamku, który mu kiedyś jeszcze może runąć na głowę. Mógłby las sprzedać, a folwark okupić, albo mu go dać dożywotnią dzierżawą, bo wiem, że choć od brata, darmo go nie weźmie.

— To na później — dodał Adrian — najprzód niech no lody prysną.

Umówiono się więc nazajutrz jechać do zamku. Teodor i Adrian mieli przybyć na ranny obiad i razem ruszyć do pana Krzysztofa.

Gościnni gospodarze tak wstrzymywali swych gości, że późno już wrócili do Zieleniewszczyzny. Nie było żadnego projektu wstępowania na folwark, ale przejeżdżając około niego, posłyszano dźwięki fortepianu. Liza, którą cały dzień zajmowała wyprawa, wieczorem marzyła przy fortepianie. Teodor nagle powziął myśl powiedzieć dobranoc Zamorskim.

— Wierz mi, Adrianie — rzekł — to dobre wcale ludziska, prości sobie, ale co w sercu, to na dłoni, żadnego fałszu, i Liza poziomeczka. Wstąpimy na chwilę tylko.

Zamorski palił fajkę w ganku, zerwał się uszczęśliwiony.

— Tylko dobrej nocy państwu życzym i uciekamy! — krzyknął Teodor.

Muzyka ustała, Liza wypadła na ganek.

Takeś mnie pan nastraszył! Słyszę krzyk, myślałam, że się pali!

Pani szepnął Adrian w sercu pana Teodora istotnie się pali, ale...

Liza się odwróciła od niego.

Bez ponczyku panów nie puszczę. Moja żona tak poncz lekki robi, najlepszy do poduszki, że w życiu nic podobnego nigdzie nie piłem... po szklaneczce...

Zaczęto się targować, noc była księżycowa, śliczna, siedli w ganku. Liza pobiegła z matką poncz przyrządzać, Teodor, który pod wieczór miał paroksyzmy odwagi, o mało nie pobiegł za nią, wstrzymał się w progu i zawrócił. Uląkł się sam siebie. Wiedział, że w tej porze nie powinien być wierzyć sobie. Adrian spojrzał nań z politowaniem i uśmiechnął się.

Ponieważ pani Zamorska już była rozebraną, po całodziennych trudach kosztując spoczynku, Liza ją u wazy zastępowała i znowu porównanie do Heby przyszło na myśl Teodorowi.

Przez wdzięczność za ten przydomek, o którym wiedziało dziewczę, dolewało staremu kawalerowi trunku, który wcale słabym nie był, ale w istocie smacznym i zdradziecką słodyczą krył energiczny charakter. Energia też w części udzielała się panu Teodorowi, który przy ostatniej szklaneczce pochwycił rączkę, co ją podawała, i namiętnie do ust przycisnął.

W tej chwili Zamorski, niezmiernie coś zajmującego opowiadając Adrianowi, uczył potrzebę odprowadzenia go na drugi koniec ganku i nikt nie widział tego całusa.

— Co pan robisz! — zawołała Liza.

— Całuję tę cudowną rączkę! — odparł Teodor, który jej nie puszczał. — O pani! o pani, gdybyś pani wiedziała.

— Co? ale cóż takiego?

— Gdybyś pani domyśleć się mogła! o pani!

Nie jestem domyślna, ale ciekawa, powiedzże pan.

Nie mam odwagi.

Wstydzisz się pan.

Wstydzę się, a odwagi nie mam.

Czy to tak co zdrożnego?

Teodor pocałował jeszcze raz paluszki, które mu się nie wrywały, i westchnął.

To szczęście, że nikt nie patrzy, a pan tak sobie pozwalasz. Puśćże pan rękę, proszę.

Niech się nasyce tą śliczną rączyną! o pani! Za kilka dni już kto inny mieć będzie prawo do niej i...

Kto taki? zapytał przestraszony Teodor.

Nie mogę powiedzieć, ale jest ktoś taki.

— A ja o tym nic nie wiem!

— I nikt jeszcze — szepnęło dziewczę. — Misia mi wstyd zrobiła, musiałam sobie szukać narzeczonego.

— Ale któż taki? kto? kto śmiał? Liza parsknęła.

— A pan co masz za prawo?

— Ja? prawa? tak, ja żadnego nie mam prawa, ale życzę pani tak dobrze... tak... tego...

— Dziękuję, i chciałbyś pan przeszkodzić dlatego, że życzysz mi dobrze?

— Wie pani co? — szepnął Teodor — ja, ja pani coś powiem jutro, to jest zapytam ją jutro o coś, coś takiego, zobaczy pani.

— Dlaczegoż nie dziś? — zapytało dziewczę. Teodor zamilkł. Nie wiedział już, jak radzić sobie, spoglądał, jakby ratunku błagając, na Adriana i Zamorskiego, lecz ci byli tak zatopieni w głośnej i żywej rozmowie, iż wcale nań nie uważali. Ojciec pod rękę trzymał młodzieńca i coś mu za oborami

pokazywał, a tu tymczasem losy starego kawalera rozstrzygać się miały. Dałby był wiele, gdyby mógł to jeszcze odłożyć choćby do jutra, lecz Liza powtarzała: Dlaczegoż nie dziś.

Wie pani, dziś, nie, nie czuję się godnym, to jest nie mam odwagi.

Ale ja jestem niezmiernie ciekawą — poczęła Liza. No, dobrze, słowo szlacheckie, jutro mi pan to powiesz? tak?

Jutro, tak, pani, niezawodnie.

Kiedy?

Wie... wieczorem — bąknął Teodor, całując ją w rękę — wieczorem.

Liza się uśmiechnęła ironicznie.

Daję panu tylko ostatni termin do jutra, albo będę się strasznie gniewała.

A niech Pan Bóg broni!

Poncz się nareszcie skończył, panowie ogrodem odeszli do dworu.

— No — rzekł Teodor — już tedy dziś, teraz, się o mało, o mało nie oświadczyłem, a jutro, nie wiem, jak z tego wyjdę. Ale gdybyś wiedział, kochany Adrianie, jaka trema mnie porywa, gdy na szalę życie przychodził stawić. Maciorkiewicz, parafiańszczyzna, ach! ach! jestem najniezwyklejszy z ludzi. Liza śliczna, nie ma co mówić, ale szwagier Maciorkiewicz! jak ci się to podoba? prawda? ładnie. Księżę Hieronim jest u mnie z wizytą, prezentuję mu szwagra. Jak się zowie — Maciorkiewicz. Choć się powiesić, a dziewczyna jak malina. Adrian śmiał się, ale już nie odpowiadał ni słowa.

III

Ubrana skromnie, ale starannie, własnymi hrabiny rękami, Dosia, której w tych nowych sukienkach dosyć było ładnie, choć się w nich jeszcze poruszać swobodnie nie umiała, upadłszy do nóg rodzicom, popłakawszy trochę i łzy otarłszy prędko, siadła do powozu. Stary Wilczek i żona jego, i chłopak, i Grzmiłtas długo stali u wrótek zagrody, patrząc, jak im z dala wiewała chustką córka. Matka, żegnając ją krzyżem świętym, ocierała łzy. Pana Krzysztofa nie było dnia tego, nie chciał być natrętnym. Któż wie, może obrachował sobie, by mieć prędko pozór do zjawienia się w Zamostowie?

Gdy Dosi nie stało we dworku, jakby z niego życie uciekło, posmutniało wszystko. Każdy kątek ją przypominał. Matka tę sukienkę, którą zrzuciła, przycisnęła do piersi i popłakała znowu. Stary ojciec rozumem się pocieszał, ale czymże jest rozum, gdy cierpi serce?

Tymczasem Dosia jechała milcząca i coraz większą czuła w sobie trwożę, jakby przeczuwała Kornelię, która tam czekała na nią. Przez ten dzień kuzynka miała czas pomyśleć nad sobą, położeniem i przyszłością; zdawało się jej, iż

powinna była zakochać się w wychowawcy i faworycie i być dla niej bardzo czułą. Tym sposobem tylko zbliżyć się do niej mogła, a potem... Myśli nie dochodziły do końca. Któż wie, co tam wypaść mogło...

Gdy powóz się zatrzymał u ganku i hrabina, wysiadłszy, za rękę wzięła Dosię, aby ją zaprowadzić do jej pokoiku, na drodze znalazła się panna Kornelia z najmiłszym swym uśmiechem. Nie mogła się powstrzymać od wykrzyknienia i zachwytu nad tą śliczną wiejską, skromną pięknnością. Znajdowała, że hrabina szczęśliwszego wyboru uczynić nie mogła, że twarz była sympatyczna, wzrok pełen bystrości i rozumu, uśmiech pełen słodczy, postać nieszukanego wdzięku... Czy hrabinę ucieszyło to przyjęcie, nie wiadomo, zamilczała...

Poszły do pokoiku Dosi, w którym było wszystko, czego tylko dziewczę potrzebować mogło, nawet wiązanka kwiatków witała ją na nowym mieszkaniu. Jej się to wydawało tak wspaniałym, tak pięknym, że prawie tknąć niczego nie śmiała. Potem oprowadziła ją hrabina po domu, a gdy podano wieczerzę, posadziła ją przy sobie, aby każdy ruch jej i słowo pochwyć.

Dosia była trochę niezgrabna, lecz wpatrywała się w drugich i do nich zastosowywała. Panna

Kornelia, która się przysiadła z drugiej strony, podszeptowała też jej życzliwe przestrogi, aby ją sobie pozyskać. Mówiło dziewczę mało, trwożliwie, rumieniąc się mocno, wstydząc za siebie, lecz że oprócz starego regenta nikogo więcej nie było, wieczerza przeszła szczęśliwie.

Pokój hrabiny przez ścianę był tylko od gabinetu Dosi, drzwi łączyły je z sobą. Wanda nie uspokoiła się, dopóki jej spać nie położyła. Ale dziewczę wstało po cichu, klękło przy łóżku i modliło się, płacząc, długo, bo i szczęśliwe było, i trwożne.

Nazajutrz, gdy z rana Wanda otworzyła drzwi, znalazła Dosię już ubraną, a przy niej usłużną pannę Kornelię, która już troskliwie różne jej dawała przestrogi. Tak się rozpoczął ten dzień drugi w Zamostowie, za którym iść miał cały szereg jemu podobnych. Wanda sama zasiadła z nią do lekcji i uczyła się tak rozgrzaną tą myślą nauki, iż dzień, jej niepostrzeżony upłynął.

Gdy się to działo w Zamostowie, nasi panowie zaspali nieco po ponczu i jego wrażeniach. Teodor wstał z bólem głowy i trwogą tego terminu, który sam oznaczył. Pamiętał o nim dobrze.

— Nie mam znowu tak się czego trwożyć — rzekł do siebie — powiem jej, co chcę. Wszakże nie wie, co jej miałem zwierzyć. Zobaczymy, zawsze dobrze namyśleć się trzeba.

Pojechali do Pobogowszczyzny. Tu zastali w gotowości wszystkich. Matka ze szczególną troskliwością przystroiła Magdzię.

— Żeby była choć do ojca podobną — szeptała — łatwiej by łaskę znalazła u stryja, a tu, na nieszczęście, do mnie, którą jeśli znosić zechce, to już dobrze!

Magdzia z zaplecionymi koskami, rumiana, świeża, wyglądała hożo, nie miała w sobie nic arystokratycznego, lecz śmiało się w niej i promieniało życie bujne i zdrowe. Sama pani ubrała się skromnie, w suknię czarną, nie chciała być ani piękną, ani nawet miłą, chciała pokorą zdobyć serce

szwagrowe.

Wacek był śmiały, czuł, że on miał grać tu pewną rolę ważną, a wiedział, że u stryja był w łaskach.

Niech mama będzie spokojną — szeptał ciągle — niech Magdzia się nie boi, stryjo jest bardzo dobry, tylko z nim trzeba odważnie i obcesowo. Wszystko pójdzie doskonale.

Pomimo zapewnień Wacka im bardziej zbliżała się chwila wyjazdu, tym twarze posępniały pan Paweł mocno był zamyślony, jej łzy w oczach stawały. W milczeniu odbyto podróż polami najprzód, potem lasem aż do owego krzyża i ławki. Tu się pani Pawiowa przeżegnała ukradkiem i z bijącym sercem szli pod górę. Teodor i Adrian torowali drogę, za nimi postępował Paweł, a Wacek prowadził matkę i siostrę.

Pustkowie to, choć piękne, straszonym się im wydało. W dziedzińcu nie było nikogo, nawet stary Her

mes gdzieś się skrył w cieniu i zasnął. Sunęli się więc na górę, Teodor otworzył drzwi. Za parawanikiem w przedpokoju stary sługa chrapał i nie przebudził się. W salce siedział pan Krzysztof nad rozwartą książką, nic nie posłyszawszy, nie czytał jednak w niej, przed nim leżała kartka zapisana ręką Wandy i zgubiona jej rękawiczka. Usłyszawszy kroki, Krzysztof co prędzej zamknął foliant i wstał.

Teodor i Adrian rozstąpili się, Paweł postąpił parę kroków, a Wacek, prowadząc siostrę i matkę, podszedł odważnie do stryja.

— Stryjcio do nas nie chce przyjechać — odezwał się — otóż my wszyscy napadamy na niego, bo nie może być, ażebym ja jeden miał być tak szczęśliwy. To mama, to Magdzia.

Pani Pawłowa zmieszana skłoniła się, Krzysztof chwilę zdawał się namyślać, podszedł skwapliwie i dawnym obyczajem pocałował ją w rękę.

— Zawstydziałaś mnie, pani bratowo! — rzekł głosem cichym — jam to powinien być pierwszy

przybyć wam podziękować za pociechę, jaką z Wacka miałem.

Magdzia przypadła w rękę stryja całować, on ją w czoło. Pawłowi podał dłoń.

Przebaczenie zdziżałemu rzekł już się to wszystko skończyło. Każdy tak życie sobie tworzy, jak umie i może.

Wielka radość z tak szczęśliwego rozwiązania długiego nieporozumienia zapanowała na wszystkich twarzach.

Krzysztof się śmiał i dziećmi cieszył. Pani Pawiowej padano krzesło i wody, gdyż ze wzruszenia trochę się jej słabo zrobiło. Dopiero głośna mowa w pokoju przebudziła starego sługę, który zerwał się z tapczana, stanął we drzwiach nie ubrany i oczy przecierając, pojąć nie mógł, co się tu stało.

Wiele i różnych przyczyn złożyło się na zmiękczenie pana Krzysztofa, może najwięcej to, że się z włas

nym losem pogodził, że z Wandą był dobrze i że miła, pokorna twarz pani Pawiowej ujęła go wyrazem dobroci i skromności. I była to godzina, jakie rzadko dziś biją dla rodzin, których węzły z każdą chwilą stają się wolniejsze. Łzy stały na oczach, wszyscy lepszymi się czuli i silniejszymi, stanowiąc tę całość, którą mogłaby być każda rodzina, każda społeczność, któż wie, ludzkość nawet może, gdyby członkowie jej poczuli w sobie braterstwo, które dotąd jest czczym wyrazem. Pan Krzysztof był szczęśliwym, zapomniał o wszystkim przeszłym, oprócz tego, co pocieszać mogło...

Dzieci, ucałowawszy ręce stryjcia, pobiegły do okien, bo Wacek chciał pokazać Magdzi, ze znajomością miejscowości, nabytą w czasie odwiedzin, piękne widoki na góry lesiste dokoła. Paweł się nawet uśmiechał i rękę brata ścisnął w milczeniu. Adrian, stanąwszy z boku, świadkiem chciał być tylko tego przejednania, do którego się najwięcej przyłożył. Nie śmiano mówić o niczym, oprócz rzeczy obojętnych, aby nie potraćić o coś, co by dysharmonijną nutą mogło tę świętą zgodę

zakłócić.

Chciał u siebie czymś gości przyjmować pan Krzysztof i nie wstydził się wyznać, że oprócz posiomek, trochę mleka i chleba nie było nic więcej.

Ale ja biorę na siebie urządzić podwieczorek — zawołał Adrian — nie potrzebuję nic więcej nad ten wiejski zapas, jakim zamek rozporządza.

I skoczył do starego sługi, a z nim naprzeciwek, do jadalnego pokoju, gdzie stał otłuczony kredens, dzbanek jagód, chleb i mleko. Cukier był szczęściem w zapasie i nic więcej nie potrzebowano.

To by wszystko dobrze było — odezwał się stary — ale policzmy no osoby, żeby nie było kompromitacji, bo z talerzami będzie krucho.

No, osób siedm! — rzekł Adrian.

— Tak, a talerzy pięć, i to liczyć z tym, który pękł przez środek i ledwie się trzyma.

— A spodków od filiżanek?

— E! — odparł sługa — o tych nie ma co i mówić, było trzy, jeden wyszczerbiony, a dwa, co zostały, niebiesko jeden malowany, drugi biały, nie uchodzi.

— Kto tam na to będzie patrzył! — odezwał się Adrian. — Pięć talerzy dla starszych, dwa spodka dla dzieci, i wykręcimy się jakoś.

— Co się tyczy łyżek — gładząc głowę, zawołał stary — tych nigdy nie było więcej srebrnych jak trzy, pobielanych dwie.

— A małych łyżeczek?

— Dwie, trzecią mularz bodaj świsnął, gdy piec naprawiał, bo od tego czasu ani śladu po niej.

Tak rozmawiając, przygotował Adrian ubogie przyjęcie. Gruby obrus jeden znalazł się czysty, chleb był świeży, poziomki śliczne, mleko wyborne, czegoż więcej pożądać było można.

Ale, ba — mruknął sługa — na dziś, to już nie ma co pana pytać, trzeba do loszku zejść i parę butelek wina wydobyć, których my prawie nie tykali, bo to jeszcze ojcowskie i dziadowskie, ale na taki dzień pan się gniewać nie będzie. Jedna rzecz o mało nie wstrzymała starego, pomyślał o kieliszkach. Kieliszków, licząc te, co stały na kominie w pokoju z herbami saskimi, nie było więcej nad cztery i jeden mały do wódki z prostego szkła zielonego.

Pani Pawłowa i dzieci nie piją, kieliszek zielony dla mnie, a dla trzech panów dosyć tego będzie.

Łaska Boska — rzekł stary — więc się jakoś wywiniemy, bo juściż by po polsku i po szlachecku bez kropli wina nie uszło.

Wziął zatem klucze od lochu stary i poszedł, zapaliwszy świeczkę, a Adrian, nie czekając na niego, opa

nował talerze i spodki od filiżanek, obrus wziął pod rękę i wszedł z nakryciem tryumfalnie do pokoju. Spełniał swe obowiązki z taką młodzieńczą wesołością i ochotą, iż wszystkich tym pobudził do śmiechu. Pan Krzysztof zrazu się namarszczył trochę, ale i on wreszcie zgodził się z przeznaczeniem.

Stół postawiono w pośrodku, pani Pawłowa podjęła się gospodarstwa. Adrian został marszałkiem dworu, a Krzysztof nie powiedział nic, choć mu z komina zapylone, pamiątkowe wzięto kieliszki, choć na jednym z nich naprzeciw saskich herbów był Pobóg. Domyślił się, że stary stróż jego honoru, pamiętny dawnych czasów, sięgnął do zapomnianej piwnicy. Jakoż w chwilę potem na czarnej tacy, z której wszelki ślad ozdób i malowania dawno był starty, wjechały dwie przysadziste zielone butelki okryte pleśnią. Dopiero przyniósłszy je, z przerażeniem przypomniał sobie sługa, że o trybuszonie na zamku od bardzo dawna słyhać nie było. Głucha tradycja mówiła o nim na zapiecku,

ale stąd zniknął, na gwoździu przy kluczach także go nie widziano dawno. Mieszkance zamku nigdy podobnego narzędzia nie potrzebowali. Przewidujący pan Adrian miał nóż, w którym się trybuszon znajdował, ocaliło to zamek od niesławy. Dobyto korki.

Dzieci i starzy posiadali do poziomek, pan Krzysztof sam wojewodę nalewał, tak się bowiem owo wino, już prawie zdębiałe, zwało. W milczeniu spozierając na siebie, trącono w kieliszki i pani Pawłowa przysła z kroplą, którą sobie naleła do szwagra. Ten ją po raz drugi w rękę pocałował.

Teraz, kochany Krzysiu zawołał Teodor jak mi Bóg miły, na uświęcenie dnia tego pamiątki, musicie do mnie jutro na obiad wszyscy. Właśnie się restauracja domu skończyła, ostatni rzemieślnik do miasteczka odjechał wczoraj, pokój jadalny odświeżony, a na wypadek deszczu cieć już nie będzie. Czego mi

zabraknie, pożyczę u Zamorskich, a ich też prosić mi wypadnie. Uczynicież mi ten zaszczyt i przyjemność. Krzysztof się skłonił.

— Zgoda — rzekł — już po dawnemu pustelnikiem mi być nie dacie.

— Ale to nie dosyć, i prawdę powiedziawszy, to nadużycie ze strony pana Teodora — rzekła pani Pawłowa — nam się należało jutro, tyłkom nie śmiała być natrętną.

— Nie, od jutra ja nie mogę odstąpić — zawołał Teodor — bo nam pan Adrian uciecze.

— Nie puścimy go — rzekł Paweł.

— O mnie najmniejsza — odezwał się wesoło chłopak. — Zresztą kilkanaście godzin nie uczyni mi różnicy, będę służył państwu.

Zaczął oglądać zamek, w którym tak bardzo nie było ciał widzieć, oprócz małej kapliczki i pustej, na pół rozwalonej baszty w rogu, w której stała improwizowana ława kamienna naprzeciw okna wyszczerbionego; przez ten wylom widać było u stóp wzgórz stojący krzyż i część drogi ku niemu

wiodącą.

Mrok już padać zaczynał, gdy się żegnali, nie było tam słów wiele, wszyscy czuli, że najgorszymi sługami byłyby wyrazy i że w nich więcej było niebezpieczeństwa niż pomocy. Pan Krzysztof milczał, mówił o rzeczach obojętnych lub bawił się dziećmi, które lgnęły do niego, Wacek z poufałością starego fałszywa, Magdzia, udając poważną i dojrzałą niewiastę.

W uściskach dłoni i wejrzeniach było całe uczucie dnia tego. Gdy goście posiadali do powozów, Krzysztof został długo u krzyża nad drogą, patrząc za nimi.

Jutro o dwunastej czekam w Zieleniewszczyźnie! wołał Teodor z bryczki — będziemy czekali.

Tylko obiad żeby był skromny — dodał Krzysztof — a nie, to myśleć będę, że się uwziął mnie zawstydzić.

Zostawszy sam z sobą, nie mógł się pan Krzysztof powstrzymać od zastanowienia, czy dobrze postąpił.

Był trochę niespokojny. Składało się tak dziwnie wszystko, ażeby zupełnie zmienić tryb jego życia? Z ubóstwem swym mógł łatwo i dobrze na zamku siedzieć odosobniony, ale jakże z nim było wejść wśród ludzi. Na to zapytanie odpowiedział sobie, zawstydzony się go, dlaczegoż śmiało z nim wystąpić nie mógł, ani się nim chlubiąc, ani się go wstydząc. Ci ludzie, co go poszanować nie będą umieli, rzekł w duchu, nie są sami szacunku godni, i ani nie mogą wymagać, abym dostatek kłamał. — Będę, czym jestem.

Trudniejszym zdało się na nowo zastosować do towarzystwa, oswoić z gwarem jego i ruchem. Pan Krzysztof nawykł był i potrzebował pokoju, obiecywał więc sobie uciekać do zamku dla spoczynku i dumania, które dlań stały się nałogiem.

Nazajutrz dosyć wcześnie wyszedł pan Krzysztof pieszo, miał zamiar dojść tak do chaty Wilczków, a stamtąd wózkiem leśniczego pojechać do Zieleniewszczyzny. We dworku zastał jeszcze

wszystkich smutnych i nie oswojonych z położeniem nowym.

Wilczkowa milcząc popłakiwała, potrzebując nieustannego przypominania, że ofiara uczyniona potrzebną była dla dobra Dosi. Ale to dobro jakoś jej nie było zrozumiałym, a obawę daleko czuła więcej uzasadnioną.

Stary leśniczy pobiegł sam po klacz, która się spętana pasła na wygonie za ogrodem, przyprowadził ją, wzięwszy za bujny włos od grzywy nad uszami, a posłuszna Jaroszowa przyszła, dogryzając trawę, do nagotowanych hołbli i chomąta. Siedzenie pokryto kilimkiem i wprędce wózek zajechał przed wrota.

My się musimy cofnąć nieco do dnia poprzedzającego, bo na wieczór oznaczonym był przez pana Teodora termin do powiedzenia czegoś ciekawego i ważnego pannie Lizie. Niecierpliwiła się też wielce, widząc, jak

długo nie powracał dziedzic, i gdy obaj z Adrianem zajechali wprost przed folwark, pierwsza na spotkanie ich wybiegła. Zamorskiego nie było, nie powrócił jeszcze od siana, którego sterty składano, pani Zamorska była nie ubrana, Misia chora na fluksję, a podwiązana za nic w świecie by się była nie ukazała.

Sprawozdania tego za niebytności członków rodziny w progu wysłuchawszy, Męczyński mocno się zafrasował.

— Wiesz pan co — szepnął mu Adrian — pan będziesz miał tu pewnie do pomówienia o jutrzejszym obiedzie, ja mogę być zawadą, pójdę do ogrodu.

Przeraziło to pana Teodora.

— Na miłość Bożą — odparł na ucho — nie opuszczaj mnie, proszę najmocniej.

Adrian więc, cofnąwszy się tylko kilka kroków w tył, pozostał w ganku.

— A jaka to bieda — rzekł Teodor — że mamy pani widzieć nie mogę, mam do niej prośbę — a tu...

O cóż idzie, przecież sekretu pewnie nie ma, ja za pośredniczkę służę.

Spojrzała mu w oczy, jakby wczorajszą przypominając obietnicę, a razem cofnęła się z progu do pokoju, zmuszając go wniść za sobą.

Teodor obejrzał się na Adriana, Adrian przez szkiełko właśnie się przypatrywał krowie pasącej na dziedzińcu, jakby chciał z niej studium malować.

Służę panu! odezwała się, wszedłszy do pokoju, Liza — co pan każe mamie powiedzieć?

Mam prośbę — rzekł skuszony Teodor, biorąc ją za rękę i całując, czemu się nie opierała wcale — prośbę wielką. Jutro u mnie obiad, będą oboje państwo Pawłostwo z dziećmi i panem Wikarskim, osób pięć, pan Krzysztof, pan Adrian, ja, osób już osiem, państwo Zamorscy z córkami... osób ogółem dwanaście.

Misia na fluksję chora — dorzuciła Liza.

— E! to do jutra przejdzie — mówił Teodor, ciągle patrząc w jej oczy. — A! pani, jaka pani jesteś śliczna dzisiaj!

— Jak to? tylko dzisiaj? — spytała Liza. — Zawsze, ale dziś... wydajesz mi się pani...

— Dlaczego?

— Nie wiem. Więc, proszę pani, żebyście mi pomóc raczyły do obiadu. Ja nic nie wiem, co jest, czego nie ma, od Olszaka się niczego dopytać nie mogę. Bóg wie, co się dzieje z bielizną, ze srebrem.

— A widzisz pan, jak to źle gospodyni w domu nie mieć — poczęła Liza — czemuś się pan nie ożenił?

Zagadnięty Męczyński stanął jak słup.

— Wie pani, po części dlatego, że nie znalazł dotąd osoby... pani mnie rozumie, a więcej dlatego, że znając siebie, sądzę, iż kobieta, co by za mnie poszła, byłaby najniezwyklejszą w świecie.

Liza, niby przestraszona, aż się cofnęła kroków parę.

Cóż to ją ma tak nieszczęśliwą uczynić? bałamuctwo pańskie...

No nie, ale wiele by o tym mówić potrzeba, więc z obiadem jak?

A jakże dzierżawca i jego rodzina może co miłościwemu odmówić dziedzicowi? rozśmiała się szydersko Liza. — Ja się z wielką ochotą podejmuję zostać na ten dzień... klucznicą.

I dygnęła.

Adorable! zawołał w uniesieniu stary kawaler, przypadł do rączek i całował.

A to, coś mi pan miał dziś powiedzieć? szepnęła Liza.

Ja miałem co powiedzieć? — pochwycił, niby zdumiony, Teodor.

Pogrożono mu na nosie.

Pan jesteście krzywoprzysięcą! jak to, pan się zapierasz uroczystego słowa? a to szkaradna zbrodnia.

Namyślał się Męczyński, na ostatek heroizm posunął do tego stopnia, iż zawołał:

— Tak jest, miałem pani wyznać, że gdybym był albo ja młodszym, albo pani starszą, niezawodnie bym się... zakochał... i...

Nie dokończył. Liza oczy spuściła.

— Ale ja nie jestem tak bardzo młodą, a pan mi się wcale nie wydajesz starym!

— A pani! pani.

Trzeba było koniecznie z drugiej strony zręcznego wystąpienia, ażeby nie dać się wysliznąć panu Teodorowi. Liza podała mu rękę sama, którą on pochwycił z młodzieńczym zapałem.

— Rozumiem pana — orzekła Liza — tak, zdaje mi się, że go zrozumiała, niech pan mówi z ojcem i mamą, ja nic nie mam przeciwko temu.

I zawstydzona oczy spuściła, a drżąca dłoń jak przybita została w rękach Teodora, który pobladł ze strachu, ze szczęścia i z desperacji. — Mnie idzie o szczęście pani!

Ja będę z panem szczęśliwą — szepnęła Liza — a o jego szczęście starać się będę.

Teodor o mało nie przykląkł przed nią, skończyło się jednak na przybliżeniu czułym i na szepcie bardzo pośpiesznym. Gdy Liza zarumieniona odbiegła do matki, Teodor, jak wkuty, stał na środku pokoju. Adrian wchodził właśnie i znalazł go tak zadumanym, iż pierwszych słów przemówionych doń nie posłyszał.

Stało się — mruknął po cichu — stało się!

Ponieważ i Zamorski wrócił właśnie od siana, dłużej mówić o tym nie było można. Pan Teodor wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Liza tymczasem wprost poleciała do pokoju matki, zajętej krajaniem bielizny, Misia z podwiązaną twarzą

siedziała przy niej. Otworzyła drzwi gwałtownie, wbiegła i rzuciła się na kanapkę, twarz zasłaniając rękami.

— Co tobie, szalona dziewczyno! — zawołała matka. Liza zerwała się na nogi, twarz jej promieniała, rzuciła się matce na szyję.

— Matusiu! — oświadczył mi się!

Misia krzyknęła, matce nożyczki wypadły z rąk, ale z powagą wielką zawołała:

— Przecież go sumienie ruszyło!

Nikt nie rozbierał ściśle tego wykrzyknika, który bardzo by fałszywie mógł być tłumaczonym, gdyby nie był czysto przypadkowym i bezmyślnym. Matka chciała powiedzieć, iż dawno już powinien był to uczynić.

— Odesłałam go do tatka i mamy — mówiła zdyszana Liza, klaszcząc w ręce. — Jutro u niego obiad, Pawłostwo całym dworem, Krzysztof, my, proszę, żeby mu dopomóc, no i tak się szczęśliwie zgadało. Niezawodnie dziś wieczorem powie ojcu...

Zamorski, chociaż bardzo prostego człowieka udawał, spojrzawszy na twarz pana Teodora, niemal z niej wyczytał, że coś zaszło ważnego, a gdy mu się dziedzic wypowiedział, że przed chwilą prosił panny Lizy o pomoc, odezwał się zaciekawiony:

Pozwolisz mi pan dobrodziej, żebym się poszedł rozmówić z żoną.

Gdy do pokoju jejności wszedł, po rozpromienionych twarzach odgadł resztę. Liza i jemu rzuciła się na szyję.

Tatku, oświadczył mi się.

No, patrzcież! tę psotnicę rzekł Zamorski ścichapęk, postawiła na swoim zatarł czuba Zamorski, pocałował córkę w czoło. Daj Boże szczęście!

Zamorska, skłonna do łez, płakała. Misia siedziała markotna, Liza całowała z kolei wszystkich.

Łysy, to prawda! poczęła szczebiotać ale mało to łysych w dwudziestym roku, a taki dystyngo

wany, taki dystyngowany, miły i kocha się we mnie szalenie.

W czasie tych zwierzeń pan Teodor w saloniku stał oparty o krzesło, przed nim Adrian milczący. Stary kawaler powtarzał jakby sam do siebie:

— Ośmnaście i pięćdziesiąt, i Maciorkiewicz w dodatku. Głupstwo kapitalne, ale to było moim przeznaczeniem. Musiałem coś podobnego zrobić.

— Zrobiłeś pan, coś mógł najlepszego uczynić — rzekł Adrian — rzecz jest skończona, będziesz pan szczęśliwy! Teodor westchnął.

— W dodatku śmiech ludzki!

Powracający co żywiej Zamorski, oświadczejący gotowość urządzenia obiadu na jutro w imieniny żony, przerwał tę niefortunną rozmowę.

Z oczów jego wyczytał Teodor, że wiedział o wszystkim, nie było już co udawać i odkładać. Adrian

przepatrywał nuty na fortepianie w drugim końcu salonu.

Kochany Zamorski rzekł smutnie Teodor było snadź przeznaczaniem pańskiej córki, ażeby miała starego męża. Chcesz mnie za zięcia?

Zamorski zachłysł się i padł w objęcia dziedzica.

Panie zawołał czynisz honor mojej rodzinie ubogiej, hreczkosiejowi biednemu, wdzięczni jesteśmy! Niech Bóg błogosławi! Liza będzie szczęśliwą, ona pana kocha, wyznała to przed matką.

Tsył, na miłość Bożą! rzekł przelękły impetem Teodor ale na cóż tak... głośno...

Niech świat cały wie o szczęściu moim wołał Zamorski wychowałem dzieci, jak oka pilnując w głowie, i mogę się pochlubić, wstydu mi nie zrobi. Będziesz pan szczęśliwym.

Teodor ledwie potrafił uprosić, aby dla nieprzerywania jutrzejszego przyjęcia jego osobistą sprawą, na

kilka dni ogłoszenie ważnego tego wypadku odłożyć. Zgodził się na to Zamorski, lecz w duchu obiecując sobie, że się zdradzi.

Do późna zabawił Męczyński sam u państwa Zamorskich, bo Adrian się wcześniej wysunął. Dozwolono mu z Lizą na osobności wynurzać sentymta i czynić plany na przyszłość. Dziewczę skorzystało z tej chwili, aby go podbić i upoić ostatecznie, tak że gdy wyszedł, nacałowawszy ręce jej do czerwoności, zapomniał nawet o Maciorkiewicz. Był niezawodnie jednym z najszczęśliwszych ludzi na kuli ziemskiej. Idąc przez ogród, śpiewał głośno i fałszywie, palił cygaro zagasłe, machał rękami i w progu zastawszy Olszaka, który nań czekał dla łajania go, krzyknął mu w ucho: — Winszuj mi, żenię się, jestem szczęśliwy! rozumiesz! wiesz!

— No, wiem i wiedziałem o tym wprzód od pana, że się ożenisz ze starszą — zawołał, stukając kijem, Olszak — musiałeś głupstwo zrobić, i tyle!

To mówiąc, wyszedł, Teodora zostawując jakby oblanego zimną wodą.

IV

Dwa lata upłynęło od chwili, gdy stary Olszak oświadczył panu swojemu, że popełnił niedorzeczność, którą on dobrze naprzód przewidział. Me powstrzymało to naturalnego trybu rzeczy. Nazajutrz potem był ów obiad u pana Teodora, w czasie którego on się sam zdradził w końcu, przedstawiając gościom swoim przyszłą domu gospodynię. — Zdrowie narzeczonych wypili wszyscy winem szampańskim, którego podejrzanej słodczy i kwasu przypominającego sok porzeczkowy nikt nie uważał.

Ślub odbył się w kilka miesięcy potem, bardzo cicho, w parafialnym kościełku i państwo młodzi

wprost od ołtarza odjechali do Włoch, gdzie rok cały przesiedzieli, a raczej przepodróżowali. Dwa lata niezmierny przeciąg czasu dla nieszczęśliwych, chwilka dla tych, którym niebo pobłogosławiło. W najbliższym od Zamostowa miasteczku, a raczej lichej mieścinie, która na tytuł ten nawet nie zasługiwała, w jedynym domu zajezdnym pod "Złotym Obwarzankiem", u pana Michała Lublińskiego, właściciela hotelu i restauracji, w osobnym pokoiku młody mężczyzna, wysiadłszy z bryczki pocztowej, przygotowywał się przemienić podróżne ubranie. Pomimo znacznie

zmężniałej postaci i nieco odkwitłej twarzy, łatwo w nim było poznać pana Adriana Brzoskiego. Powracał on z długiej podróży i studiów, a że dał był ciotce słowo, iż ani pisać, ani dowiadywać się o nic i o nikogo nie będzie, dotrzymał go aż nadto sumiennie. Głuche ledwie dochodziły go wieści o osobach, do których przed laty dwoma wesołe wakacje go zbliżyły. Pozostała mu tych ludzi pamięć żywa, zajęcie nimi obudził jeszcze powrót w te strony. — Co też się tu dzieje? co znajdę za niespodzianki? — mówił, stojąc przed zwierciadłem i uśmiechając się sam do siebie. — Ta śliczna Dosia? co też się z nią stało? Mój Boże! serce mi jakoś na jej wspomnienie nie bije, jak by powinno! Trochę w tym było młodzieńczego szału i dziwactwa, o tak! dziwactwa, boć przecie było to dziewczę jak inne, śmielsze tylko trochę i roztropniejsze od swych wiejskich rówieśniczek. A ciocia? nic nie wiem o cioci! Uśmiechnął się sam do siebie. Pan Adrian postarzał, mówił w duchu, stał się z policzków rumieniec,

oczy przygasły i krew płynie o wiele spokojniej i myśl stąpa o wiele ostrożniej. Ale to przecież ciekawe, okrutnie ciekawe, powrót w te strony, od których się o mil kilkaset kręciło tak długo. Mam prawo najzupełniejsze zajechać teraz do ciotki... Łatwo by mi było popytać gospodarza, ale to odejmie cały smak niespodziance, a niepodobna, ażeby wszystko to poszło trybem przewidzianym, żeby Dosia wykwitła na ideał... pan Krzysztof się ożenił... Teodor odmłodził... a madame Lise postarzała.

Błąkał się tak, myślami bijąc o wspomnienia, jak mucha o pajęczynę, gdy we wrotach zajazdu dała się słyszeć wrzawa i kłątwy.

Pocztylion, który przywiózł pana Adriana, kłócił się, nie dobierając wcale wyrazów parlamentarnych, z jakimś woźnicą, który, nie pytając, czy wjazd jest

wolny, zapakował się bryczką w bramę, ani wprzód, ani w tył. Do dialogu dwóch furmanów mieszały się inne głosy, w których i gospodarza, pana Lublińskiego, wyszukaną mowę i jakiś znany panu Adrianowi intonacją słycać było. Otworzył drzwi i postrzegł na amerykance siedzącego jegomości, w którym poznał odmłodzonego sztucznie pana Teodora. Kłótnia trwała zajadła, poczytłion, jako rodzaj urzędnika, nie dawał sobie lada prywatnemu woźnicy przewodzić, sypał więc w dwu językach nieprzyjemnymi przydomkami i nie chciał ustępować. Amerykankę musiano za tylne koła wyciągać z otchłani tej, a konie wyprowadzać. Zdało się Adrianowi, iż samo przeznaczenie zsyłało mu w osobie Teodora przewodnika, i wybiegł, jak stał, ku niemu z otwartymi rękami. Męczyński krzyknął. — Co ja widzę! — i skoczył z amerykanki, rzucając się w objęcia przyjaciela.

Patrzali na siebie wzajemnie, szukając śladów dni przeżytych.

Zmężniałeś, panie Adrianie! zawołał Męczyński ależ wieki, wiekiśmy się nie widzieli, jak w wodę wpadłeś, a! jakżem szczęśliwy! i jak my tu wszyscy będziemy uszczęśliwieni, odzyskując cię.

Uściskali się raz jeszcze.

Nim tam z końmi i powozem do ładu przyjdą, proszę was do mojej izdebki rzekł Adrian. Właśnie się zacząłem przebierać, to md przebaczycie. Chcę dziś być na wieczór w Zamostowie.

Pan Teodor odchrząknął jakoś osobliwie, powtórzył: w Zamostowie i umilkł.

Spodziewam się, że zdrowi wszyscy rzekł Adrian.

A! zdrowi, zdrowi wszyscy odezwał się Teodor wszyscy zdrowi. I uciał.

— Ale pan podróżował, podróżował, wędrował — począł po chwili — świata się napatrzyłeś. Żeśmy się to nie spotkali, bo ja z żoną cały rok przebyłem za granicą, po Włoszech. Szczęśliwy rok miodowy, chociaż się skarżyć

nie mogę i teraz, tak, i teraz miodek moje dni płyną. Jestem najszczęśliwszym z ludzi, a Liza najmilszą z kobiet. I wiesz — dodał — syna mi Pan Bóg dał, ma już rok, zdrow. — A cichutko dodał: — Atavismus — do Zamorskiego jak dwie krople wody będzie podobny.

Westchnął.

— Jedno nieszczęście, że mi Liza od urodzin mojego Roderyka ciągle chora, doktor z domu nie wyjeżdża, delikatna strasznie. Nie poznasz jej, jaka z tego trzpiota poważna się zrobiła dama. Tak! co się zowie, dama choć na największe salony.

Odetchnął nieco.

— I cóż powiesz na to — począł znowu — z tym Zamorskim do ładu nie mogłem przyjąć po ślubie.

Rachunki, kompromisa, awantury, jakoś zgoda się zrobiła, ale nie żyjemy z sobą. Liza tam czasem bywa, ja nie. I ten Maciorkiewicz godnym się okazał swojego imienia, to bałwan, ale z nimi żadnych stosunków. Wieś mi jedną zabrali i tak, pomimo posagu, z którego skwitowałem, w oczy go nie widząc. Oszukałem się na Zamorskim. Pamiętasz, toż to była prostota sama i szczerłość, a powiadam ci, w interesach wyga, frant... piniacz, że świecą szukać drugiego. Lecz Bóg tam z nimi, poczciwa i dobra, kochająca mnie żona za wszystko nagradza i pociesza.

Adrian milczał, na próżno parę razy popróbowawszy przerwać. Teodor, cygaro sobie przygotowując, chodził po izdebce i usta mu się nie zamykały. Spoglądając nań, dostrzegł Brzoski, że mu znacznie urósł brzusek a zbladło lice, oczy miał otoczone, jakby siecią pajęczą, drobnymi marszczkami. Szczęście też mężczy i postarza.

Nareszcie gdy ten potok wyrazów, szumiąc, przesłyszał, Adrian, skorzystawszy z przestanku, spytał:

— A pan Krzysztof?

Teodor zapalał właśnie cygaro, które niedobrze ciągnęło, ssał je więc, nie przerywając sobie, spojrzał tylko, ramionami ruszył i odjąwszy je od ust, rzekł Sucho:

— A zdrow, zdrow. — Gdzie mieszka?

— Na zaniku — dodał, wracając do cygara, Męczyński.

— Na zamku! — powtórzył zdziwiony Adrian — przecież tyle wiem, że hrabina za mąż poszła.

— Ano, poszła — rzekł Teodor — a cóż to ma jedno do drugiego?

— Więc chyba nie za niego?

— A! rozumie się, że nie za niego! — dorzucił Teodor, przechadzając się żywo, i zaraz wtrącił: —

Gdybyś mnie posłuchał, tobyś ze mną dziś na noc pojechał do Zieleniewszczyzny, tam byś sobie spoczął. Moja poczciwa Liza byłaby ci bardzo rada, no, a potem... tobyś sobie objechał sąsiedztwo. Adrian tak był zdumiony zupełnie niespodzianą nowiną, iż chwilę stał milczący i pytać już więcej nie śmiał. Wyczytał mu to z oczów Teodor, przyszedł go uściskać i nacierał.

Ale tak, do mnie na noc, słowo ci daję, to będzie najlepiej, przypomnimy sobie dawne czasy. Jak mnie kochasz! I nie czekając odpowiedzi, otworzył drzwi, zawołał służącego.

Żeby mi konie były zaraz gotowe, tylko wytchnąć i siana dać trochę. Wracamy do domu. Protestować już było późno.

Służąca pana Lublińskiego wniosła samowar dla Adriana. Z amerykańki dobyto jakieś przekąski, za

siedli więc obaj do herbaty. Młody podróżny milczący był, nie śmiał już teraz pytać nawet. Teodor zaś, którego spotkanie z dawnym znajomym i ciepły napój z trochę wina ożywił, bo w ogóle jadło i napoje wiele nań wpływały i wracały mu rzeźwość młodzieńczą, niezmiernie był gadatliwy.

— Nie śmiem się już i dopytywać — odezwał się Adrian — bo widzę, że tu wcale nie po mojej myśli zaszły zmiany.

— Ja ci wszystko z debatami opowiem — rzekł Teodor — ale na to trzeba czasu. Prawda, że mamy jeszcze z godzinę — dodał, spoglądając na zegarek. — Więc powoli, do rzeczy. O sobie mówić ci więcej nie będę, zobaczysz moje szczęście, mój dom, Lizę, a że Roderyk do starego Zamorskiego podobny, no, na to nie ma rady. Być może z tego wyrośnie. Wiesz, jak stały sprawy poczciwego Krzysztofa, pogodził się z piękną Wandą, zbliżył się nawet do niej nieco, ale biedaczysko nie miał tej, co ja, determinacji, wahał się pomyśleć nawet o sięgnięciu po jej rękę. Zdaje mi się, że hrabina z

początku, pod wrażeniem wspomnień i jego przywiązania, nie była od tego, ale diabeł nie śpi. Pannie Kornelii zbliżenie to nie było do smaku, wprowadziła tam kasztelanica, któż by się go był obawiał? Hrabina lekko go ceniła i nie zaszczyciła go nawet okazaniem mu swojego wstrętu. Jemu miło było w towarzystwie pięknej pani spędzić czasem godzin kilka, ją rozrywała rozmowa jego, wesołość i może też powierzchowność wcale miła. To pewna, że zadomowiony pan Krzysztof, ze swym fantastycznym ubraniem, z pogardą formy, z dzikim nieco pozorem przy kasztelanicy wydawał się bardzo niepocześnie. To, co mówił, daleko więcej było warte, ale nierównie mniej zabawne. Z panem Krzysztofem hrabina była serio i zawsze zakłopotana nieco przeszłością, z tamtym swobodną i wesołą. Panna Kornelia z wielką zręcznością uwy

datniała przy każdej sposobności śmieszność jednego, a przyzwoite i miłe znalezienie się drugiego.

— Lecz jakże można było nawet porównać i kłaść z sobą w jednej mierze takiego człowieka, jak pan Krzysztof, i kasztelanica.

— Kochany panie Adrianie, przekonasz się kiedyś, że najrozumiejsze kobiety mają swoją odrębną wcale miarę i wagę na ludzi i swe słabostki. Przyczyniało się do obawy w przyszłości, że Krzysiem nie tak by było łatwo pokierować, jak wedle wszelkiego podobieństwa kasztelanicom. Dosyć, że ten wszedł do domu, został jako gość dobrze przyjęty, coraz więcej ceniony i począł bywać też częściej. Zdało mi się, dopatrzysz tego, bo się to stało przed moim wyjazdem za granicę, że powinien był przestrzec Krzysia, który, jakby nigdy nic, piechotą przychodził sobie do Zamostowa, spotykał się tam czasem nawet z rywalem i nie okazywał, ażeby go to obchodziło. Wanda była dlań wyszukanie grzeczną, czułą, może troskliwszą o niego, jak o kasztelanica nawet, ale ten ją bawił, a

tamtego zdawała się obawiać. Stało jej może na myśli to strzelanie do siebie w chwili szału. Miłość ta cicha, głęboka, pobożna przestraszyła ją. Pojechałem na zamek, bo Krzyś pomimo próśb brata wynieść się stąd nie chciał i pozostał w swoim zaciszu, pozwoleńszy tylko i to z wielkimi trudnościami, nieco mieszkanie wyporządzić. Zostałem go w humorze jak rzadko, poczęliśmy rozmowę o przeszłości.

Cóż u licha rzekłem dobijaj targu, Wanda dla ciebie jak najlepiej usposobiona, wyjdzie niezawodnie, gdy się jej oświadczysz, możesz być szczęśliwym.

Krzyś fajkę nakładał i dumał.

Zabawny jesteś rzekł ale czyż się godzi, powiedz mi, czy miałbym sumienie sięgnąć po to szczęście? Byłbym najohydniejszym egoistą! Czyż mi nie

dosyć tego, że na nią patrzę, że z nią mówię, że mnie nie wypędza? że tam być mogę, gdy zechcę?

— Tak, i spod nosa ci ją weźmie kto inny! — zawołałem — jak Bóg Bogiem, oświadczyć się, spróbuj.

Krzyś się uśmiechnął.

— Któż ją może wziąć? kto taki? — zapytał. — Ano, kasztelaniec.
— Ten, ten fircyk! — rozśmiał się — ale, cóż znowu? jakież masz o tej kobiecie pojęcie? Gdzież podobieństwo? człowiecze?
Zaczął na mnie burczeć, przekonywać mnie, fukać, śmiać się, no i zamilkłem.
— Wiesz — dodał w końcu — nie jestem i ja od tego, ażeby szczęścia spróbować. Będę mówił z Wandą, Kocham ją szalenie, ale tak jestem szczęśliwy dziś, a nuż się ta złota nic zerwie, nuż mi każe iść precz! Lepiej czekać, grunt przysposobić, wyrozumieć ją.
— Ale śpiesz się z tym!
— Wierz mi, że się uprzędasz i rzeczy widzisz fałszywie, mam dosyć czasu, nic nie grozi, ten

wiercipięta może ją bawi, ale niewart rzemyka jej rozwiązać.

Uniósł się pan Krzysztof, zamilkłem. Wkrótce potem nastąpiło wesele (tu westchnął Teodor), po nim te nieszczęsne układy z teściem (piękny teść), a na ostatek wyjazd za granicę. Nie miałem czasu widywać Krzysztofa ani się nim zajmować. Doszło mnie tylko, że kasztelaniec coraz częściej bywa, że bawi wieczorami czasem, że dopuszczony jest do coraz większej poufałości. Na wyjeźdźnym powiedziałem mu to, rozśmiał się. Wyjechałem w podróż, bawiliśmy rok. Wróciwszy do domu, dowiaduję się o Krzysiu, mówią mi, że siedzi na zamku, że zdrow i że hrabina Wanda bodaj czy nie wychodzi już za kasztelanica, który tam bardzo często przesiaduje. Pojechałem do zamku. Myślałem, że go znajdę w rozpaczy, znalazłem go przy osobliwszej robocie, malował sobie herby polskie,

którymi chciał ubrać szlak w jednej z odnowionych izb zamkowych. Uścisnęliśmy się serdecznie, chwalić mu się zacząłem szczęściem moim, stąd asumpt do zapytania: cóż, a ty? żenisz się? nie!

— Myślę — odezwał się pan Krzysztof — myślę, jednego z tych dni oświadczę się, co będzie, to będzie. Jesteśmy z Wandą tak dobrze, tak przyjacielsko, że choćby mi odmówiła, przecież mnie nie wypędzi.

— Ale wszyscy prawią, że kasztelaniec, że z kasztelanicem już rzecz skończona!

— Bałamuctwa — rzekł Krzysztof — ona go sobie lekceważy, no, rozrywa ją, służy jej, czyta, gra, ale żeby do czegoś serio przyjść mogło, nie sądzę. Żadnej z nim ceremonii nie robi, nieraz, gdy ją przyjadę, niemal go wypędza, a on idzie cicho, toć z panną Kornelią. Gdybym nie znał tej kobiety, mógłbym jej tę poufałość wziąć za złe, ale...

— Postanowiłeś więc rozmówić się z nią otwarcie?

— Tak jest — odparł Krzys — stanowczo w tych dniach ją zapytam. Wprawdzie miłość moja inną

jest wcale, niż była, ale przetrwała tyle prób, iż na nią rachować może. Zna mnie dobrze.

Po tej rozmowie trzeciego dnia Krzysztof, który zwykł był najczęściej chodzić piechotą, nadszedł nad wieczór do, mnie, ale zamiast wprost do dworu, wcisnął się do ogrodu, siadł na ławce i kazał mnie wywołać. Spojrzałem go z daleka przygarbionego i laską rysującego jakieś figury na piasku, nie słyszał mnie, gdym nadszedł, przestraszył się niemal przywitaniem.

Wiesz! wiesz! rzekł głosem drżącym tyś lepiej widział ode mnie. Głupim był, spóźniłem się, Wanda wychodzi istotnie za tego trutnia.

Założył ręce na piersiach i stał jak słup z oczyma wlepionymi w ziemię.

Stało się rzekł jam się opóźnił, ona niewinna, potrzebowała opieki, rozrywki, zresztą, może to

i dobry człowiek, a niezawodnie wart więcej ode mnie. Smutne ta — dodał — lecz jeśli ona w tym widzi szczęście swoje? Gdybyś widział, jak, ująwszy mnie za rękę, czule, serdecznie pytała o zdrowie, jak mi się z tego tłumaczyła, ile mi okazuje przyjaźni? jak zaręcza, iż to naszych stosunków nie zerwie? Czegóż ja więcej mogę żądać nad to, by patrzeć w jej łzawe oczy i śmiejące się usta, a czasem rękę białą pocałować? Cóż by ona poczęła, gdyby poszła za mnie, co tak smutną gram rolę w salonie, który od ludzi uciekam! dowcipkować nie umiem. Z natury jestem ponurym, a życiem złamany! Ja jej nie winię. Mnie by się trudno było zmienić, a jej do mnie zastosować.

Słuchałem go z sercem ściśniętym, nie odpowiedziałem nic, uściskawszy tylko. Chciałem go zaprosić do domu, odmówił. — Pochodzimy po ogrodzie — rzekł — pomówimy, postękam i pójdę do mego lasu. Przykro by mi było spotykać się teraz z ludźmi, z którymi bym o tym mówić nie mógł, bo

mi się wstrzymać trudno.

Zaczęliśmy chodzić, a ja wystąpiłem bez ogródki przeciwko Wandzie, Krzysztof ją najgoręcej bronił, kochał ją, ale ta miłość w sercu starym była jak lawa wulkanu, gotująca się we wnętrzu, a nie mogąca wybuchnąć. Wyszukiwał najdziwaczniejsze argumenta, aby dowieść, że ta kobieta była aniołem i że wychodząc za trzpiota, dopełniła nader rozumnego, koniecznego niemal czynu. Trzeba się było nad nim litować chyba, nawrócić go nie było podobna i po cóżem go miał nawracać. Tak było mu dobrze. Nie dowierzając jednak temu optymizmowi, lękając się o niego, pojechałem dowiedzieć się nazajutrz. Był chory, z dnia na dzień wychudł nagle, zmizerniał, zestarzał, a postrzegłszy mnie, udawał, że mu nie jest nic i że się czuje jak zwykle.

Dnia tego on i ja unikaliśmy rozmowy o Wandzie.

W kilka dni potem pojechaliśmy do niej z żoną moją z pierwszą wizytą. Nie znalazłem ją wcale zmienioną ani weselszą, zawsze równie majestatyczną, smutną, poważną i dbałą o swą piękność... Kasztelaniec wydawał się to jakby kuzynem i sługą... stał na boku, bawił gości, grał rolę podrzędną i skromną. Wy tłumaczyło mi to po części sposób, w jaki się wkradał w łaski, pokorą. Wanda mało nań zważała, nie okazywała mu żadnych szczególnych względów, prześmiewała się nawet z niego trochę.

Nastąpiło ciche wesele, a raczej ślub przy kilku świadkach bez żadnego występu, bez żadnej pozornie zmiany w Zamostowie. Krzys przez czas jakiś nie bywał, ale kasztelaniec pojechał do niego. Wanda żądała, ażeby przybył koniecznie, i dał się skłonić do tego. Obchodzono się z nim jak z chorym dzieckiem, wzięto go pieszczotami, został przyjacielem i wielbicielem pani jawnym na wieki wieków.

— Ależ hrabina, hrabina — przerwał Adrian — jakże mogła uczynić wybór podobny!

Teodor się uśmiechnął.

Cóż chcesz! co chcesz, na świecie między ludźmi dzieją się tafcie rzeczy co dzień. To bardzo naturalne, obawiała się wziąć sobie pana i wolała zabawkę. Krzysztof, prawie zadowolniony ze swego losu, mówi o tym bez żalu, przyznając się, że nie był wart tej kobiety, którą ubóstwia, i zadawalnia się platoniczną czcią dla ideału.

Adrian tak był zmięszany wiadomością o ciotce, iż o nikogo już więcej pytać nie śmiał z obawy, aby się niespodzianie czego gorszego jeszcze nie dowiedzieć. A że wieczór się zbliżał, Teodor nagle począł, aby jechać do Zieleniewszczyzny.

Wprawdzie rzekł posłałem przodem dać znać żonie, że wiozę jej miłego gościa, aby gdybyśmy się opóźnili, ona taka delikatna, chora, mogłaby się

niecierpliwic, a to jej szkodzi, biedaczce, jedźmy, siądziemy do mojej amerykanki, konie pocztowe pójda za nami.

Tak się i stało. Pomimo iż dosyć jechali prędko, był już wieczór dosyć późny, gdy się dostali do Zieleniewszczyzny. Choć o mroku postrzegł Adrian, że pod panowaniem pięknej Lizy rezydencja przybrała bardzo arystokratyczną powierzchowność. — Działziniec zamykała krata żelazna z domkiem szwajcarskim u wnijszcia. W ganku, zupełnie przerobionym, jak dom cały, spotkała ich służba w liberii paradnej. Dom był rzęsiście oświetlony.

W progu salonu spotkała ich gospodyni, ale jakże zmieniona! Adrianowi zdało się, że nawet urosła, co było może sprawą wysokich korków, twarzyczka jej pobladła, przeciągnęła się, oczy świeciły tylko dawnym blaskiem. Ubrana z wykwinnością przesadzoną na wsi, w jedwabie i koronki, chciała widocznie udawać wielką panią, z czym jej wie bardzo było do twarzy. Na szyi miała łańcuch złoty, na paluszkach nieskończoną moc pierścieni brylantowych, szmaragdowych, turkusowych. Nie mniej

może piękną była niż dawniej, ale o wiele mniej wdzięczną. Z pewną niecierpliwością wpadła na pokornego męża, który spiesznie rękę jej, podaną niezbyt chętnie, całował.

Ale jakże można tak dać czekać na siebie.

Droga...

Co tam droga! to bałamuctwo panów! Wiedząc, że ja czekam z herbatą i niecierpliwić się muszę. To nie do darowania.

W tejsze chwili zapytała służącego, czy samowar podany. Nie było go jeszcze. Opryskliwie rozkazała śpieszyć. Była widocznie w złym humorze. Z dawnego trzpiotostwa, wesołości, została tylko żywość taż sama, ale swarliwa, zgryźliwa, wielomówna.

Adrian na próżno chciał ją przebłagać. Przypatry

wała mu się ciekawie, ale z rodzajem roztargnienia. Mały kaszelek przerywał rozmowę.

— Widzi pan — rzekła — co się ze mnie zrobiło. Ciągle jestem chora, kaszlę, nerwy mam okropne, klimat ten mnie zabija, wieś! proszę pana, jak można żyć na wsi?

Adrian nic nie odpowiedział.

— Pan wiesz już pewnie, że mam syna, bardzo ładnego syna, jutro go panu pokażę i pozwolę pocałować w rączkę. A jaki rozumny!

Herbata podaną była w nowej sali jadalnej, do której nie wiadomo skąd jacyś przodkowie przywędrowali. Zastawa była wprawdzie Christophla i Ruosza, ale przepyszna, świecąca, wspaniała, choć o smaku gospodyni nie najlepiej świadczyła. Był to ten przepych de pacotille, bez charakteru, pospolity, jaki się spotyka po wielkich hotelach Europy lufo u świeżo zbożonych ludzi, nie mających własnego smaku i zmuszonych kupować go razem z towarem.

Lokaje posługiwali w białych rękawiczkach, podanie było wedle form wszelkich, ale herbata niedobra i chleb suchy, a reszta podobna.

Lizie szło o to, ażeby swe rączki i pierścienie pokazać mogła, podawała więc coś ciągle Adrianowi. Nie mając przedmiotu do rozmowy, wspomniął coś o dawnych dziejach, o folwarku, o owych wesołych wieczorach spędzanych u państwa Zamorskich. Liza się zarumieniła mocno, zakaszłała, odwróciła, znalazła coś bardzo pilnego do zadysponowania i nie dała mu rozszerzać się o tym. Mąż, który przewidział ten wypadek, zagadał zaraz czymś innym. Po herbacie zapytał Adrian gospodyni, czy zawsze zajmuje się muzyką.

A! nie! nie! fortepian stoi rozstrojony, bo i ja ciągle rozstrojona jestem i chora. Nie mogę teraz znieść muzyki. Nasłuchałam się wirtuozów i ta mnie zniechę

ciło, nie mogąc być pierwszą, nie chcę być mierną. Wprawdzie chwalił mnie Liszt, któremu coś grałam, ale straciłam siłę od ostatniej słabości.

Natomiast zajmowała się Liza bardzo dziennikami, polityką, Europą, wielkim światem. Almanach Gotajski leżał w salonie, widocznie często używany na radę, bo się już nie zamykał, i ta część, która o rodzinach książęcych i hrabiowskich traktuje, mocno była wyczytana.

Pan Teodor był, jak się o tym przekonał po kilku chwilach pobytu Adrian, najlepszym z mężów i najprzypłaszczniejszym z perskich pantofli. Po herbacie chciał, usiadłszy przy żonie, grać rolę dawną rozkochanego i czulego, ale mu to z oburzeniem zganiono jako rzecz nieprzyzwoitą i zakazaną. Odstąpił więc markotny.

Wszystko się jakoś tego wieczora nie składało, bo zaledwie od herbaty wstawszy, przeszli do salonu oświetconego wspaniale, gdy zaturkotało; gospodyni rzuciła się niecierpliwie, Teodor pobiegł

do drzwi. Wypadek niefortunny zrządził, że przybyli właśnie na pokaz państwo Maciorkiewiczowie.

Męczyński nie umiał pokryć swojego nieukontentowania, ale cóż począć było? Weszła najprzód pani Michalina ubrana bardzo skromnie, zmieniona na różową i otyłą kumoszkę, wesołej i rubasznej twarzyczki, a za nią mąż, na zamożnego ekonoma wyglądający, oboje krzykliwi, śmiejący się i z siebie szczęśliwi. Misia, zobaczywszy Adriana, którego

poznała, aż krzyknęła z radości i przybiegła, obie mu wyciągając ręce. Owo dziewczę smutne i milczące stało się kobieciną, trochę mamę przypominającą, rysów dosyć pospolitych, lecz tryskających zdrowiem i życiem. Gospodarz, nie kryjąc kwaśnego usposobienia, przywitał się ze szwagrem i spojrzął z ukosa na Adriana, jakby mu mówił: Licho ich tu przyniosło.
Podano po raz wtóry herbatę, bo Maciorkiewiczowie

byli po szlachecku głodni i z tym się nie kryli Korzystając z ach wyjścia, Teodor zbliżył się do Adriana i zabrał go z sobą do fumoiru, bo w salonie palić nie było wolno. Tu, podając mu cygaro, westchnął głęboko.

— No, patrz, traktuję ich jak najzimniej, Liza ich nie lubi, a nigdy nas nie miną. I składa się, jakby naumyślnie, gdy mamy gości, przy których by człowiek nierad się chwalić takim pokrewieństwem, że oni właśnie nas najadą. To mi moje szczęście truje.

Tu pan Teodor począł się szeroko rozwodzić nad szczęściem, jakiego doznawał; nad Lizą, która umiała się doskonale zastosować do nowych obowiązków i położenia.

— Uważałeś, co to się z tej swawolnej Lizki zrobiło? jaka to powaga? co za dystynkcja? he? Ale jak, memento quia pulvis es, gdy jestem najszczęśliwszy, wpada mi Maciorkiewicz lub Zamorski.

Westchnął głęboko.

— Instynkt tej kobiety był niezrównany — dodał — w parę miesięcy do niepoznania się przerobiła!

Adrian nie znajdował wprawdzie, ażeby zyskała na przemianie, lecz poczciwy pan Teodor był z niej zadowolony. Rozmowa ustała, gdy do fumoiru nadszedł Maciorkiewicz, któremu podano cygaro. Zaczęto mówić o rzeczach obojętnych. Młody dzierżawca cały był zajęty księgosuszem, którego się u siebie obawiał. Rozmowa z tego tematu nie była obfitą w myśli wzniosłe. Teodor milczał. Adrian parę razy ziewnął, wkrótce potem się rozeszli. Nie śmiejąc o nic pytać, nie chcąc myśleć ani się domyślać niczego, Adrian, rozczarowany mocno, spać się położył. Dano mu pokój od ogrodu na dole, którego okno, wychodzące na wschód, zasłaniały bzy rozkwitłe. Śpiewały w nich krzykliwe słowiki, ale ta wiosna wydała mu się mniej daleko piękną od pierwszej przed parą laty. I on już postarzał.
Z rana promień jaskrawy słońca go obudził, wstał,

nie mogąc zasnąć, j poszedł, czekając, aż drudzy powstają, do ogrodu. Tu także zmiana była wielka na dobre, widoczne w nim naśladownictwo Zamostowa, zrobiono z niego park niesmaczny, ozdobny w domki i altanki malowane jaskrawo, kilka gipsowych figur stało na nibykamiennych podstawach.

W chwili gdy się tego najmniej spodziewał, w rannym szlafrocuku dosyć wiejskim zaszła mu drogę Misia z wesołym uśmiechem.

— Myśmy tylko dwoje ranne ptaszki — odezwała się, potrząsając bukietem kwiatów, który niosła w ręku. Na liściach ich i kielichach drżały jeszcze krople rosy. — Mąż mój nawet odpoczywa snem sprawiedliwego, zmęczony biedaczysko. Liza wstaje zaledwie po dziewiątej, a Teodor także nie wcześniej, patrzże pan, co to się z nas wszystkich porobiło! Liza taka wielka pani! cha! cha! ona zawsze miała do tego ochotę. Teodor bardzo dobry człowiek, ale go jej nie zazdroszczę.

Pokiwała główką.

— Nudne to te pańskie życie z tymi ceremoniami, muszą się piąć do tych, z którymi żyją, a to darmo, jakby kto nie wiedział, skąd my pochodzimy. Ja sobie żyję z moim mężem swobodnie, w

naszym kółku.

Ale pani Teodorowa jest szczęśliwą.

Tak! tak, kaszle, chora, skwaszona, znudzona! piękne mi szczęście, proszę pana. Teodor też zapada na nogi. Czy uważał pan, jak się zmienił, wyłysiał i postarzał. Czasem, jak się zapomni, wygląda na dziada.

Wstrzęsła się, drgnęła, rozśmiała Misia, popatrzała na Adriana i wachając bukiet, pobiegła męża obudzić.

A już bo się też wysypia do zbytku!

Do śniadania, które nierychło podano, wystąpiła Liza w toalecie paradnej, niby porannej, z nowymi pierścieniami na paluszkach. Przyniesiono też pontyfikalnie na poduszce tiulem i koronkami obszywanej

z niebieskimi wstążkami, na rękach wystrojonej mamki dziedzica przyszłego imienia Męczyńskich, którego matka admirować kazała. — Rozbeczał się fatalnie, a widok jego karmazynowej twarzyczki w zły humor wprawił pana Teodora. Za to pani Maciorkiewiczowa nacieszyć się nim nie mogła.

Sama pani z powodu nie dosyć szybkiej i zręcznej usługi była niecierpliwą i kwaśną.

Konie pana Adriana stały od dawna, ale go nie puszczano, wyrwał się przecież i sam nie wiedząc czemu, zamiast jechać do Zamostowa, kazał ruszyć wprost do chaty Wilczków, która nieco z drogi była.

O Dosię wcale się nie dowiadywał, lękał się prawie coś złego posłyszeć.

Biło mu żywiej, niż wczoraj, serce, gdy się do dworku przybliżył. Tu nic a nic się nie odmieniło, jakby stąd wyjechał wczoraj. Grzmilas nawet powitał go znajomym szczeniem.
W podwórku stał stary Wilczek ze strzelbą na plecach, z torbą borsuczą, w łapciach na nogach,

które zawsze brał do lasu. Spostrzegłszy kogoś przybywającego, rękę przyłożył do czoła, usiłując rozpoznać, ale nierychło sobie przypomniał Adriana i głos dopiero wywołał okrzyk:

O mój Boże, a cóż tu pan robisz! Wszak to pana wieki nie było.

No, całe dwa lata, panie Wilczek. Jadąc do ciotki, po drodze chciałem do was wstąpić, aby was powitać i dowiedzieć się, czyście zdrowa, co się tu u was dzieje?

A! no! a no! pomaleńku, żyjemy, kto nie umarł — odparł Wilczek jakoś smutnie, z rezygnacją. Żony mojej biednej na świecie nie stało, rok, jak skończyła. Panie świeć nad jej duszą.

Więc tak sam, osierocony pan zostałeś? — zapytał Adrian, poglądając dokoła i nie śmiejąc wspomnieć o Dosi.

— Sam, sam, baba tam jakąś — łyżkę stawy zwarzy, choć do niej człek dziś nie ma apetytu — mówił leśniczy — osmutniało życie.

Spuścił głowę i łzę otarł po kryjomu.

— A córka? — rzekł wreszcie cicho Adrian.

Stary spojrział mu w oczy, nieco zakłopotany.

— Dziękuję panu za pamięć, żyje zdrowa.

I uciął. Adrian nie śmiał badać, gdzie była i co się z nią działo. Z twarzy ojca domyślał się, że nie miał się z czym chwalić, gdyż zamilkł jakoś posepnie.

— A pan Krzysztof?

— Żyje stary, zdrow, dzięki Bogu, tylko już po lesie tak się nie włóczy, jak dawniej. Spadł na mnie samego dozór, a tu się złodziejów namnożyło bez miary, że upilnować nie można i zuchwalstwo takie, iż człek siekiery odebrać nie śmie, aby nią w łeb nie dostał.

Chwilkę milczał Wilczek i wnet dodał, opamiętawszy się.

A może laska zajść do chaty i choć trochę odpocząć.

Weszli tedy do tej izby pamiętnej, która Adrianowi przypomniła chorobę Krzysztofa i pobyt jego u Wilczków, i ową Dosię, która z płaczem klęczała u łoża starego. Tu także najmniejszej nie było odmiany, nic nie przybyło, nic nie zginęło, też same przybory myśliwskie wisiały na starych gwoździach. Wilczek, gdy kapelusz słomiany zdjął, wydał się postarzałym bardzo, twarz mu się pofałdowała. Siedli przy stole.

Tak więc sam pan się nudzisz w tej chacie — rzekł Adrian.

Cóż robić? Trudno tu było moją Dosię zamykać, kiedy raz na świat wyjrzała.

Ale nie powiedział nic więcej, pan Adrian nie chciał się wydać ze szczególnym zajęciem nią i zmilczał.

Poczęło się biadanie na czasy, na ludzi, na wszystko, i ciężkie przepowiednie gorszej przyszłości, do któ-

rej szło wszystka Wilczek wzdychał i groził nieochybną karą Bożą.

Po półgodzinnym słuchaniu, Adrian, widząc, że się już więcej nic nie dowie, pożegnał starego i pojechał do Zamostowa.

Przypomnienie kasztelanica, który przy pierwszym poznaniu jakiś w nim wstręt obudził, niemiłym czyniło przybycie do ciotki. Było dobrze z południa, gdy konie stanęły przed gankiem. Na pierwszy rzut oka rozpoznać było można, iż w ogrodzie i około domu dawnego starania nie było. Pewien odcień zaniedbania dostrzec się dawał.

Służący, który wyszedł naprzeciw Adriana, zmieszał się, zobaczywszy go, i jakby nie wiedział, co począć, ale w tejże chwili ukazał się na ganku kasztelanica z cygarem w ustach, ubrany letnio i bez wielkiego starania, z twarzą zarumienioną. Poznawszy Adriana podał mu rękę.

— Nie wiem, czy Wandzia ubrana — rzekł — chodź tymczasem do mnie, każę jej powiedzieć, że

przyjechałeś.

I pociągnął go za sobą.

Pokoje najwygodniejsze w prawo urządzone były dla pieszczonego kasztelanica z wielkim zbytkiem i wygodą. Znać w nich jednak już było człowieka nieporządnego, który potrzebował nieładu, aby mu było wygodnie. Popiół od cygar, porozrzucone suknie, poroztrzęsane książki, poniszczony sprzęt przykre robiły wrażenie.

Prawdziwie Wandzia i ja nie wiedzieliśmy, co myśleć, żeście się tak długo nie zgłaszali — rzekł gospodarz, rozparłszy się na szezlongu naprzeciw fotelu, w którym posadził Adriana. No, widzisz, kochany panie — mówił śmiejąc się — czybyś się był spodziewał, że tego osławionego szulera i łotra znajdziesz mężem Wandzi. A! przyznam ci się, że i ja się tego szczę-

ścia nie śmiałem spodziewać, ale ona czuła, że mam dobre serce, że ją kochał i że ze mną będzie szczęśliwa. Żyjemy jak w raju. Dałem jej słowo, że w karty grać nie będę. Rozśmiała się.

— No, juściż tak zapamiętała, jak dawniej, pewnie nie, ale dla rozrywki ona mi sama nie broni. Dobra jak anioł.

Gdy to mówił, otwarto się drzwi od pokojów pani Wandy i ona sama weszła blada, poruszona dziwnie, ręce wyciągając do Adriana, którego uścisnęła serdecznie.

— Jakżem ja szczęśliwa, że cię widzę!

Łzy jej w oczach stanęły, potem, jakby sobie przypomniawszy powagę dawną i spokój, wyprostowała się i przybrała zwykłą swą postawę. Adrian znalazł ją zmizerniałą, smutniejszą, niż była, i z wyrazem zniechęcenia na pięknej jeszcze twarzy.

— Skądżeś się wziął? co się z tobą działo? — poczęła pytać.

Ponieważ pan sam jeszcze ubranym nie był, a godzina obiadowa się zbliżała, ciotka wyprowadziła z

sobą siostrzeńca do salonu. Dziwił się, nie widząc panny Kornelii, ale o tę pytać nie miał ochoty. Wanda sama szepnęła mu wyszedłszy:

O Dosi ci powiem później.

Więc jej tu nie ma? spytał Adrian niespokojnie.

Nie ma rzekła ciotka urywając nagle.

A panna Kornelia?

Odjechała.

I ta odpowiedź kratka była i sucha.

A rejent? spytał Adrian.

Rejent rumieniąc się rzekła hrabina sam zyczył sobie zamieszkać przy kościele, tam mu dają pensyjkę i ordynarię.

Widzisz, mój drogi Adrianie

mówiła, z tęsknym wyrazem patrząc nie ku niemu, ale na ogród — wiele, wiele się tu zmieniło rzeczy, ja też... Cóż chcesz? tak trzeba było, kobiecie samej zostać na starość bez opieki, bez towarzystwa, bez przyjaciela, niepodobna. Mój mąż, wierzaj mi, jest dobrym człowiekiem. Może mieć wady, jak wszyscy, ale serce poczciwe.

Westchnęła.

— Wahałam się długo, on mnie kochał, przywiązał się do mnie, jestem szczęśliwą.

Temu wyrazowi, pełnemu znaczenia, towarzyszyło cichsze westchnienie, które zdawało się mu zaprzeczać.

Oczy Wandy nie śmiały się zwrócić ku siostrzeńcowi, jakby się lękały, aby z nich innej prawdy nad tę, którą mówiły ustami, nie wyczytał.

Jest coś w każdym domu, co zdradza żywot, uczucia i stan jego mieszkańców, nie daje się to

pochwycić ani opisać. Fizjonomia szczęśliwego domu może być pozornie też sama co innego, w którym się zagnieździło cierpienie, oko wprawne po jednym niczym pozna uczucia, które tędy przepłynęły. Zamostów dawniej wydawał się swobodnym, miło w nim było oddychać, wszystko się tu uśmiechało i kwitło, nic nie było w nim zmienionego teraz, a przecież ciążyło coś, chłód jakiś panował, przymus, tęsknota. W ganku wazony zdawały się powiędłe, park zarastał nie czyszczony, na sprzętach znać było obojętność gospodyni na wszystko, co ją otaczało. Adrian rozglądał się i miał przeczucia przykre. Nie chciał i nie śmiał się pytać. Ciotka chodziła po salonie, rzucając po słowie, jakby się zmuszała do mówienia, jakby połykała lzy i wyrazy. Spytała, kiedy przyjechał.

Adrian opowiedział swe spotkanie i bytność w Zieleniewszczyźnie.

Jakżeś znalazł tę biedną Lizę i tego szczęśliwego

Teodora? — zapytała z uśmiechem przymuszonym Wanda.

— Tak jak ciocia powiada: ją swoją wielkością zakłopotaną, jego przejętego szczęściem zarazem i nieprzejednanego z Maciorkiewiczami, których tam właśnie zastałem. Liza kaszle i skarży się, że chora.

— Nie wiem, może by chciała jechać za granicę — szepnęła ciotka — a pan Teodor, jako dobry mąż, pospieszy spełnić to życzenie.

O panu Krzysztofie dotąd mowy nie było. Sama wreszcie pani, rumieniąc się nieco, wspomniała go.

— Dobry, zacny mój przyjaciel postarzał — rzekła wzdychając — nic go już z tej pustelni, do której przyrósł jak żółw do swej skorupy, wyciągnąć nie potrafi. Żyje w świecie umarłych, maluje herby. Spisuje koligacje, a czasem nas odwiedza. Rada bym go widzieć jak najczęściej, bo go doprawdy Kocham.

Powiedziała to chłodno na pozór i westchnęła.

Zestarzał nad miarę prędko biedny pustelnik — dodała ciszej. Całą jego pociechą Wacek, którego na szlachcica wedle swej myśli wychowuje.

A państwo Pawłostwo? — dorzucił Adrian, aby utrzymać rozmowę.

Szczęśliwi ludzie — mówiła ciotka — gdyby się ich z majątkiem próżność i państwo nie uczepliło. Sama pani poczęła chorować na to dla przypodobania się Krzysztofowi, ale teraz nabrała smaku i dom przestrasza dla siebie.

Rozmowę przerwał wchodzący kasztelan, który na próg z sobą wniósłszy nudę, co go męczyła, ziewał, witając gościa i żonę dosyć od niechcienia i co najprędzej padł na wygodny fotel spoczywać. Miał twarz i postawę zmęczonego wielce próżnowaniem człowieka. Adrian postrzegł — łatwo, że pomiędzy małżeństwem nie było tej harmonii ludzi, co się kochają, a której się dla szczęścia ciotki spodziewał. Wanda unikała wejrzeniem

męża, on miał minę zakłopotaną winowajcy. Widocznie pomiędzy tymi dwiema istotami przeszła już jakaś chmura, która cień na serca rzuciła. Mówiono o rzeczach obojętnych, a ile razy Adrian chciał coś napomknąć o osobach, co go obchodziły, zbywano go milczeniem wiele znaczącym.

Po (obiedzie pan kasztelan zdrzemnął się w krześle, Adrian na ganek wyszedł z ciotką, ale i tu choć byli sam na sam, nie przyszło do prostszego wynurzenia się. Wszystko, co tu widział i co się przed nim kryło, tak rozbudziło ciekawość przybysza, iż postanowił szukać gdzieś wiadomości i klucza do tej zagadki. Ale gdzie? u kogo? zbyt nisko sięgając do znajomych sobie domowników, mógł się narazić na usłyszenie złośliwych fałszów i tłumaczeń nierozsądnych. Na myśl mu przyszedł z kolei i rejent na dewocji w miasteczku, nie bardzo chętny do zwierzeń, i dom państwa Pawłostwa.

— Pozwoli mi ciotka — rzekł wkrótce — ażebym na godzinę jaką pojechał do Pobogowszczyzny?

Wanda zwróciła się — żywo z jakimś uśmiechem smutnym i spojrzeniem znaczącym i zadzwoniła natychmiast, aby kazać konie zaprząć dla Adriana.

I owszem — odezwała się — pojedź tam, ale powracaj do nas (poprawiła się), do mnie, będziemy jeszcze z sobą mieli wiele do pomówienia. Nie jestem skłonna do zwierzeń, lecz powoli, mój drogi Adrianie, wiele rzeczy będę musiała ci wypowiadać, a może i rady zasięgnąć.

Umilkła nagle, spuszczać oczy. Spojrzała ku salonowi, w którym kasztelan z cygarem w ustach odpoczywał, i zdawała się chcieć dać do zrozumienia, że na teraz mówić więcej nie wypadało. Coraz niespokojniejszy Adrian wyszedł, gdy mu znać dano o koniach, i pojechał. Wcałe niespodziane jakieś znajdował tu zmiany, których nawet odgadywać nie śmiał.

Do dworu w Pobogowszczyźnie wiodła ulica z klonów i lip, w części wyłamana, lecz jeszcze dosyć cienista. Zbliżał się nią do starego domu, gdy postrzegł dwie białe między drzewami sukienki. Widocznie były to osoby, które wyszły między cieniste stare lipy przed chwilą, bo nawet kapeluszy z sobą nie miały. Jedna z nich, mniejszego wzrostu, białą chusteczką zawiązała sobie twarzyczkę rumianą. Adrian poznał w niej z dala znacznie wyrosłą i na panienkę już wyglądającą Magdzię. Towarzyski jej, bardzo skromnie ubranej i z jakąś śmiałością ruchów postępującej obok dziewczęcia z gałęzią zieloną w ręku, nie mógł zrazu przypomnieć. Było to piękne dziewczę, dumnie i raźnie patrzące w świat, z twarzą nie tak uderzającą czystością nieposzlakowaną rysów, jak bardziej wyrazem pojętności i męstwa. Dopiero po chwili wpatwienia się poznał w tej panience dawną Dosię. Natychmiast kazał konie zatrzymać i wyskoczył z powozu, Magdzia ucieszona krzyknęła z radości,

klaskając w ręce, i ruszyła się podbiec ku niemu, ale powaga wyrostka, do której uczuła się nagle obowiązana, wstrzymała ją. Dosię zarumieniła się i na ustach jej poważnych zarysował się uśmiech mimowolny.

A! to pan! zaraz poznałam go! zawołała Magdzia.

Ja także panią, jeśli nie poznał, to się prędko domyślił rzekł Adrian, witając obie tylko pannę Wilczkównę, której się tu widzieć nie spodziewałem, która...

Mów pan otwarcie przerwała Dosię którą sobie inaczej wyobrażałeś... nie mogłeś poznać.

Przepraszam panią, poznałbym ją wszędzie i zawsze.

Nie miałabym mu za złe, gdyby było inaczej, widziałeś mnie pan ostatni raz podobno boso i w wieśniaczym fartusku. Uśmiechnęła się. Nieprawdaż,

że tak mi było lepiej, a teraz podobną jestem do wszystkich.

Patrzała śmiało w oczy Adrianowi, mówiąc te słowa, potem wzrok powoli przeniosła na zarumienioną Magdzię.

— Ale chodźmyż do dworu, państwo Pawłostwo niezmiernie panu będą radzi. Ileż to tu razy o nim wspomiano? Jak można było tak gdzieś tam daleko się schować i ami dać znaku życia?

— Tak się to złożyło — mówił Adrian, bacznie przypatrując się Dosi, która pomimo stroju i zmienionych nieco, uszlachetnionych może ruchów, najmniej podobno z charakteru swojego straciła. Coś na wpół dzikiego, śmiałego, pozostało w niej i teraz. Piękność jej nie straciła nic, ale nie zyskała także, można było powiedzieć, że zmężniała i dojrzała tylko. Czując, że Adrian się w nią wpatruje ciekawie, panna Wilczkówna usiłowała uwagę jego zwrócić na Magdzię, która rada była szczebiotać. — Zbliżano się ku dworowi.

Widzi pan poczęło dziewczę jak się tu wiele zmieniło w Pobogowszczyźnie. Nieprawda, że i dom ładniej wygląda, ogród i sztachety, a wewnątrz, zobaczysz pan, jak mama to umiała pięknie urządzić. Nawet stryj Krzysztof pochwalił.

A! jak tatko z pana będzie rad i mama, i Wacek. Wacek wyrósł okrutnie, aż nadto, taki ogromny się zrobił.

Słuchając tego szczebiotania, przerywanego to uśmiechem, to sło, wem Dosi, Adrian ciągle się jej przypatrywał.

Smutniejszą była niż niegdyś, poważniejszą, ale tą samą Dosią, której rozumem, wejrzeniem i mową otwartą cieszył się niegdyś Wilczek stary.

W ganku znaleźli pana Pawła, panny pobiegły dać znać gospodyni o gościa przybyciu. W istocie dwór wspanialszy był, wyrestaurowany z pańska, ale niestety bez wielkiego smaku. Ganek oszklony pełen kwiatów prowadził do środka. Tu sprzęt cały, sprowadzony

ze stolicy, przepyszny, wytworny, miał tę wadę, że był taki, jak wszędzie, zwierciadła ogromne, dywany przepyszne, wszystka nowe i jak z igły zwiastowało dorobkiewiczów, którym pilno było pochwalić się z mieniem i smakiem. Paweł po staremu ubrany był z wielką prostotą, ale pani wyszła strojna z wielkim staraniem. Nie wpływało to jednak na jej serdeczne, przyjacielskie, szczerze gościa przyjęcie, wybiegła naprzeciw Adriana ucieszona, śmiejąca się, szczęśliwa. Wacek gdzieś był na botanicznej wycieczce.

Po wybuchu pierwszej radości, kilka słów zamieniwszy z panem Pawłem, Adrian wybrał się z nim sam na sam do ogrodu, panie domyśliły się, że potrzebowano rozmówić się poufale na osobności.

— Kochany panie Pawle — począł Adrian — jestem już drugi dzień w okolicy, widziałem Teodora, ciotkę, spotykam na każdym kroku jakąś nową zagadkę, bądź pan łaskaw, objaśnij mnie, naucz, wytłumacz, co się tu u was porobiło.

— O czymże chcesz wiedzieć? — spytał Paweł.

O wszystkim i wszystkich, czego się sam domyśleć nie potrafię. Zdumieniem dla mnie jest zamążpójście ciotki. I było ono nim dla całego sąsiedztwa; ale mógłże kto, najlepiej życzący hrabinie, mięszać się do tego, przestrzegać, odradzać? Najwięcej winien Krzysztof, bo może najwięcej mógł, a sam źle zrozumianą delikatnością się usuwał. To zamążpójście tajemnicze, niezrozumiałe, lękam się, czy uczciwymi środkami dokonane, było sprawą panny Kornelii. W tym, powtarzam ci, jest coś niepojętego. Nie można się dziwić, że znudzona, na rzeczy obojętnej, dozwoliła kasztelanicy być w swym domu, ale że się zdecydowała wyjść za niego?! Tylko panna Kornelia, która tę sprawę prowadziła cichaczem, wysyłała posłańców, pisywała tysiące listów, przywabiała swego protegowanego, znajdowała pre

teksty do zatrzymywania go w Zamostowie, może wiedzieć, jak zmuszono hrabinę do oddania ręki kasztelanicy, ale że ją zmuszono, to pewna.

— Jak to zmuszono? — krzyknął Adrian, porywając się — możeż to być?

— Nie mówmy o tym — kończył Paweł — ale powiadam panu, zmuszono ją i to może w sposób nie bardzo szlachetny i uczciwy. Dziś o tym nie ma już co mówić, gdy rzecz skończona.

Adrian ręce załamał.

— Na tym nie koniec — mówił Paweł. — Hrabina przywiązała się mocno do Wilczkówny, groziło to pannie Kornelii osłabieniem jej wpływu w domu i może wykryciem roli, jaką tam grała. Potrzeba więc było Dosię oddalić koniecznie. Zaczyna kuzynka wzięła się do tego w sposób nader zręczny. Poczęła kasztelanicy nastęrczać sposobność spotkania się z niewinną i niczego złego nie domyślającą się dziewczyną, która gdyby nie jej męstwo i zacność charakteru, łatwo być mogła zgubioną.

Kasztelanicy, jako płochy i nawykły do pokątnych romansów, zawiązał skwapliwie stosunki bliskie z Wilczkówną, która w nich tylko życzliwość i przyjaźń widziała. Z drugiej strony panna Kornelia nie omieszkała drogą kuzynkę z

wolna przygotowywać i przestrzegać o zdradzie. Cała ta intryga poprowadzona była tak zręcznie, iż najszcześliwiej się udała. Kasztelanic głowę stracił zupełnie, panna Kornelia władała nim, mówiła mu, gdzie ma iść, co ma robić, udawała litującą się pośredniczkę, a Dosię starała się jak najmocniej skompromitować. Przychodziło jej to łatwo, bo dziewczę było ślepe zupełnie, nie znało świata, gardziło formami, a nieopatrzność posuwało do najwyższego stopnia. Ułożywszy tak raz schadzkę w oranżerii, że kasztelanie zastał tam Dosię samą, nakłoniwszy go, aby z nią mówił otwarcie, panna Kornelia naprowadziła Wandę na tę chwilę, gdy mąż jej klęczał przed Wilczkówną,

a ona jak osłupiała stała, nie mogąc zrozumieć, co to znaczyć miało. Z daleka scena ta mogła się wydać daleko straszniejszą, niż była w istocie. Hrabina, oczy sobie zakrywszy, uciekła. Co zaszło pomiędzy nią a mężem, nie wiadomo, ale odtąd pozostali z sobą grzecznie, chłodno i jak obcy. Wilczkówna zaś tego dnia pieszo wyszła z Zamostowa do swej zagrody, skąd myśmy ją wzięli do siebie. Przed Krzysztofem musieliśmy to wcale inaczej wytłumaczyć, gdyż ani krzywdy swej wychowanki, ani zdrady swojego ideału nie przebaczyłby kasztelaninowi. Krzysztof nie wie o niczym, prócz że Dosię nam do Magdzi była przydatną i żeśmy ją wzięli. Tryumf panny Kornelii zdawał się zapewniony, panowanie jej w domu ugruntowane, gdy jakaś rewokacja domowa nie znanej nam natury odkryła część intrygi przed oczyma hrabinej, która jej dom swój kazała natychmiast opuścić. Zdaje mi się, że się u kasztelanowej znajdować musi. Ciotka wasza nie chce pokazać przed światem pomyłki, jaką popełniła, czy też intrygi nikczemnej, której się stała ofiarą, żyje więc z

kasztelaninem, ale to życie męczennicy, co z uśmiechem znosi boleści.

Adrian, łamiąc ręce, przechadzał się po ścieżce.

Jak to? zawołał i na to wszystko nie byłoby ratunku i tego nikczemnego pozbyć by się nie można?

Jak? skandalem? rozgłosem? wstydem? upokorzeniem? spytał Paweł. Nie wiem, jak się prowadzi, to tylko mnie doszło, że grywa jak dawniej, że długi zaciąga, że dawne towarzystwo znowu do Zamostowa zaprasza i że korzystając z położenia żony, nie chcąc się ani odezwać, ani bronić, żyje w sposób najnieprzyzwoitszy dla człowieka będącego głową poważnego domu. Słaba matka płacze nad tym, o czym się dowiaduje, ale panna Kornelia pilno się stara najgorsze ukryć przed nią, a resztę jako potwarz zazdrosnych tłumaczyć. Wszystko to, co wam mówię dołożył Pa

wel — nie jest może rozgłośnym bardzo, przecież gwarzą o tym ludzie półgębkiem i z każdym dniem staje się to jawniejszym.

— Pan Krzysztof nic nie wie? — dodał Adrian — a bywa tam?

— Bywa, ale przed nim Wanda grywa komedię, gra ją kasztelanica, a siary dobrowolnie jest ślepym i chce widzieć szczęście, więc je sobie sam maluje. Gdyby się prawdy domyślił! znasz go, jest niepohamowanie gwałtownym, nie kocha, ale czci i ubóstwia Wandę, mógłby się dopuścić... czegoś, co by sprawę pogorszyło, a stało się wielkich nieszczęść powodem.

Wszystko, czego się nagle dowiedział Brzoski, tak go przejęło, że w pierwszej chwili chodził jak oszalały, rzucał się i zamyślał tylko, co ma począć, bo nie umiał pojąć, by na nieczynność wobec takiego stanu miał być skazanym.

— Kochany panie Pawle — rzekł po milczeniu długim — jesteś pan pewnym tych faktów? nie są

przesadzone dowolnie, dopełnione?

Płyną z najlepszego, czystego źródła, ta biedna, a wielce zacna Wilczkówna, o mało nie padła ofiarą intrygi — mówił Paweł — patrzyliśmy na to, byliśmy poniekąd świadkami. Ja kasztelanica znam dawno, znają go wszyscy. Wanda uchybiła, lekkomyślnie wpuszczając go do swojego domu, ale nigdy by za niego nie poszła, gdyby nie zręczne manewra panny Kornelii, która ją potrafiła skompromitować, zmusić niemal do małżeństwa.

Zburzony cały, tak że na twarzy jego malowały się wszystkie uczucia, jakie w nim opowiadanie wzbudziło, przeszedł Adrian do salonu. Poznała po nim Pawłowa to wzruszenie, które wesołością swą i obojętniejszą starała się — uśmierzyć rozmowę. Brzoski nie mógł nawet wpatrzeć się w Dosię, bo się lękał, aby wzrok jego nie dał się jej domyśleć, że wie te szkarady. Wilczkówna

siedziała naprzeciw niego z Magdzą, spokojna, poważna, ciekawie niekiedy mierząc go oczyma. Wiedziała ona, że Adrian był pierwszym, co ją w ten świat chciał wprowadzić, i wdzięczną razem mu była i gniewną. Oboje nie przemówili już do siebie prawie i słowa.

— Byłem u ojca pani — rzekł tylko krótko Brzoski — i ucieszyłem się, widząc go w dobrym zdrowiu.

— Biedny ojciec! — szepnęła Dosię — jemu tak tam pusto.

Wkrótce po podwieczorku Brzoski śpieszył wyjechać na powrót do Zamostowa, pilno mu było widzieć się z ciotką po odkryciu tych tajemnic i oszczędzić jej przykrych wyznań, jeśliby je czynić chciała. W drodze napadła go burza z ulewą, tak że i spóźnić się musiał z powrotem, i dojechawszy, przebierać jeszcze, nim poszedł do salonu. Wieczór już był późny. W pokojach kasztelanica rzęsiście światło i wrzawa oznajmiły mu dosyć liczne i hałaśliwe towarzystwo. Wstępować tam nie

miał najmniejszej ochoty, poszedł wprost do ciotki. Zastał ją, oczekującą na siebie, ubraną jeszcze i przebiegającą salon wielkimi krokami. Wyszła naprzeciw niego uśmiechnięta.

Walerek ma u siebie jakichś nieznośnych gości, Są to starzy znajomi, których się pozbyć nie może. Jeśli, o tym nie wątpię, towarzystwo to bawić cię nie będzie, możesz zostać ze mną. Oni sobie zapewne wkrótce pojedą. Spojrzała mu w oczy Wanda, skłonił się i nic nie odpowiedział, chciała może wybadać, czy wie już o czym i co mu u państwa Pawłostwa powiedziano.

Widziałeś dawną swą znajomą — dodała — i jakżeś ją znalazł?

Z daleka tylko i na krótko ją postrzegłem — odparł Adrian — ale, jeśli mam szczerym być, wyznam, że nic w mych oczach nie straciła.

— Wątpię, żeby zyskała — odezwała się ciotka z uśmiechem — dziewczę zachowało dawną swą dziką nieco śmiałość, która w salonie może się różnie tłumaczyć. Ludzie, nie nawykli do podobnego obchodzenia się, mogą ją brać za daleko gorszą, niż jest w istocie.

— Lecz można o niej co złego powiedzieć? — zapytał Adrian.

— Złego! proszę cię... to złe, jakie by powiedzieć można, jest, jest, jeśli chcesz, stosunkowym — mówiła Wanda powoli i cicho cedząc wyrazy — trochę zalotna, trochę płocha, trochę nieostrożna.

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

— Czy twoja miłość dla niej wróciła z tobą? — zapytała.

— Nie zmniejszyła się wcale — rzekł Adrian — a dzisiejsze, choć przelotne widzenie rozbudziło ją mocniej.

— I miałbyś serio na myśli...

Starac się poznać ją bliżej — rzekł Adrian — potem, zobaczymy.

Pozwólże, bym z tobą szczerą była, bom ja na nią długo chłodniejszymi od twoich oczyma patrzała, mój Adrianie — mówiła Wanda — Dosia, Dosia jest czymś ekscentrycznym, istotą, o której wyrzec sąd stanowczy trudno, ma przymioty

i wady, lękam się, by te ostatnie zbyt się nie stały wybitne. Posłuchaj, bałamuciła mi Walerego, może najnaiwniej, ale nieco był stracił głowę i to się stało przyczyną, żeśmy się rozstać musiały. Nie winię kasztelanica, mogło mu się młodsze ode mnie dziewczę chwilowo podobać, ale ją, która mnie zdradzała!!

Przepraszam ciocię — przerwał gwałtownie Adrian — ja winię pana kasztelanika, nie ją. On bardzo dobrze wiedział, co począł, ona mogła wcale nie rozumieć tego, że przyjaźń i opieka pozorna mogą pokrywać brudną namiętność kryjomą. Dziewczęciu nie

doświadczonemu wybaczyć można nieopatrzność, doświadczonemu człowiekowi płochości takiej darować się nie godzi.

— Ale to nie było nic znowu tak serio z jego strony — poczęła Wanda — jam się może niepotrzebnie nastraszyła. Rumieniec wystąpił na twarz Wandy, spojrzała na siostrzeńca i poznała po oburzeniu, że nie z jej ust po raz pierwszy dowiedzieć się musiał o wszystkim.

— Co ci mówiono u Pawłostwa? — wtrąciła nagle — bądź szczerym. Pan Paweł mógł ci prawić jakie niedorzeczne domysły.

Zaczęła się unosić.

— Ludzie są źli doprawdy, nawet kiedy kogoś kochają, tłumaczą sobie wszystko opacznie. Mogli ci pleść niestworzone rzeczy o mnie, o Kornelii, o moim mężu. To są plotki, to bajki, w tym nie ma słowa prawdy! Kornelia sama chciała wsunąć się do kasztelanowej, która ją mieć przy sobie

pragnęła, mój mąż jest dobrym człowiekiem, który za grzechy młodości czasem pokutować tylko musi, jak dzisiaj. Stosunki trudniej jest zerwać, niż zawiązać. Proszę cię, nie wierz plotkom, ja jestem szczęśliwa.

Kochana ciociu — odezwał się, całując jej rękę, Adrian — plotkom mógłbym nie wierzyć, ale oczom muszę. Szczęście wygląda inaczej, mówi, patrzy i promienieje, nie tak, jak widzę. Ciotka szczęśliwą nie jest, a przywiązanego do niej serca oszukać pobożnie... nie można.

Wanda pochwyciła gwałtownie rękę siostrzeńca, obejrzała się.

Na Boga — zawołała — milcz! proszę, nie mówmy o tym, są rzeczy spełnione, które się trzeba starać zapomnieć. Obląkanym wzrokiem powiódłszy po pokoju, dodała:

— Jeszcze raz proszę cię, już dosyć o tym. Ale Adrianowi narzucić milczenia nie mogła nawet powaga ciotki, zbyt był oburzonym.

— Dla obcych będę milczał — rzekł, zniżając głos — lecz między mną a ciotką tajemnic być nie powinno. Nie ma tego złego, które by się nie dało naprawić i usunąć.

— Dość dla zatruć życia tych śladów, które ono zostawi po sobie — odezwała się Wanda. — Chcieć je usunąć byłaby to przyznać się do niego i do błędów, co je sprowadziły. Nie lepiejże znosić z rezygnacją w milczeniu?

— Jestem przeciwnego zdania — począł Adrian — trzeba mieć męstwo zrzucenia z siebie okowów ciężących, gdy z nich dla nikogo nie ma korzyści, gdy ofiara ciężka a daremna. Więc dla miłości spokoju jakiegoś pozornego życia oddać resztę! A! na to ja nie pozwałam.

Wandzie łzy popłynęły z oczów, które prędko otarła.

— Są tacy losu skazańcy, jak ja, którzy fatalizm swojego przeznaczenia znieść powinni, nie

targając się przeciwko niemu. Na tych lat pozostałych kilka wartoż starań? Niech wszystko, jak jest, zostanie, mam dosyć męstwa, bym to zniosła.

Właśnie gdy tych wyrazów domawiała Wanda, z pokojów niezbyt oddalonych kasztelanica dał się słyszeć okrzyk karciarzy. Snadź jakaś wielka przegrana czy wygrana paść musiała. Wanda drgnęła, zamilkła. Adrian poruszył ramionami.

W chwilę potem drzwiami bocznymi w ubraniu porozpinanym, z cygarem w ustach, z włosami rozrzuconymi wszedł kasztelaniec, spojrział, śmiejąc się kwaśno, na Adriana, i odciągnął na stronę Wandę.

Był tak rozgrzany grą i towarzyszącym jej przyjęciem gości, że nie bardzo zważał na to, iż Adrian mógł łatwo go słyszeć, mówił ochryplym głosem;

— Trochę nieszczęśliwie dziś grałem, mała gierka przeszła w znaczniejszą, nic znowu tak straszego... brak mi tysiąca rubli... proszę cię...

Wyciągnął rękę, jakby po klucze.

— Nie mam ich — odpowiedziała Wanda.

— Ale, cóż znowu! jednego tysiąca.

— Nie mam ich — powtórzyła Wanda. Kasztelaniec rzucił się, dosyć niegrzecznie okazując nieukontentowanie, i trzasnąwszy drzwiami za sobą, powrócił do graczy.

Wanda z wolna zbliżyła się do siostrzeńca, który stał oburzony.

— To więc są sceny codzienne, na które ten człowiek ciocię wystawia — zawołał — i to znosić trzeba, a może coś gorszego, czemu przytomność moja zapobiegła?
— Wypadek zupełnie wyjątkowy — dodała Wanda — wierz mi.

Adrian chodził zzymając się po salonie, chętka go brała wejść do graczy i obejść się z nimi tak, aby im ochota odeszła drugi raz tu wrzawliwe sceny wyprawiać. Ciotka, może się domyślając, co zamierzał, nagle powiedziała mu dobranoc i zabrała się iść do swych pokojów.

Twoje mieszkanie na górze poczęła szybko proszę się, nie chodź do nich, nie mięszaj się do niczego, zostaw mnie własną obronę, nie jestem tak słabą, jak sądzisz.

I zadzwoniła, powtarzając dobranoc, a wchodzącemu służce poleciła odprowadzić Adriana. Musiał jej być posłusznym. Wchodząc na górę, pominął korytarz, na którym głosy z mieszkania kasztelanica wyraźnie się słyszeć dawały, szybkim krokiem przebiegł wschody i zdumiał się wielce, gdy stanąwszy w progu, zobaczył w pokoju swoim siedzącego u drzwi rejenta.

Stary rezydent wstał, serdecznie go witając w milczeniu, długo nie mogąc przemówić słowa.

— Przypadkiem dowiedziałem się o pańskim przybyciu — odezwał się stłumionym głosem — dostałem się tu umyślnie, by kochanego pana zobaczyć.

— Jam się także do was wybierał — rzekł Adrian. — Panie, co się tu dzieje! — zawołał po wyjściu służącego stary — co za los naszej pani zgotowano! — Ale jakże do tego przyszło! Rejent zakrył oczy.

— Me pytaj pan, kobieta słabą była i zbyt ufała drugim, padła ofiarą. Zdało się jej, że musiała to uczynić, ratując swą sławę, a panna Kornelia wie tylko...

Przerwał nagle.

— Nie, nie chcę mówić o tym i ust sobie, a wam uszu walać. Już nie o tym mówić, co było, ale co jest, kochany palnie. Na dole po nocach grają co dzień. Niech pan spyta i zobaczy, kto mieszka we

dworku na wsi, kto w oficynie. Panny z miasta! Jedną się nazywa siostra pisarza, drugą siostrzenica ekonoma. Cały dwór na to patrzy, w miasteczku weksle kasztelanica jak grad się sypią, a wziął od pani plenipotencję. A wiesz pan, jak się z nią obchodzi?

Adrian przemówić nie mógł.

Cicho szepnął po chwili namysłu dosyć, tak pozostać nie może, naradzimy się, co jest do zrobienia, a nieszczęśliwą oswobodzić moim obowiązkiem. Rozmówię się z tym panem i z ciotką, to moja sprawa, bądźcie spokojni. Dajcie mi czas tylko. Bez hałasu załatwić się musi wszystko. Tego rodzaju ludzi pozbywa się łatwo.

Rejent uściśnął rękę jego w milczeniu.

Tego samego dnia, gdy się to działo w Zamostowie, Wilczek pod wieczór przyszedł na zamek do pana Krzysztofa. Przed starym leśniczym wiele rzeczy ukrywano, o wielu nie miał się zrzeczności dowiedzieć. Rzadko wychodził ze swego lasu i z obcymi mówił ludźmi. W tych dniach właśnie zapotrzebował sprawunku i powłókł się do miasteczka, za jednym razem postanowiwszy odwiedzić grób żony i z dawną sobie przyjaznego księdza proboszcza. Stary ksiądz był oryginałem w swoim rodzaju, późno już bardzo z kapitana od ułanów zostawszy duchownym, zachował żołnierskiego coś w mowie, obyczaju i obejściu. Nikt nad niego dobitniej do ludu, serdeczniej przemówić nie mógł, ale gdy się nieco uniósł, a to mu się też trafiało, wyrwało mu się z ust i — Do kroć sto tysięcy! — bardzo łatwo, choć później żałował porywczosci swojej i pokutę sobie za to zadawał. Znano księdza Powalskiego z jego dobroczynności nieograniczonej i z gwałtownego charakteru, i z namiętnej niemal pobożności, bo przy mszy świętej nieraz, uniesiony uczuciem, zanosił się od płaczu.

Bali go się też ludzie, bo prawdę wypowiadał, dla nikogo jej w żadne nie upowijając pieluszki.

Wilczka kochał ksiądz Powalski, bo się w nim stara namiętność do lasu i łowów odzywała, myślistwem się zajmować nie śmiał i nie mógł, ani na to by mu czasu starczyło, rad więc był choć pogawędzić o łowach.

Mój ty stary przyjacielu wołał, widząc go powiedzże ty mnie, co tam twoi wilcy robią, a masz dużo sarn i kozłów w ostępach, bo u mnie kozłów w parafii podostatkiem. Słowem bożym do nich strzelam, ale często pudłuję.

I śmiał się ksiądz Powalski.

Tego dnia Wilczek go zastał chmurnym, gniewnym i niemal nieprzytomnym z żalu i bólu. Długo milczał o przyczynie, wreszcie mu się wyrwało. Na sercu miał pożycie kasztelanica z żoną i los Wandy.

Wilczek mało co o tym wiedział, bo córka już ten dom opuściła dawno i z Zamostowem nie miał stosunków, zachował tylko poszanowanie i wdzięczność dla tej, która się jej wychowaniem z macierzyńską zajmowała troskliwością.

Księdza Powalskiego, który, co miał na sercu, łatwo wypowiadał, nie bardzo było trzeba naglić do mówienia.

— A to, mospanie, trutnia nam tu do parafii lichy wniośło w uczciwy i pobożny dom, zgorszenie i zbytek! Najlepszą w świecie kobietę wpłatali w najniegodziwsze stadło z człowiekiem niepoprawnym. Taż to Sodoma i Gomora w tym domu, a ta nieszczęśliwa łyż i, jak może, brud osłania.

Począł się Wilczek rozpytywać. Księdzu donoszono ze stron różnych, wiedział, co się działo w Zamostowie, i z żalu nad losem kobiety, która lepszego była warta, niepomiernym gniewem się unosił na kasztelanica. Przez cały czas pobytu leśniczego o tym tylko była mowa, nie dziw więc, że stary, wyjechawszy z miasteczka, głowę miał nieszczęściem nabitą i serce przejęte, tak że na

zamek do pana Krzysztofa poszedłszy, języka za zębami utrzymać nie mógł. Przyczyny też do tego nie widział, aby przed panem Krzysztofem cokolwiek bądź taić. Nie spodziewał się wcale, aby to na nim tak wielkie uczynić miało wrażenie.

Na pierwsze słówko pustelnik się zerwał, jak postrzelony, i przypadł do Wilczka, wołając: Gadaj! co? skąd? mogli to być, a ja nic nie wiem!

W istocie Krzysztof, dzięki umiejętnemu udawaniu Wandy, wcale się niczego nie domyślał, sądził ją szczęśliwą, wiadomość ta przeraziła go, wierzyć jej nie chciał. Wilczek musiał mu powtarzać niemal dosłownie, co od proboszcza Powalskiego słyszał.

Staremu dopiero teraz na wiele rzeczy, niezrozumiałych wprzód, otwierały się oczy. Kazał mówić leśniczemu i słuchał, pohamowawszy się, usta zaciął i ze

wzrokiem w ziemię wbitym długo badał tego posła niedoli.

Powtarzać mu musiał po razy kilka jedno. Krzysztof potrzebował potwierdzenia wiadomości, która nań jak grom spadała. Widać było, iż wcale obojętnym świadkiem tej sprawy być nie myślał. Zatrzymawszy Wilczka dosyć długo, odprawił go wreszcie, a sam wybiegł na ruinę baszty, gdzie zwykł był siadać, gdy z myślami swymi walczył i

potrzebował sam być z sobą. Z tych dumań wyrwało go dopiero przybycie Adriana, któremu wskazano, gdzie go miał szukać.

Na widok wchodzącego do baszty młodego przyjaciela porwał się pan Krzysztof, obie ku niemu wyciągając ręce.

— A to mi cię tu Opatrzność zesłała! — zawołał, ściskając go.

I zaraz porywczo dodał: — Byłeś w Zamostowie? Bystro spojrzął mu w oczy.

— Jadę stamtąd!

Dawnoś przybył do ciotki?

Parę dni, jak w okolicy jestem.

Zawahawszy się nieco, czy ma przed nim mówić prawdę całą, Krzysztof oczyma go jeszcze badał, ale wzruszenia własnego długo utaić nie mógł. Wskazał na ławie kamiennej obok siebie miejsce gościowi.

Wiesz czy nie, co się tu święci! Ja, głupi, stary, ślepy, dopiero w tej chwili z boku się dowiaduję o tym, o czym dawno powinienem był wiedzieć, com przeczuć był powinien! Jam ją miał za szczęśliwą, jam się, gwałt sobie zadając, cieszył jej szczęściem, a ta kobieta cierpi, ten nicpoń wdarł się tu na to, nie wiedzieć jakimi środkami, aby jej życie zatruć! Mów, prawdali to! może to być? Wiesz? nie wiesz? to może ludzkie plotki?

Adrian zrazu zmilczał, ale nie przeczył. — Jesteś pan i byłeś prawdziwym przyjacielem — począł.

— Przyjacielem! — wykrzyknął w uniesieniu pustelnik — przyjacielem! jam się w niej kochał do szaleństwa, ja ją wielbię i czczę... jam dla niej życie dać gotów...

— To, co panu opowiadał Wilczek, co ludzie mówią już wszyscy, bo to dla nikogo tajemnicą nie jest, prawda niestety! kasztelaniec pozostał takim, jakim był, rozpustnikiem lekkomyślnym. W domu szulernia, na folwarku metresy najpodlejszego rodzaju, we dworze zgorszenie i rozpusta. Ciotka łyzy połykać musi. Byłem niemal świadkiem scen, o których mówić nie chcę.

Krzysztof porwał się, jakby biec natychmiast zamierzał.

— Ja... ja tego łotra nauczę! — krzyknął z namiętnością niepohamowaną — ha! myśli, że jest bezbronną, że nikt się nie ujmie za nią. Ja mojego życia za nic nie mam i zginę lub go ze świata zgładzę.

Chodził jak nieprzytomny po małej baszcie, potykając się o kamienie i niemal bijąc o ściany. Adriana się uląkł.

Panie Krzysztofie rzekł, za rękę go chwytając jeżeli co poczynać mamy, do czego i ja z chęcią mu służę, należy namyśleć się dobrze, aby zgorszenia i rozgłosu nie powiększać; nie idzie o niego, ale o nią. Na Boga, spokojnie i rozważnie. Mamy dowód najlepszy, iż ten człowiek, którego miłość takiej kobiety poprawić i opamiętać nie mogła, jest niepoprawnym, trzeba go oddalić. Tak, nad tym się musimy namyśleć.

Co tu się namyślać przerwał pustelnik co tu długo głowę łamać. Szkodliwemu zwierzęciu kulą w łeb! kulą w łeb, i po wszystkim... kulą w łeb! kulą w łeb! powtórzył coraz głośniejszą parę razy.

— Jednakże to ani tak łatwo, ani godziwa — przerwał Adrian.

— Co w tym niegodziwego? Wyzwę — począł Krzysztof — spoliczkuję łajdaka, i wyjść musi... zabiję go.

— A jeżeli on pana zastrzeli? — spytał Adrian.

— Byleby sam padł — zgoda i na to — mówił z gorączką niezmierną Krzysztof. — Zresztą padnę ja, waćpan go powinieneś ze świata sprzątnąć.

— Na Boga, powoli, powoli, z rozwagą — zawołał Adrian — kule nosi przeznaczenie nie zawsze po myśli naszej, trzeba co innego poradzić.

Nierychły stary, który przed parą dniami oschłym się zdawał, dał się ukołysać i uspokoić. Nie mógł sobie swej ślepoty przebaczyć.

Poszli, raczej wykrzykując i żale rozwodząc, niżeli radząc, do izby zamkowej. Krzysztof latał po niej, nie mogąc się pohamować, ilekroć wspomniał na los Wandy. Z rozmowy dopiero dowiedział się o roli, jaką w tym odegrała panna Kornelia, i o całej sprawie Dosi. To go wścieklejszym czyniło, tak że

gniew, który Adrian starał się uśmierzać, cały wszedł w niego; zaciął usta, namarszczył czoło i milczał, ale groźniejszym wydawał się jeszcze.

Jak gdyby już coś postanowił, ani rady nie słuchał, ani pod koniec z Adrianem mówić o tym nie chciał, powtarzał mu: Wiem, co uczynię. Wyciągnąć z niego, co postanowił, nie było można. Uląkł się Adrian, lecz na próżno go zaklinał.

Bądź waćpan spokojnym — rzekł — ja się z nim we cztery oczy tak rozprawię, że się go pozbędziemy.

Począł go ścisnąć i całować, zaklinać, prosić przybyły i nic nie wy dobył z ust uparcie zamkniętych; powtarzał mu: Bądź waćpan spokojny.

Do późnej nocy trwało to naleganie z jednej, odpór z drugiej strony. Adrian obawiał się go rzucić i pozo

stał na zamku, kazawszy sobie posłać w salce na ziemi trochę siana i stary dywanik.

Pan Krzysztof chodził do rana po swojej sypialni, kilka razy padał na kolana i modlił się, to znowu wstawał, a nad ranem ze strzelbą na plecach, ubrany jak do polowania, zjawił się przed Adrianem. Ten, nie chcąc go puścić, zerwał się, by mu towarzyszyć.

Mowy już o niczym nie było.

— Dokąd masz jechać? — zapytał stary.

— A pan?

— Ja bym chciał do Teodora się dostać — rzekł Krzysztof — mam do niego prośbę i widzieć się z nim muszę.

— Odwiozę pana do Zieleniewszczyzny.

Nie wznawiając wczorajszej rozmowy, pojechali w istocie do państwa Teodorostwa. Przybyli tam tak rano, że piękna Liza, która teraz tryb życia na pański zmieniła, spała jeszcze, Teodor był w

szlafroku. Zaledwie się przywitani, Krzysztof pod rękę wziął gospodarza i wyciągnął go do ogrodu. Adrian, zostawszy w sypialnym pokoju, czekał godzinę, drugą, nareszcie służący przyszedł go na śniadanie prosić od pani, niespokojny więc musiał iść do niej.

Piękna Liza kaszłąca była, strojna i melancholiczna. Nie zastał tu jeszcze ani jej męża, ani pana Krzysztofa, wysłano pilno ich szukać w ogrodzie, lecz jeszcze pół godziny czekali, nim wreszcie nadeszli oba.

Teodor był blady i widocznie zaniepokojony. Krzysztof udawał wesołego, ale to była jakaś wesołość namiętna, nienaturalna, która zarówno piękną Lizę, jak i Adriana wylękla.

Teodor w ciągu śniadania dziwnie był zamyślony i milczący, rozmowa nie szła. Gdy nareszcie wstali od stołu, Adrian pośpieszył chwycić pana Krzysztofa, ażeby go wy badać.

Cóżeście państwo postanowili?

— Jak to? go? nic! ale nic! radziłem się z Teodorem, on jest tego zdania, co i ja, że mu jak psu wściektemu w łeb strzelić się godzi. A gdzie i jak, to los postanowi.

Więc pomimo nalegań i zabiegów nie dowiedział się nic Adrian, a Krzysztof fantastycznie, jak był zwykły, nie pożegnawszy się z nikim, za strzelbą wziął wkrótce i pieszo poszedł, mówiąc, że do swoich lasów ciągnie.

Jakoż w istocie, szpiegując go nieco, dostrzegł Adrian, iż poszedł w stronę Zamostowa przeciwną, ku chacie Wilczka, to go uspokoiło, Teodor zatrzymał go na obiad koniecznie. Od niego nie można się było też nic dowiedzieć oprócz tego, że Krzysztof był rozszalony i wzburzony i że się katastrofy można było spodziewać, jeśli się nie opamiętał.

Nalegając Adrian mógł tylko zmiarkować, iż pan Teodor związał się jakimś słowem i mówić nie chciał. Skłopotany był mocno, zafrasowany, nierad z tych odwiedzin i z Krzysztofa.

Stary dziwak! odezwał się w końcu mógł się sam ożenić, ściągał, zwłóczył, brakło mu determinacji, a teraz za późna mu żale przychodzą. Niechby był miał tak silną wolę, jak ja dodał a byłby szczęśliwym i wszystkie te historie miejsca by u nas nie miały.

Adrian powrócił wieczorem do Zamostowa. Tu cisza panowała, powiedziano mu, że kasztelanica tego dnia się nie pokazywała i że odsypiał za noc spędzoną przy kartach. Wanda blada, ale spokojna, siedziała z książką u siebie. Po oczach znać było, że płakała, lecz rozmowę zwróciła na rzeczy obojętne, poczęła pytać o pana Krzysztofa, trochę wyśmiewać jego dziwactwa, a bardzo chwalić serce. Udawanie wesołości wprawiło ją w humor dziwny, który wiele kosztować musiał. Późno już dosyć, gdy w istocie rozchodzić się była pora, zjawił się kasztelanica, w domowym stroju, trochę kwaśny, niby gościa przepraszając za to, że o nim

trochę zapomniał. Parę razy próbował się zbliżyć do żony, lecz ta bardzo grzecznie uchyliła się od niego pod jakimś pozorem. Wyszli potem oba razem. Kasztelanica na cygaro zapraszał do siebie, Adrian odmówił, uskarżając się na ból głowy. Rozeszli się na zimno.

Pobyty w Zamostowie był nadzwyczaj przykry, lecz zdawało się Adrianowi, iż powinien był czas jakiś pozostać, a ciotka mocno o to nalegała; unikając zbliżania się do kasztelanicy, spędzał część dnia w sąsiedztwie. Trzeciego czy czwartego wieczora powróciwszy od państwa Pawłostwa, dokąd go dzika Dusia ciągnęła, ku której próżno się dotąd usiłował przybliżyć, Adrian znalazł w ręku ciotki bilecik Teodora, zapraszający go nazajutrz na polowanie.

Kasztelanica, który nadszedł, oświadczył, że zaproszenie podobne odebrał także i że pojedzie wprost do wskazanej kniei. Ofiarował powóz swój myśliwski Adrianowi, lecz ten, zawsze unikając jego towarzystwa, powiedział, że konno jechać woli.

Poranek był jakiś mglisty i parny, gdy kasztelanie z jednej strony, Adrian z drugiej na prost przez łąki udali się do wskazanego ostępu. Opatrzony było i osaczone gniazdo młodych wilków, które zabrać się spodziewano. Na skraju lasu strzelcy i pan Teodor sam oczekiwali zaproszonych. Wilczek ze swą torbą borsuczą i starą strzelbą, do której był nawykły, rozgospodarowywał się, oznaczając stanowiska. Adrian, zasłyszawszy o Krzysztofie, iż miał tam być także, co prędzej dopadł Wilczka, prosząc i zaklinając, alby nie opodał od niego mógł stanąć. Leśniczy zgodził się na to, choć pomrukując. Oblawa zewsząd otaczała ostęp, nad małą drożyną u skraju lasu i zarośli poustawiano myśliwych. Cisza panowała w kniei uroczyście, tajemnicza. Adrian, którego jakiś niepokój opanował i jakby przecucie, niewiele stojąc o pilnowanie i zwierza, naglądał ciekawie na stanowiska sąsiednie. Pana Krzy

sztofa podszedłszy ukradkiem, zobaczył pod sosną zajętego pilnie nabijaniem aż w dwóch dubeltówkach, z których jedna stała o sosnę oparta. Chociaż nie było bardzo bezpiecznym schodzić z wyznaczonego stanowiska, Adrian nie opodał pozostał, nie spuszczać z oka starego. Na dany znak począł się hałas, wrzawa, napędzanie zwierza i strzały. Kilka z nich padło w stronach różnych, na naszych strzelców jednak nic nie wyszło, oprócz pary zajęcy, które przepuszczono, bo je bić była nie pora. W chwili gdy się ta wrzawa już uśmierzać poczyniała, pan Krzysztof, który zdawał się wyczekiwać czegoś niecierpliwie, jedną dubeltówkę zostawiwszy przy sośnie, szybkim krokiem, drugą zarzuciwszy na ramię, skierował się ścieżyną w głąb lasu. Adrian z dala i ostrożnie, sam prawie nie wiedząc dlaczego, pociągnął za nim.

O kilkoro staj spostrzegł kasztelanica, który, wyczekawszy snadź próżno na zwierza, postawił swą strzelbę i do cygara się, ziewając, zabierał. Pan Krzysztof wprost szedł na niego. Adrian kroku przyśpieszył i w niewielkim oddaleniu ukrył się za sosną. Następująca scena odegrała się pod jego

oczyma, tak że z niej ruchu ani słowa nie stracił.

Krzysztof podszedł o kilka kroków do kasztelanica i zbladły stanął. Nie przywitał go zwykłym sposobem, ale spojrzawszy nań długo, rzekł:

Korzystam ze sposobności, aby z panem pomówić, mam do waćpana interes.

Służę — odparł kasztelanica.

Sami jesteśmy, nikt nam nie przerwie, rozmówimy się więc otwarcie i stanowczo. Oto przyszedłem waćpanu oświadczyć, że cię mam za łajdaka!

Kasztelanica rzucił się i chwycił machinalnie za dubeltówkę, i pan Krzysztof swoją już trzymał w ręku.

Zaczekaj waćpan — rzekł zimno — nie masz się czego śpieszyć, na strzelanie mamy czas, ujdzie to po

tem za przypadkowe postrzelenie, chcę, żebyś wiedział, dlaczego cię tak nazwałem. Niepoczciwym sposobem dobiłeś się ręki kobiety, której wart nie byłeś, prowadzisz życie sromotne, hańbisz dom, czynisz ofiarę swą nieszczęśliwą. Ja tego ścierpieć nie mogę.

— Jakim prawem... — wtrącił, wybuchając, kasztelanica.

— Prawem uczciwego człowieka, który nie cierpi łajdactwa, prawem przyjaźni i czci dla tej kobiety, prawem lub bez prawa, ale postanowiłem się z wami rozprawić. Staniemy o kroków dwadzieścia, mamy dubeltówki kulami nabite, jeden z nas zginie.

Kasztelanica, któremu strzelba drgała w ręku, pochwycił ją szybko, przyłożył do twarzy i krzyknął:

— Precz, lub strzelę.

Krzysztof miał także w ręku gotową dubeltówkę, ale nie śpieszył.

Milczeli oba.

— Strzelam do jaskółek kulą — rzekł po chwili — o kroków dwadzieścia położę cię nieochybnie.

Widząc, na co się zanosilo, Adrian wyskoczył z kryjówki i rzucił się ku kasztelanicy, który przestraszony, słysząc chrzęst w krzakach, głowę ku niemu pochylił.

Adrian wiedział, że Krzysztof nie strzeli pierwszy na bezbronnego, usiłował więc zapobiec tylko, by kasztelanica tego nie uczynił. Na widok obcego obaj przeciwnicy zmieszani stanęli.

Panie Krzysztofie — zawołał Adrian — byłem mimowolnym świadkiem i słuchaczem, kładnę veto na podobne spotkanie.

Zostałem napadnięty — rzekł głosem od gniewu zmienionym kasztelanica — rozbój w lesie... gwałt.

Idź waćpan precz — krzyknął Krzysztof do Adriana — i nie mieszaj się w cudze sprawy, mówię waćpanu, na stronę. Znieważylem tego jegomości, mó

więc mu w oczy prawdę, której nawet tacy, jak on, nie znoszą, musimy się więc rozprawić i to niezwłocznie.

— To nie może być! — zawołał Adrian — to nie byłby pojedynek, ale...

— Ale rozbój! rozbój! — począł kasztelan, który strzelby nie puszczał z ręki.

— Waćpan mi jesteś świadkiem, ja się bronię, jestem w swoim prawie. Słowo jeszcze, a strzełę, jak Bóg miły. Krzysztof milczał.

— Ja po to tu przyszedłem, abym z waszeczki wziął rachunek krwawy; po twoją skórę idę i swojej nadstawić się nie zawaham.

— Złóćcie panowie tę broń niewłaściwą — począł Adrian — jeżeli ma być spotkanie, znajdziemy inną.

— Na wszelką gotów jestem, ale tu, zaraz, niezwłocznie — zakrzyknął Krzysztof — nie ścierpię odkładania. Pistolety są na mojej bryczce... u Wilczka.

Ja waćpanów tu samych nie zostawię — przerwał Adrian.

A ja tego trutnia z oczów nie chcę stracić, aby mi nie uszedł — zawołał Krzysztof — kroku nie ruszę stąd. Stali znowu chwilę, kasztelanowi ręce dygotały, bład był, ale usiłował się uśmiechnąć i mruczał ciągle:

To rozbój! to rozbój na gładkiej drodze, jak Doga kocham, rozbój!

Nie drażnij pan i milcz — przerwał Adrian — formy wprawdzie zachowane nie zostały, pan Krzysztof postąpił porywczo.

Nie chcę skandalu — wrzucił Krzysztof — niech gadają o pojedynku, ktoś kogoś postrzelił, i dosyć.

Ale za cóż? czego chce ode mnie ten rozbójnik! — krzyknął kasztelan.

Powiem panu — rzekł Adrian, kładąc rękę na

dubeltówce, którą ciągle się zmierzał — że gdyby nie wzgląd na ciotkę, ja bym też pana mógł i powinien pozwać o rachunek. Cały świat wie, jakim sposobem otrzymaliście tę rękę kobiety nieopatrnej i zdradzonej, cały świat patrzy na wasze postępowanie i jej nieszczęście.

— Więc już dwóch was na mnie! — zawołał, usiłując się wyrwać z rąk Adrianowi, kasztelanicy — to pięknie i rycersko, to po szlachecku.

— A ty mnie, trutniu jakiś — zaryczał Krzysztof — szlachectwa i szlachetności będziesz uczył! ty! ty!

Kasztelanica zbladła i mówić nie mógł, wystąpienie Adriana przeraziło go.

— Czegóż chcecie ode mnie? czego chcecie? — począł bełkocząc.

Pan Krzysztof kurki dubeltówki pospuszczał powoli i począł się zbliżać.

— Czego ja chcę, to ci powiem — rzekł groźnie, ale chłodno — chcę, abyś mi tu przy świadku dał słowo, że póki życia, noga twoja w Zamostowie nie postanie.. Idź, gdzie chcesz, rób, co chcesz, ale

od tej kobiety wara!! precz! Nie, słowa mato, dasz mi na piśmie, przysięszesz, i ruszaj, gdzie cię oczy poniosą.

Adrian w tej chwili strzelbę wychwycił z rąk kasztelanicy i rzucił ją opodal w krzaki. Zdawało się, że napadnięty chciał uciec, rzucił się zrazu, ale wnet zatrzymał.

Siłą, gwałtem, możecie na mnie wymóc, co chcecie, to rozbój, ja zaniosę skargę — począł wołać.

Krzysztof patrzył na swoją dubeltówkę, jakby go ochota brała bez dalszych korowodów, wziąć się do niej.

Tak nikczemnemu człowiekowi można by bez zgrzyoty sumienia w łeb wypalić — rzekł z wolna — szkoda, że tego nie uczynił od razu. Daj słowo i idź precz, a potem skarż. Skarżyć będziemy oba, a do spra

wy pociągniemy świadków, nic już nie będzie do stracenia.

— Ale ta nieszczęśliwa kobieta — zawołał Adrian. — Nieszczęśliwszą przez to nie będzie — dodał Krzysztof.

Kasztelanica stała jak wkuły, blady i widocznie wahając się, co pocznie.

— Słowo niech da i niech idzie, gdzie chce — powtórzył Krzysztof. — Słowo niech da.

Uśmiech jakiś dziwny, ironiczny przekrzywił usta panu Waleremu.

— Przemocy ulec muszę — rzekł — i niewiele na tym stracę. Prędeż, później, poszedłbym i tak stąd. Snadź miłościwa pani sama nasadziła na mnie zbirów.

— Milczeć! — zawołał Krzysztof — idź waćpan i nie wracaj. Gdybyś spróbował się tu pokazać, będziemy wiedzieli, co z tobą uczynić mamy. Bądź waćpan zdrow.

Kasztelanica, jak gdyby gardził napastnikiem, ręce obie włożył w kieszenie, odwrócił głowę i nic nie mówiąc, wolnym krokiem poszedł w zarośle. Adrian i Krzysztof, którzy go oczyma ścigali, zostali w

miejscu.

Jeszcze z oczów nie stracili uchodzącego, gdy Adrian, ręce załamawszy, zawołał do Krzysztofa:

Panie, czyż się godziło? czyż...

Godziło się, basta! — odparł Krzysztof — wszystko skończone. Nie wróci, za to ręczę, i hałasu robić nie będzie. Znam człowieka. Mówię ci, rzecz skończona, sza! Głowa go bolała i pojechał do domu, idźmy do Teodora.

Adrian słowa przemówić nie mógł, poszli milczący razem, nawołując się na stanowisko. Teodor, Wilczek i inni myśliwi cieszyli się właśnie zabita wilczycą i zabranymi młodymi, gdy Krzysztof, idąc przodem, zjawił się zupełnie ostygły i spokojny.

Kasztelanie się nam gdzieś zabłąkał — rzekł Teodor — nie widzieliście go?

— Owszem! — odparł pan Krzysztof — głowa go bolała, pojechał spocząć.

Adrian zmilczał, lecz w niespełna pół godziny niespokojny leciał, konie pędząc, do Zamostowa. Obawiał się tam zastać kasztelanica. Tu go wszakże nie było.

Ciotce nie mówiąc ani słowa, czekał wieczora. Służba pana domu nie mogła pojąć, gdzie zabawił tak długo, lecz fantastyczne jego wycieczki zbyt były częste, aby się dziwować miano opóźnieniu. Koni, którymi pojechał, nie było także do północy. Adrian nie spał, na każdy ruch w podwórzu się zrywając. Dano mu znać, że bryczka kasztelanica i chłopak, który z nim jeździł, przybyli, odwiózłszy go do matki. Listu żadnego nie było.

Tak zesłała noc i ranek następny, Wanda unikała zapytania o męża, Adrian o nim nie wspominał. Około południa przybył posłaniec z listem. Siedzieli w salonie, gdy go przyniesiono. Wanda spojrzała na kopertę, zarumieniła się i szepnęła:

Ale cóż się stało?

I rozerwała pieczętkę. Oczyma przebiegła prędko papier, raz i drugi czytała go, jakby zrozumieć nie mogąc, i wstała z nim od stołu niosąc z sobą do okna. Adrian, drżący, oczyma szedł za nią. Zdziwiona była i zamyślona. Z wolna oczy jej podniosły się na siostrzeńca.

Ty mi to chyba wytłumaczysz — ozwała się poważnie, list mu podając — czytaj.

Charakterem niewyraźnym, ręką widocznie drżącą, na wielkiej ćwiartce papieru stały krzywo, nakreślone z pośpiechem, słowa następujące:

“Widząc, że ani pani szczęścia małżeństwo zawarte nie przyniesie, ani mnie je zapewnić może, czuję się w obowiązku oświadczyć, że przeciwko rozwodowi naszemu nic nie mam i do życzenia jej w tym względzie zastosuję się chętnie. Nie sądzę też, by moja przytom

ność w Zamostowie miłą jej była i więcej do niego nie wrócę”.

Adrian, przeczytawszy list dwukrotnie, podniósł oczy na ciotkę, w której twarzy widać było zdumienie i radość razem.

— Zdaje mi się — rzekł — iż kasztelanica trochę za późno uczynił to tylko, co był powinien.

— Ale cóż ludzie powiedzą! co świat! — zawołała, ręce łamiąc i padając na krzesło, Wanda.

Adrian ramionami ruszył.

— Ludzie i świat uradują się, jak ja.

— Ja nie dałam żadnego powodu — dodała Wanda — ja...

— Zapewne się to później wyjaśni — rzekł Adrian — ale tak, jak jest, cieszę się, że się to stało. Lepiej, szczęśliwiej być nie mogło.

Cały ten dzień zamyślona i niespokojna chodziła Wanda, lecz czuć i widać było, że oddychała swobodniej. W kilka godzin przybyli ludzie od kasztelanica dla zabrania wszystkiego, do czego sobie

prawo rościł. Dozwolono zaufanemu kamerdynerowi pakować i brać, co mu się podobało. Po dworze całym gruchnęła wieść, iż kasztelanica nie wróci, radość stąd wybuchła wielka, a rozmaite mieszkanki dworków śpiesznie się wynosić zaczęły, obawiając prześladowania. Do późnej nocy trwało pakowanie i wyjazd służby kasztelanica.

Adrian surowo pilnował, ażeby rozjątrzony dwór stary nie pomścił się za zniewagi i nieprzyjemności, jakich od nowego doznawał. Nazajutrz wymógł na ciotce, aby ratując już nadwerżony majątek, natychmiast odwołała plenipotencją. Na odgłos o wypadku weksle i wierzyciele płynąć zaczęli. Adrian pobiegł do pana Pawła prosić, ażeby uregulowanie interesów wziął na siebie.

Krzysztofa przez cały tydzień potem nie było, ani się dowiedzieć było można, gdzie się obracał. Wilczek

powiadał, że był w lesie. W niedzielę następną, po obiedzie, zjawił się, jak zwykle pieszo wszedłszy przez park, i zbliżył się z twarzą dosyć wesołą do ganku, na którym siedziała pani Wanda z siostrzeńcem i panem Pawłem.

— Nóżki całuję pani mojej! — zawołał zbliżając się — piękny dzień mamy! — Spojrzał na jej twarz bladą.

— A jak zdrowie? Wanda badała go oczyma.

— No, chwała Bogu — dodał — widzę, że wszystko dobrze. Jak się ma kochany pan Adrian. Pan zawsze do nas przybywasz, przynosząc z sobą pokój i radość.

— Pian wiesz — poczęła nieśmiało gospodyni.

— Wszystka wiem, o niczym mówić nie chcę, co by nam chwilę swobodną zatruć mogło — rzekł Krzysztof. — Jakże u pani w ogrodzie? co się z kwiatkami dzieje? To mnie najwięcej obchodzi.

— A na zamku? — spytała Wanda.

Cicho, zielono, spokojnie, jak w grobie — rzekł pustelnik.

Tak obojętna zaczęła się rozmowa, którą pan Krzysztof wesołością rzadko mu przychodzącą podsycił. Paweł zdumiony był tym humorem, który dotąd jeden Wacek wydobyć czasem umiał ze stryja.

Na Adriana spoglądał, uśmiechając się, i po chwili dał mu znak, aby z nim zszedł do ogrodu.

Widzisz — szepnął — truteń się uląkł i czmychnął. Nie mamy się co chwalić z leśnej awantury, o której nikt nie wie, a której i on pewno nie rozgłosi. A cóż? Wanda myśli o rozwodzie?

Nie mówi nic o nim.

To on go zażąda pewnie, boć jeszcze jakąś biedną istotę uszczęśliwić musi — mówił Krzysztof. — Dzięki Bogu, Wanda będzie spokojną i pewnie już o zamążpójściu nie pomyśli po dwukrotnej próbie. Zresztą,

gdyby się na co zanosilo — dodał — ja, będę na pilnej straży i nie dopuszczę. A od czegoż ja tu jestem?

Adrian się uśmiechnął, a Krzysztof skrzywił.

— E! — zawołał — czuję, że masz złe myśli. No, nie lękaj się, mogę cię uspokoić, ja się nie posunę. Moja miłość i cześć jest tego rodzaju, że zuchwalstwem nie zgrzeszy. Będę patrzył i wielbił po cichu i tego do szczęścia mi dosyć.

Westchnął pan Krzysztof.

— Miłość jesienna! — rzekł smutno — liście zielone, ale za późno na kwiaty!

Powieść, jak wszystkie, na życiu osnuta, a życie nigdy się nie kończy, ogniwa jego, łańcuch na wieczność uwity, spajają się z sobą i ciągną z ciemności przeszłych do przyszłych ciemności. Najtrudniejsze zakończenie, ono zawsze, chcąc być z prawdą — życia zgodnym, musi być rozciętym

pasmem, urwanym ogniwem, złamanym czymś i niedośpiewanym.

Słowa poety prorocze "niech słuchacz w swej duszy dośpiewa" tak dobrze stosują się do wielkich pieśni, jak do drobnych obrazków. Poza ramami ich życie ciągnie się dalej, w nieskończoność...

Chcąc zakończyć powieść, chcielibyśmy odesłać czytelnika tam, gdzie ona dotąd się ciągnie z tego samego wątku, w bohaterach nie bohaterских lub krwi ich i uczuć potomkach.

Przerzucamy notatki nasze i szczęściem natrafiamy na zżółkły papieru kawałek, na którym epilog mimowolnie zapisała ręka Adriana. List ten poufny do przyjaciela zawiera niemal wszystko, co o osobach wchodzących do powieści dopowiedzieć byśmy mogli, rozwleklej może, ale pewno nie żywiej i nie lepiej od tego, który się z własnych przygód spowiadał...

Zamostów. Październik

...Pytasz mnie, co się dzieje ze mną? Nie dałem znaku życia od czasu, jakżeśmy się rozstali. Ciekawym jesteś losów moich i tych ludzi, do których odbiegłem od ciebie i od świata, czego mi twa przyjaźń darować nie może. Mieję cierpliwość przeczytać list długi, bardzo długi, chociażby za to, że ja go miałem cierpliwość jak spowiedź, "czarno na białym", przy świecy, w chwili, gdy najmniej był do pisania usposobiony, ułożyć. Wierz mi, potrzeba było przyjaźni, poświęcenia niemal, aby ślęzczyć nad papierem, męczyć się z piórem, walczyć z niedoschłym atramentem, gdy... nic do tego nie zmuszało, oprócz chęci prędszego zaspokojenia twojej troskliwości o mnie.

Słuchaj więc "mych losów powieści". Wiesz już, że wyjeżdżając stąd, zostawiłem mający dorosnąć tu ideał najśmieszniejszy w świecie, dziewczeczkę bosą, prościuchną, ładną, naiwną, którą wystawiłem dla mojej fantazji na próbę wychowania, mogącego albo z niej stworzyć istotę nową i zachwycającą,

lub nieszczęśliwego cudaka.

Mówiłem ci o Dosi Wilczkównie, znasz trochę ciocię moją, pana Krzysztofa, czcigodnego Teodora, który tak długo na późne ożenienie się zbierał, i wszystkich w okolicy aktorów dramatu, nie zasługującego na to imię wspaniałe.

Z bijącym sercem i podbudzoną ciekawością zbliżałem się do Zamostowa. Na drodze przeznaczenie, fatum rzuciło mi najprzód Teodora, żonatego po uszy, nieco zmienionego, ale równie miłego i przyjaznego, jak dawniej. Z nim musiałem najprzód wylądować w jego domu, gdzie trzpiotowatą Lizę znalazłem wielką panią, strojną, znudzoną, kaszlącą, ze spazmami i synkiem, który przyniósł z sobą na świat rysy niefortunnie gminne rodziny matki. Niemniej zdrowe chłopię wyjdzie na bardzo znakomitego szlachcica.

Oprócz zmiany w obojgu państwie Teodorostwie znalazłem inne, niemniej zdumiewające, a nierównie tragiczniejszej natury. Ciotka moja, ta śliczna, smutna królowa, która stworzoną się zdawała, aby być szczęśliwą i szczęściem obdarzać, skutkiem intryg, w których czarne czeluście oka zapuszczać nie chce, wyszła za mąż za człowieka godnego pierwszego jej małżonka, który ją uczynił nieszczęśliwą. — Dlaczego? jak się to stało? spytaj ironia losu, który sobie z ludzi żartuje.

Pocziwy i zacny pan Krzysztof, który ją kochał szalenie, którego ona kochała, zdziczał i zdziwaczał, nie śmiał sięgnąć po jej rękę, nie czując się jej godnym. Skutkiem tej intrygi, która się rozwiązała niepojętym małżeństwem, mój ideał musiał z tego domu uciekać, aby się schronić przed nikczemnymi napaściami młodego męża i podejrzeniami niesłusznymi ciotki mojej. Panna Kornelia, o której ci wspominałem, zjadliwa istota, potrzebująca knuć coś i spiskować, aby czeze zapelnąć życie, wszystko to tak pięknie osnuła i wykonała. Ostatecznie jednak musiała sama ustąpić z placu.

Przybyłem po to, aby ciotkę znaleźć mężnie znoszącą swój los, tego niby wujaszka, szulerującego po całych dniach i rozpustującego z miłymi przyjaciółmi, polykane łyzy, ukrywana niedolę.

Pan Krzysztof, Bogu ducha winien, nic nie widział, nie wiedział o niczym, nic się nie domyślał. Siedział w swej pustelni, czytał herbarze, malował szlacheckie godła, a gdy czasem zajrzał do Zamostowa, aby bóstwu cześć złożyć, z twarzy swej pani nie wyczytał łez, co po niej przebiegły. Jakby na mnie los czekał z rozwiązaniem. Przypadek uwiadomił pana Krzysztofa o postępowaniu kasztelanka, o życiu i pożyciu ciotki, o zgorzeniu, które oburzało wszystkich. Człowiek ten, na pozór zimny i zastygły, odzyskał całą energię, a nawet dawną charakteru gwałtowność. Byłem świadkiem wy

buchu i uląłem się; gotów był życie stracić i odebrać życie, uczuł się prawowitym obrońcą tej, którą kochał. Starałem się i nie umiałem go pohamować.

Zdaje się, że chcąc znaleźć środek napadnięcia na kasztelanica, ułożył z Teodorem polowanie. Staliśmy na przesmyku. Szczęściem, znajdowałem się blisko niego i przeczuwając coś złego, poszedłem za nim, gdy się zbliżył do winowajcy. Sceny tej odmalować ci nie potrafię. O niewiele szło, by mu z dubeltówki w łeb nie strzelił. Miało się to skończyć na pojedynku, a byłoby może wprzód zamknęło się zabójstwem, gdybym między nich nie wpadł. Na słowach ostrych tym razem walka się rozbiła, kasztelanica, przeciw któremu i ja wystąpić musiałem, uszedł z placu, widząc się zagrożonym, nie chwilowo, ale w przyszłości również, i wyjechał do matki, od której list przesłał do rozwodu upoważniający. Pan Krzysztof, który nie czuł się godnym ożenić, miał odwagę ocalić tę, którą kochał. Stawił życie i — milczał o tym, tak że gdyby nie ludzka niedyskrecja (prawdę rzekłszy,

moja własna), ciotka by o niczym nie wiedziała.

Grzechy kasztelanica drogo musieliśmy przypłacić, a długi jego wynosiły daleko więcej niż najśmielsze przypuszczenia. Część majątku musiała pójść na nie, ale swobody nigdy się nie nabywa zbyt drogo. Niemal od pierwszego dnia ujrzałem na twarzy ciotki spokój i powracające życie. Oddychała lżej, nie ciężył nad nią srom tego niedobranego towarzysza.

Wśród tego prologu do mych własnych przygód ledwie miał czas z daleka widzieć Dosię Wilczkównę, ledwie przemówić do niej. Zdała mi się zmienioną powierzchownie, jakby postacią, którą kunsztmistrz zarysował naprzód, a teraz dokończył. To, czegom się obawiał najmocniej, jakiej metamorfozy charakteru, jakiegoś rozrostu nienormalnego, czegoś, co by jej odjęło wdzięk przyrodzony i tę uroczą dzikość istoty wyko

łysanej lasów szumem, nie znalazłem szczęściem. Dosią została w salonie, czym była w chacie ojcowskiej. Ale dzikszą może znalazłem ją, niż była. Słówka do niej szepnąć nie mogłem, marszczyła brew i mówiła głośno, na chwilę nie chciała zostać ze mną na stronie. Byłali to obawa, nieufność czy wstręt, badać nie śmiałem.

Postanowiłem zostawić to czasowi. Taka była rada pana Krzysztofa, który, jak wszyscy starzy, im mniej miał czasu przed sobą, tym więcej się do niego odwoływał. Uważałeś też kiedy ten fenomen życia, że młodzi się śpieszą, a starzy zwłóczą, pierwszym pilno, chociaż wiele mają pola, drugim wszystko idzie za żywo, choć nawet jutro niepewne.

Wymogłem jednak na ciotce i uprosiłem pana Krzysztofa, aby Dosią do ciotki mojej wróciła. Nie przyszło to łatwo, musiała ona pojechać po nią i dopiero po długiej, łzawej, poufnej rozmowie, dziewczęcę opuściło dom państwa Pawłostwa.

Miałem więc zręczność widywać ją codziennie. Miała się, jakby przestrzeżona, na niezmiernej

ostrożności, ode mnie uciekała prawie. Wziąwszy to za wstręt, którego zwyciężyć nie chciałem, choć czułem dla niej wzrastającą, wyznaję to ze wstydem, namiętność razem i przywiązanie, wypowiadałem się ciotce ze stanu mojego ducha i postanowiłem w końcu oddalić się, nie chcąc narzucać. Ciotka kazała mi czekać. Uległem chętnie. Pan Krzysztof, teraz, gdy kasztelanka nie było, jakby opiekun i strażnik swej pani, zaczął też bywać coraz częściej. On także wiedział, że się w Dosi kochałem, ale po staremu kazał mi mieć cierpliwość i nadzieję. Dziewczę dziwnie się obchodziło ze mną, płochliwe było, wystraszone, śmiało ze wszystkimi, dla mnie trwożne. Pomimo starań moich rzadko mogłem nawet dłuższą z nią poprowadzić rozmowę. Spotykałem jej oczy, ale

wnet, postrzegłszy wzrok mój, odwracała je ode mnie, czasem poufniej zaczynała już zawiązywać się rozmowa, gdy nagle, jakby coś sobie przypomniawszy, milkła i uchodziła.

Wstręt, który obudza, czuje człowiek zawsze, nie zdawało mi się, ażeby ona miała go dla mnie, jakaś niezrozumiała obawa odpychała ją, coś niepokonanego stało między nami.

Wycierpiawszy kilka miesięcy, postanowiłem stanowczo i otwarcie pomówić z nią. Wyznaję, że jak student szpiegował ją i szukał zręczności widzenia sam na sam. Doszedłem, że bardzo rano odbywała przechadzki po ogrodzie, odkryłem miejsca, które odwiedzała zwykle, i gdzie siadywała. Jednego ranka znalazłem się niespodzianie przed ławką, na której siedząc, bukiet układała. W pierwszej chwili chwyciła za kwiaty przestraszona i chciała uciekać. — Zatrzymaj się pani, błagam — zawołałem, zbliżając się i modląc prawie — jeśli mi każesz odejść, pójdę, ale czyhałem i czyham na chwilę rozmowy, już ci mi się odmawiać nie godzi.

Spojrzała mi w oczy gniewnie prawie.

Nie miej mi pani za złe, że mi jej tu i o tej porze szukał — rzekłem — unikasz pani tak uporczywie, że innego nie znalazłem sposobu.

Ale czegoż pan możesz chcieć ode mnie? spytała niespokojna.

Powinnaś się pani była domyśleć, że chcę się do niej zbliżyć, bo mam dla niej uczucie żywej... nazwijmy to przyjaźni... Cóż w tym złego?

Złem być może, iż ludzie gotowi są przyjaźń tłumaczyć fałszywie, a kobieta ostrożną być musi — odezwała się głosem jasnym. Za przyjaźń panu jestem wdzięczną, odpłacam ją wzajemną, nie chciejże pan, abym ją spokojem moim opłacała.

Dlaczego pani tak surową jesteś dla mnie?

— Dla pana? nie; jestem surową dla siebie. Znasz pan położenie moje. Nie mam nic nad czyste imię ojca mojego i własne, które już raz narażone zostało. — Drgnęła, mówiąc to ciszej. — Pomiędzy panem a mną jest różnica stanu i położenia, o której zapomnieć mnie nie wolno.

— Ja jej nie widzę — rzekłem.

— Być może, na chwilę, lecz ja ją czuję. Wychowanie, stan, stosunki, obowiązki mamy różne.

— Ta różnica jest czysto sztuczną — odezwałem się — a serca ludzi zbliżają.

— Na serca nic rachować nie można — rzekła smutnie.

— Skądże to wnosisz, pani?

— Patrzę na życie i czerpię z własnego doświadczenia.

Cała ta rozmowa, tak jak ją sobie przypominam, prowadzoną była wcale nie na sposób, w jaki Dosia Wilczkówna mówiła dawniej. W salonie bywała naturalną i naiwną, ze mną umyślnie może starała się

mimo woli okazać pospolitą kobietą, jakie na posadzkach woskowanych spotykamy codziennie.

A więc — rzekłem po kilku próbach i odprawie zawsze wymuszonej i chłodnej — a więc wydałaś pani wyrok na mnie. Wyznam pani, że tu pozostał dlatego jedynie, bom się spodziewał przełamać wstręt jej do mnie. Jeżeli to niemożliwe, przebac mi, pożegnajmy się bez urazy i gniewu, daj mi pani rękę i bądź zdrowa. Za parę godzin jadę. Chciej wierzyć, że jej z duszy szczęścia życzę.

Nie wiem, czy głos mój zadrżał od wzruszenia, czy przezeń — mówiła prawda, Dosia podniosła oczy, w których były łzy, wyciągnęła mi ręce obie, uśmiech smutny — przesunął się po jej wargach, stała się jakby odczarowaną i inną.

Panie Adrianie, tak, bez gniewu, bez żalu, do

brymi przyjaciółmi się rozstać trzeba. Tak! Nie miej mi za złe. Mnie nie o moje własne, ale o wasze szczęście chodzi! Któż zaręczy, że ta wasza przyjaźń to nie fantazja, że później...

— Ręczę te dwa lata, po których tu przybyłem nie zmieniwszy się przecie.

Zarumieniła się Dosia.

— Nie, nie, nie kuś mnie pan szczęściem, do którego nie stworzona — rzekła żywo. — Później w życiu uczułyś we mnie niższą od siebie istotę, dałyś i mnie to uczuć może, ja sama mogłabym doznać tego uczucia. Nie! nie!

Odwróciła się, usiadła na ławce i zaczęła wiązać kwiaty.

— Jedź pan — rzekła głosem męznym, podając mi rozkwitłą różę — ten kwiat to pożegnanie i pamiątka. Nie będę niczyją, ale twoją być nie mogę, nie, nigdy.

Zerwała się, rzucając kwiaty, i uciekła w głąb ogrodu. Powróciłem cały zburzony do domu. Do obiadu

Dosia nie wyszła. Ciotka mi powiedziała, że chora na głowę, wieczorem jej nie było. Nazajutrz pojechałem się z Wilczkiem rozmówić. Nie tałem się przed starym, otwarciem mu powiedział, że chcę się żenić z jego córką.

Uradował się zrazu, ale wprędce posmutniał. Te same mi czynił zarzuty co ona, też same miał skrupuły, ale je łatwiej mogłem odeprzeć. Obiecał mi mówić z Dosią.

Mówił za mną pan Krzysztof, przemawiała ciotka, ale uparte dziewczę stało przy swoim. Jedynym skutkiem tych nalegań było, że z mniejszą obawą dozwoliła mi się zbliżyć do siebie i nie unikała ode mnie. Poznaliśmy się lepiej. A! drogi przyjacielu, duma kobiety jest jednym z uczuć, które najtrudniej zwyciężyć. Dosia lękała się zawsze, aby kiedyś życie uczuć jej nie dało, żem się ja schylił ku niej, jak mówiła. Chociaż na próżno zaprzysięgałem jej, iż ją wyżej stawię nad siebie

i wdziękiem, i darami bożymi, i sercem, i umysłem. To, co my nabywamy powoli ciężką pracą, ona od natury miała w darze i wieszczym zgadywała duchem. Miałem ją i znam za jedną z tych wyższych istot, którym się cześć należy, bo na nie Bóg zjał więcej swych promieni niż na inne pospolite stworzenia. Dla mnie królowa żadna majestatyczniejszą by nie była. Chcesz końca mych przygód? Jednego dnia Dosia wyjechała do ojca i nie powróciła więcej.

Na ojcu wymogła słowo, że mnie nie powie, gdzie się znajduje, uciekła ode mnie, niewdzięczna. Czy ją znajdę? czy się spotkamy? czy zwyciężę jej obawę, nie wiem, ale tego jestem pewnym, że nie mam najmniejszej ochoty do ożenienia i że w sercu miłość dla niej zachowam na zawsze. Tak, jeśli “zawsze” znajduje się w ludzkim słowniku.

